

GAELEN
FOLEY

Jej sekret



Romans historyczny

GAELEN
FOLEY

Jej sekret

Przekład
Ewa Morycińska-Dzius



Redakcja stylistyczna
Lucyna Łuczyńska

Korekta
Jolanta Kucharska
Elżbieta Steglańska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Foniok

Zdjęcie na okładce ©
Zbigniew Foniok

Skład
Wydawnictwo Amber Jerzy
Wolewicz

Druk
Opolgraf SA, Opole

Tytuł oryginału
Her Secret Fantasy

Copyright © 2007 by Gaelen Foley.
This translation published by arrangement with Ballantine Books,
an imprint of The Random House Publishing Group, a division of Random House, Inc.
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2009 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-3505-9

Warszawa 2009. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
00-060 Warszawa, ul. Królewska 27
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl



Książke wydrukowano na
„przyjaznym” papierze
www.przyjaznypapier.pl

1

Anglia, 1818

Biedactwa! Wszystko straciły. Co teraz poczną?

- Powinny sprzedać dom, chociaż Bogiem a prawdą to jest zupełna ruina.

- To ich rodzinny dom. Gdzie się podzieją?

- Tak, tak... Karty i alkohol weszły w nałóg, moja droga, stąd to nieszczęście.

- Ale nie z winy tych kobiet! Jakże to smutne: znakomita rodzina doprowadzona do upadku. Aż trudno uwierzyć...

Szepty dochodziły z ławki o dwa czy trzy rzędy za nią. Treść rozmowy powoli docierała do przygnębionej Lilly Balfour i w końcu odwróciła jej uwagę od bolesnej pustki w sercu i monotonnej przemowy spadkobiercy dziadka, kolejnego lorda Balfour, mężczyzny w średnim wieku, którego jej rodzina nie знаła.

Lilly dotąd patrzyła nieco nieprzytomnie spoza krótkiego, czarnego welonu udrapowanego wdzięcznie na kapelusiku. Teraz jednak poczucie straty po prostu nią wstrząsnęło.

Kobiety wciąż szeptały; była oburzona ich zachowaniem.

Jak to? - myślała z irytacją, mimo woli przysłuchując się rozmowie. Obgadują jej rodzinę, w dodatku tu, na pogrzebie dziadka?

Co za wścibskie plotkary!

Nie mogła sobie przypomnieć, którzy z sąsiadów usiedli w kościele tuż za nią. Ostatnie dwa dni żyła jakby w gęstej mgle, skamieniała z żalu i wyczerpana miesiącami spędzonymi przy łożu śmierci swojego bohatera.

Dziadek, wicehrabia Balfour, zdumiewał i zachwycał Lilly siłą charakteru: podziwiała jego niezłomną wolę życia. Zmuszona patrzeć, jak dzień po dniu staje się coraz bardziej niedołączony, zmuszona patrzeć, jak umiera -nie mogła tego znieść.

Odszedł. Ufała, że w spokoju.

A tu, w trakcie przemowy na jego cześć jakieś rozplotkowane sąsiadki pozwalają sobie snuć domysły na temat losu jej rodziny!

Lekko odwróciła głowę i słuchała dalej zdenerwowana, ale i zaciękawiona.

- Może ten nowy lord Balfour zdecyduje się im pomóc. Wygląda na dobrego człowieka - powiedziała współczująco któraś matrona.

Jej rozmówczynie prychnęła.

- Lady Clarissa nic by od niego nie przyjęła. Oba rody od lat są skłócone. Myślałam, że wszyscy o tym wiedzą!

- No tak, ale przecież nie może pozwolić, żeby te biedne kobiety głodowały! Jakie to wszystko smutne. Najpierw Langdon Balfour umarł w Indiach, potem jego bratanek zginął w tym okropnym pojedynku. To jednak musi mieć związek z przekleństwem rodu Balfourów!

- Bynajmniej! To tylko ich wina: są hardzi. Gdyby nie byli tak dumni, znaleźliby sposób na swoje kłopoty.

- Co masz na myśli?

Właśnie! Lilly zmarszczyła brwi. Ją też to zaciękawiło.

- Jedna z dziewcząt z tej rodziny jeszcze mogłaby dobrze wyjść za mąż - tłumaczyła z przejęciem pierwsza dama. - Nie mówię o starszej kuzynce. Panna Pamela dobiega czterdziestki i do tego jest okropną dziewczynką. Młodsza, Lilly, miała romans. Ale jest świetnie wychowana, w dodatku odziedziczyła po matce urodę. Zastrzyk złota dzięki stosownemu małżeństwu w okamgnieniu poprawiłby ich sytuację.

Lilly poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy; zdrętwiała na samą myśl o czymś podobnym. Dłoń, w której trzymała chusteczkę, zacisnęła w pięść.

Nie!

- Matka nie byłaby w stanie wyprawić jej teraz do Londynu na czas sezonu towarzyskiego! Cud, że zdołały opłacić pogrzeb, więc tym bardziej...

- Moim zdaniem muszą to zrobić: teraz albo nigdy. Przecież Lilly ma już prawie dwadzieścia pięć lat! Jeżeli będzie czekać do końca żałoby, wi-

doki na małżeństwo przypadną. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, dlaczego dotychczas nie wyszła za męża. Chyba nie mogła narzekać na brak powodzenia.

Nie twoja sprawa. Lilly zacisnęła szczęki.

- Pewnie lady Clarissa uznała, że żaden z konkurentów nie ma odpowiednich koneksji, żeby wejść do rodziny Balfourów.

- Niewątpliwie... Tak czy owak, Lilly jest dorosła, nie musi pytać matki o zgodę. Nie wiem jak ty, moja droga, ale będąc na jej miejscu, uważałabym się za zwolnioną z tego obowiązku.

- Och, dajże spokój.

- Naprawdę. Na kogo ona czeka? Na księcia z bajki? Na rycerza w lśniącej zbroi? W jej wieku miałam już trójkę dzieci.

Lilly skrzywiła się, bo w tych słowach było coś z prawdy. Zerknęła w stronę, gdzie siedziała matka.

Czterdziestoczteroletnia lady Clarissa nie zamierzała składać broni i wycofywać się ze swojej pozycji najpiękniejszej - i zdaniem wielu: najtrudniejszej do zdobycia - kobiety w południowej Anglii.

Jej sztywno wyprostowana postać w kościelnej ławce pozwalała przypuszczać, że matka też słyszy te zuchwałe szeptki. Jednak w przeciwieństwie do Lilly lady Clarissa zareagowała zdecydowanie: powoli odwróciła piękną blond głowę i zmierzyła plotkujące sąsiadki groźnym spojrzeniem, „Jak panie śmiać?”, które mroziło jak lodowaty północny wiatr.

Lilly usłyszała za plecami, jak tylko pochrząkiwały z zażenowaniem. Wcale się nie zdziwiła. Dobrze знаła to spojrzenie.

Często bywała obiektem podobnych mrozących krew w żyłach spojrzeń matki. Na szczęście nie tym razem.

Matka Lilly, córka hrabiego - o czym nikt w jej obecności nie powinien ani na chwilę zapomnieć - była zbyt dobrze wychowana, żeby choć odrobinę podnieść głos. Nie zachodziła zresztą taka potrzeba. Spojrzenia działały skuteczniej niż sztylety.

Kiedy lady Clarissa znów się odwróciła, jej nieskazitelna twarz przypominała maskę z marmuru, twarda i biała w otoczeniu czarnych koronek żałobnej sukni, wysoko zasłaniającej szyję. Załatwiwszy sprawę niegrzecznych sąsiadek, rzuciła Lilly krótkie spojrzenie chłodnej satysfakcji.

Cała matka, pomyślała Lilly.

Odpowiedziała lekkim, raczej smętnym skinieniem głowy. Próbowwała skupić uwagę na pełnym banałów przemówieniu, ale doprawdy, było jej trudno słuchać wywodów nowego lorda Balfour, gdy mówił o człowieku, którego nie tylko ona, ale wszyscy w promieniu wielu mil szczerze kochali.

No, może z wyjątkiem matki. Lady Clarissa sumiennie wypełniała obowiązki synowej starego wicehrabiego, lecz już jako dziecko Lilly czuła, że oboje obwiniają się nawzajem o śmierć jej ojca. Zawsze miała wrażenie, że oczekują od niej, żeby opowiedziała się po którejś ze „stron”. Kiedy siedziała, pogrążona w myślach, zanim plotkarki odwróciły jej uwagę, zastanawiała się, co było dla niej straszniejsze: ten pogrzeb czy ostatnie pożegnanie ojca.

Co prawda, trudno to porównywać. Dziś miała złamane serce, ale czuła inny żal niż ten po stracie, którą poniosła piętnaście lat temu, jako dziewięcioletnia dziewczynka. Chociaż gorąco kochała dziadka i cały czas doglądała go w chorobie, z ojcem łączyła ją szczególna więź; niania zwykła mawiać, że Lilly i ojciec są jak dwa groszki w jednym strączku.

Poza tym dziadek był już stary i chory; Lilly wiedziała, że chwila jego śmierci musi niebawem nadejść. Wtedy, przed laty, mała dziewczynka nie pojmowała, czym jest śmierć. W dodatku wierzyła, że jej cudowny tatuś wyprawił się do Indii, by przeżyć wielką przygodę, jeździć na słońiach i odwiedzać obsypanych klejnotami maharadzów. Tak jej przecież powiedział, wyjeżdżając.

Obiecał wrócić z workiem pełnym rubinów dla matki i drugim z diamentami - dla niej.

„Moja mała księżniczka. Księżniczka Lilly! Pewnego dnia będziesz najświetniejszą panną w całym kraju...”

Przystojny, czarujący, a przy tym całkowicie oderwany od rzeczywistości marzyciel, Langdon Balfour zawsze miał skłonności do przesady, ale dziewięcioletnia Lilly ufała mu bezgranicznie.

W rok później na wiadomość o śmierci ojca - umarł na gorączkę monsunową - jej świat się zawalił.

Może dlatego nie mogła się zmusić, żeby słuchać przemowy nowego lorda Balfour. To papa powinien tam stać, na jego miejscu, to on powinien opowiadać o życiu swojego ojca. Papie należał się tytuł po dziadku, miał przejąć rządy, zostać głową rodu. Mogli zbankrutować i wspólnie się martwić upadkiem rodu, ale przynajmniej byłiby wszyscy razem.

Tymczasem jedyne, co po nim zostało, to coraz bardziej blednące w pamięci Lilly wspomnienie opowiadanych przez papę bajek i altana w ogrodzie, której nie zdążył wykończyć z braku pieniędzy... i czasu.

Teraz był to wyłącznie dom kobiet, utrzymujących się z maleńkiej renty.

Boże, dopomóż nam, myślała Lilly, spuszczać wzrok. Były zrujnowane. Ogarnęło ją poczucie winy. „Rodowej” winy. Plotkary trafiły chyba w sedno.

Mogłabyś odwrócić sytuację, gdybyś wyzbyła się egoizmu, przekonywała siebie. Czemu nie miałabyś wyjść za mąż, skoro to pozwoliłoby wybrnąć z kłopotów? Spójrz tylko na matkę. Czy nie dość wycierpiała? Miej wzgląd na jej dumę. Nie była stworzona, by znosić biedę.

Możesz to zrobić, nalegało sumienie. Możesz uratować nas wszystkich. Wiesz, że możesz... Wystarczy zapomnieć o przeszłości i przestać się bać.

A jednak się bała. Doświadczenie mówiło jej, że pewna doza nieufności wobec ludzi i świata jest konieczna, żeby dać sobie radę w życiu. Przecież, gdyby ojciec odczuwał chociaż odrobinę rozsądnego lęku, może żyłby do dziś.

Strach to dobre, potrzebne uczucie.

Ceremonia pogrzebowa dobiegła końca. Plotkujących matron już nie było, kiedy pogrążeni w bólu ludzie stali pod kościołem i wyniesiono trumnę.

Panowie udali się na przylegający do kościoła cmentarz, żeby pochować wicehrabiego, damy natomiast do powozów, które miały je zawieźć do Balfour Manor, gdzie rodzina zaprosiła gości na skromny poczęstunek.

Matka szła przodem jak królowa; lekko unosiła czarne spódnice, przechodząc przez błotniste kałuże. Oddany lokaj, niestety, nieopłacany od miesięcy, spieszył za nią, trzymając parasol nad okrytą czarnym czepkiem głową swojej pani.

- Chodź, Lilly - powiedziała lady Clarissa. - Musimy być gotowe, żeby przyjąć gości.

Lilly nie ruszyła się z miejsca.

- Wolałabym pójść piechotą, naprawdę. Potrzebuję...- Słowa za marły jej na ustach pod karcącym wzrokiem matki.

- Ależ Lilly, deszcz pada. Nie bądź nierozsądna.
- Mam parasol. Naprawdę chciałabym przez parę minut zostać sama, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, mamo.

Lady Clarissa spojrzała na córkę gniewnie.

- Oczywiście, że mam! Jesteś mi potrzebna: musisz witać gości. Ja będę podawać herbatę w salonie. Ty musisz stać przy wejściu!

- Ciocia Daisy obiecała mnie zastąpić. To tylko chwila.

Lady Clarissa popatrzyła z powątpiewaniem na korpulentną, niezadarną, ale bardzo poczciwą szwagierkę.

- Oczywiście, będę stać przy wejściu - potwierdziła czym prędzej ciocia Daisy.

Lady Clarissa przewróciła oczami.

- Och, zgódź się, Clarisso. Lilly, biedactwo, musi się z nim pożegnać...

Matka wzruszyła ramionami i zwróciła wyniosłe spojrzenie w stronę cmentarza.

- Tylko się nie ociągaj - upomniała. - Za dwadzieścia minut dom będzie pełen gości. Jesteś tam potrzebna.

- Tak, mamo. - Lilly skinęła głową.

Kiedy matka odwróciła się, Lilly obdarzyła ciotkę pełnym wdzięczności spojrzeniem. W końcu lady Clarissa i jej świta: zaaferowana, paplająca bez przerwy ciocia Daisy oraz literatka, kuzynka Pamela, która bezustannie wycierała zalane deszczem okulary, wsiadły do podniszczonej czarnej karety i odjechały do Balfour Manor.

Wielki dom z czerwonej cegły stał niedaleko, przy drodze. Spoza drzew widać było dach z facjatkami.

To nie jest ruina, myślała Lilly. No tak, są dziury w dachu, ale tylko dwie. I co z tego?

Kiedy obserwowała rząd powozów, powoli jadących w stronę domu, przypomniała sobie zaskoczenie wywołane rewelacjami w testamencie dziadka.

Pominał matkę i przekazał Balfour Manor, jedyną posiadłość, do której miał nieograniczone prawa, Lilly.

Wiedziała oczywiście, czemu tak zdecydował. Nie dlatego, że się nim opiekowała, ani nawet nie z racji pokrewieństwa między nimi - matka była przecież tylko synową. Zrobił to, bo chciał mieć pewność, że gdyby

Lilly uparła się pozostać w stanie panieńskim, co po jej przeżyciach wydawało się zupełnie możliwe, będzie mogła jednak mieszkać we własnym domu.

Nawet matka nie zdołałaby jej stąd wyrzucić, czym kiedyś zresztą groziła.

Wspomnienie wyrzutów matki jeszcze teraz przyprawiało Lilly o dreszcz, chociaż to wszystko wydarzyło się prawie dziesięć lat temu, kiedy była tylko wystraszoną piętnastolatką. Cierpiała z powodu wstydu, na jaki wtedy naraziła swoją dumną rodzinę. Jednak wobec zdecydowanego rozkazu dziadka wszyscy, do dziś dnia, nie zdradzili jej tajemnicy, chroniąc Lilly przed skandalem. Oczywiście w imię honoru rodziny.

Umiejtnie zatuszowano całą sprawę. Nawet matka nie wspominała o tym słowem od przynajmniej ośmiu lat. Niemniej cały dom wiedział o jej grzechu. Życie biegło, a Lilly ciągle się zastanawiała, czy możliwe, by kiedykolwiek zdołała odkupić swój błąd.

Właśnie teraz o tym myślała - nie o stracie dziadka, lecz o bolesnej ranie, rozjątrzonej słowami plotkujących sąsiadek.

„Zastrzyk złota dzięki stosownemu małżeństwu w okamgnieniu poprawiłby ich sytuację...”

Honor rodziny Balfourów znów został narażony na szwanki tym razem nie z powodu skandalu, którego była powodem, ale ruiny finansowej. Wtedy dobre imię ochronili krewni. Czyż teraz, kiedy Balfourowie mogą okryć się hańbą, nie powinna ratować rodziny? Czy nie jest tego winna chociażby dziadkowi?

Zerknęła przez ramię na mężczyzn zgromadzonych na cmentarzu.

Łzy napłynęły jej do oczu na widok trumny spuszczonej właśnie do grobu. Przytknęła czubki palców do warg i znów spojrzała przed siebie. Krople deszczu uderzały głucho o jej czarny parasol.

Poszła w stronę domu, ostrożnie stawiając stopy - kalosze niedostatecznie chroniły obuwie przed błotem.

Co mam zrobić? Nie chcę być samolubna...

Nie wiedziała, od czego zacząć. Myślała o tym, że trzeba utrzymać Balfour Manor, a to ogromny wydatek, mimo że wszyscy żyli bardzo skromnie. Teraz dużo zależało od niej. Sprzedaż domu w ogóle nie wchodziła w rachubę, ale Lilly nie miała pojęcia, skąd wziąć pieniądze na opłacenie podatków czy naprawę dachu.

Może rzeczywiście powinnam zacząć się rozglądać za mężem. Na pewno musi utrzymać dom, bo tylko ten dom i ta senna miejscowość dawały jej poczucie bezpieczeństwa.

No i pozostawała jeszcze ta dziwaczna budowla, której papa nie zdążył skończyć, altana na tyłach zarośniętego ogrodu. Gdyby Lilly musiała sprzedać dom, nowi właściciele prawdopodobnie pozbyliby się altany, a to byłoby dla Lilly jakby ponowną utratą ojca, wraz ze wszystkimi wspomnieniami z czasów dzieciństwa.

Ale, jeżeli nie podejmie szybko jakiegoś działania, straci swój dom.

„Jedna z dziewcząt z tej rodziny ciągle jeszcze mogłaby doskonale wyjść za mąż...”

Nagle usłyszała za sobą odgłos jadącego drogą powozu. Zeszła na bok i odwróciła się, żeby zobaczyć, kto jedzie.

Z mgły wynurzyła się czwórka rozpędzonych koni, zaprzęzonych do pojazdu o obłych kształtach, w niezwykle różowym kolorze. Na ten widok Lilly uśmiechnęła się, pierwszy raz tego dnia. Nadjeżdżała jej chrestna matka, pani Clearwell, która przybyła na pogrzeb aż z Mayfair, z centrum Londynu.

Wiedziała, że przyjaciółka matki z dzieciństwa została do nich zaproszona na kilka dni. Pani Clearwell, choć niewątpliwie niezwykle ekscentryczna, zawsze się zjawiała w trudnych momentach.

Deszcz w jakiś magiczny sposób nagle ustał, a stangret Gerald, powożący czwórką koni, zatrzymał się tuż obok Lilly.

- Witam, panienko Lilly! - Uchylił kapelusza.

Skinęła mu głową. Chrestna matka wyjrzała przez okienko.

- Na Boga, spóźniłam się! Lilly, najdroższa, to okropny nietakt z mojej strony, prawda? Czy opuściłam całą ceremonię? Wsiadaj, wsiadaj, kochanie! Co ty robisz najlepszego, głuptasku? Jak można spacerować w deszczu!

- Lubię deszcz, madame... Tak, obawiam się, że opuściła pani całą ceremonię. Ale to nic. - Lilly nie była w stanie powstrzymać lekkiego uśmiechu. - Przyjechała pani akurat na poczęstunek u nas w domu.

- Cóż, dzięki Bogu i za to! - Pani Clearwell wyskoczyła z pojazdu i wsunęła głowę pod parasol Lilly.

Niska, pulchniutka, obwieszona biżuterią dama wzięła Lilly pod ramię i wpatrywała się w jej twarz wzrokiem wyrażającym najserdeczniejszą sympatię i współczucie; objęła ją ramionami.

- Moja ty kochana, kochana dziewczynko. Biedactwo! Ty chyba najbardziej odczułaś jego chorobę, prawda? Z pewnością tak - odpowiedziała sobie, pociągając nosem. - Byłaś przy nim, kiedy... odszedł?

- Tak. - Serdeczność matki chrzestnej sprawiła, że oczy Lilly napękały się łzami. - Nie chciał już brać lekarstw. Mówił, że chce spotkać śmierć, będąc w pełni przytomny.

- Och... bohater do końca.

Lilly przytaknęła.

- Miał straszne bóle. Bardzo cierpiał.

- Cóż... teraz jest w niebie, razem z twoim papą. No cicho, cicho, uspokój się, kochana. Już lepiej?

Lilly kiwnęła głową i otarła łzy.

- Dzielna dziewczynka.

Pani Clearwell poklepała ją po policzku.

Była kuzynką matki i jedyną znaną Lilly osobą, która miała jakiś wpływ na lady Clarissę. Ich przyjaźń zawsze stanowiła dla Lilly zagadkę. Nie mogło być dwóch kobiet bardziej różniących się od siebie.

Matka nigdy nie wpięłaby we włosy szpilek w kształcie gwiazdek, jakie teraz lśniły we fryzurze pani Clearwell. Zwłaszcza że przyjechała na pogrzeb!

- Och! - wykrzyknęła nagle chrzestna. - Lilly, moje dziecko, musisz mi pozwolić wyrwać cię z tego ponurego miejsca! Wiem, że jesteś zdeklarowaną domatorką, ale pojedź ze mną do Londynu! Nalegam!

Lilly uśmiechnęła się blado.

- Mam przed sobą półroczny okres żałoby, takie są zasady; tego wymaga przyzwoitość.

- Przyzwoitość! Też coś! - prychnęła starsza dama z ogniem w oczach. - Jesteś w żałobie bez przerwy, od czasu kiedy skończyłaś dziewięć lat. Dostyc tego, powiadam ci! Lord Balfour z pewnością nie chciałby, żebyś była nieszczęśliwa. Ja też tego nie chcę.

- Och, pani zawsze była dla mnie taka dobra.

- To dlatego, że widzę przed tobą wielką przyszłość, Lilly.

Pokręciła głową na tę jawną niedorzeczność, ocierając resztki wilgoci z policzka i wmawiając sobie, że to po prostu krople deszczu.

- A więc dobrze - zdecydowała pani Clearwell. - Wszystko uzgodnione. Jedziesz ze mną do Londynu. Zabawimy się, jak nigdy! Będziemy chodzić na koncerty, przyjęcia, bale i wieczorki...

- Ależ... nie mam nawet odpowiednich sukien- przerwała jej Lilly ze znużeniem w głosie, zgorszona, że chrzestna matka mówi o wyjeździe do Londynu i wejściu w towarzystwo dosłownie w dniu pogrzebu w rodzinie.

- Nie mów głupstw, moja panno. Życie jest po to, żeby je przeżyć! Co do strojów, nie zwracaj sobie tym swojej ślicznej główki: raz dwa sprawimy ci mnóstwo sukien. Ani słowa o wydatkach, to naprawdę drobiazg. Jestem twoją chrzestną matką i mogę cię rozpieszczać, ile tylko zechcę! A wiesz przecież, że mój świętej pamięci Norbert był bardzo bogaty.

Lilly patrzyła na nią niepewnie.

- Czuję się niezręcznie, sprawiając pani kłopot...

- Ależ, dziewczyno! Wprowadzać w londyńskie towarzystwo młodą piękność? Toż to będzie dla mnie wielka frajda! Proszę, nie bądź dumna, jak matka, ani sztywna, jak twój ojciec, jego lordowska mość. Słuchaj, Lilly, jesteś rozsądną i praktyczną kobietką, wiesz, że zawsze stałam po twojej stronie.

Oczy Lilly były pełne łez. Odwróciła się, chcąc za wszelką cenę je ukryć.

- Dobrze... Zastanowię się. Ale proszę mi coś obiecać. - Spojrzała dyskretnie na chrzestną.

- Co takiego?

- Ze... nie będzie mnie pani namawiać na małżeństwo, dobrze?

Pani Clearwell uśmiechnęła się promiennie.

- Cóż, prawdę mówiąc... Skoro już poruszyłaś tę kwestię, pewnie znalazłoby się ze dwóch lub trzech sympatycznych dżentelmenów, których przypadkiem poznałam w Londynie i którzy, moim zdaniem, byłiby po prostu w sam raz dla ciebie.

Lilly coś mruknęła, zmarszczyła brwi i nagle rzuciła:

- Czy są bogaci?

- Lilly, kochanie! - Stara dama mrugnęła wesoło. - Są bogaci jak królowie. Inaczej nie zwracałabym ci nimi głowy.

- Hm. - Lilly zerknęła przez ramię na wielki, ponury Balfour Manor. Po tym deszczu dach na pewno przeciekał...

Kiedy pani Clearwell zapraszającym gestem wskazała powóz, Lilly zamknęła parasol i wsiadła do niego.

Pod koniec dnia znów zaczęła rozmyślać nad propozycją chrzestnej. Kiedy wszyscy goście, z wyjątkiem pani Clearwell, rozeszli się, a ta była na górze w gościnnym pokoju, Lilly poprosiła całą rodzinę do salonu.

Stanęła przed kominkiem odwrócona przodem do pań, z założonymi do tyłu rękami.

- Jest coś, o czym chcę wam powiedzieć. Coś osobistego.

- Tak, córko? - Lady Clarissa uniosła głowę.

Lilly założyła ręce na piersi i wzięła głęboki oddech.

- Postanowiłam przyjąć propozycję pani Clearwell... to znaczy za proszenie do Londynu. Proszę, nie protestujcie, bo to się na nic nie zda. Wiemy, jak wygląda sytuacja.

Ciocia Daisy zmarszczyła brwi i rzuciła niepewne spojrzenie na lady Clarissę.

- A... co z żalobą, kochanie?

- Myślę, że w tym wypadku dziadek mnie zrozumie. - Zawahała się.

- Jako nowa właścicielka domu muszę coś zrobić, zadbać, żebyśmy miały dach nad głową. Więc widzicie, że powinnam pojechać do Londynu i znaleźć sobie bogatego męża. Wtedy nie będziemy musiały o nic się martwić - zakończyła pośpiesznie.

Damy westchnęły i popatrzyły na nią ze zdumieniem.

- Ty... masz zamiar... wyjść za mąż? - wykrztusiła wreszcie kuzynka, stara panna.

- Och, niech ci Bóg błogosławi, Lilly, moja droga, dzielna dziewczynko! - zawołała ciocia Daisy, osuszając oczy chusteczką. - Już się bałam, że na starość znajdziemy się w przytułku!

Lilly spojrzała na matkę, próbując odczytać reakcję z jej twarzy. Czekała, kiedy się odezwie.

Lady Clarissa milczała dłuższą chwilę. Wreszcie opuściła trzymany w ręku bębenek, na którym haftowała.

- Jesteś pewna, że dasz sobie z tym radę?

Zebrawszy siły, Lilly przełknęła ślinę i odpowiedziała zdecydowanie:

- Jestem pewna.

Szafirowe oczy matki zwięzły się nieprzyjemnie.

- Ze wszystkim? Twój przyszły mąż może mieć... hm... pewne oczekiwania.

- Tak. Zdaję sobie z tego sprawę, matko. Będę przygotowana.

- Ależ mammo! Ciociu Clarisso! Z pewnością nie pozwolicie jej tego zrobić! - wykrzyknęła kuzynka Pamela.

Nikt jej nie odpowiedział.

- Jesteśmy biedne, ale nie pozwolicie chyba, żeby Lilly sprzedawała się jak... jak - nie, nie mogę wypowiedzieć tego słowa - jak kobieta... pewnej profesji! To po prostu makabryczne!

- Makabryczne? - Daisy zmarszczyła czoło.

- Musi być jakiś inny sposób! - upierała się kuzynka Pamela. - Już wiem! - Mogłabym sprzedać moją powieść!

- Nie! - odpowiedziały jednocześnie obie matki.

- Mój Boże, te twoje powieści grozy! Zrujnowałabyś nawet te resztki dobrego imienia rodziny, jakie jeszcze pozostały - mruknęła lady Clarissa z lekceważącym wzruszeniem ramion. - Nie chcę więcej o tym słyszeć. Damy nie pisują powieści.

- Ale... mogłabym je wydać pod innym nazwiskiem.

- My wiedziałybyśmy i tak, że to ty, Pamelo - rzekła lady Clarissa z cierpiętniczym wyrazem twarzy. - Godność to godność. Małżeństwo jest przynajmniej przyzwoitym zajęciem dla kobiety. I ty mogłabyś przekonać się o tym, gdybyś nie zmarnowała całej młodości, zajmując się bezsensowną bazgraniną - dodała ciszej.

- Tak, madame. - Kuzynka Pamela, znów nieśmiała i markotna, spuściła oczy ukryte za okularami.

Lilly zmarszczyła brwi. Cała matka. Zawsze poprawna.

Niezważająca na innych. Okrutna.

- Nie martw się, Pam - zwróciła się ze słabym uśmiechem do brzydkiej, niepozornej kuzynki. - Rzeczywiście, to może wydawać się trochę... hm... makabryczne, ale wszystko mi jedno - skłamała. - Zresztą to jedyne na świecie, przyjęte w naszej sferze sposoby. Cóż, ja w każdym razie nigdy nie przejmowałam się specjalnie światem.

Zebrawszy całą odwagę, Pamela odłożyła książkę, którą właśnie zaczęła czytać, i podeszła do Lilly: jej brązowe oczy patrzyły przenikliwie i uparcie zza okrągłych okularów bez oprawek. Oddech pachniał kawą; nigdy nie pijała herbaty.

- A więc naprawdę zamierzasz to zrobić? - zagadnęła szeptem bardzo przejęta. - Nawet po tym... co się stało? Chcesz nas ratować od upadku, wychodząc bogato za mąż?

Lilly jeszcze wyżej podniosła głowę.

- Bardzo bogato.

- Skoro tak, koniecznie poszukaj sobie jakiegoś głupca. Łatwiej ci będzie nad nim zapanować.

Lady Clarissa uśmiechnęła się ironicznie.

- Prawdę mówiąc, oni wszyscy są głupi, moja droga.

Te słowa przypomniały obecnym, że lady Clarissa nigdy nie wybaczyła mężowi jego nieprzemyślanej podróży do Indii w celu ratowania rodzinnego majątku. Nie była szczególnie kochającą i oddaną żoną, ale śmierć męża pozbawiła Clarissę upragnionego tytułu. A przecież właśnie dlatego wyszła za mąż. Gdyby żył, byłaby wicehrabiną. Zamiast tego musiała się zadowolić - i to wyłącznie przez uprzejmość - tytułem lady odziedziczonym po ojcu.

- Tak, Lilly, posłuchaj, co mówi kuzynka - ciągnęła drwiąco. - Ma być bogaty i głupi. Takiego mężczyzny potrzebuje każda panna.

- W porządku. - Lilly starała się ukryć niesmak. Była zdecydowana naśladować pozbawiony sentymentów chłód matki. Zdawała sobie sprawę, co ją czeka w Londynie. Wiedziała doskonale, że małżeństwo to jedyna szansa, by się zrehabilitować w oczach rodziny.

Bogaty i głupi...

No, bo czy mądry mężczyzna zechciałby ją wziąć za żonę?

2

Londyn, dwa miesiące później

Nie tego oczekiwała po nim komisja.

Dziwiesięciu dystyngowanych dżentelmenów z podkomisji zajmującej się przyznawaniem środków finansowych dla wojska, które walczyło w Indiach, zajęło miejsca przy długim stole w średniowiecznej komnacie i przygotowywało się do wysłuchania przemówień parlamentarnych, które miały się wkrótce rozpocząć. Każdy z nich w głębi duszy rozkoszował się perspektywą spędzenia popołudnia na ulubionej zabawie „dziel i rządź”.

To było zawsze miłe: skracać sobie godziny gadania, obrażania, zastraszania i zanudzania prośbami ze strony rozmaitych pechowych oficerów, przysyłanych z frontu z raportami dla nich, wysokich urzędników państwowych. Oddelegowany oficer musiał odpowiadać na ich pytania, udzielać wyjaśnień - słowem, robić wszystko, żeby zyskać ich przychyłność.

W końcu to oni mieli w rękach klucze do skarbcza armii. Poza tym takie sytuacje stwarzały szerokie możliwości ciągnących się bez końca przemówień, a temu żaden polityk nie mógłby się oprzeć.

Doskonale wiedzieli, jakich emisariuszy wysyłają do nich dowódcy wojskowi: z reguły był to jakiś fircykowany sługus albo nieopierzony młodzik wywodzący się z arystokratycznego rodu, który z pewnością wolałby spędzać czas przy stołach gry w klubie White'a. Znali ten typ obłudnego, wysztafirowanego adiutanta, który nie odstępował od namiotu generała, kiedy tylko w powietrzu świstnie kula.

Tym razem jednak pułkownik Montrose przysłał do nich z pierwszej linii frontu okropnej wojny w Indiach kogoś zupełnie innego. Kogoś, o kim jak najszybciej chcieliby zapomnieć.

Prezes skinął głową; byli gotowi do rozpoczęcia gry. Woźny rozwarł stare skrzypiące drzwi, jakby rzucał nieszczęsnego, skulonego ze strachu chrześcijanina lwom na pożarcie.

Jednak spoza drzwi dobiegł głośny odgłos wojskowych butów, stukających na płytach posadzki; słysząc zamaszysty, żołnierski krok, członkowie komisji od razu powzięli podejrzenie, że ich przewidywania mogą być błędne.

Kiedy delegowany stanął w drzwiach, wszyscy byli skonsternowani; wpatrywali się w przybyłego z pełnym lękiem zakłopotaniem. Patrzyli na najprawdziwszego wojownika przysłanego tu w celu pertraktacji z nimi i zdali sobie sprawę, że ten spalony słońcem, zahartowany w boju żołnierz nie ustąpi, dopóki nie uzyska tego, co chce.

Do komnaty wkroczył major Derek Knight w pełnym kawaleryjskim umundurowaniu. Kiedy mijał długi stół, przy którym siedzieli członkowie komisji, nie sposób było nie zauważyć jego uderzająco wyniosłej, atletycznej postawy i wysokiego wzrostu: mimo że stół znajdował się na podwyższeniu, oczy majora pozostawały na tym samym poziomie, co głowy siedzących. Przechodząc, odważył się spojrzeć prosto w sprytne oczka starego prezesa, lorda Sinclaira.

Spojrzenie miał zimne, metaliczne; ostrzegało, może nawet wyrażało niechęć. Nie zwrócił uwagi na wybąkane przez lorda „Ach, tak...” i szedł dalej sprężystym, wojskowym krokiem, z pewnym wdziękiem. Napięte mięśnie budziły podziw.

Gdy dotarł do mniejszego stolika, ustawionego niżej, naprzeciw stołu członków komisji, stanął przodem do zebranych, nie składając ukłonu. Pod pachą trzymał kawaleryjski hełm z pióropuszem. Mógł przywodzić na myśl rzymskiego centuriona.

Przez dłuższą chwilę żaden z dżentelmenów nie odezwał się ani słowem: po prostu nie wiedzieli, od czego zacząć. Nawet stary prezes wydawał się trochę zmieszany. Wpatrywali się w przybysza z pełnym zdumienia podziwem, zszokowani odkryciem, że gdzieś, na dalekich polach bitew są jeszcze tacy mężczyźni.

Wojskowy ciemnoniebieski płaszcz ściśle opinał szeroką pierś majora; na ramionach lśniły złociste epolety. Szczupłą talię opasywała czarna jedwabna szarfa, której końce sięgały potężnych ud wyraźnie widocznych pod kremowymi bryczesami. Długie czarne botforty błyszczały nieskazitelnie wypolerowane, a na srebrzystej pochwie szpady załamywało się światło. Gładkie czarne włosy splecione w warkocz opadały mu na kark. Twarz miał ogorzałą od słońca, a drobne zmarszczki w kącikach jasnoszarych, wilczych oczu nadawały mężczyźnie wygląd, jaki mają nomadzi na pustyni, przywykli do wypatrywania drogi. Dumny zarys podbródka, twarde spojrzenie, nie mówiąc już o potężnych bicepsach -wszystko świadczyło o sile tego wojownika na polu walki.

A także poza nim...

- Hm... - Major chrząknął, licząc, że zgromadzeni wreszcie ochłoną z oszołomienia.

Prezes coś mruknął, a kilku członków komisji poprawiło się w fotelach. Przypomnieli sobie, coraz bardziej zaniepokojeni, że są przecież odpowiedzialni wobec takich ludzi jak ten żołnierz: od nich zależy wypłacenie pieniędzy, które są potrzebne na wojnę w Indiach. Tymczasem, być może, dopuścili się w stosunku do nich zaniedbania.

Derek Knight istotnie miał nadzieję, że może poczują się trochę niezręcznie.

Nadęte pyszałki! Nie mają pojęcia, co to słowo znaczy. „Niezręcznie” było iść do bitwy, mając świadomość, że w ładownicy jest mało nabo,

że po paru strzałach trzeba będzie ładować broń kamykami i modlić się, żeby w ogóle wystrzeliła. A może jeszcze lepiej słowo „niezręcznie” określiłaby taka sytuacja: chirurg wyjmuje rannemu kulę z ciała i nawet nie może mu dać haustu whisky, która odrobinę znieczuliłaby ból?

Drodzy panowie, coś tu jest nie w porządku, pomyślał, ukrywając cyniczne rozbawienie na widok nietęgich min urzędników, które dowodziły poczucia winy.

Niemal słyszał słowa usprawiedliwienia, jakie załęgły się w ich ptasich mózdkach. Każdemu z tych panów trudno nawet pomyśleć o rozstaniu się z trzema milionami funtów szterlingów - cóż, w końcu są tylko ludźmi. Nic dziwnego, że tak łatwo puszczali mimo uszu naglące prośby o wielkie sumy, z którymi przecież codziennie mieli do czynienia.

Od czasu do czasu otrzymywali rejestr ofiar, ale odkładali go na bok. Ważniejsze były góry skarbów przysyłane z Indii przez generałów brytyjskich wraz z nowymi mapami, na których zaznaczono ostatnio zdobyte terytoria.

Ich lordowskie mości przypisywały to wszystko sobie. Sukcesy armii w Indiach prowadziły ich do wniosku, że spacyfikowanie wrogich maharadzów nie jest wcale trudne! W takim razie po co się spieszyć z dostarczeniem brytyjskiej armii złota, o które tak się dopomina?

Derek podejrzewał, iż są przekonani, że armia w Indiach zrobi to, co robiła zawsze: poradzi sobie, niezależnie od tego, czy parlament przyśle obiecane złoto, czy nie.

I tak z pewnością będzie.

Ale nie w tym tkwił problem.

Na nieszczęście dla zasiadających w komisji polityków tacy ludzie jak Derek Knight doceniali wagę danej obietnicy. Major został wysłany przez starego zręczliwego dowódcę, pułkownika Montrose'a po to, żeby powiadomić „skąpiących nawet kawałka chleba biurokratów”, iż armia „nie maszeruje nogami, lecz brzuchami”, a ludzie mają prawo żądać zapłaty za swój trud.

Derek nie był zadowolony. Obiecał złoto swoim żołnierzom, tymczasem nie zobaczyli ani grosika. Ktoś musi mu wyjaśnić, dlaczego.

Uniósł brwi.

- Wasze lordowskie mości. Panowie. Czy mogę zacząć?
- Hm... mój chłopcze, tak, naturalnie. Proszę, zaczynaj.

Aż nadto wyraźne było na ich twarzach rozczarowanie, że dzisiejsza sesja nie przebiegnie tak, jak się spodziewali.

Wstydziłoby się, pomyślał z pogardą.

Wyglądało na to, że zdenerwował tych przemitych dżentelmenów. Kiedy odstawiał na bok hełm i układał białe rękawiczki na teczkach z dokumentami Gwardii Konnej - przywiózł je, żeby wzmocnić siłę argumentów - słyszał szmery i nerwowe pochrząkiwania.

Zdecydował, że poda przykre wiadomości na srebrnej tacy.

Z pewnością sprawiłby radość członkom komisji, gdyby okazał się złym mówcą. Woleliby, żeby ten urodzony w koloniach barbarzyńca był tylko maszynką do zabijania, kimś zdolnym jedynie do wykonywania rozkazów. Wiedział jednak, że szybko rozwieje ich nadzieje.

Przystąpił do wyjaśnień, nad którymi pracował od tygodni, żeby jak najszybciej wywiązać się z powierzonej misji.

Ze spokojną, strategiczną przebiegłością wytrawnego szachisty przez następne pół godziny tłumaczył urzędnikom, z jakim przeciwnikiem żołnierze muszą walczyć; mówił o sile imperium Marathów, wyjaśniał, co jest stawką w tej grze, jakie są konsekwencje przegranej, a jakie korzyści ze zwycięstwa i dlaczego cała ta przekłeta sprawa ma jednak znaczenie.

- Panowie - kończył swoje wywody świadom, że słuchający go politycy przymykają oczy na zbyt wiele faktów. - Mamy do czynienia ze szczególnym, wyjątkowo niebezpiecznym wrogiem. Imperium Marathów zostało utworzone przez królestwo hinduskie z kasty wojowników, a w tej chwili rządzi nim szaleniec, Baji Rao. Znany jest z okrucieństwa: żeby zdobyć władzę i utrzymać ją, zabił kilku członków własnej rodziny. Nawet najbliżsi umierają przed nim ze strachu. Obecnie stara się zjednoczyć wszystkie siły, żeby wyrugować Anglików z Indii. Oto, przed jakim zadaniem stoimy. Nasze kolonie są zagrożone. Armia musi otrzymać obiecane środki. Bez nich nie będzie w stanie chronić ani swoich ludzi, ani handlu brytyjskiego!

Powolnym, pełnym wyrzutu spojrzeniem powiódł po twarzach polityków.

- Wiadomo mi - kontynuował - że generał-gubernator lord Hastings wysłał pierwszą petycję w sprawie przyznania nam funduszy już prawie rok temu. Dotychczas jednak do Kalkuty nie dotarła żadna wiadomość

w tej sprawie. Oświadczam, że nie ma czasu do stracenia. Jeżeli nie rzucimy w tej walce wszystkiego na jedną szalę, stracimy nasz punkt oparcia w Indiach. Gdyby tak się stało, nasi rywale w tamtych stronach szybko zagarną wszystko, czego my nie zdołamy zatrzymać.

- Majorze - odezwał się, poirytowany, jakiś drugorzędny członek komisji. - Lord Wellington już wiele lat temu poradził sobie z zagrożeniem ze strony Marathów! Skoro wtedy zostali pokonani, jak to możliwe, że pozwolono im na ponowne zgrupowanie sił? - Zmierzył Dereka złym wzrokiem, jakby to wszystko było jego winą.

Oficer uniósł brwi i patrzył na niego chwilę - przecież na to pytanie odpowiedział już kilkakrotnie. Jednak, jako człowiek mający świętą cierpliwość, pohamował chęć, żeby trzepnąć tego jegomościa po tysiącej czasce; przynajmniej tym zmusiłby innych do słuchania.

Ten sposób działał niezawodnie w wypadku młodych rekrutów. Może należałoby spróbować...? No, ale nie był teraz w Indiach.

Cywilizacja jest irytująca. Korciło go, żeby ryknąć na nich z całej siły zaprawionego na polach bitwy gardła! Co prawda z zasady nie pozwalał sobie na wdawanie się w dyskusje z ludźmi, których głowy w innych okolicznościach zmiażdżyłby gołymi rękami.

To nie byłoby w porządku.

W końcu miał do czynienia z cywilami. Cywilizowanymi cywilnymi urzędnikami, którym trudno pojąć, dlaczego nie płaszczy się i nie stara za wszelką cenę przypodobać. A czy powinien? Nie żywił dla nich wielkiego szacunku. W jego świecie na szacunek trzeba zapracować.

Szczycił się, że potrafi każdemu powiedzieć prawdę w oczy: właśnie dlatego doskonale nadawał się do takiego zadania. Zawsze wołał bezceremonialną szczerość od oszczędzania ludzkich uczuć i nigdy nie nadszka kiwał przełożonym, niezależnie od rangi.

Jakoś udało mu się powstrzymać od krzyku; zrezygnował też tym razem z bicia po głowach. Zamiast tego zdobył się na jeden ze swoich najbardziej beznamiętnych i wielkopańskich uśmiechów (pochodził z arystokratycznego rodu) i cierpliwie odpowiedział jeszcze raz na pytanie.

Jeden Bóg wiedział, jak bardzo pragnąłby być teraz gdzie indziej. Najchętniej ze swoimi ludźmi, w wirze walki.

Ta fatalna londyńska misja to dla niego pokuta, kara za grzechy. Kilka miesięcy temu rozdrażnił dowódcę, pułkownika Montrose'a, i teraz

z powodu tej „impertynencji” jedynym sposobem na odzyskanie dawnego stanowiska było wydobycie pieniędzy od politycznych decydentów.

Do diabła! Powinien był teraz siedzieć na swoim wierzchowcu i prowadzić dzielny szwadron wojska; wyszkolił i wyćwiczył żołnierzy do perfekcji. Jego starszy brat Gabriel Knight dowodził podobnym pododdziałem: często razem osaczali wroga zaciskającym się pierścieniem żołnierzy, zamykając w klasycznym „klinie” kawaleryjskim.

Teraz wszystko się zmieniło. Chłopcy są tam bez niego, pod komendą innych oficerów, których bojowe doświadczenie nie da się porównać z fachową wiedzą jego i Gabriela. Cóż... lepiej nie rozmyślać o tym za wiele. Byle tylko wydostać pieniądze, powtarzał sobie Derek. Zaraz po tym wyjedziesz. Nareszcie będziesz mógł odpłacić tym draniom Marathom.

Nie dość, że pomordowali wielu towarzyszy z jego regimentu, to jeszcze podczas ostatniego ataku sługusi Baji Rao o mały włos nie zabili mu brata, a tego Derek nie miał zamiaru przebaczyć. Był żądny ich krwi.

Im szybciej zmusi podkomisję do wypuszczenia z rąk pieniędzy należnych wojsku, tym szybciej przywróci mu dawne stanowisko dowodzenia. A kiedy już znajdzie się tam, gdzie jego miejsce, na czele swoich ludzi, zacznie ścigać bez litości tych łotrów Marathów i się zemści. We wschodnim stylu. Ty tknąłeś strzałą mojego brata - ja w zamian zatknę na dzidę twoją głowę.

W kilka godzin później, kiedy wchodził do domu przy Althorpe (modne miejsce w Londynie, gdzie mieszkali z bratem w kawalerskim mieszkaniu), nozdrza połechtali mu znajomy zapach przypraw, które hinduscy służący przywieźli ze sobą podczas ponownej migracji rodziny Knightów do Anglii. Po tym bardzo męczącym dniu powrót do domu wydał mu się szczególnie miły. Czarny pieprz, kminek, kolendra - te aromaty, unoszące się w całym pięciopokojowym apartamencie świadczyły, że stara dobra Purnima przygotowuje swoją specjalność: kurczaka w sosie curry. Odechnął głęboko i zamknął drzwi.

- Wróciłeś! Jak poszło?

Derek spojrział w drugi koniec salonu na starszego brata, leżącego na sofie przy kominku i pogrążonego w lekturze „Timesa”. Kiedy ranny wojownik powoli i ostrożnie podnosił się do pozycji siedzącej, Derek rzucił dokumenty Gwardii Konnej na stół w kształcie półksiężyca.

- Pamiętasz, jak zabłądziliśmy na pustyni na zachód od Lucknow?

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Tu była jeszcze bardziej sucha pustynia. O Boże, muszę się napić! Sam sobie wezmę - zwrócił się do wiernego sługi, Aadiego, który właśnie wszedł bezszelestnie. Jak zawsze, bosi i w turbanie.

- Tak, sahibie. - Aadi zgrabnie zsunął Derekowi płaszcz z ramion i błyskawicznie zniknął.

Derek obciągnął rękawy koszuli i zaczął nalewać alkohol do szklaneczki.

- Napijesz się ze mną? - spytał, spoglądając na brata przez ramię.

Gabriel pokręcił głową.

- Purnima jeszcze mi nie pozwala pić mocnych alkoholi. Poi mnie tylko herbatą. Takie ajurwedyjskie pomysły.

- Cóż, dobrze... Lepiej rób, co ci każe. Purnima to prawdziwa znawczyni - rzekł z przekonaniem Derek. - Co do mnie, potrzebuję czegoś mocniejszego od herbaty. - Pociągnął potężny haust francuskiego koniaku.

Jako angielski oficer nie przepadał za Francuzami, ale tak doskonały trunk nie rzadko się trafiał w tamtej części świata. Tu, gdzie był dostępny, stanowił, między innymi, jedną z ulubionych europejskich przyjemności Dereka.

Najprzyjemniej było jednak móc przebierać wśród pań...

- Bardzo ci tego potrzeba, co? - zagadnął Gabriel.

- Właściwie wcale nie. - Derek odwrócił się do niego, podnosząc kieliszek. - Piekielnie denerwujący dzień, ale muszę powiedzieć, że misję wykonałem.

- Co, już?

Derek przytaknął z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Głosowanie przeprowadzone, obliczenia zrobione. Wkrótce armia dostanie potrzebne złoto.

Gabriel patrzył na niego zdumiony.

- Doskonale się sprawiłeś, braciszku!

- Ach, po prostu ustąpili pod wpływem moich perswazji - stwierdził skromnie Derek.

- Nie mogę uwierzyć, że wszystko załatwiłeś w jeden dzień!

- A ja nie mogę uwierzyć, że w komisji jest tylko jeden członek, który ma jakieś doświadczenie wojskowe - mówił Derek ze złością. - To Edward Lundy, bogacz z Kompanii Wschodnioindyjskiej. Szlify oficer-

skie zdobył w wojskach Kompanii, ale teraz siedzi za biurkiem. Dość wysoko postawiony, jak przypuszczam.

- A zatem są wśród nich ludzie z Kompanii...

Derek przytaknął.

- Trzech. W sumie komisja liczy dziewięciu członków: trzech z Izby Lordów, trzech z Izby Gmin, no i tych trzech z górnej półki Kompanii. Kiedyś nasz ojciec też był jednym z najważniejszych... Wydaje się, że tylko ci z Izby Lordów mają decydujący głos. Za dwa dni mam się zgłosić do prezesa, lorda Sinclaira i dowiedzieć się, kiedy pieniądze będą gotowe do transportu.

- Ależ będą się cieszyć w armii, kiedy je w końcu dostaną. Trzy miliony funtów szterlingów, mówisz? Dla nich to chyba okropne przeżycie oddać taką sumę.

- Wyobrażam sobie! - Derek się roześmiał. - Co prawda nie mają prawa trzymać tych pieniędzy. Parlament tylko powierzył im rozdzielanie wojennych funduszy. Podejrzewam, że chcieliby je zatrzymać, jak długo się da. Pewnie liczą, iż wszyscy zapomną, że to oni je mają - dodał cynicznie.

- Miejmy nadzieję, że za ich opieszałość nie zapłaci życiem zbyt wielu naszych ludzi - mruknął Gabriel.

Bracia wymienili ponure, znaczące spojrzenia.

- To do nich w ogóle nie dociera. - Derek potrząsnął zawartością kryształowego kieliszka.

Przekłęci cywile!

- Tylko Bóg to wie! - Gabriel pokiwał głową.

Derek nalał sobie nową porcję koniaku.

Starł się wyrzucić z pamięci wspomnienie ostatniej bitwy, zwłaszcza strzały, która przeszła pierś brata, a była przeznaczona dla niego.

Tego dnia podczas potyczki Derek ścierał się z trzema wojownikami uzbrojonymi w szpady i nie zwracał uwagi na łuczników. Gabriel dostrzegł zagrożenie, ale nie zdążył odsunąć Dereka. Zrobił zatem jedyną rzecz, jaką mógł, żeby go zasłonić: stanął na drodze strzały.

Derek nie mógł sobie wybaczyć, że jej nie dostrzegł, że nie zareagował szybko. Gabriel był nie tylko jego bratem i kolegą oficerem. Był najbliższym przyjacielem. Derek zawsze skrycie utożsamiał starszego brata z ideałem bohatera.

Spędził miesiące, doglądając Gabriela w chorobie, zwłaszcza kiedy w ranę wdało się zakażenie; modlił się gorąco, jak jeszcze nigdy dotąd, i zastanawiał, co by zrobił, gdyby z jego powodu Gabriel umarł. Ani przez chwilę nie pomyślał o tym, że w razie śmierci brata on odziedziczyłby cały majątek po ojcu. W następnych miesiącach, Bogu dzięki, Gabrielowi mającemu silną wolę życia polepszyło się, już nie myślał o przekroczeniu Styksu.

Niemniej ta ciężka próba zrodziła w umyśle Dereka poważne wątpliwości. Czy wojaczka była tego warta? Jak wpłynie na ich życie?

Te pytania wciąż powracały.

Najlepiej będzie o nim zapomnieć.

Pociągnął haust aksamitnego napoju, po czym zwrócił się do brata.

- Jak się dziś czujesz?

Gabriel wzruszył ramionami. Rzucił bratu przygasłe spojrzenie.

- Tak, jak może czuć się człowiek, który już nie powinien żyć.

Natychmiast zmienił temat, jakby nie chciał mówić o fizycznym bólu, podobnie jak Derek - o psychicznym.

- Więc co się potem stanie? - spytał Gabriel.

Zupełnie słusznie.

- Marynarka zapewni flotyllę eskortującą ładunek srebra i złota do Indii.

- To znaczy, że nas niebawem opuścisz.

Derek milczał.

- Zamierzasz popłynąć na którymś z tych statków?

Dlaczego o to pyta? - zastanowił się Derek. Przecież zna odpowiedź. Ta sama szkoła, ten sam regiment. Rzadko się rozstawali choćby na jeden dzień. Rozmowa o nieuchronnym rozstaniu była niezręczna.

- Wiesz, że wszyscy chcemy, żebyś został - mruknął Gabriel. - Ojciec, Georgiana, ja...

- Nie mogę.

- To zły interes, bracie. Jesteśmy szczęściarzami, że uszliśmy stamtąd z życiem. - Przerwał i skrzywił się, przyciskając ręką miejsce na pierś, w które ugodziła strzała.

- Wszystko w porządku? - spytał szybko Derek.

- Doskonale. - Gabriel zlekceważył ból. - Mam wrażenie, że otrzymaliśmy obaj od losu drugą szansę. Mamy ryzykować?

Derek przyglądał mu się uważnie. Gdyby to mówił ktoś inny, podejrzewałby, że otarcie się o śmierć spowodowało u niego załamanie nerwowe, ale w wypadku Gabriela Knighta to nie wchodziło w grę. Był uważany za jednego z najzacieklej szych wojowników w Indiach, znany też ze swojego życiowego motta: „Zabijać bez litości”.

Derek uchodził za łagodniejszego.

- Czy muszę ci przypominać, braciszku, że jesteś pierworodnym synem? - odpowiedział w końcu; przybrał swój ulubiony beztroski ton, odwracający uwagę od ważności pytania. - To ty odziedziczysz majątek ojca. Ja, młodszy syn, miałem do wyboru tylko żołnierkę: to była jedyna droga do sławy i majątku. Nie chciałbyś chyba, żebym został skazany na zapomnienie?

- Lepiej być skazanym na zapomnienie niż skazanym.

- Czyżbyś stracił całą ambicję?

- Po prostu jestem zadowolony, że żyję.

- Oczywiście. Ale nie powinieneś zapominać, że ani ty, ani ja nie jesteśmy stworzeni do przeciętności, a życie w cywilu właśnie to oferuje.

- Radzę ci zawiesić na kołku swoją ambicję, Derek! - Gabriel się zerwał. Jego oblicze pociemniało z gniewu, jak dawniej. - Są w życiu ważniejsze rzeczy niż majątek i sława.

- Co takiego?

- Zawsze zrzucasz winę na to, że jesteś młodszym bratem, chociaż obaj wiemy doskonale, że twój fundusz doskonale wystarczyłby, byś spróbował innego trybu życia, gdybyś tylko zechciał.

- Na przykład?

- Nie wiem... Na przykład mógłbyś kupić ziemię. Zająć się rolnictwem, hodowlą albo uprawą, czymś w tym rodzaju!

Derek parsknął śmiechem.

- Ja? Z krowami na pastwisku? Wybacz, braciszku, ale to nie dla mnie. Dobry Boże, owies, jęczmień...! Nie, nie nadaję się na rolnika.

- Skąd wiesz? Nigdy nie próbowałeś.

- Nie mogę odwrócić się od swoich ludzi.

- Ale możesz od własnej rodziny, tak?

Derek drgnął.

- Ojciec już jest stary - rzekł Gabriel. - Nie będzie z nami wiecznie. A co z siostrą? Nie chcesz poznać siostrzenicy czy siostrzeńca, kiedy

małeństwo się urodzi? A co z chłopcem Griffa? Wiesz przecież, jak mały Matthew cię uwielbia.

- Przecież kiedyś w końcu wrócę!

- Cóż... Równie dobrze możesz nie wrócić.

Derek wpatrywał się w niego przez długą chwilę z coraz bardziej ponurym wyrazem twarzy.

- Mam rachunek do wyrównania w Indiach, bracie. Nie spocznę, za nim tego nie załatwię.

- Jeżeli chodzi o mnie, nic nie musisz załatwiać. - Gabriel pokręcił głową. - Do diabła, nie! Daj sobie z tym spokój.

- Dać sobie spokój? - Twarz Dereka zapłonęła gniewem.

- Walka była uczciwa. Chcesz się zemścić, bo oskarżasz sam siebie; ale ja cię nie winię, Derek. Zrobiłem to z własnej woli. Jesteś moim bratem. To zrozumiałe, że oddałbym za ciebie życie.

- Och, jesteś irytująco szlachetny - mruknął Derek wpatrzony w sufit, walcząc ze sobą, żeby nie stracić cierpliwości.

- Na moim miejscu zrobiłbyś to samo. - Gabriel uśmiechnął się i wyciągnął na kanapie; wyglądał na zmęczonego. - Nie bronilibym twojego tyłka wyłącznie po to, żebyś znowu wrócił na pole bitwy i dał się porąbać na kawałki. Dosyć. Powiedziałem, co o tym myślę, a ty zrobisz, jak zechcesz.

- Czy poczta już przyszła? - spytał Derek po chwili, zmieniając temat.

- Tam leży.

Łyknął jeszcze trochę koniaku i podszedł do stojącego przy drzwiach stolika, na którym, zarzucone przyniesionymi przez niego dokumentami Gwardii Konnej, leżały na srebrnej tacy listy. Odsunął swoje papiery i wziął do ręki stosik zaproszeń, rachunków i kartek ślicznie wypisanych na pastelowych arkusikach i przesyconych zapachami kosztownych perfum.

Zmarszczył brwi. Niech to licho weźmie; nic nie ma od pułkownika Montrose'a. Chciał dostać chociaż parę słów wiadomości o swoich żołnierzach... Cóż, poczta między Indiami a Anglią wędrowała bardzo powoli. Wyglądało na to, że musi uzbroić się w cierpliwość; a dla zabicia czasu, żeby wytrzymać, znajdzie sobie jakieś zajęcie.

Rzucił rachunki i zaproszenia na tacę. Cukierkowe liściki od londyńskich dam -jego nowych przyjaciółek- ułożył jak karty do gry i zaczął

się nimi wachlować. Podniecające zapachy sprawiły, że trochę poweselał. Podszedł do brata.

- Co, miłosna pisanina? - Gabriel uniósł brew.
- Miłosna? - Derek się roześmiał. - Niezupełnie.

Podsunał wachlarzyk liścików bratu.

- Wybierz jeden. No, dalej.
- Po co?
- A jak inaczej mam zdecydować, z którą dziś spędzę noc?
- Jesteś niepoprawny.
- Życie krótko trwa.

Gabriel spojrział na niego z rozbawieniem i wybrał liścik; wyciągnął ze środka ten w zielonej kopercie i podał bratu.

- Świetny wybór - skwitował Derek, przeczytawszy nazwisko. - A zatem lady Amherst. Może być.

- A co z innymi damami?
- Och, zdążę się z nimi spotkać, zanim wyjadę z Londynu, wierz mi.

Z lekceważącym uśmiechem odrzucił resztę arkusików. Upadły jak chmurka pastelowych konfetti, podczas gdy on leniwie rozsiadł się w fotelu naprzeciw brata i złamał pieczęć na zielonym liściku.

Od uroczej lady Amherst...

Czytając, wyciągnął nogi przed siebie i śmiał się cicho z jej inteligentnych aluzji.

- O, do licha - powiedział po chwili, kiedy doszedł do ostatniego akapitu. - Na śmierć zapomniałem o balu maskowym, a obiecałem, że na nim będziemy. To dziś wieczorem.

- My?
- Nie wspominałem ci? Ty też idziesz.
- Mowy nie ma.

- Gabrielu, nie możesz zamykać się w domu do końca życia. Poza tym powinniśmy uczcić moje zwycięstwo nad skąpcami z komisji! Nie mówię, że mamy tam iść w kostiumach, ale pójść musimy. To cię rozweseli.

- Przeciwnie, jestem pewien, że mnie potwornie znudzi. Bal kostiumowy? Nie, piękne dzięki. Beze mnie. Wierzę, że ci się uda zabawić za nas obu - dodał, wskazując rozrzucone liściki miłosne, ostatnie podboje Dereka na londyńskich salonach.

- To akurat zupełnie nie ma znaczenia. Ale powiedz mi, braciszku... - Derek pochylił się do przodu z szelmowską iskierką w oku. - Czy wiesz, że kilka lat temu był spis ludności? Okazało się, że w Londynie mieszka już ponad milion osób.

Gabriel obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

- I co z tego?

- Wyobraź sobie, że połowa z nich to kobiety, a połowa z tych kobiet jest w wieku „poborowym”. To znaczy, że czeka na nas ni mniej, ni więcej, tylko dwieście pięćdziesiąt tysięcy pań! - Skinął z uśmiechem w stronę drzwi. - Ponad sto tysięcy panien dla każdego z nas. Uważam, że lepiej, żebyśmy zaczęli już teraz.

Gabriel pokiwał głową znudzony. Derek dobrze znał ten jego wyraz twarzy.

- Och, daj spokój! Na twoim miejscu chciałbym się upewnić, że wszystko prawidłowo funkcjonuje... jeżeli wiesz, o co mi chodzi.

Surowe spojrzenie starszego brata ustąpiło miejsca irytacji.

- Mniejsza o to. - Derek machnął ręką i wstał, żeby sobie nalać kolejny kieliszek. - Nie mam zamiaru pozwolić, żebyś tu gnił do końca świata. Wiesz, co zrobię? Znajdę jakąś frywolną, hożą dziewczuchę i każę jej opiekować się tobą. To będzie dopiero zabawne! Uczynna opiekunka, która będzie zaspokajać twoje wszystkie zachcianki. Prawda, jaki ze mnie troskliwy brat?

Gabriel z poważną miną zmierzył go wzrokiem. Derek się śmiał. Już nie drążył dalej tematu. Łyknął jeszcze trochę trunku.

- Ponurak.

- Derek, ja omal nie umarłem. A właściwie, prawdę powiedziawszy, umarłem. Przez kilka minut byłem już tam.

- Gabrielu, to przecież niemożliwe! Ile razy już o tym mówiliśmy?

- Chirurg wojskowy powiedział, że nie czuł mojego pulsu!

- Musiał się pomylić...

- Nie mylił się! Na Boga, widziałem ciebie, jak stoisz obok mojego ciała. Widziałem cię z wysokości paru metrów...

- Po prostu ci się śniło.

- To nie sen.

- Cokolwiek to było, nie chcę więcej słyszeć o twoich przywidzeniach, czy jak jej tam nazwać; do diabła, dostaję gęziej skórki. Śmierć, to śmierć.

- Kto o tym decyduje?

- Och, nie mam pojęcia. Prawa natury? Miałeś wrażenie, że cię tu nie ma, a to znaczy, braciszku, że właśnie nie umarłeś. Żyłeś. Teraz musisz przejść długą drogę z powrotem, żeby wrócić do pełni sił, a ja jak najszybciej chciałbym zobaczyć, że naprawdę żyjesz normalnie.

- Wiem, że tego chciałbyś, bracie. - Gabriel westchnął. - Ale powrót z tamtego brzegu... cóż, powoduje, że człowiek całkiem inaczej postrzega swoje życie.

Derek spuścił głowę zmartwiony nie tylko fizycznym zdrowiem brata, ale przede wszystkim jego stanem psychicznym. Nie wiedział, co powiedzieć. Wbił wzrok w podłogę, lecz po chwili znów spojrzął na brata.

- Wyjdiesz z tego, Gabrielu.

- Jasne, że tak. Ty też.

- Ja? To ty zostałeś ranny.

- To prawda. - Gabriel popatrzył na niego bystro.

Derek spuścił oczy; zapadło kłopotliwe milczenie.

Co, u diabła, brat chciał przez to powiedzieć? Jemu przecież nic nie jest.

Czuje się doskonale.

A w każdym razie tak będzie się czuć, kiedy znajdzie się tam, gdzie jest jego miejsce. Ze swoimi żołnierzami. Na wojnie. Z powrotem w piekle.

3

Po dwóch miesiącach pobytu Lilly w Londynie jej plan usidlenia bogatego mężczyzny wszedł w życie.

Dzięki temu, że pani Clearwell wprowadziła ją do towarzystwa, znane i stare nazwisko Balfour sprawiło, iż stały przed nią otworem salony największych arystokratycznych domów Londynu. W trakcie sezonu na balach, przyjęciach, koncertach i rautach poznawała kawalerów, poważnie zamożnych, wielu błękitnej krwi, a nawet paru utytułowanych.

Wszystkich traktowała z chłodną rezerwą, ale starała się wybadać, czy odpowiadają jej kryteriom: w grę wchodziło tylko bogaci i niezbyt mądrzy.

Prawdę mówiąc, takich mężczyzn w stolicy nie brakowało; pełno było bezmyślnych dandysów, wiecznie okupujących słynne łukowate okno w klubie White'a, lub narcyzów podziwiających własne odbicie w każdym napotkanym lustrze.

Mimo podjętej wcześniej, zdawałoby się przemyślanej, decyzji Lilly zastanawiała się nad sensem poślubienia mężczyzny „bez rozumu”. Wykorzystanie sympatycznego, ale tępawego pana z wielkim majątkiem mimo wszystko nie było uczciwe; uwłaczało jej godności. No i dziadek z pewnością nie zaaprobowałby kogoś takiego. Poza tym źle się czuła, nie mając nic w zamian do zaofiarowania.

A może ci gnuśni młodzieńcy z pustymi głowami zasługiwali, żeby ich wykorzystać? Dręczyła ją myśl, czy będzie w stanie budzić się przy kimś takim i patrzeć na niego codziennie przez resztę życia.

Niewykluczone, rezonowała, że brak rozumu może być zastąpiony jakąś inną wadą łatwiejszą do zniesienia. Ciągle jeszcze wierzyła, że jej się uda znaleźć idealne wyjście...

Tak czy owak, tygodnie mijały, a ona metodycznie przesiewała listę ewentualnych kandydatów. W końcu został tylko jeden...

- Och, spójrz! - wykrzyknęła pani Clearwell, wskazując palcem kogoś w tłumie zamaskowanych gości balowych. - To pan Lundy!

Lilly nie to, że nie dostrzegła, a właściwie nie rozpoznała swojego konkurenta przebranego w niezwyklej kostium.

Zatłoczona sala balowa wirowała jej przed oczami fantastycznymi strojami mitycznych ptaków i zwierząt, duchów i szkieletów, mnóstwa spacerujących alegorii i większej liczby starożytnych bogów i bogiń, niż Lilly mogła zliczyć. Nawet lokaje nosili pstrokate stroje arlekinów ze złotej i purpurowej satyny oraz dobrane kolorem, ozdobione dzwoneczkami błazeńskie czapki.

Jeden z nich właśnie podszedł ze srebrną tacą do dam i częstował słodyczami w lśniącym polewie z cukru.

- Ach, jakie to oryginalne! - Pani Clearwell, przebrana za boginię Herę, wzięła miniaturowy cukierek w kształcie gruszki.

Lilly wybrała małe jabłuszko i skinieniem głowy podziękowała lokajowi; spojrzała z ukosa na chrzestną matkę.

- Jest pani pewna, że widziała tu Edwarda?

- Oczywiście, że jestem pewna.

- Ale gdzie?

Pani Clearwell się roześmiała.

- Nie widzisz go?

- Nie. - Lilly, zakłopotana, szukała w tłumie gości swojego atletycznej budowy wielbiciela.

- Przyjrzyj się dobrze, moja droga. Nie mam zamiaru psuć ci nie spodzianki!

- Hm...

Lilly rozglądała się po sali, udawała wesołość, mimo że tego dnia humor jej nie dopisywał. Cieszyła się, że ma twarz przysłoniętą bladą różową półmaską, co jakoś pozwalało ukryć zupełny brak zainteresowania atrakcjami balu.

Co się z nią, u licha, działo? Wszystkie te widoki, dźwięki i smaki były obliczone na wzbudzenie zachwyty, na niej nie zrobiły wrażenia.

Ogarnęła ją nostalgiczna tęsknota za domem, gdy zobaczyła w ogrodzie altanę stojącą nad jeziorkiem. Nigdy dotąd Lilly nie opuszczała na tak długo rodzinnego Balfour Manor.

- I co? - Pani Clearwell trąciła ją łokciem. - Jeszcze nie widzisz swojego księcia z bajki?

- Zaraz go znajdę - odpowiedziała, nie zwracając uwagi na ironię w głosie chrzestnej. Nie okazywała tego, ale prawdę powiedziawszy, nie spieszyło się jej do spotkania ze swoim konkurentem.

Obok nich przebiegło kilku dziwnie wyglądających mnichów; niewątpliwie inspiracją do tych przebrań były koszmarnie powieści grozy, które tak uwielbiała kuzynka Pamela. Zauważyła też Saracena w turbanie i załogę piratów - młodzi ludzie pili w pobliżu miejsca dla orkiestry.

Nagle spostrzegła swojego adoratora i o mało nie zakrzuszyła się cukierkiem.

- Boże drogi! - wykrzyknęła, nie wierząc własnym oczom.

Pani Clearwell zanosila się śmiechem, póki jeszcze nie były w zasięgu słuchu dżentelmena w dość osobliwym kostiumie.

- O co chodzi, kochanie? Nie podoba ci się strój twojego Edwarda?

- Jest szkaradny - wyszeptala Lilly z odrazą. - Och, dlaczego przedtem nie poprosił o radę? Co on właściwie ma przedstawiać?

- Minotaura, oczywiście.
- Tak mi się też wydawało.

Lilly pobladła, wypła duży łyk szampana, żeby dodać sobie odwagi przed spotkaniem z konkurentem. Jasne, że gdyby został jej mężem, będzie musiała nad nim popracować.

Kostium Minotaura był wprost wymarzony dla tego mężczyzny. Nawet pasował do niego aż za dobrze. Podobnie jak legendarny potwór, Ed był potężny, zwałisty i miał gruby, byczy kark. Teraz, kiedy z umalowanej głowy wyrastały mu szerokie, lśniące rogi, a w nosie tkwiła obrączka z czegoś, co udawało mosiądz, podobieństwo wręcz przerażało.

Ten pół-człowiek, pół-byk - a właściwie półgóra - nie zauważał ich w tłumie gości, Łyknał właśnie potężny haust piwa i kiedy damy podeszły do niego, z trudem powstrzymał głośne beknięcie. Lilly jakoś zdołała ukryć obrzydzenie, ale pani Clearwell to się nie udało.

Edward uklonił się i obsypał damy dość niewyszukanymi komplementami. Lilly nie dała się zniechęcić. Co z tego, że czasami bywa trochę wulgarny? Po przytłaczającej poprawności matki nawet podobało je się rubaszne nieokrzeseanie żołnierza. Kiedy już będą małżeństwem, popracuje nad jego manierami.

Naturalnie, prostacki Edward nigdy nie zyskałby akceptacji matki, ale do planów Lilly pasował doskonale. Przed laty służył w Bombaju w prywatnym wojsku Kompanii Wschodnioindyjskiej. Podczas napadu bandytów Pindari uratował życie odwiedzającemu akurat Indie brytyjskiemu dygnitarzowi. Szczęśliwie ocalony lord Fallow odwdzieczył się za ten akt odwagi. Patronował przez lata jego karierze i dzięki niemu Lundy doszedł do najwyższego stanowiska w Kompanii. Chociaż był bardzo bogatym człowiekiem, nie przyjmowano go w wyższych sferach - ze względu na niskie urodzenie.

Lordowi Fallowowi nie podobało się takie traktowanie jego ulubieńca. Po wycofaniu się z życia publicznego hrabia zdołał przeforsować kandydaturę Edwarda do komisji parlamentarnej. Pełnił na tyle ważną funkcję, że teraz, chcąc nie chcąc, towarzystwo musiało zaakceptować Lundy'ego.

A więc niejako na siłę został wprowadzony do wyższych sfer. Teraz jednak, jeden Bóg wie jak bardzo, potrzebował pomocy kogoś, kto by go nauczył dobrych manier.

Któż byłby dla niego lepszym sojusznikiem, myślała Lilly, niż narzeczona, której arystokratyczny rodowód robił wrażenie nawet na londyńskich snobach?

Naturalnie, socjeta mogła uważać, że Lilly tylko traci czas na kogoś takiego jak Edward Lundy. Ona miała jednak swoje tajemnice, które pragnęła ukryć, a jej rodzinie groził krach finansowy. Małżeństwo z Lundy wydawało jej się szczytem szczęścia.

On miał pieniądze, ona - klasę. Był bardzo bogaty, a jako człowiek niskiego urodzenia potrzebował żony z właściwym pochodzeniem; podobnie ona potrzebowała jego. Uczciwa wymiana.

Dlatego Lilly uznała, iż może mu zaufać, w każdym razie z pewnością bardziej mogła ufać jemu niż tym gładkim, wysoko urodzonym hulakom, szlifującym posadzki sal balowych Londynu, których interesowało tylko bałamucenie młodych panien.

Doświadczenie nauczyło ją aż nadto dobrze, że takimi mężczyznami trzeba gardzić. Edward traktował Lilly jak drogocenny klejnot czy może jak delikatną figurkę z porcelany. Zapewne czuł przed nią respekt ze względu na jej wyższą pozycję i tę aurę chłodnej godności, którą wytwarzała wokół siebie, podobnie jak jej matka. Zachowywał pełny czci i szacunku dystans. Lilly bardzo to odpowiadało. Nigdy jej nie dotykał, a ona bynajmniej nie chciała być dotykana.

Kiedy ją komplementował, podziwiając różową szatę (była w kostiumie królowej wrózek), Lilly zauważyła, że grupka stojących w pobliżu gości spogląda na nich wyniośle, uśmiechając się ironicznie.

Edward spojrział w ich stronę i dał obu paniom znak, żeby milczały. Posłuchały go i odwróciły się pospiesznie. Ktoś z towarzystwa wyśmiewał się z Edwarda, sądząc, że nie słyszy, zaś kilka osób odważyło się otwarcie kpić z milionera, który sam doszedł do krociowej fortuny.

Ale kiedy Lundy zaczynał mówić gwarowym londyńskim akcentem o swojej żołnierskiej przeszłości, każdy wiedział, że lepiej trzymać się od niego z daleka. Miał w sobie coś z byka- rozzłoszczony nie zawahałby się zaszarżować.

Chociaż Edward był gruboskórny, Lilly wiedziała, że każda kąśliwa uwaga musiała go boleć. Z dziką determinacją starał się zdobyć szacunek towarzystwa, a ożenek z Lilly stanowił jeden z elementów jego strategii.

Z przykrością obserwowała, jak ten prosty człowiek bywał zabawką w rękach ludzi, opływających w bogactwa i luksusy, którzy nie mieli pojęcia, co znaczy być biednym. Złościło ją to i utwierdzało w zamiarze pomocy Edwardowi. Tyle przynajmniej mogła zrobić - w zamian za jego złoto.

Patrzył na nią ze smutkiem. Plotkujący balowicze chyłkiem przemknęli w drugi koniec sali. Lilly obdarzyła Edwarda słabym uśmiechem.

Krepujące milczenie stało się nieznośne. Lundy skinął na lokaja, który szybko przyniósł kufel piwa. Lilly nie pytała, ile kufli już opróżnił; Edward miał przekrwione oczy. Lubił piwo i nie żałował sobie.

- Udane przyjęcie, nieprawdaż? - zagadnęła.

- No... hm... tak. Bardzo udane.

Milczenie.

- Cieszę się, że pogoda się utrzymuje. Myślałem, że będzie padać.

- Może jutro.

- Tak. - Edward odchrząknął, Lilly patrzyła w sufit; czekali w milczeniu na lokaja.

Edward strzelał palcami i z ponurą miną obserwował salę balową; rogi na jego głowie lśniły w blasku świateł. Nagle Lilly pomyślała, że coś go musi trapić. Przypomniała sobie, że mówił, iż komisja, w której zasiadał, miała dziś ważne posiedzenie. Może sprawy nie ułożyły się po jego myśli?

Patrzyła na niego z ukosa, tłumiąc ciekawość. Wiedziała, że młodej damie nie wypada interesować się takimi sprawami.

Nie potrafiła znaleźć żadnego nowego tematu do rozmowy. Milczenie coraz bardziej ciążyło. Rzuciła błagalne spojrzenie pani Clearwell - w końcu tej pełnej życia damie nigdy nie brakowało słów - ale tym razem matka chrzestna ze słodkim uśmiechem pozostawiła ją samej sobie.

Cisza.

Och, to było nie do wytrzymania!

Lilly marzyła, żeby uciec w głąb pograżonego w ciemności ogrodu. Cudownie byłoby teraz właśnie przespacerować się do altany!

Oczywiście zaproszenie Edwarda na przechadzkę nie wchodziło w rachubę. Mógłby zrozumieć propozycję opacznie, a to było ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła.

Na szczęście nie przejawiał ochoty na taniec z Lilly. Kiedy ostatnio tańczyli, miotał nią po parkiecie jak szmacianą lalką. Cud, że wyszła cała z tej opresji, bez połamanych rąk i nóg.

W końcu zjawił się lokaj z nowym kuflem piwa i Edward rzucił się do picia jak spragniony wielbłąd na pustyni. Przy takim tempie za chwilę znów będzie kolejny kufel...

Na Boga, myślała Lilly, patrząc na niego z obawą, chyba rzeczywiście coś go dziś bardzo gnębi.

Bogu dzięki w tym momencie pojawił się nowy temat - w postaci potężnej, ekscentrycznej matki Edwarda.

Pani Lundy pełnymi żaglami wpłynęła między nich, jak zwykle rozszczebiotana.

- Och, ależ wygląda pani naprawdę przepięknie, moja kochana, droga panno Balfour! Edwardzie, przyznaj, czyż nie jest urocza? Prawdziwa wróżka! Na miły Bóg, gdybym była choć w połowie tak ładna jak pani, kiedy byłam młoda, biegałabym z balu na bal, naprawdę! Czy tu musi być

tak strasznie gorąco? Pani Clearwell! Na tarasie jest o wiele chłodniej.

Korpulentna, wesoła i pełna temperamentu dama ocierała z potu twarz i tłustą szyję, uśmiechając się promiennie, trochę zdyszana po szybkiej przemowie. Tymczasem Lilly ze zdumieniem oglądała jej kostium.

Pulchną figurę pani Lundy spowijała jaskrawoturkusowa szata; jednak najbardziej przyciągało wzrok nakrycie głowy - turban cały obwieszony sztucznymi owocami: były tam banany, pomarańcze, a nawet mały ananas sterczący na samym czubku; z uszu damy zwisały ogromne, ekstrawaganckie kolczyki.

Ochłoneła szybko i znów rozprawiała, z jeszcze większą egzaltacją:

- Niech mnie, jeśli kiedykolwiek w życiu widziałam bardziej elegancki dom! Jestem pewna, że nigdy. Całkowicie pewna! A teraz najważniejsze! Pamiętajcie, jutro, o pierwszej po południu obie panie przychodźcie do mnie. Musimy dokładnie zaplanować przyjęcie w ogrodzie, tak czy nie?

- Tak, naturalnie... - wybąkała Lilly.

- Dzięki Bogu! Cudownie! Więc o pierwszej. Dobrze. W końcu to z korzyścią dla ciebie, co, nie, moja mała? - Mrugnęła przy tym i szturchnęła Lilly tak, że omal jej nie przewróciła.

Lilly wyjąkała jakąś nieskładną odpowiedź; rumieńce na jej twarzy pociemniały.

Co tu dużo mówić: ta kobieta trafiła w sedno.

Nowobogacka rodzina Lundy po raz pierwszy urządziła przyjęcie dla najwyższego towarzystwa. Skoro Lilly i pani Clearwell będą

pomagać w przygotowaniach, socjeta zacznie łączyć ze sobą nazwiska Lilly i Edwarda. Był przyjęty taki dyskretny sposób dania do zrozumienia, że w przyszłości mogą połączyć tych dwoje węzły małżeńskie.

- Zobaczycie, kochane panie, jak doskonale wszystko zaplanuję. Moje przedwyjazdowe przyjęcie będzie pierwsza klasa. Nadzwyczaj eleganckie. Mogę to paniom obiecać!

- Jestem pewna - powiedziała pani Clearwell z rozbawieniem, nie bez ironii. Lilly zmarszczyła brwi.

- Przedwyjazdowe?

- Właśnie. Urządzę wspaniałe garden party, zanim wyjadę, moja kochana!

- Dokąd się pani wybiera?

- Na Jamajkę! - Pani Lundy wskazała z przejęciem na swój turban, obwieszony tropikalnymi owocami, po czym parsknęła śmiechem. - Nie domyśliłyście się?

- Nie - wymamrotały równocześnie Lilly i pani Clearwell.

- No więc teraz już wiecie! Prawdę mówiąc, mnie samej trudno w to uwierzyć! Ja w cudownych Indiach Zachodnich! Nigdy tam nie byłam, na Jamajce. Nigdy nigdzie nie byłam! Niech mnie! Właściwie nigdy nie byłam dalej niż w Middlesex. Mój doktor mówi, że spędzenie zimy na wyspach powinno być bardzo korzystne dla mojego zdrowia. Och, ale tam na pewno będzie gorąco nie do wytrzymania!

- Bryza oceaniczna, mamoo...

- Tak, Eddie, wiem, że tak zawsze mówisz, ale...

- Nie miałam pojęcia, że pani zdrowie szwankuje - przerwała im Lilly. - Czy mogłybyśmy być pani w czymś pomocne?

- Och, jaka jesteś dobra, moja droga! Dama w każdym calu! Nie, nie. To tylko podagra - wyjaśniła głośnym szeptem. - Nic poważnego.

- Dzięki Bogu.

- Rzeczywiście - zgodziła się pani Clearwell.

- Doktor powiedział, że skoro mój kochany Edward może sobie pozwolić, żeby wysłać starą matkę do tropikalnych krajów, żeby uniknęła okropnej angielskiej zimy, to dlaczego nie?

- Rzeczywiście... dlaczego nie? - Kobieta, która do nich podeszła, zaniósła się piskliwym śmiechem.

- Bess! - wykrzyknęła pani Lundy.

- Jadę na wyspy razem z panią, uczciwie mówię, że jadę!

Kiedy rosła dziewczyna zarzuciła ramiona na szyję pani Lundy, Edward westchnął smętnie - dobrze wiedział, że właściwym obiektem tych czułości jest on.

Lilly też to wyczuła. Zaciśnęła zęby.

Bess Kingsley, córka bogatego kupca, którego ostatnim zakupem był tytuł baroneta, nie znosiła, by jej czegoś odmawiano. Na nieszczęście dla niej, nawet niezbyt rozgarnięty Edward nie uznał tej hałaśliwej, zepsutej i wulgarnej dziewczyny za atrakcyjną. Jednak na nieszczęście dla niego, im bardziej starał się jej unikać, tym zajadlej Bess na niego polowała.

Teraz stanęła tak, żeby zasłonić Lilly, rozmyślnie nie dopuszczając jej do rozmowy.

Lilly rzuciła chłodne spojrzenie swojej przyzwoitce. Oczy pani Clearwell zabłyśły, jakby zdawała się mówić: „To mi dopiero doskonała partia!”

Nie zamierzając rywalizować o względy Edwarda, Lilly wymamrotała jakieś wyjaśnienie i, wdzięcznie skinąwszy głową, dyskretnie odeszła.

Podczas tej niespodziewanej przerwy w balu skierowała się w stronę wielkich, rzeźbionych schodów prowadzących do apartamentów na piętrze.

W saloniku dla pań panował tłok. Z trudem dotarła do lustra, przejrzała się, poprawiła fryzurę i strój, zadowolona ze swojego wymyślnego kostiumu; zwiewna suknia z różowego tiulu, przyozdobiona cekinami, ładnie się układała. Właściwie ten strój nie miał wiele wspólnego z królową wróżek, ale był śliczny, lekki i bardzo podobał się Lilly.

Dokładnie sprawdziła zapięcia diamentowych kolczyków. To ostatnie jeszcze niezastawione rodowe klejnoty Balfourów. Upewniła się, że są dobrze zamocowane. Były w jej rodzinie od trzech pokoleń i miały tendencję do obluzowywania się. Gdyby zgubiła choć jeden, nigdy by sobie tego nie darowała.

Szybko opuściła zatłoczony pokój dla pań i po chwili, schodząc ze schodów, obserwowała kłębiący się w dole kolorowy tłum gości. Dostrzegła tam również swoje towarzystwo. Wiedziała, że Bess, kiedy już przyparła Edwarda do muru, nieprędko da się pozbyć.

Lilly zerknęła na oszklone drzwi balkonowe, które wychodziły na taras. Może właśnie teraz jest najlepsza okazja, żeby wymknąć się do ogrodu i obejrzeć altanę...

W nagłym przypływie odwagi postanowiła wykorzystać tę szansę. Marzyła o przechadzce po ogrodzie w księżycową noc. Uniosła odrobinę skraj migoczących spódniczek i zbiegła na dół po marmurowych stopniach. Nawet za cenę użycia podstępu nie pozwoli, by ktokolwiek ją powstrzymał przed wyjściem z sali.

Kiedy wymykała się, wśród pań, stojących przy balustradzie schodów, przeszedł szmer podniecenia. Wychyliły się przez poręcz.

- Nie, to nie może być prawda! Płakała z rozkoszy?

- Słyszałam, że służący nie mogli się zdecydować, czy pozostawić tę parkę samą, czy wołać konstabla, kiedy usłyszeli dochodzące z piętra krzyki!

- Krzyki?!

- Podobno połamał jej łóżko.

- Jakaż to... energia!

- Chętnie bym mu pozwoliła połamać moje - mruknęła jakaś kobieta wpatrzona w tłum w sali balowej.

- Dobrze, że twój mąż tego nie słyszy.

- Wcale by go to nie obeszło. Myśli, że nic nie wiem o jego ostatniej kochance, głupiec.

Lilly, zszokowana, szła po schodach na palcach, w pewnej odległości; lepiej, by damy nie zorientowały się, że słyszy ich nieprzystojne plotkowanie. O kim one, u licha, rozmawiały?

- Słyszałyście o jego schadzce z lady Campbell?

- Co? No nie!

- Opowiedz!

- Biedactwo, w zeszłym tygodniu nawet nie była w stanie przejechać się z nami konno po Hyde Parku, oczywiście z powodu tego rozkosznego łotra.

- Nie mówisz chyba, że...

- Jasne! Nie wiem, co jej zrobił, ale tego popołudnia nawet spacerowanie przychodziło jej z trudem, a już o jeździe konnej absolutnie nie było mowy.

- Dobry Boże!

Rozległ się wybuch pełnego zgorszenia śmiechu.

- Ale uwierzcie mi: chyba nic sobie z tego nie robiła...

Lilly podążyła wzrokiem za spojrzaniem wszystkich pań: ku środkowi sali balowej. I nagle zatrzymała się w połowie schodów.

Och! O Boże... Przyłożyła czubki palców do warg i stała jak zahipnotyzowana tym niezwykłym, dopiero co przybyłym na bal mężczyzną. Wpatrywała się w niego teraz tak samo jak inne damy. Nic dziwnego, że przyprawiał kobiety o szaleństwo. Był piękny.

Mężczyzna wzrostu ponad metr osiemdziesiąt, kruczowłosy, o ogorzałej cerze, dobrze zbudowany, nosił oficerski mundur z taką swobodą, że było jasne, iż to nie jest kostium na bal maskowy. Poruszał się też, jak wojskowy: trzymał się prosto, z piersią wysuniętą do przodu, ramionami ściągniętymi do tyłu, z uniesionym hardo kwadratowym podbródkiem. Biła od niego pewność siebie. Wygląd i sposób bycia dawały pole wyobraźni, że istotnie jest mistrzem... nie tylko w jednym rodzaju podbojów.

- Kto to jest, Mary? - spytała jakaś kobieta swojej przyjaciółki. Schodząc jak w transie po schodach, Lilly przysłuchiwała się rozmowie rozgorączkowanych dam.

- Co ty, kochana, nie wiesz? „Ogier sezonu”!

Zachichotały frywolnie.

- Ciszej! Chcesz, żeby wszyscy nas słyszeli?

- To major Derek Knight - oznajmiła z satysfakcją pierwsza z pań. - Kuzyn księcia Hawkscliffe. Dopiero co przyjechał z Indii.

Indie? To słowo zwróciło uwagę Lilly. Przeklęty kraj, który odebrał jej ojca...

- Ach, rodzina Knightów... Oczywiście. Wspaniały ród. Widzę nawet podobieństwo rodzinne. Zdaje się, że ma brata?

- Tak... Ten jest młodszy. Starszy nigdy nie udziela się towarzysko. Podobno nie wiedzą, co to strach. W niezliczonych bitwach...

- Który to regiment?

- Nie mam pojęcia, ale chyba są w kawalerii.

Kawaleria? Lilly serce podeszło do gardła. Kawalerzyści nie mieli dobrej opinii. Wielu pochodziło z arystokratycznych rodzin, uchodzili za dobrze wykształconych i rycerskich. Gorąco krwiści, prowadzili światowe życie i byli skłonni do bitki z lada powodu - dla honoru. Kawalerię uznawano za najznakomitszą ze wszystkich formacji, właśnie z racji dużej liczby oficerów błękitnej krwi. Stanowiła coś w rodzaju *creme de la creme* angielskiego wojska.

Kiedy Derek Knight przechodził przez salę balową, wydawało się, że wszyscy go znają. Po prostu bezwiednie roztaczał wokół siebie niezwykły

urok. Mężczyźni entuzjastycznie witali majora, ściskając mu dłoń, a damy... Zdarzało się, że chwytaly go za szyję i składały pełen czci pocałunek na jego gładko wygolonym policzku. Nie wyglądał na zdziwionego taką wylewnością, ale chyba trochę był skrępowany.

Rozglądał się po sali, jakby kogoś wypatrywał. Przypominał myśliwego, który poluje.

Na jaką zwierzynę? - zastanawiała się Lilly.

Nagle zatrzymał wzrok na niej. Poczula się uwięziona w jego stalowobłękitnym spojrzeniu. Stała nieruchomo. Nie mogła zrobić kroku ani swobodnie oddychać. Hipnotyzował ją zmysłowym, magnetycznym spojrzeniem. Bił od niego żar. Uniósł kącik ust w diabolicznym uśmiechu, a Lilly poczuła, że uginają się pod nią kolana.

Zesztywniała, serce jej waliło. Nigdy dotychczas nie zdarzyło jej się tak dziwnie reagować na widok mężczyzny.

Była oburzona. Co on sobie myśli, jak śmie tak się do niej uśmiechać? Nie dość, że zachowuje się niestosownie, to na dodatek obraża: złożył jej dyskretny ukłon z końca sali.

Odpowiedziała lodowatym spojrzeniem: odruchowa reakcja dobrze wychowanej panny. Co za postępek! Matka byłaby zadowolona; Lilly zresztą też czuła satysfakcję. W każdym razie tak sobie wmawiała. Odrzuciła dumnie głowę, ale nie mogła się zmusić, żeby wcale na niego nie patrzeć.

Po co mi to? - ganiła siebie w duchu. - Młodszy syn? Znaczy, że bez grosza. Przybyła do Londynu, żeby znaleźć bogatego męża - bogatego i głupiego! - a nie po to, by dać się uwodzić przystojnemu wojakowi, którego chytry uśmieszek nie pozostawiał wątpliwości co do nieprzystojnych myśli.

Nie uśmiechaj się tak do mnie! - ostrzegała milcząco Dereka Knighta. - Nie uda ci się zaciągnąć mnie do sypialni, na to nie licz. Nawet za milion lat.

O nie, nie uda ci się.

Major więc wpatrywał się w nią i nie przestawał uśmiechać, nawet gdy podeszła do niego jakaś kobieta i zarzuciwszy mu ramiona na szyję, szeptała coś do ucha.

Silnym, muskularnym ramieniem objął jej szczupłą kibić, ale nie odrywał wzroku od Lilly. Jakby chciał ją przejrzeć na wylot i utwierdzić się w przekonaniu, że jej dziewicza przyzwoitość to poza.

Tak, jakby chciał poświęcić Lilly cały swój czas.

A mógłby. Zdała sobie z tego sprawę w momencie, kiedy na niego spojrzała. Jeżeli wierzyć plotkom, był doświadczonym uwodzicielem, a ona była słabą kobietą. Głos wewnętrzny ostrzegał, że ten mężczyzna może zrujnować jej życie. Jest niebezpieczny.

Niebezpieczny, niemoralny, zły.

Rozkosznie zły.

Zupełnie wytrącona z równowagi, odwróciła od niego wzrok i zniknęła w tłumie gości.

Co za gbur! Nawet Edward nie zachowałby się tak niegrzecznie, myślała, starając się za wszelką cenę wynaleźć wady w „ogierze sezonu” i wyrzucić go z myśli.

Nikt z gości nie zwrócił na nią uwagi, kiedy wymknęła się na taras. Pierś jej falowała. Głęboko wdychała chłodne nocne powietrze, czuła ulgę, że uwolniła się od spojrzenia tego mężczyzny, ale jego zainteresowanie dziwnie Lilly radowało.

Ktoś ją dostrzegł, pierwszy raz od lat, i tym kimś był Derek Knight. On ją dostrzegł naprawdę.

Od bardzo dawna życiowa polityka Lilly polegała na usuwaniu się w cień; chciała być niedostrzegalna i dzięki temu bezpieczna. Ukrywała się w domu w Balfour Manor za plecami matki, kobiety o żelaznym charakterze.

Dlaczego? Ze wstydu?

Była zmieszana, kiedy major na nią patrzył. Zdawał się przewiercać ją wzrokiem na wskroś i nie znajdował w duszy Lilly nic, czego mogłaby się wstydzić.

Wyrzucała sobie, że za bardzo to wszystko przeżywa! Przecież nawet się nie znali. I tak powinno pozostać.

Przemknęła przez taras i wpadła do ogrodu, zadowolona z ciemności, samotności i kruczoczarnej ciszy nocy.

Biegła obok kwietników, gazonów i szeleszczących kęp drzew, wreszcie dotarła do małej altany, która już przedtem ją zainteresowała; kłębiaste chmury zasłoniły księżyc.

Co to za zabawna osóbka, myślał Derek. Był niezadowolony, że czarująca blondynka zniknęła w tłumie.

Kobieta, która przed nim ucieka? Pierwszy raz to się zdarzyło, damy zwykle garnęły się do niego.

Przestał myśleć o tajemniczej dziewczynie. Lady Amherst dosłownie oplotała się wokół niego i domagała zainteresowania.

- Dobry wieczór, majorze - szepnęła mu do ucha. - Wygląda pan... zdrowo.

- Och, dziękuję, moja droga. Energia mnie rozpira - zamruczał, obrzucając figlarnym spojrzeniem jej hojnie obdarzoną przez naturę postać. Zachichotała, a Derek się pochylił i nadstawił policzek do pocałunku.

Zamglone oczy dosłownie pożerały go spoza bladziutej półmasksi. Dama dyszała z żądzy.

- A więc... za kogo dziś się przebrałaś? - Ucałował dłoń wytwornej młodej wdowy i odstąpił o krok, by obejrzeć jej kostium: jasną, pełną falbanek suknię z głębokim dekoltem. Podążył wzrokiem właśnie tam, ku najbardziej ponętnej części jej ciała.

- A jak ci się wydaje? - Wskazała spojrzeniem długi, zagięty przedmiot, trzymany w drugiej ręce.

Derek wzruszył ramionami.

- Jestem przecież pasterką, głuptasie!

- Nie widzę przy tobie owieczki...

- Przyniosłam jedną, taką zabawkę, ale znudziło mi się dźwiganie jej wszędzie ze sobą.

- W takim razie to mogłabyś też odłożyć.

Wyjął jej z ręki pasterską laskę i oparł o pobliską kolumnę. Przysunął się bliżej i ściszył głos.

- Znajdę ci coś innego... do zabawy.

Wstrzymała wybuch śmiechu, a jej ładna twarz pod grubą warstwą białego pudru oblała się rumieńcem.

- Ale z ciebie niegodziwiec.

- Właśnie dlatego mnie kochasz.

- Majorze, jesteś flirciarzem bez serca.

- Zatańcz ze mną. - Ujął ją za obie ręce.

- Nie, poczekaj. Mam lepszy pomysł. - Z uśmiezkiem niegrzecznej dziewczynki kiwnęła na niego paluszkami.

Derek uniósł brew: wzbudziła jego zainteresowanie. Schylił się i słuchał tego, co mu szeptała do ucha.

- Ach, tak. Kapitalny pomysł - mruknął.
- Byłam pewna, że ci się spodoba.

Uwieszona na jego ramieniu szeptała dalej, przy czym czubkiem języka lekko dotykała płatka jego ucha. Derek zadrżał.

- Kiedy?
- Zaraz, głuptasku. Ty idź pierwszy - dodała kokieteryjnie. -Ja przyjdę za kilka minut. Nikt nie zauważy, że wyszliśmy.

- Och, zauważą z pewnością.

Pokręciła głową.

- Nic mnie to nie obchodzi! Niech sobie mówią.

Derek uśmiechnął się rozbawiony jej ostentacyjną „niezależnością”.

- Idź! - popędzała go, wyraźnie chcąc jak najszybciej zacząć naukę egzotycznej wschodniej sztuki miłości.

Nie miał zamiaru kazać jej długo czekać. Gotów do usług, złożył damie dyskretny ukłon i się wycofał.

Idąc w stronę tarasu, zatrzymał się na chwilę. Spojrzał na spowity nocnymi ciemnościami ogród, po czym zbiegł po kilku schodkach na wysypaną żwirem alejkę, otoczoną z obu stron niskim, strzyżonym żywopłotem. Zaczął się rozglądać, wypatrując altany, którą mu kochanka wskazała jako miejsce schadzki...

4

Po pokrytych ciemnozielonym bukszpanem ścianach ogrodowego labiryntu pięły się słodko pachnące gałęzie jaśminu. Lilly biegła lekkim krokiem po chłodnej, jedwabistej trawie. Do ogrodu docierały przytłumione dźwięki muzyki, gwar rozmów i śmiechów balowiczów, ale ona nie zwracała na nic uwagi.

Biegła przez cieniste alejki. Poczucie wolności zapierało jej dech.

Kiedy zbliżała się do celu, jedynym dźwiękiem, jaki słyszała, był szelest kropel fontanny pośrodku parkowego stawu pod czarnym, aksamitnym, rozgwieżdżonym niebem.

To tam.

Podbiegła, unosząc sukienkę, żeby jej nie zmoczyć w wilgotnej trawie. Czowała radość. Dotarła na miejsce i się zatrzymała. Serce jej waliło, odsunęła z twarzy maskę i patrzyła z dziecięcym zachwytem.

Magiczne miejsce.

Altana ogrodowa była w kształcie ogromnego ananasa. Jaki oryginalny pomysł!

Z pełnym zdumienia podziwem weszła do środka. Prawdę mówiąc, altana zupełnie nie przypominała tej, w której bawiła się w dzieciństwie, ale uczucie było podobne. Odnalazła własny mały, tajemniczy świat.

Świat marzeń i niewinności...

W radosnym uniesieniu zrobiła kilka piruetów na posadzce. Nagle odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła głośnym śmiechem. Odwróciła się i patrzyła na lśniące w mroku sztuczne jezioro. Przypomniała sobie, że ojciec nazywał ją „księżniczką Lilly” - i po raz pierwszy wspomnienie o nim nie zabołało.

Wsparta o kolumnę podtrzymującą dach „ananasa” pławiła się w rozkoszy tej skradzionej chwili. W spokoju cieszyła się pięknem przepysznych ogrodów, słodyczą letniej nocy i samotnością.

Niebawem będzie musiała wrócić do Edwarda, ale jeszcze nie teraz, nie w tej chwili.

Pochyliła się i oparła o balustradę, rozmyślając. Nasunęła maskę na twarz, na wypadek gdyby ktoś wszedł. Wracała do przeszłości zatopiona w nostalgicznych snach na jawie.

Jaką byłam niemądrą dziewczyną... Marzycielką... zupełnie jak ojciec.

W tamtych latach jej wyobraźnia potrafiła zmienić każdy kamień w zamek Camelot, żabę w ziejącego ogniem smoka, a ułożone rzędkiem żółędzie w oddział dzielnych kawalerzystów wysłanych do walki ze straszną bestią. Wtedy jeszcze wierzyła w herosów i знаła co najmniej trzy magiczne sposoby zmieniania marzeń w rzeczywistość.

Niestety, wszystkie okazały się nieprawdą, bo nie zdołały sprowadzić ojca z powrotem do domu. Ze złamanym sercem musiała pogodzić się z nierealnością swoich pragnień. Dziś już nie pamiętała wymyślanych przez siebie zaklęć, a co do herosów, wiedziała, że trafiają się chyba rzadziej niż smoki.

Nie, pomyślała smętnie, wpatrując się w ciemny pejzaż, oddział dzielnych kawalerzystów nie nadszedł. Nikt nie miał zamiaru pospieszyć jej na pomoc. Musiała sama ratować rodzinę.

Przed oczami pojawił się nagle niemiły obraz Edwarda-Minotaura. Och, gdyby ktoś z dawnych zaklęć jeszcze teraz działało...

Świadoma, że to, co robi, jest niemądre, zamknęła oczy i - tylko przez sentyment do dawnych czasów - skoncentrowała się, a po chwili wyraziła życzenie.

Może jej pragnienie pofrunie aż do gwiazd, w przestworza, jak puch dmuchawca... ? Nigdy nie wiadomo...

Chwilę nasłuchiwała.

Czekała.

Wstrzymywała oddech.

Nic.

Cóż... Chyba wszystko jasne.

I wtedy, gdy tak stała z zamkniętymi oczami, wyczuła w pobliżu czyjąś obecność.

Jej wyostrzony słuch uchwycił ledwie słyszalne skrzypienie podłogi.

- Jakim cudem dotarłaś tu przede mną? - spytał niski głos tuż przy uchu Lilly i silne ramiona objęły delikatnie jej talię. Zdrętwiała.

Otworzyła oczy i zobaczyła duże, opalone dłonie, które tuliły ją czule, i rękawy z eleganckimi, obszytymi złotem mankietami...

Patrzyła zaskoczona.

Sen?

Niemożliwe, żeby jej marzenie się spełniło! Nie była nawet pewna, czego sobie tym razem życzyła!

Czy to prawda?

Na Boga, za nią stał mężczyzna!

Trzymał ją w ramionach!

I to nie był Edward.

Wielce oburzona, już chciała odwrócić się do niego i nagle zmartwiała ze strachu, że to wszystko zaraz się skończy jak sen. Przeżyła szok: czuła się w tym uścisku wspaniale, po prostu cudownie, aż do bólu.

Ile lat upłynęło, odkąd ktoś tak ją trzymał w objęciach?

- Miałaś poczekać, nieznośna dziewczynko- szeptał kusząco do jej ucha. - Pewnie nie mogłaś już dłużej wytrzymać, co?

Lilly zeszywniała, niezdolna wymówić słowa, zbita z tropu. Serce tłuło się jej w piersi, a w dole brzucha wirował rój motyli.

O Boże...

Z nerwowym rozbawieniem uświadomiła sobie, że ten mężczyzna obejmuje teraz niewłaściwą damę, tyle że jeszcze tego nie zauważył.

Ach, naturalnie, bal kostiumowy. Niezmiernie kłopotliwa sytuacja. Może powinna okazać wielkie oburzenie? Ale jego dotyk był tak bardzo, bardzo miły...

Zaczął delikatnie gładzić jej nagie ramiona; przełknęła ślinę i poddała się zmysłowej pieszczocie.

Boże... Jeśli miała jakąkolwiek wątpliwość co do tego, kto ją tu zaskoczył, zniknęła z chwilą, gdy Lilly poczuła delikatny zapach wschodnich kadzideł, bijący od munduru. Chyba drzewo sandałow...

„Dopiero co przyjechał z Indii...”

A więc była tu sam na sam z „ogierem sezonu”!

Major Derek Knight!

- Pocałujesz mnie wreszcie? - wyszeptał, a Lilly zmiękała jak wosk. Rozgrzana krew i serce lekkomyślnie odpowiedziały jednocześnie: „Jakże mogłabym tego nie zrobić?”

Szaleństwo.

Nie z nią miał tu umówioną schadzkę, niemniej bardzo ją pociągał. O tak. Już wiedziała, że ulegnie jego woli. Co za niezwykle, cudowne marzenie całować się przy świetle księżycy z oszałamiająco przystojnym mężczyzną, który jako żołnierz cieszył się sławą bohatera... Tylko raz wykorzystać tę jedyną szansę, zanim będzie trzeba spełnić obowiązek dla dobra rodziny i wyjść za mąż za kogoś, kogo się nigdy nie pokocha.

Dobrze, że miała maskę na twarzy, nie musiała się martwić, że zostanie rozpoznana. Serce Lilly biło tak mocno, że aż je słyszała. Edward nigdy nie powinien dowiedzieć się o tym zajściu; zresztą nikt nie powinien. Londyn był tak rozplotkowanym miastem! Czemu służyły bale maskowe, jeśli nie podobnym drobnym awanturkom? Nikt z ich powodu nie cierpiał. Mogła nacieszyć się swoim sekretem, zaspokoić gwałtowną ciekawość, jaką wzbudził w niej ten mężczyzna, i na wiele czekających ją długich, zimnych lat zachować wspomnienie tej chwili.

Tylko ten jeden, jedyny raz...

Poddała się chętnie, kiedy major Knight przyciągnął ją mocniej do siebie. Podniosła wzrok i - o Boże - to naprawdę on! Mężczyzna wyczarowany ze snu, żywe ucieleśnienie marzeń wszystkich kobiet.

Był nieprawdopodobnie przystojny. Błądziła wzrokiem po jego wyrazistej, posągowej twarzy arystokraty. Brwi miał gęste i czarne, ładnie zarysowane, a usta kuszące zmysłowością. No i te niepokojąco piękne oczy: przenikliwe, jasne, srebrnobłękitne, w których kryła się jakaś magiczna moc. Spojrzała w nie głęboko i była pewna, że w tym momencie Derek Knight zdał sobie sprawę ze swojej omyłki.

Zmarszczył brwi, odsunął się i patrzył na nią osłupiały.

- To ty! - powiedział zdławionym głosem.

Lilly uśmiechnęła się figlarnie, a on aż otworzył usta ze zdumienia: w ciemnościach błysnęły śnieżnobiałe zęby. Roześmiał się cicho.

- Co za szczęśliwa omyłka!

- Więc nie jestem tą, której oczekiwałeś, majorze? - zakpiła, unosząc hardo podbródek.

- Lepiej. O wiele lepiej.

Objął ją spojrzeniem, ale nawet nie próbował przytulić. Uznała tę nagłą ostrożność za ujmującą.

- Widziałem cię na schodach.

- Wiem. Patrzyłeś na mnie.

Zmarszczył brwi.

- Uciekłaś ode mnie. - Nie spuszczał z niej wzroku.

Lilly wytrzymała jego spojrzenie.

- Cóż, ale teraz już nie uciekam.

- Kim jesteś? - szeptał Derek zauroczony piękną nieznajomą.

Wzruszyła ramionami i oparła się o balustradę, kołyszając wachlarzem na przegubie dłoni.

- Nikim szczególnie.

- Och, w to nie uwierzę - mruknął. Patrzył na nią jak zahipnotyzowany, gdy bawiła się wachlarzem: zapragnął w tym momencie ucałować tę śliczną dłoń. - Masz chyba jakieś imię?

Obdarzyła go nieśmiałym uśmiechem.

- Naturalnie.

- Rozumiem. Ale nie chcesz mi go zdradzić.

Pokręciła głową. Jej oczy pod maską tańczyły.

- To przecież nie ma znaczenia, prawda?

- Czemu tak mówisz?

- Opinia o tobie dotarła tu, zanim się pojawiłeś.

- Hm... - Dobrze wiedział, że mogła o nim usłyszeć różne rzeczy. To, że nie chciała wyjawić swojego nazwiska, wydało się Derekowi czarujące. Jakakolwiek forma odmowy ze strony kobiety była dla niego czymś zupełnie nowym. W sali balowej jego uwagę zwróciła przede wszystkim uroda dziewczyny; teraz jednak, kiedy stali twarzą w twarz, podobała mu się szelmowska pewność siebie młodej damy połączona z chłodnym wdziękiem.

Skrzyżował ręce na piersiach i studiował jej twarz z zafascynowaniem.

- Masz chyba pod tym względem przewagę nade mną.

- Tak. Major Derek Knight, świeżo przybyły z Indii.

- Wracam tam niebawem - odpowiedział, skinąwszy głową. To była aluzja; jeśli chce go poznać, lepiej, żeby się pospieszyła i wykrztusiła wreszcie swoje nazwisko.

- Po co? - spytała.

- Po sławę i majątek, najdroższa. Podobnie jak każdy inny mężczyzna, panno...

Pokręciła głową.

- Uparciuszek! - mruknął z uśmiechem. - Bardzo dobrze. Zachowaj dla siebie swój sekret, jeżeli już musisz.

Gdyby mógł to z niej wydobyć pocałunkami, pewnie w końcu dowiedziałby się jej nazwiska, ale na razie wolał flirtować.

Cała ta sytuacja stała się w gruncie rzeczy cyniczną grą: przyszedł na sekretną schadzke tylko po to, żeby odkryć, że altana jest już zajęta. Kochankowie zapewne często odwiedzali to urocze miejsce. Zerknął dyskretnie przez ramię, ale nie dostrzegł śladu zazdrosnego zalotnika; nie było też kobiety, która tu go zwabiła obietnicą słodkiego sam na sam.

Nagle stwierdził, że bynajmniej nie chciałby, żeby lady Amherst teraz nadeszła.

Wiedział jednak, że zjawi się lada chwila; patrząc na Lilly, Derek pomyślał, że z przyjemnością popróbowalby tej uroczej lisiczki, gdyby mógł to zrobić bezkarnie; jest apetyczna. Byłaby smakowitą przekąską przed głównym daniem...

Zakładał, że przysła tu na schadzkę tak jak on. Prawdopodobnie jest wdową, jak lady Amherst, albo zaniedbywaną młodą żoną jakiegoś starego, utytułowanego para Anglii.

Tak czy owak, gra była uczciwa.

Prawdziwa piękność! Nie mógł się na nią napatrzeć. Promienie księżycy całowały jej jasnoblonde loki, upięte wysoko, połyskujące bladym złotem. Dostrzegł kilka niesfornych kędziorków nad uroczym wygięciem szyi. Nad powiewną chmurką naszywanej cekinami spódnicy mógł podziwiać szczupłą talię i słodkie, krągłe piersi. Jej ciało kusiło zmysłowymi obietnicami.

Znał kobiety i chyba się nie mylił co do tej damy - miała na niego ochotę: zapraszająco wygięte biodra sugerowały, że chciałyby, by podszedł bliżej. Oczywiście nadal odmawiała wyjawienia swojego nazwiska.

Cóż, nie mogę jej za to winić, pomyślał. To, że ją pomylił z inną kobietą, nie świadczyło o nim dobrze. Było mu trochę głupio; ona jednak nie wyglądała na obrażoną.

- Nie włożył pan kostiumu na bal maskowy, majorze?

- Nigdy nie udaję kogoś, kim nie jestem. Najważniejsza jest szczerść.

- Aha, więc pan jest szczerzy? Coś podobnego!

- Rozpaczliwie szczerzy, jeżeli wierzyć mojej siostrze. Czemu powiedziała to pani z przekąsem? Czyżby nie spotkała pani w swoim życiu szczerych, uczciwych mężczyzn, panno... - Zawiesił głos, znów próbując skłonić do podania nazwiska.

- Niezrównana - podsunęła, unosząc podbródek. - Mary Niezrównana. Do usług.

- Mary Niezrównana? - powtórzył zaskoczony jej pomysłem. - No cóż, dobrze, panno Niezrównana. Skoro już pani tu jest i kłamie mi w żywe oczy, pewnie pani zaraz powie, że wszyscy mężczyźni to kłamcy?

- No, może nie wszyscy, ale z pewnością wielu.

- Przynajmniej jest pani niezrównanie bezstronna.

- Majorze...

Ten jej głos drażnił podniecająco zmysły.

- Tak, moja śliczna?

- Pocałuje mnie pan wreszcie czy nie? - wyszeptwała. - Nie mam zbyt dużo czasu.

Spojrzał na nią uważnie.

Impertynentka! Jak może odpowiadać mu jego własnymi, równie impertynenckimi słowami? Przeznaczonymi dla lady Amherst?

Cóż, był po trosze kłamcą; gdyby miał być zupełnie uczciwy, musiałby przyznać, że uśmiezek pięknej nieznajomej działał na niego bardzo silnie.

Nie znał jej imienia. Ale jeżeli sądziła, że niewielka maseczka ukryje pełne żądzę oczy, myliła się. Ta maska nic nie kryła, w każdym razie nie przed nim. Rozszyfrował też łatwo pozorną chłodną zuchwałość. Dostrzegł w młodej damie niepewność, wyczuł, jak bardzo chciałaby, by jej dotknął, zdawał też sobie sprawę, ile odwagi kosztowały ją te niby nonszalancko wypowiedziane słowa.

Chce, żebym ją pocałował? W takim razie trzeba to dla niej zrobić.

To będzie pocałunek, którego dziewczyna nigdy nie zapomni.

Drżąc z podniecenia, Derek postąpił krok do przodu, ujął jej twarz w dłoń i wpił się ustami w jej usta.

Kiedy Derek całował ją namiętnie, Lilly objęła go ramionami, jakby wiedziona przemożnym, beznadziejnym pragnieniem i szaloną ulgą. Ten pocałunek zatarł granice między rzeczywistością a fantazją.

Skoro to tylko sen, czemu w tej chwili po raz pierwszy od lat zapragnęła pofolgować zmysłom?

Czuła w żyłach i w każdym nerwie ciała radosną swobodę. Przez cały czas nie wierzyła zresztą, że to dzieje się naprawdę.

Czule obejmował ręką jej kark. To dotknięcie było tak umiejętne i uspokajające, że zmiękczyłoby najbardziej oporną kobietę. Powoli pieścił jej usta wargami: odchyliła głowę do tyłu i poddała się aksamitnym dotknięciom jego języka. Serce Lilly biło tak mocno, że Derek czuł jego uderzenia na swojej piersi.

Całował ją żarliwie, ogarnięty szaleńczą żądzą. Gdy gładził jej biodro, przytrzymała dłonią jego rękę, nie wiadomo, czy próbując go powstrzymać, czy nalegała, żeby to robił jak najdłużej.

Bardzo pragnęła tych pieścizot, chociaż doskonale wiedziała, że nie powinna ulegać namiętności. Gdy badał językiem wnętrze jej ust, czuła upojenie, pożądanie i... wstyd. Mimo wszystko nie udało jej się jednak zapanować nad rozbudzoną zmysłową stroną swojej natury.

Od dawna skrywała tęsknotę za kimś, kto by jej dotykał, pieścił, trzymał w objęciach... Właśnie tak.

Wydawał się dokładnie wiedzieć, czego Lilly pragnie. Męska, szeroka pierś, o którą się opierała, wzbudzała pożądanie. Lilly przywarła rękami do masywnych barków, ozdobionych złotymi epoletami. Mężczyzna nagle podniósł ją do góry i posadził na balustradzie; przyciskając się do jej ud, biodrami gniótł tiulową spódniczkę.

Lilly jęknęła, kiedy kapryśne usta Dereka przesunęły się po jej szyi. Głaskała jego pierś i płaski brzuch, a on zachłannie całował jej odsłonięte ramiona.

Och, Boże!

Zdawała sobie sprawę, że sytuacja wymyka się spod kontroli, nie mogła jednak zmusić się, żeby powstrzymać słodkie szaleństwo.

Przeciagnęła palcami po jedwabście czarnych włosów Knighta, wicherząc fryzurę. Nie przejął się tym, zajęty badaniem jej dekoltu. Ten mężczyzna naprawdę dobrze wiedział, czego chce.

Oszołomiona doznaniem pozwalała mu na wszystko. Chwyciła ręką za najbliższy słupek balustrady i wygięła się w stronę Dereka.

- O Boże, nie rób tego - powiedział szybko, z ustami wtulonymi między jej piersi.

- Nie lubisz...?

- Lubię... o wiele za bardzo.

Wyprostował się, ujął w dłonie jej twarz, i znów spijał pocałunki.

- Chodźmy stąd - szeptał. - Tam dalej jest gondola. Mógłbym wziąć cię... na to piękne jezioro.

Spojrzała w jego płonące oczy i całym sercem zapragnęła popłynąć z nim. Co miał na myśli, mówiąc „wziąć cię”? Wahala się, brakowało jej odwagi.

- Ja... ja nie wiem, czy to dobry pomysł.

- Jasne, że tak. - Posłał jej gorący półuśmiech. - Ja powiosłuję, ty będziesz sternikiem.

Temu uśmiechowi trudno było się oprzeć.

- Majorze, w gondoli się nie wiosłuje. - Walczyła z pragnieniem, żeby przyciągnąć do siebie tego słodkiego łotra i ucałować go jeszcze raz. - Popycha się ją. Drogim.

- Słusznie. Zapomniałem.

Lilly, wciąż jeszcze rozgorączkowana, chłodziła się wachlarzem, starając się dojść do siebie.

- Poza tym trzeba jeszcze śpiewać; po włosku!

- To już wykracza poza moje możliwości.

- Nie zaśpiewałby pan dla mnie?

- Nie podała mi pani nawet swojego imienia. Bardzo to okrutne z pani strony. Poza tym nie umiem śpiewać i nie znam ani słowa po włosku. Troszkę tylko po łacinie: *tempus fugit*, najdroższa. Czas ucieka. Jeżeli pani ma ochotę, trzeba się spieszyć.

- Och, zapomniałam. Był pan tu przecież umówiony - zakpiła z lekką wymówką, hamując uczucie zazdrości.

- Mogę to odwołać. Chodźmy stąd, zanim ona przyjdzie. Popłyniemy na drugą stronę jeziora. W świetle księżyca. Nago. - Obrzucił ją namiętnym spojrzeniem.

Zaśmiała się, kiedy wypowiedział to słowo z przesadną emfazą, odniosła jednak wrażenie, że mówi poważnie.

- Jest pan strasznym hultajem, majorze - zawołała, kiedy ją zdjął z balustrady i przytrzymał w ramionach. - Proszę mnie postawić na ziemi - zażądała, ale w głosie zabrakło przekonania.

- Nie. Zabieram panią ze sobą - oznajmił, niosąc ją przez altanę. - W końcu ktoś musi pani pomóc uciec.

- Uciec? Przed czym?

- To pani sprawa. Jestem tu, żeby panią uratować.

- Pan uważa, że potrzebuję ratunku?

Prychnął tylko.

Więc to aż tak widoczne?

- Chyba nie bawiła się pani zbyt dobrze na balu, skoro przyszła pani tutaj.

- Cóż, po prostu zastał mnie pan w ogrodzie. Na litość Boską, proszę mnie puścić! - rozkazała, śmiejąc się, kiedy ją wyniósł przed altanę. - Nie mogę popłynąć z panem po jeziorze w księżycową noc. Jakkolwiek kusząco by to brzmiało, nie mogę. Muszę wracać.

Zatrzymał się i spojrzał na nią poważnie, wciąż trzymał ją w ramionach.

- Do kogo?

Lilly westchnęła.

- Do męża? Kochanka?
- Derek! Kochanie! Gdzie jesteś?

Czuły kobiecy głos, który dobiegał z głębi ogrodu, ostrzegł ich, że nie są sami.

O Boże! - Lilly nagle uświadomiła sobie, że może stracić dobrą reputację.

- Do diabła! - zaklął major pod nosem.
- Proszę mnie postawić na ziemi! - szepnęła z rozpaczą.

Usłuchał, ale nadal trzymał ją za przegub ręki.

- Zaczekaj...

- Proszę mi pozwolić odejść, zanim nas ktoś zobaczy! Muszę wrócić na bal!

- Powiedz mi, jak się nazywasz - nalegał. - Chcę się z tobą widywać.
- Nie. - Lilly czuła, że krew odpływa jej z twarzy. - Nie mogę.
- Dlaczego?

- Po prostu nie mogę. - W jej oczach była prośba, żeby to uszanował. Chyba ją rozumiał; kiedy jednak próbował odsłonić jej twarz, zaprotestowała gwałtownie.

- Nie!

Maska była jej bardziej potrzebna, niż przypuszczał.

- Więc zdecydowałaś się odejść, tak po prostu? Już nigdy cię nie zobaczę? Nie chcesz zdradzić, jak się nazywasz. Jeżeli mi nie pokażesz twarzy bez tej głupiej maski, może się zdarzyć, że kiedyś po prostu przejdę obok ciebie i nawet nie będę o tym wiedzieć.

- Przepraszam, ale tak będzie najlepiej.

Jego spojrzenie pytało, dlaczego, ona jednak kręciła głową i wzruszyła ramionami; wziął to za gest odrzucenia go.

- Doskonale. Rób, jak chcesz.
- Derek, kochanie, jesteś tam?

Kobiety jeszcze nie było widać, ale oboje wiedzieli, że pojawi się lada chwila.

Lilly rzuciła ponure spojrzenie w stronę, skąd dobiegał głos. Gdyby ta dama zobaczyła ją tu sam na sam z „ogierem sezonu”, spowodowałoby to lawinę plotek, utratę reputacji i zniszczenie planów małżeńskich. Klęska. Jak mogłaby coś takiego wytłumaczyć matce?

Kiedy znów zwróciła ku niemu twarz, patrzył na nią, jakby chcąc zapamiętać jak najwięcej szczegółów jej wyglądu. Pokręciła głową i wymówiła bezgłośnie:

- Nie!

Wyrwała mu rękę z uścisku i odeszła.

Derek zmarszczył brwi; każdym nerwem pragnął pobiec za nią, ale wiedział, że to jej sprawi przykrość; poza tym zraniony i zniechęcony jej odmową nie miał zamiaru czołgać się i błagać o względy tej - jak zresztą żadnej - kobiety.

Skryła się już za żywopłotem z bukszpanów, ale i teraz, kiedy zniknęła mu z oczu, wciąż o niej myślał. Ta niezwykła kobieta była dla niego zagadką.

Niewątpliwie miała problemy. Podejrzewał, że mogła knuć jakąś intrygę. W każdym razie na pewno miała coś do ukrycia.

W porządku, nie chciała go. Zresztą nie powinien się tym przejmować. Ma w czym wybierać.

Sam nie wiedział, dlaczego wykorzystał te ostatnie momenty z nią do zapamiętania szczegółów jej twarzy, widocznych mimo maski: zauważył pszenicznoblond włosy, piękną linię szyi, wykrój słodkich jak miód warg, wreszcie ujmujący uśmiech. Boże, była piękna. Takiej jak ona nie sposób nie zapamiętać.

Oczywiście mógł ją spotkać w towarzystwie, chociaż bez wątpienia będzie go unikać.

Rozdrażniony odmową, nie wiedział, jak wtedy zareaguje - czy będzie udawał, że nie ma pojęcia, kim ona jest, czy wyjawi, że ją rozpoznał i w ten sposób będzie ją dręczyć?

Ta ostatnia wersja była najbardziej w jego stylu.

- Derek! Kochany!

Głos lady Amherst brzmiał niebezpiecznie blisko; Derek westchnął smętnie. Rozwagał już ucieczkę, zanim dama go odnajdzie, kiedy jego uwagę przyciągnął jakiś błysk na podłodze pawilonu.

To coś leżało akurat tam, gdzie on i „Mary Niezrównana” ztratili się w namiętnych pocałunkach.

Zbliżył się do tego miejsca i podniósł jakiś mały błyszczący przedmiot.

Otrzeptał go z kurzu, trzymając w dwóch palcach, i obejrzał lśniąco kółko w świetle księżyca. Diamentowy kolczyk. Rozpoznał to świecidełko. Całując jej ucho, o mało go nie połknął. Zadrżał na wspomnienie tego, jak językiem dotykał czubka jej ucha.

Czy już zorientowała się, że go zgubiła? Ależ będzie przerażona!

Szelmowski uśmiech pojawił się na twarzy Dereka: zdał sobie sprawę, jakie znaczenie ma ten niewielki trop, który po sobie, niechcący, zostawiła tajemnicza dziewczyna. Prędzej czy później odkryje, że zgubiła klejnocik. Zacznie gorączkowo szukać, a to ją zmusi do pójścia po swoich śladach i skieruje... wprost do niego.

W końcu przecież wiedziała, kim był. Nie miał na twarzy maski i odnalezienie go nie stanowiło problemu.

Wybuchnął śmiechem. Zabawne! Chcąc odnaleźć zgubę, musi do niego trafić. No i naturalnie o zwrot kolczyka będzie musiała poprosić... bardzo grzecznie.

- Tu jesteś! - W altanie zjawiła się hrabina.

Gdy biegła w jego stronę, wsunął kolczyk do kieszeni,

Nadal nic nie rozumiała.

- Kochanie, nareszcie!

Uśmiechnął się, a gdy go objęła, spojrzał ponad jej głowę. Daleko, tuż przy wejściu do pałacu mignęło coś różowego. Uśmiech Dereka stał się jeszcze szerszy.

W porządku. Była już wewnątrz, bezpieczna. Tajemnicza dziewczyna wróciła do sali balowej. Ale do kogo?

Do kogo ona należy?

Ten ktoś miał szczęście...

- Derek?

- Hm? - Lady Amherst przypatrywała mu się z nieufną miną; pokręcił głową.

- Coś nie w porządku? - spytał niewinnie.

Hrabina rozejrzała się uważnie po altanie, po czym przeniosła wzrok na niego.

- Kochanie - powiedziała, ogarniając spojrzeniem jego rozczochrane włosy i wyraźnie rozcałowane wargi. - Co właściwie tu robiłeś tyle czasu?

5

Następnego ranka Lilly wstała niewyspana. Prawie całą bezsenłą noc przewracała się z boku na bok. Otworzyła oczy, a wtedy powróciły wszystkie lęki i zmartwienia. Miała zamęt w głowie, którego sprawcą stał się Derek Knight. A na dodatek zgubiła kolczyk.

Kiedy po balu wróciła do domu, przy rozbieraniu się odkryła, że nie ma kolczyka. Była kompletnie roztrzęsiona. W środku nocy służba pani Clearwell pomagała jej przeszukać powóz i całą drogę, jaką przebyła, zanim weszła do domu, a później udawała się do swojej sypialni na piętrze. Mimo skrupulatnego przeszukania wszystkich możliwych miejsc diamentowego kolczyka nie znaleziono.

Musiała go zgubić na balu.

Jednak bardziej prawdopodobne wydawało się, że w altanie - pewnie to kara boska za sekretną schadzke z Derekiem Knightem! Przysięgała sobie, że gdyby nie kolczyk, zapomniaby o tym człowieku w okamgnieniu. Na nieszczęście dla niej gdzieś tam leżał prawdziwy, twardy dowód na to, że bez niczyjej zgody i bez przyzwotki zabawiała się w tym miejscu z mężczyzną, którego nawet nie powinna była znać.

Jak mogła tak narażać swoją opinię, igrać z ogniem? Czy była szalona?

Teraz mogła tylko modlić się, żeby major - czy ktokolwiek inny - znalazł klejnocik i oddał go gospodarzom wczorajszego balu, państwu Brooks. Kolczyk miał wartość pamiątkową, która go czyniła bezcennym, ale nawet gdyby to był tylko zwyczajny diament, nigdy nie zdołałaby go odkupić.

Postanowiła pójść z wizytą, o przyzwotnej godzinie, do Brooksów i sprawdzić, czy ktoś nie znalazł kolczyka; najpierw jednak musiała udać się do domu Edwarda. Miała pomóc pani Lundy w zaplanowaniu przyjęcia w ogrodzie.

O Boże...!

Lilly westchnęła, podniosła oczy ku niebu i otarła czoło. Żywiła nadzieję, że dzisiejsze spotkanie z Edwardem w jego wielkim zamku będzie łatwiejsze, bo ona zachowa się bardziej naturalnie niż zeszłej nocy, kiedy wróciła do sali balowej po upojnym tete-a-tete z Derekiem Knightem. Tak czy owak, trzeba się będzie pilnować.

W tamtym momencie jej maska warta była swojej wagi w złocie, bo Lilly z pewnością miała winę wypisaną na twarzy. Edward nie dostrzegł nic podejrzanego, jak przypuszczała, tylko dzięki swojej słabości do piwa i złemu nastrojowi po zebraniu komisji.

Major chyba nie wrócił na bal, bo potem go nie widziała.

Wstała z łóżka w alkowie, przeszła przez uroczy pokój o ścianach pokrytych pastelową tapetą, z oknami osłoniętymi jasnymi kotarami i nalała wody do miednicy. Powoli opłukała twarz, próbując się rozbudzić. Ciągle myślała o tym, co się stało.

Jakie to dziwne, że gdy na horyzoncie pojawił się Derek Knight, właśnie zastanawiała się, czy chciałaby poślubić Lundy'ego. Roześmiała się. Gdyby major zepsuł jej opinię, nie byłoby już mowy o wyjściu za mąż za Edwarda!

A przecież nie to miała w planach.

Sięgnęła po ręcznik i osuszyła twarz; zmarszczyła się do swojego odbicia w lustrze na widok ciemnych kręgów pod oczami. Ciągle jeszcze była w strachu: może major dowie się jej nazwiska albo te niezmordowane w tropieniu sensacji plotkary zwietrzą coś... Co mówiono o niej ostatniej nocy? Jak mogła tak ryzykować, zwłaszcza że kiedyś cudem uniknęła zniszczenia sobie reputacji?

Czasami myślała, że jej całe życie jest jednym wielkim kłamstwem, ale Derek Knight potrafił ją chyba przejrzeć na wylot. Szczery człowiek...

„Rozpaczliwie szczery, jeżeli wierzyć mojej siostrze”.

Aż prychnęła na wspomnienie tych słów. Brzmiały bardzo miło, ale wierzyła im tylko o tyle, o ile można wierzyć takiemu wojakowi.

Oczywiście, miała powody bać się, że jednak odkrył, kim ona jest. Gdyby dowiedział się i nie był dżentelmenem, mógł to wykorzystać na wiele sposobów- również przeciw niej. Na przykład szantażować ją, żeby robiła to, czego on chce...

Lilly aż zadrżała, nie tylko ze strachu, i ze złością odrzuciła ręcznik. Jakże głupio się zachowała!

Głupio i... rozpustnie...

Całując się z Derekiem Knightem, ryzykowała swoją przyszłość, dobre imię, dobrobyt rodziny tylko dlatego, że w nieoczekiwanej sytuacji straciła głowę - a jednak, nie wiadomo dlaczego, nie była w stanie zmusić się do żalu, że tak się stało.

Makabryczne sceny z wojny dręczyły go we śnie całą noc.

Derek rzucał się na łóżku, muskuły napinały mu się pod cienkim prześcieradłem.

Te piekielne wozy ciągle się psuły, nawet w trakcie bitwy. Musiał coś załatwić... coś... komuś. Chyba swoim ludziom... chyba zaopatrzenie. Ale konie, wystraszone, nie chciały słuchać, a te diabelskie koła wozu z zaopatrzeniem ciągle się łamały.

Mógłby je naprawić, przynajmniej tak myślał. Zresztą potrafił naprawić wszystko. Mówiono, że jest najzręczniejszym chłopakiem w regimencie. Ta podróż ciągnęła się bez końca i Derek był już doprowadzony do ostateczności, świadom, że jadą donikąd.

Donikąd.

Nie ustawał huk armat, tak głośny, że nie słyszało się swoich myśli, rozkazy nie docierały do żołnierzy, byli zdani na własny rozsądek. Czy wyszkolił ich dostatecznie? A jeżeli nie przeżyją? Wszędzie pełno dymu, trudno oddychać, a on musi naprawiać ten piekielny wóz z zaopatrzeniem, gdy trwa bitwa! Dlaczego nikt mu nie pomoże?

Rozglądał się, próbując przebić wzrokiem gęste chmury czarnego prochowego dymu i znaleźć kogoś do pomocy; młodemu żołnierzowi właśnie pocisk rozerwał nogę. Z dzikim okrzykiem rzucił się do niego: pierwszą myślą było włożyć chłopca na wóz. Słyszał krzyki rannego, ale nie mógł go dojrzeć przez chmury dymu, w tym momencie zorientował się, że nie ma broni.

Jezu Chryste! Jak mogłem zapomnieć o szpadzie?

Zbudził się gwałtownie, zerwał z łóżka i odruchowo sięgnął po broń. Otworzył załzawione oczy; dyszał i przerażonym wzrokiem obiegał pokój. Dopiero po chwili dotarło do niego, że nie jest w namiocie i że tu nie ma wojny ani Marathów, którzy go chcą zabić. Tu jest Londyn. Prawda.

Boże... Zamrugał, przetarł twarz i głęboko odetchnął, starając się otrząsnąć z koszmarnego snu. To tylko sen. Ten sam co zwykle.

Wzdrygnął się i przecesał palcami wzburzoną czuprynę. Lady Amherst spała obok niego, nieświadoma piekła, jakie przeżywał jej partner.

Derek oparł się o zagłówek łóżka, rozczochrany i z nagim torsem; prześcieradło okrywało mu biodra. Starając się wrócić do rzeczywisto-

ści, przeciągnął dłonią po szczęce wymagającej już ogolenia; koszmarne obrazy z pola walki powracały natrętnie. Żeby się od nich oderwać, skupił uwagę na śpiącej przy nim kobiecie, która cicho pochrapywała. Przypatrywał się jej obojętnie.

W niekorzystnym, szarym świetle poranka jej rozkoszne okrągłości też budziły podziw; twarz lady Amherst była ukryta w poduszce i zasłonięta włosami. Jej spokojny sen sprawił, że Derek poczuł się jeszcze bardziej samotny.

Wszędzie widniały dowody ich wspólnej zabawy: rzucone w pośpiechu na podłogę części garderoby; mała buteleczka egzotycznego olejku, którym się wzajemnie pieszczotliwie nacierali; butelki po winie; stwardniałe krążki wosku po wypalonych świecach.

Spełniała każdą jego zachciankę i zaspokajała do głębi, ale skoro miał przyjemności aż nadto i kobietę oddaną mu całym sercem, dlaczego znów obudził się z uczuciem pustki?

Westchnął cicho, rozglądając się niespokojnie po pokoju, poczuł się nie-swojo, kiedy dostrzegł na podłodze przy łóżku swoją pomietą kamizelkę.

Sięgnął do niej i z wewnętrznej kieszonki wydobyl diamentowy kolczyk. Wyciągnął się na łóżku. Błyszczący jak gwiazda klejnot wywołał tęskne wspomnienie Mary Niezrównanej.

Przewrotna kokietka... Kim u diabła była? Po co przyszła do altany? Czekala na kochanka? Nie wiadomo... Ale właściwie, co go to obchodzi? Nie potrafił tego wytłumaczyć.

Odnajdę cię, powiedział sobie w duchu.

Być może nie starczyło mu cierpliwości, żeby czekać, aż ona przyjdzie do niego. Nie znał nawet jej imienia, ale w jakiś dziwny sposób tamta nieuchwytna rusałka była mu bliższa niż ta kobieta tu, w jego łóżku.

Kiedy wyczuł zapach potrawy szykowanej przez Purnimę, żołądek gwałtownie zaczął domagać się śniadania. Derek odrzucił przykrycie, starając się nie zakłócić snu kochance.

Wstał i naciągnął białe, luźne kalesony. Kiedy zawiązywał tasemkę w pasie, zauważył tuż przy pępku ślady miłosnych ukąszeń lady Amherst.

Do licha, zapomniał o tym.

Z cynicznym uśmieszkiem narzucił luźną szatę z ciemnego jedwabiu i cicho opuścił pokój, zamykając za sobą drzwi.

Miał kilka spraw do załatwienia i, prawdę powiedziawszy, gdyby mógł tego uniknąć, wolałby nie być przy tym, kiedy hrabina się obudzi. Nie żeby chciał się wykręcić od rozmowy, ale doświadczenie go nauczyło, że im dyskretniej odchodził od kochanek, tym bardziej gładko rozstanie się odbywało. Lubił proste sprawy i czyste zerwania.

Zresztą zamierzał odwiedzić lorda Sinclaira, prezesa komisji.

Miał nadzieję, że dziś bufonowaty hrabia w końcu mu powie, kiedy transporty morskie wyruszą do Indii ze złotem dla wojska.

- Życzę dobrego dnia, sahibie!

Derek pospiesznie uciszył Aadiego, zerkając przez ramię na zamknięte drzwi, kiedy służący szedł w jego stronę. Lepiej nie budzić tygrysy.

- Dzień dobry, Aadi - odpowiedział przyciszonym głosem. - Śniadanie gotowe?

- Tak, panie majorze. Kąpiel też. My... myśleliśmy, że pan rano będzie wychodzić.

- Być może - mruknął Derek zadowolony, że wierna służba zna jego rutynowe zajęcia. - Czy... hm... moglibyście zająć się tą damą, kiedy się obudzi? Wychodzę, a ty dopilnuj, żeby miała wszystko, co trzeba.

- O tak, sahibie. Jak zawsze.

Derek uniósł brew na tę śmiałą uwagę służącego, poszedł jednak za Hindusem, a przede wszystkim za zapachem, do kuchni.

- Panie majorze, co mamy powiedzieć damie, gdyby nas spytała, dokąd pan poszedł? - zwrócił się do niego Aadi po bengalsku, wskazując zamknięte drzwi pokoju.

- Och, nie wiem. Powiedz, że poszedłem załatwiać wojskowe sprawy - odparł również w rodzimym języku służącego, wzruszając ramionami. - Powiedz, co chcesz, tylko dopilnuj, żeby, kiedy wrócę, już jej tu nie było. I pamiętaj, nie zbliżaj się do niej zanadto - ostrzegł, rzucając przez ramię filuterne spojrzenie, kiedy wychodził na korytarz. - Gryzie.

Ubrał się, najadł i już wkrótce był na Piccadilly, zmierzając w stronę eleganckiej rezydencji lorda Sinclaira. Szedł piechotą, bo nie było daleko, i zależało mu też na zabiciu wolnego czasu, podczas gdy jego służba pracowała nad wyprawieniem z domu lady Amherst.

Na rogu ulicy się zatrzymał. Nie zwrócił uwagi na gazeciarza, którego minął; czekając, aż przejedzie omnibus, zauważył kwiaciarnię i szybko podążył w jej stronę.

Zamówił bukiet kwiatów na adres państwa Brooks w podziękę za zaproszenie na bal maskowy, ale w gruncie rzeczy ten dżentelmeński gest miał na celu coś znacznie ważniejszego.

Podczas gdy kwiaciarka szykowała bukiet, wsparty na kontuarze Derek pisał liścik, który miał być dołączony do kwiatów.

Po złożeniu podziękowań i paru słowach zachwytu nad świetną organizacją imprezy Derek z łobuzerskim uśmieszkiem zastanawiał się, jak przedstawić sprawę kolczyka. W końcu umoczył pióro w atramencie i napisał:

Podejrzewam, że któraś z dam goszczących na Państwa balu zgubiła w ogrodzie kolczyk, gdyż znalazłem tę błyskotkę zeszłej nocy, kiedy podziwiałem państwa posiadłość; niestety, zapomniałem powierzyć Państwu zgubę przed opuszczeniem balu. Mam ten klejnot i jest u mnie bezpieczny. Mniemam, że prawowita właścicielka wkrótce się do Państwa zgłosi. Proszę z łaski swojej podać mi tylko nazwisko i adres owej damy, a z pewnością zwrócę go jej jak najprędzej.

Jeszcze raz bardzo dziękuję za Państwa uprzejmość w stosunku do nowego przybysza w Londynie.

Z poważaniem

major D. Knight

Zadowolony z pomysłu, uśmiechając się, zapłacił kwiaciarce i skierował się do rezydencji lorda Sinclaira.

Mary Niezrównana będzie wściekła, że ją rozszyfrował.

Po drodze cały czas o niej rozmyślał. Jak też ta dziewczyna może się nazywać?

Prezes mieszkał we wspaniałym gmachu o sześciu kondygnacjach z czterema rzędami okien opatrzonych zielonymi okiennicami. Knight wszedł przez bramę z czarnej, żelaznej kraty na dziedziniec i po chwili stał już przed drzwiami wejściowymi. Zapukał mosiężną kołatką w kształcie lwiej głowy.

Podał wizytówkę siwowłosemu, wysokiemu kamerdynerowi i przedstawił się ze zdawkową uprzejmością.

- Proszę powiedzieć jego lordowskiej mości, że przyszedłem w sprawie komisji.

Kamerdyner zerknął na kartę i przyjrzał się Derekowi.

- Oczywiście, sir. Przyszedł pan na zebranie?

- Zebranie? - Derek był zdziwiony. - Nie.
- Och! Rozumiem. Proszę wybaczyć. - Kamedyner lekko pobladł i odchrząknął. - Proszę... proszę wybaczyć omyłkę, sir.
- Nieważne. Jestem pewien, że hrabia zechce mnie przyjąć. Zaledwie wczoraj składałem sprawozdanie komisji.

Nie miał zwyczaju tłumaczyć się kamerdynerom, ale lokajowi wymknęła się informacja o zebraniu. Dla Dereka było jasne, że coś się szykuje. W takim wypadku lepiej być miłym i zaskarbić sobie zaufanie tego człowieka. W końcu to właśnie kamerdyner mógł mu uniemożliwić widzenie się z Sinclairem.

- Naturalnie, panie majorze. Proszę wejść. Powiadomię jego lordowską mość o pańskiej wizycie.

- Dziękuję.

Lokaj wyglądał na zdenerwowanego, ale wpuścił Dereka. Major zdjął kapelusz i poszedł za lokajem korytarzem z białą-czarną marmurową posadzką, który prowadził do urządzonego przedpokoju.

Kamerdyner poprosił go, żeby zaczekał.

Nagle Derek poczuł znajome ukłucie na karku; coś takiego doznawał na polu bitwy, gdy groziła zasadzka.

Z pewnością działo się tu coś dziwnego. Czyżby podkomisja obradowała w domu lorda Sinclaira? Szkoda, że nie został zaproszony!

Kamerdyner poszedł zaanonsować przybycie gościa, a Derek czekał; jego podejrzenia rosły. Udawał, że ogląda pięknie urządzone wnętrze. Po chwili usłyszał gniewne głosy, które zdawały się dochodzić z pomieszczenia nad przedpokojem.

Wsluchiwał się w nie, próbując cokolwiek zrozumieć.

- Odpowiedz! - wrzasnął ktoś.

Odezwały się podekscytowane głosy, ale brzmiały niewyraźnie. W tym momencie wszedł chyba do pokoju kamerdyner i przeszkodził panom z komisji, bo kłótnia nagle ucichła. Derek usiadł w fotelu i przybrał obojętną minę - starał się wyglądać jak czekający na przyjęcie przez pana domu gość. Cały czas zachowywał czujność.

Minęło parę minut. Spodziewał się, że kamerdyner za chwilę wróci i powie, że jego lordowskiej mości nie ma w domu. Tymczasem, kiedy otworzyły się drzwi do przedpokoju, zobaczył w nich starego lorda Sinclaira. Wszedł ciężkim krokiem, zaczerwieniony i był chyba w złym humorze.

Derek wstał; lord podszedł do niego, ocierając chustką pot z tłustej twarzy.

- Mój chłopcze, co cię do mnie sprowadza? Nie mam, niestety, zbyt dużo czasu.

- Tak, sir. Dziękuję, że mnie pan przyjął.

Uklonił się z szacunkiem, ale uważnie obserwował prezesa. Coś mu mówiło, że lepiej nie wspominać o zebraniu.

- Chciałem się dowiedzieć, czy może pan słyszał coś o transporcie do Indii, kiedy będzie gotowy do wypłynięcia - powiedział ostrożnie.

- Co, od wczoraj? Ochłoń trochę, chłopcze! Musisz się zdobyć na więcej cierpliwości. Wiem, że tą cnotą nie może się szczycić nasza kawaleria, ale zanim dojdzie do uruchomienia funduszu, muszą być zachowane procedury. Na twoim miejscu oczekiwałbym pewnych opóźnień.

- Opóźnień? Dlaczego, sir? Czy są jakieś kłopoty?

- Nie jestem magikiem i nie potrafię wyciągać królika z kapelusza, mój panie! Nie ma żadnych kłopotów. Ale takie sprawy wymagają czasu.

- To znaczy?

- Tygodni. Nawet miesięcy! Trudno przewidzieć!

- Miesiący... ? - Derek był zaskoczony. - Rozumiem.

Ale tak naprawdę nic nie rozumiał.

Nie potrafił sobie wyobrazić splotu okoliczności, który opóźniłby aż o miesiące wysłanie pieniędzy dla wojska. Na operacje wojenne w Indiach przeznaczono trzy miliony funtów; fundusz rezerwowy zdeponowany w Bank of England miał być wykorzystywany w miarę potrzeb.

Tak wyglądała prawda.

Nagle poczuł ściskanie w dołku, zaschło mu w ustach. Spojrzał na starego Sinclaira.

- Sir - wyrzucił wreszcie - ludzie liczą na te pieniądze.

- Majorze, chyba wczoraj dał nam pan to jasno do zrozumienia?

Derek czekał na jakieś logiczne wyjaśnienie. Sinclair chyba nie wszystko mu powiedział. Z pewnością coś tu było nie w porządku.

- Sir, co się dzieje z tymi pieniędzmi? - zapytał nagle, jak zwykle obcesowo.

Prezes popatrzył mu prosto w oczy.

- Radziłbym pamiętać, gdzie jest pańskie miejsce, majorze.

- Sir...?

- Rozumiem, że zależy panu na dawnym stanowisku. Tak, słyszałem o tym. O pana kłopotach z pułkownikiem Montrose'em, o klęsce pod Janpur... Jeżeli chce pan kiedykolwiek otrzymać dowództwo, lepiej niech pan pilnuje swojego miejsca.

Derek wpatrywał się w prezesa ze zdumieniem, te słowa były policzkiem. Groził mu zrujnowaniem kariery wojskowej!

- Napiszę do pana, kiedy będę coś wiedział. - Prezes odwrócił się i chciał wyjść.

- Milordzie...?

- Co jeszcze? - warknął Sinclair.

Major nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Być może to naiwność z jego strony.

Nie chciał jednak zaostrzać sytuacji.

- Gdybym mógł... hm... w jakiś sposób być pomocny przy tej procedurze, sir, jestem do dyspozycji.

Hrabia złagodniał; być może taką deklaracją uspokoił jego lęk, że dzikus z kolonii napyta wszystkim biedą.

- Bardzo rozsądnie, majorze. Na razie nie ma takiej potrzeby. - Prezes odchrząknął i zmienił ton. - Kiedy będę miał informacje, dam znać. Na razie może pan czuć się jak na urlopie i dobrze się bawić w londyńskim towarzystwie, młody człowieku. Słyszałem, że cieszy się pan powożeniem u dam.

Derek zacisnął zęby; jeszcze jedna obelga. Prezes nie traktuje go poważnie, uważa za durnego żołdaka. Mięso armatnie. Doskonale. Jeszcze się przekona!

Z ponurym spokojem skinął głową.

- W porządku, sir.

- Dobry z pana chłopak.

Sinclair wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Pojawił się kamerdyner, który odprowadził Dereka do wyjścia.

O co w tej sprawie chodzi? - zastanawiał się Derek, idąc wolno przez Piccadilly. Coś jest nie tak. Jasne, że są kłopoty z pieniędzmi. Ale w czym rzecz?

Rozmyślał nad tym przez całą drogę do Althorpe, a kiedy podszedł do furtki na tyłach domu, ktoś zawołał go po nazwisku.

- Panie majorze Knight!

Męski głos z londyńskim akcentem. Ten ktoś nie wołał zbyt głośno, jakby nie chciał zwrócić na siebie uwagi otoczenia. Derek się odwrócił.

- Tak?

Zobaczył woźnicę, wychylonę z czarnego powozu, który chyba już od jakiegoś czasu stał po drugiej stronie ulicy. Czekał na niego?

Krępy, żylasty, średniego wzrostu stangret zszedł z kozła i podszedł do Dereka. Pod długim, ciemnym płaszczem mógł swobodnie ukryć broń; ale w ręku trzymał tylko długi bat. Na głowie miał czarny kapelusz z opadającym na czoło rondem, które przysłaniało ogorzałą twarz... bandziora.

- Czego chcesz?

- Jestem Bates, sir. Szef kazał mi pana zabrać.

- Co?!

Do diabła! Derek przeklinał w duchu swoje kochanki. Która z nich nie była uprzejma powiedzieć mu, że jest mężatką? Uniósł hardo brodę.

- Kto jest twoim szefem i czego on chce?

- Pracuję dla pana Edwarda Lundy'ego, z Kompanii, sir. - Stangret przerwał na chwilę. - Powiedział, że pan może będzie chciał z nim porozmawiać o sprawach komisji.

Knight był zaintrygowany. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że to może być pułapka.

Groźnie wyglądający służący Edwarda Lundy'ego rozejrzał się, jakby sprawdzał, czy nie ma niepotrzebnych świadków.

- Pan Lundy ma... jakąś wiadomość dla pana majora.

- No, dobrze. Wobec tego jedźmy.

Derek skinął głową. Podjął ryzyko.

Miał doświadczenie w samoobronie, ufał swoim umiejętnościom walki na szpady i pistolety; wszedł bez obawy do powozu.

Co Lundy może mieć do powiedzenia? Niewykluczone, że dzięki niemu dowie się czegoś. W każdym razie ta propozycja rozmowy była lepsza od rozkazu, żeby „ochłonał” i „bawił się dobrze w towarzystwie” jak jakiś bezrozumny hulaka.

Wojna ciągle trwa! Pomyślał o swoich żołnierzach, zdanych teraz tylko na siebie. Musi poznać prawdę, co się dzieje z pieniędzmi dla wojska. Oby tylko Lundy mógł mu powiedzieć.

Stangret zatrzasnął drzwi powozu. Odjechali.

Przez neogotyckie okna okazałego domu Edwarda do wnętrza przenikało niewiele światła.

Z miejsca, w którym siedziała Lilly, były widoczne ostre, szare sylwetki wieżyczek i ścian szczytowych kontrastujących ze szmaragdową trawą.

W domu, gdzie prawdopodobnie kiedyś zamieszka, czuła się jak w klatce. Może z powodu tylu maleńkich szybek w wąskich oknach. Typowo gotycki wystrój sali przytłaczał ponurością.

Lilly pomyślała, że kuzynkę Pamelę taki dom wprawiłby w zachwyt. Ciemna boazeria sięgała aż do sufitu, pod którym były drewniane belki w kolorze ściennej okładziny. Trzy kandelabry z kutego żelaza wyglądały jak wydobyte z jakiegoś lochu.

Panie zasiadły na krzesłach obitych aksamitem, nie opodal zionącego ogniem kominka.

Lilly ubrana w skromną beżową suknię, ozdobioną koronką barwy kości słoniowej, siedziała obok swojej przyzwoitki; słuchały pani Lundy, która mówiła z entuzjazmem o planowanym przyjęciu.

- Będą rozmaite gry sportowe; krykiet dla dżentelmenów, zawody łucznicze dla pań, tenis dla jednych i drugich... Aha, jeszcze gra w kule na trawie. Zechciałaby pani zerknąć na menu, pani Clearwell?

- Jeżeli można... - Matka chrzestna z gracją wzięła do ręki arkusik papieru.

Gdy przeglądała menu, pani Lundy patrzyła na nią z niepokojem. Lilly spoglądała ukradkiem na ogromną, wysadzaną drogimi kamieniami broszę, zdobiącą górę sukni pani domu, jej przyszłej teściowej. Brosza wyglądała jak gigantyczny owad, wspinający się na ramię właścicielki. To okropieństwo musiało kosztować fortunę.

- Może pani mieć problem z lodami, jeżeli dzień będzie zbyt upalny - zwróciła uwagę pani Clearwell. - Kurczaki z migdałami wydają mi się bardzo dobrym pomysłem. Sałata również.

- O, dziękuję pani za te uwagi! - Pani Lundy otarła chusteczką mokre od potu policzki. - Bardzo bym chciała, żeby wszystko wypadło doskonale, ze względu na Eddiego. Wie pani, on tak ciężko pracuje.

Teraz też pracował i nie wolno mu było przeszkadzać; miał gabinet w najdalszej części ogromnego domu.

Nieobecność Eda nie zmartwiła Lilly. Wołała nie widzieć swojego adoratora do czasu, aż z jej myśli zniknie Derek Knight.

Pani Clearwell podała jej proponowane menu, a pani Lundy wydobyla plan rozstawienia stołów pod wielkim pasiastym namiotem na trawniku przed domem.

Gdy matrony omawiały szczegóły przyjęcia, Lilly siedziała wpatrzona w kartkę z menu, ale jej myśli błądziły gdzieś daleko.

Zapomnij o nim!

Od pierwszej chwili wiedziała, że Derek Knight jest niebezpieczny. Sprowadziłby tylko kłopoty. Już sprawiał, że oddalała od siebie myśl o małżeństwie z Edwardem.

To mój obowiązek, powtarzała sobie w duchu.

Cóż, o kimś takim jak Derek Knight powinna zapomnieć.

Miała już za sobą zdradę i ból złamanego serca; ta chwila słodkiego szaleństwa w altanie nic nie znaczyła. Poza tym nawet gdyby w jakiś sposób usidliła Dereka, mogła sobie wyobrazić reakcję matki, gdyby zjawiła się w domu z przystojnym oficerem bez grosza.

Ma być bogaty i głupi! Lilly westchnęła. Czemu miałyby się zastanawiać nad czymś, co się nigdy nie stanie? Gdyby nie wyszła za Edwarda czy za innego bogacza, musiałyby sprzedać Balfour Manor, a to byłoby przyznaniem się do porażki. Ostatnim gwoździem do trumny rodu Balfourów.

Wszystko zależało teraz od niej.

Gdyby tylko zdołała przestać myśleć o dłoniach Dereka Knighta... Były twarde, silne i zwinne, ale delikatne. Ciągle jeszcze czuła ich dotknięcia, kiedy obejmował jej twarz, pieścił szyję i ramiona... wciąż wracało wspomnienie nocy w altanie, wyobrażała sobie, co jeszcze mogło się wydarzyć, i puszczała wodze fantazji; ale teraz to nie były już marzenia niewiernej panienki, lecz odezwały się potrzeby i pragnienia kobiety.

Boże...

Poprawiła się na krzeselku; czubkiem języka oblizała wargi. Miała głębokie poczucie winy, że tak łatwo dał się wciągnąć w tę grę. Chciałaby być kimś lepszym, niż jest.

- Co pani o tym sądzi, droga panno Balfour?

Lilly wróciła do rzeczywistości; odchrząknęła.

- Przepraszam?

- Co ja widzę? - zażartowała pani Lundy. - Czyżby nasza młoda dama zatoneła w romantycznych marzeniach?

- Och, naprawdę przepraszam.

- Pani Lundy pytała, czy wołałabyś, żeby zaprosiła na to przyjęcie muzyków z piszczakami i bębnami, czy orkiestrę dętą.

- Cokolwiek pani postanowi, będzie to z pewnością najlepsze, jestem tego pewna, madame! - Lilly zmusiła się do uśmiechu. - A może raczej powinniśmy o to zapytać Edwarda?

- Więc to o nim śnisz na jawie? - Pani Lundy się zaśmiała; kładła zamyslenie Lilly na karb uczucia do jej synalka. - Gdzie się ten chłopak podziewa? Powinien tu przyjść, przywitać się z paniami! To naprawdę bardzo niegrzecznie z jego strony!

- Och, nie chciałabym mu przeszkadzać...

- Nonsens! - Zadzwoiła srebrnym dzwonkiem na służbę. - Pewnie zagrzebał się w swoich księgach. Trzeba mu przypomnieć, że tu jesteś.

Pojawił się krzepki lokaj. Lilly nie mogła pojąć, dlaczego wszyscy służący Edwarda są atletycznej budowy; pani Lundy jednak śmiało wydawała rozkazy tym potężnym mężczyznom.

- Bądź tak łaskaw i powiedz mojemu synowi, żeby przyszedł złożyć paniom uszanowanie. Nie mogą przecież przez cały dzień czekać, aż on ruszy swój leniwy tyłek!

- Tak jest, madame - mruknął lokaj, a pani Clearwell, słysząc to niezwykle słownictwo, dyskretnie zerknęła na swoją podopieczną. Lilly zakasłała, zakrywając usta dłonią w rękawicze.

- No! Jestem pewna, że zaraz przyjdzie - stwierdziła nie bez dumy pani Lundy.

Wtedy na podjazd wtoczył się powóz. Mijał właśnie kamienne posągi lwów przy wejściu do posiadłości Edwarda. Wszystkie trzy panie wyjrzały przez okno, spoglądając na elegancki powóz, który aż lśnił w promieniach słońca; zatrzymał się na podwórku tuż pod oknami.

- Ciekawe, kto to - mruknęła pani Clearwell.

Odwróciła się od okna, gdy wszedł lokaj:

- Pan kazał mi powiedzieć, że zaraz wychodzi na spotkanie z jakimś kolegą z komisji, madame. Przeprasza i mówi, że wróci, jak tylko można najprędzej. Mówił, że to nie potrwa długo, ale nie chce sprawiać paniom kłopotu.

- Przynieś nam coś do przegryzienia - rozkazała pani Lundy służącemu o twarzy bandyty. - Herbatę, biszkopty... może czekoladę, co panie na to? A może lemoniadę? Albo nawet coś mocniejszego? Na szczęście dla mojego syna jeszcze nam zostało trochę szczegółów do omówienia. Powiedz mu, żeby się pospieszył. Mógłby zaprosić tego swojego kolegę do nas na herbatę. Pod warunkiem że to człowiek godny szacunku - dodała pospiesznie.

- Tak jest, madame.

Pani Clearwell lekko uniosła brwi i spojrzała wymownie na Lilly, jakby wątpiła, czy Edward zna kogoś godnego szacunku - oczywiście poza nimi dwiema.

Pani Lundy podeszła do okna.

- Och! Och, mój Boże...

Pani Clearwell stanęła obok niej. Szeroko otworzyła oczy.

- Boże! - Westchnęła. - Gdybym tak miała o trzydzieści lat mniej!

- Słowo daję, piękny chłop; rzadko się takich widuje - przyznała z podziwem pani Lundy.

Lilly patrzyła z rozbawieniem na obie panie i wiedzioną ciekawością zerknęła przez okno, żeby samej zobaczyć tego „pięknego chłopca”.

Oniemiała. Nie mogła się poruszyć. Ani odetchnąć. Ani nawet mrugnąć okiem.

Derek Knight!

Boże w niebiosach! On tu? Serce jej waliło, krew odpłynęła z twarzy.

Z pewnością wiadano już, że splamiła swój honor.

Ogarnął ją paniczny strach, kiedy zobaczyła Edwarda witającego się z majorem. Żaden z nich się nie uśmiechnął; nie podali sobie rąk.

Boże drogi! - pomyślała. Chyba nie dojdzie do jakiejś gwałtownej sceny?

Nie miała wątpliwości, kto byłby ofiarą, gdyby stanęli do pojedynku. A ona przecież potrzebowała Edwarda żywego!

Poszli w stronę stajni. Lilly, widząc ich kamienne twarze, była bliska paniki. O co chodzi? Zdenerwowana wyobrażała sobie rzeczy najgorsze z możliwych.

Ktoś musiał ich zobaczyć razem ostatniej nocy i powiedział o tym Edwardowi... A może dama, która przyszła na spotkanie z Derekiem, widziała całą scenę w altanie i opowiedziała o tym... A jeśli Edward wezwał tu Dereka, żeby ukarać i jego, i ją, ale każde z osobna...

A może miał inny zamiar.

Uknuł intrygę.

Obaj przecież spędzili dużo czasu w Indiach. Tam się mogli poznać. Co, jeżeli działają w zмовie?

Może Edward przy pomocy Dereka chciał się przekonać co do... jej lojalności, bo wyczuł, że Lilly nie jest taka przyzwoita, jak się wydaje. Był przecież bezwzględny.

O Boże...

Wpadła w pułapkę.

Służący Lundy wyciągnął do pokoju wózek z herbatą i przekąskami. Powinna wypić odrobinę herbaty i spróbować się uspokoić, ale nie była w stanie zrobić żadnego ruchu, wciąż siedziała nieruchomo, sztywno wyprostowana, starając się ukryć zdenerwowanie.

Koniec ze mną, pomyślała. Wszystko przepadło. Jestem zhańbiona. Znalazła się w potrzasku.

Pozostawało tylko czekać i patrzeć, jak jej plany małżeńskie obracają się wniwecz.

Co mogła zrobić? Uciec stąd? Jaki to miałyby sens, skoro już odkryto jej rozwiązanie?

Ta skandaliczna prawda pójdzie za nią wszędzie.

Dlatego właśnie przez tyle lat nie opuszczała Balfour Manor, dlatego dziadek zostawił dom właśnie jej! Dom! To jedyne bezpieczne miejsce, w którym teraz będzie mogła się ukryć, skoro znów zawałił się jej świat.

Nie przpuszczała, że ten dzień nadejdzie tak prędko.

Serce jej waliło. Patrzyła z pozornym spokojem, jak pani Lundy nalewa herbatę.

Kiedy jednak wzięła filiżankę i podniosła do ust, o mało jej nie wylała, tak jej drżały ręce.

6

Witam, majorze. - Lundy skinął głową. Żwir chrząścił mu pod butami, kiedy szedł przez podwórze. - Dobrze, że pan przybył.

- Nie wiedziałem, że mam jakiś wybór. - Derek rozejrzył się wokoło.

Lundy wskazał stajnię.

- Chodźmy tam.

Kiedy dochodzili do budynku, rozległo się wściekłe szczekanie.

- Pies stróżujący?

- Potwór. Ale niech pan się nie obawia, jest zamknięty w klatce. Jak wypadła wizyta u prezesa? - rzucił, wpatrując się w szeroko otwarte okna stajni.

Derek nie krył zaskoczenia.

- Wie pan o tym?

- Naturalnie. Kazano mi zaprzyjaźnić się z panem.

- Naprawdę? Dlaczego?

Lundy pokiwał głową. Miał chytre spojrzeniem.

- Chwileczkę. Nie słyszę własnych myśli. Maguire! Ucisz tego psa! - rozkazał stajennemu, kiedy wchodzili do stajni.

Chłopak zbladł.

- Sir, z całym szacunkiem, nie zbliżę się do tej bestii!

- Co?! - huknął Lundy. - Masz szczęście, że go tobą nie nakarmię.

Gdzie Jones?

Derek uniósł brwi zdumiony, że Lundy nawet się nie starał wyegzekwować polecenia.

- Poszedł do powozowni. Mam go sprowadzić?

- Nie trzeba. Pies i tak słucha tylko mnie. Maguire - uśmiechnął się szyderczo - pokaż majorowi, co Brutus zrobił z twoją ręką.

Stajenny przełożył widły do drugiej ręki i pokazał prawą dłoń, w której brakowało niemal wszystkich palców.

Lundy posłał Derekowi znaczące spojrzenie.

- Chodźmy, rozejrzemy się.

Idąc środkowym przejściem między boksami pierwszorzędnej stajni, Derek przyznał w duchu, że gospodarz ma się czym chwalić. Ktokolwiek wybierał Lundy'emu konie, znał się na tym. Musiało tam być co najmniej

dwa tuziny najlepszych pełnokrwistych koni; araby, konie czystej krwi, konie hanowerskie, irlandzkie konie do polowań...

Derek poczuł ukłucie zazdrości, co mu się rzadko zdarzało, ale jak większość kawalerzystów pasjonował się końmi. Żałował, pomyślał, ten bęcwał, prostak Lundy osiągnął już to, czego ja pragnąłem najbardziej na świecie. On, pomyślał, pewnie nawet nie umie jeździć konno...

Cóż, ja też mogłem się sprzedać i objąć bardzo wygodne stanowisko w Kompanii. Ale kto pilnowałby bezpieczeństwa żołnierzy, szkolił ich do walki?

Westchnął tylko i poszedł za gospodarzem w najdalszy koniec stajni.

- Brutus! Cicho! - wrzasnął Lundy na olbrzymiego czarnego psa zamkniętego w stalowej klatce. Nagle dostrzegł czterech służących, którzy siedzieli w kącie, otoczeni chmurą dymu, i grali w karty.

- Ej, wy! Do roboty, i to zaraz! - ryknął. - Zakazałem palenia w stajni, jasne?

- Przepraszamy, sir. Już nie będziemy.

Karty zniknęły w czyjejs kieszeni, cygara pospiesznie zgaszono w końskim poidle.

- Nie ma co przepraszać! Któregoś dnia spalicie stajnie, a wtedy za płacicie za to głową: powieszę was!

Służący rozbiegli się, a ich pan poklepał Dereka po plecach.

- No, chodźmy! Musimy pogadać.

- Właśnie... - mruknął Derek.

Gospodarz z dumą oprowadzał go po stajni, zaznaczając za każdym razem, ile go każdy koń kosztował. Poza ceną nie wydawał się wiedzieć więcej o swoich rumakach. Derek powstrzymał się od komentarzy i milczał.

Lundy chciał na nim zrobić wrażenie - czy też go dręczyć - zatem, jeżeli czekał na odpowiedź, najrozsądniej było zrobić mu grzeczność i jej udzielić.

To nie sprawiało trudności.

Konie były piękne. Stanęli przy boksie wspaniałego jabłkowitego araba. Klacz skubnęła kieszeń surduta Dereka w poszukiwaniu marchewki, a on poklepał ją po szyi.

- Więc polecono panu zaprzyjaźnić się ze mną. Kto panu polecił? - ostrożnie skierował rozmowę na interesy.

- A jak pan myśli?

- Lord Sinclair.
- Jasne. Punkt dla pana.
- Złożyłem mu wizytę, zanim przywieziono mnie do pana. Miał akurat jakieś zebranie.
- Wiem. Byłem tam wcześniej, już rano.
- Aha... Dlaczego chciał, żeby zaprzyjaźnił pan się ze mną?
- Żeby panu oszczędzić kłopotów. Zająć pana czymś, odwrócić uwagę od komisji, która ma problemy.

- Problemy?

Lundy pokiwał głową.

- Myślę, że jestem głupcem. Ale bardzo się mylą. Nie dam się zrobić. Nie miałem z tym nic wspólnego. I nic mnie nie obchodzi, co będą mówić.

- W co chcieliby pana zrobić?

Lundy wpił się w niego spojrzeniem, po czym odwrócił wzrok; nie odkrywał kart.

- Sinclair spodziewa się, że pan, będąc w Londynie, odda się rozpuszcieniu, zabawie i pijaństwu; że będzie pan polować na spódniczki i wdawać się w awanturki jak większość kawalerzystów na urlopie.

- Pan też jest tego zdania?

- Nie. Ale dobrze, żeby tak myślał Sinclair.

- Prawda. - Derek przytaknął, chociaż nie był pewien, do czego to wszystko prowadzi.

Lundy oparł się o boks koński.

- Widzi pan, majorze, ja wiem, co znaczy żołnierska lojalność. Wczoraj tak żarliwie mówił pan o potrzebach armii. Wzruszająco. Przypomniałem sobie lata swojej służby. Ludzi z mojego oddziału... Też byłem w Indiach, chociaż tylko w wojskach Kompanii.

Przerwał; w oczach zalśniła mu iskra dawnej rywalizacji między tymi dwiema armiami.

Wojska regularne, które podlegały Koronie, zawsze budziły zazdrość prywatnych sił bezpieczeństwa Kompanii Wschodnioindyjskiej, ochraniających karawany handlowe Kompanii na terenie Indii. Kiedy ich codzienne działania przechodziły w otwartą wojnę, wzywano do pomocy wojska regularne. Zawodowa armia królewska to była elita. Podczas wojny oba wojska razem walczyły. Zawodowcy odznaczyli się większym

zdyscyplinowaniu, wyróżniało ich także silne poczucie solidarności zespołowej.

Dla żołnierzy zawodowych, takich jak Derek czy Gabriel, gotowych oddać życie za króla, honor i ojczyznę, powołaniem była walka; żołnierze Kompanii, tacy jak Lundy, po prostu wykonywali swój zawód. Pierwsi patrzyli z góry na wojska Kompanii, a te nigdy nie wyzbyły się zazdrości.

- Znam takich jak pan - ciągnął Lundy. - W Indiach człowiek uczy się myśleć samodzielnie albo umiera. Nie sądzę, żeby pan zapomniał o celu swojej misji i zachłysnął się przyjemnościami życia towarzyskiego, czekając na wiadomość od lorda Sinclaira. Ale jego lordowska mość liczy, że tak będzie.

- O co tu tak naprawdę chodzi?

Lundy uśmiechał się, delektując swoją wiedzą.

- Proszę powiedzieć!

- Spokojnie, majorze, to nie Indie. Nie może mi pan rozkazywać.

Derek aż zmrużył oczy z wściekłością.

- Dostyc tego. Proszę nie marnować mojego czasu. Jest jakiś kłopot z pieniędzmi, tak?

Lundy spojrzał za siebie przez ramię.

- Po wczorajszym wieczornym głosowaniu komisja spotkała się, żeby przejrzeć księgi i ustalić kwotę dla wojska. Okazało się, że brakuje trzystu tysięcy funtów.

- Trzystu tysięcy... ?

- Dokładnie. Ktoś z komisji musiał zebrać dla siebie śmietankę z mleka. Właśnie o tym, zdaniem lorda Sinclaira, nie powinien się pan dowiedzieć.

Derekowi aż serce się ścisnęło, gdy pomyślał o żołnierzach na pierwszej linii frontu, tak okrutnie zdradzonych. Z trudem panował nad nerwami.

- Dlaczego pan mi o tym mówi?

- Bo mi pan pomoże znaleźć tego, kto capnął pieniądze.

- Co, ja?!

- Zależy nam na tym samym, majorze: na ludziach. Znam swoje miejsce w tej komisji - mówił Lundy z tajemniczą miną. - Działam w niej najkrócej, no i jestem osobą z zewnątrz. Nigdy nie byłem jednym z nich. Tych... wysoko urodzonych. Uważają, że znalazłem się bezprawnie w tym

gremium. Nienawidzą mnie za to, co osiągnąłem, za to, że sam zdobyłem majątek. Wiem o tym doskonale. Wiem, jaki jest świat. Ktokolwiek ukradł te pieniądze, będzie próbował zwalić winę na mnie. Czuję to w kościach. Zrobią kozła ofiarnego z człowieka niskiego urodzenia, jeżeli w ten sposób ochronią kogoś ze swojej sfery. Pan musi mi pomóc odkryć prawdę!

- Co pan proponuje?

- Śledztwo. Połączenie wysiłków. Oni nie wierzą ani panu, ani mnie. Jesteśmy tu obcy. Ale jeżeli będziemy ich utwierdzać w błędnym mniemaniu o nas i podejmiemy wspólne działania, na pewno wybadamy, dokąd powędrowały pieniądze. Dotrzemy do prawdy.

- Śledztwo...?

- Tak. Polecili mi odciągnąć pana od tej sprawy. Niech myślą, że właśnie to robię... Postaram się zbierać wszelkie informacje i przekazywać je panu. Ale nie chcę być zamieszany w sprawę. To by mogło wzbudzić podejrzenia, a tkwiąc w środku, będę mógł najlepiej działać.

- Prawda. - Derek przypatrywał się mu badawczo.

- Jeżeli wpadnie nam w ręce naprawdę mocny dowód, nie zdołają zwalić winy na mnie, a ten, kto pieniądze wziął, będzie musiał je zwrócić. Złoto było przeznaczone dla żołnierzy. Im prędzej je znajdziemy, tym szybciej je dostaną.

- Cóż, co do jednej rzeczy ma pan rację - stwierdził Derek ponuro. - Na pewno nie odpuszczą tej sprawy.

- Tak właśnie myślałem. Ale musi pan być ostrożny. W pana wypadku skorzystają z każdej sposobności. Jeśli zorientują się, że razem próbujemy znaleźć złodzieja, nie cofną się przed niczym.

Derek skrzyżował ramiona i pogrążył się w myślach: nie miał pewności, czy może zaufać temu człowiekowi.

- Jest pan niezwykle spokojny, majorze. Chyba dobrze pana oceniłem?

- Tak - odparł Derek lakonicznie. Obrzucił Lundy'ego badawczym spojrzeniem, ale nie uznał za stosowne wspomnieć mu o zawołanej groźbie lorda Sinclaira, że on, Derek, mógłby na zawsze utracić swoje stanowisko w wojsku. Był absolutnie pewny, że chce dojść do prawdy, ale miał też wiele do stracenia.

Więcej niż przypuszczał Lundy.

Odezwał się po chwili, ważąc każde słowo:

- Skąd mogę wiedzieć, że to nie pan wziął pieniądze?

- Ależ zapraszam pana do przejrzania moich ksiąg rachunkowych! Jeżeli pan chce, może porozmawiać z moim bankierem. Nie mam nic do ukrycia. Zobaczymy, czy tak samo będzie z innymi... - Przerwał na moment. - Słyszałem, że Marathowie o mały włos nie zabili pańskiego brata.

Derek starał się ukryć zaskoczenie, ale sobie przypomniał, że ta wiadomość o bracie rozeszła się w towarzystwie.

- Możemy wytluc tych bandytów, oczywiście pod warunkiem że armia będzie mieć wszystko, co potrzeba - mówił Lundy. - A więc, chce pan, żebyśmy pobili Marathów, czy nie?

Derek spiorunował go wzrokiem. Jasne, że chciał pobić Marathów, ale nie podobało mu się, że Lundy próbuje nim manipulować.

- Hm... Sir...?

Obaj spojrzeli na lokaja, który właśnie wszedł do stajni.

- Co to ma znaczyć? - huknął Lundy.

- Sir, pani Lundy prosi pana i tego drugiego dżentelmena na herbatę i przekąski.

Lundy przewrócił oczami.

- Boże!

- Pan jest żonaty? Nie wiedziałem.

- On mówi o mojej matce.

- Pani Lundy kazała powiedzieć, że panna Balfour i jej opiekunka mają pilne sprawy do załatwienia. Mówiła, że panie mogą zostać jeszcze tylko kwadrans.

- Dobrze, zaraz tam przyjdę - burknął Lundy z cierpiętniczą miną. - Przekąsi pan coś, majorze?

Derek wzruszył ramionami i unióśł brwi.

- Czemu nie?

- Tędy, proszę.

Kiedy szli w stronę domu, Derek rozmyślał o propozycji Lundy'ego.

Mimo braku zaufania do tego człowieka nie zrezygnował z oferty. Zachował pozory i będzie go obserwował. Sprawiał wrażenie szczerego, poza tym Derek miał więcej wspólnego z nim niż z Sinclairem czy z innymi członkami podkomisji; to przecież były żołnierz, który w dodatku też służył w Indiach. No i obu zależało na wyjaśnieniu sprawy zdefraudowanych pieniędzy.

- Panna Balfour, kto to jest? - spytał, odkładając na później poważną rozmowę.

- Bardzo piękne stworzenie... i moja osobista przyjaciółka.

- Rzeczywiście?

- Prawdę mówiąc, to moja przyszła żona. - Lundy uśmiechnął się tajemniczo.

- Jesteście zaręczeni?

- Jeszcze nie, ale to już wkrótce nastąpi.

- I myśli pan, że powie „tak”?

- Ja myślę! - Lundy się zaśmiał. - Uważa pan, że moje konie są piękne? Niech pan poczeka, aż pan ją zobaczy! Mój słodki klejnocik! - rozczulił się. - Nikt nie zaprzeczy, że to, jak mówią „brylant czystej wody”. Wspaniała kobieta, majorze!

- Naprawdę? Jest pan szczęściarzem.

- A w dodatku dama! Ma klasę. Pochodzi ze starego rodu. Tak starego jak pański - dodał. - Arystokratycznego.

- Ciekaw jestem, czym pan ją ujął...

- Urokiem osobistym. A co pan myśli? Jej rodzina to bankruci.

- Znaczy że świadomie żeni się pan z dziewczyną, która poluje na pański majątek?

Lundy wzruszył ramionami.

- Stara krew... Już panu mówiłem.

Derek aż się wzdrygnął.

- Ma pan odwagę.

- Bates! - krzyknął Lundy w stronę stangreta. - Czekaj tu z powozem. Niedługo odwieziesz majora na Althorpe. Już jesteśmy - mruknął, wchodząc do domu. Wskazał Derekowi drogę do salonu.

Siedziały tam trzy panie; ich sylwetki rysowały się wyraźnie na tle gotyckich okien.

Edward przedstawił Dereka pani Lundy, promiennie uśmiechniętej, potem przyzwoitce, pani Clearwell, sympatycznej matronie ze szpilkami w kształcie gwiazdek we włosach. W końcu zwrócił się do eleganckiej młodej panny, która od chwili, gdy Derek wszedł do pokoju, siedziała nieruchomo, z kamienną twarzą.

- Panna Lilly Balfour. - Lundy stał z dumną miną przy krześle panny i zaborczo trzymał ją za rękę w białej rękawiczce. - Panna Balfour,

to major Derek Knight, dopiero co przybył z Indii. Kuzyn księcia Hawkscliffe - dodał, jakby chciał podkreślić „osobistej przyjaciółce”, jakich to ma ustosunkowanych znajomych.

- Majorze... - bąknęła, nie podnosząc oczu.

Ależ nadęta panna, pomyślał Derek. Czyżby uważała, że nie zasługuje na jej spojrzenie, mimo że jest kuzynem księcia? O mało nie parsknęła. Niech licha weźmie londyńskie debutantki. Spotykał nieraz podobne łowczynie fortun; zawsze rozglądały się za pierworodnymi synami. Nie traciły ani chwili na mężczyzn, którzy mieli mniej niż sto tysięcy w banku.

Niemniej złożył jej uprzejmy ukłon.

- Panno Balfour...

Nawet się nie uśmiechnęła; siedziała jak mumia, z wzrokiem wbitym w podłogę.

Kiedy Lundy puścił jej rękę, położyła ją natychmiast na kolanach.

Starsze panie usadowiły Dereka na krześle pomiędzy sobą i zarzuciły go tysiącem pytań.

- Co pana sprowadza do Anglii, majorze?

- Przysłano mnie, żebym zaświadczył przed komisją o stanie armii w Indiach, madame.

- Przed komisją Eddiego?

- Tak, madame.

- Jest pan żonaty?

Nie mógł powstrzymać się od śmiechu, bo pani Clearwell jak widać nie traciła czasu.

- Nie, madame.

- Cóż, wobec tego musimy panu kogoś znaleźć.

- Pani Clearwell! - Panna Balfour wreszcie okazała jakieś emocje, była zażenowana.

- Ależ oczywiście! - Entuzjazm matki Lundy'ego jeszcze bardziej rozbawił Dereka. - Majorze, musi pan przyjąć zaproszenie na moje przyjęcie w ogrodzie. Będzie mnóstwo pięknych pań.

- Nie odmawiam, chętnie je poznam - odparł. - Czy nie przeszkodzi pani, jeśli przyjdę z bratem?

Jego niewinne pytanie wprost zachwyciło matrony

- Ma pan brata? - wykrzyknęły niemal jednocześnie.
- Koniecznie musi przyjść z panem!
- Czy też jest kawalerem?
- Tak. Obaj nie mieliśmy szczęścia w miłości. - Derek zaśmiał się przytłumionym, diabolicznym śmiechem. Gabriel mu tego nie wybaczy. Ale przecież nie wyciągnął go jeszcze ani razu z domu! - Zanim wyjechaliśmy z Indii, mój brat został ranny w bitwie.
- Straszne!
- Biedak!
- Staralem się łagodzić jego cierpienia. Opiekowałem się nim, ale, zresztą same panie wiedzą, trudno mi się równać z czułą troską pełnych dobroci dam.
- Naturalnie, majorze. Jakie to smutne!
- Wiemy, jak zadbać, żeby pański brat dobrze się czuł na przyjęciu.
- Panie są zbyt łaskawe.

Bawiło go, że zdawały się świata poza nim nie widzieć. Przywykł do takiego traktowania; zwykle kobiety pragnęły albo iść z nim do łóżka, albo mu matkować.

Ale żeby go ignorowały? To nigdy się nie zdarzyło.

Tymczasem panna Balfour wciąż nie zwracała na niego uwagi.

Co u licha tak ją fascynowało? Była dosłownie pochłonięta patrzeniem przez okno, jakby po klombach przechadzał się w tej chwili jedno-rozec. W końcu oderwała wzrok od okna i dla odmiany wypatrywała się w filizankę - może wróżyła sobie z fusów.

Ta dziewczyna jest po prostu niegrzeczna. Albo, sądząc po minie, bola ją zęby, pomyślał złośliwie. Uraziła jego męską dumę. Irytował go taki brak zainteresowania ze strony pięknej młodej kobiety, niezależnie od tego, że lada dzień miała zaręczyć się z Edwardem Lundym.

A przy tym... było w niej coś znajomego. Gdyby podniosła głowę i spojrzeli na siebie, przypomniaby sobie, gdzie ją już widział.

Odpowiadając pani Clearwell na następną serię pytań związanych z małżeństwem jego siostry Georgiany z markizem Griffithem, ukradkiem przypatrywał się prostym jak struna plecocom panny Balfour i jej dłoniom w białych rękawiczkach.

Wypiła już herbatę, odsunęła filizankę na bok i złożyła ręce na podółku.

Miała szczupłą figurę; jasnoblond włosy były ciasno upięte w kok na czubku głowy. Drobne, delikatne kosmyki otaczały twarz i wiły się na karku, otulonym koronką wysokiego kołnierza spacerowej sukni.

Bardzo ładna...

Kto by pomyślał, że Lundy, taki bęcwał, może mieć znakomity gust? Derek był pod wrażeniem.

Panna Balfour, jakby czuła, że jest obserwowana i nie mogła tego dłużej znieść, podniosła głowę i obrzuciła Dereka czujnym spojrzeniem.

Ich oczy się spotkały. Powietrze ze świstem uciekło mu z płuc. Szeroko otworzył oczy. Boże!

Błyskawicznie ją rozpoznał. To ona! Mary Niezrównana, tajemnicza dziewczyna z altany!

Ale czy to możliwe? Mógł się mylić. Miał mętlik w głowie.

Starsze damy wciąż paplały. Lundy obgryzał paznokieć kciuka, a Lilly Balfour patrzyła na Dereka z przerażeniem, jakby go ostrzegała albo o coś w milczeniu prosiła; jej twarz była kredowobiała.

Nie wierzył własnym oczom.

Patrzył na pięknie zarysowaną linię jej szyi, pieścił wzrokiem pszenicznoszłote włosy i skórę barwy kości słoniowej.

Ona jest narzeczoną Lundy'ego?

Patrząc na nią, rozpoznał pełne blasku lawendowe oczy, pamiętał to roziskrzone spojrzenie spoza atlasowej maseczki, którą wtedy miała na twarzy; wspomnienie wywołało ból w sercu. I jej usta... Aż za dobrze zapamiętał ich kształt... i ich smak.

Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, jakby czytała w jego myślach. Teraz Derek spuścił wzrok. Serce mu waliło, chociaż starał się ze wszystkich sił panować nad sobą.

Nagle przemknęła mu przez głowę straszna myśl: ostatnio niektórym ludziom zależało, żeby zszedł im z drogi; liczyli, że przez hulanki, alkohol, kobiety straci kontakt z rzeczywistością.

Czy nocne spotkanie w ogrodzie z nad wyraz powabną dziewczyną to była zasadzka? Czyżby ta piękność należała do spisku i miała coś wspólnego z kradzieżą pieniędzy dla wojska?

Lundy powiedział, że rodzina panny Balfour to bankruci.

Przypomniał sobie o diamentowym kolczyku. Cóż, jeżeli młoda dama chce go odzyskać, będzie musiała odpowiedzieć na kilka pytań.

Kiedy odważył się zerknąć w jej stronę, ostrzegła go spojrzeniem. On jednak był pewien, iż matrony zauważyły, że coś ich łączy, mimo że nic nie wskazywało, by nabrały podejrzeń. Dereka rozbawiło, że Lilly już go nie ignoruje, ale stara się rozpaczliwie nie zwracać jego uwagi, jakby się przed nim chowała.

Teraz już wiedział, czemu nie chciała zdradzić swojego imienia. Mary Niezrównana złapała nababa i zaryzykowała całą swoją przyszłość dla kilku kradzionych pocałunków z nim.

Świadomość tego sprawiła Derekowi przyjemność i trochę rozwiątała podejrzeń. Uznał jednak, że muszą porozmawiać.

- Proszę się częstować, majorze. Lilly, czy mogłabyś...

- Och... hm... naturalnie.

- Nie ma potrzeby, sam się obsłużę. - Derek wstał, żeby razem z nią podejść do stolika z przekąskami. Wykorzystał szansę na takie sam na sam.

Czuli swoją bliskość, kiedy stanął obok niej przy stoliku, wybierając biszkopty i małe kanapki. Stali plecami do pozostałych.

- Wszystko wygląda przepysznie - rzekł przeciągle, żeby wyczuła aluzję w jego słowach.

Odsunęła się odrobinę.

- Co by mi pani poleciła, panno Balfour?

Z wyniosłą miną spojrzała na tacę.

- Myślę, że nie znajdują się takie, które by panu nie smakowały, majorze. Nie wygląda pan na wybrednego. Drogi Edwardzie, co ci podać?

- To samo co majorowi - mruknął.

Derek uniósł brwi: bardzo wątpił, żeby kiedykolwiek dała Lundy'emu to samo co dawała jemu - tamtej nocy. Lilly Balfour obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

Zaśmiała się diabolicznie.

- Mogę prosić o lemoniadę? - spytał poważnie.

- Mam nadzieję, że pan się nią udławi! - szepnęła, podając mu z anielskim uśmiechem dzbanek.

- Lepiej, jeżeli pani będzie dla mnie miła, panno Niezrównana - odszepnął.

Przymknęła oczy, jakby jeszcze ciągle miała cień nadziei, że jej nie rozpoznał.

- Dołóż cukru do mojej lemoniady - powiedział Edward. - Lubię słodką.

Derek z drwiącą miną podał jej łyżeczkę, żeby mogła wykonać polecenie przysłego małżonka. Kiedy jednak ich palce się zetknęły, cofnęła nagle rękę i łyżeczka z brzękiem upadła na podłogę.

- O Boże! - krzyknęła Lilly.

- Nic się nie stało - uspokoił ją Derek; równocześnie schylili się, żeby podnieść łyżeczkę, i omal nie zderzyli się głowami.

Lundy wybuchnął długim, donośnym śmiechem.

- Ma pani talent do gubienia rzeczy, prawda? - szepnął Derek, podnosząc łyżeczkę.

Oczy Lilly miały błyskawice, ale była też w nich ciekawość. Obdarzył ją najsubtelniejszym z uśmiechów na potwierdzenie, że znalazł coś w altanie.

- Za godzinę... w Hyde Parku - wyszeptał.

Obrzuciła go spłoszonym, nieufnym spojrzeniem, ale niedostrzegalnie skinęła głową. Oboje się wyprostowali.

Odłożył na bok łyżeczkę, Lilly sięgnęła po nową i wrzuciła kostkę cukru do lemoniady swojego adoratora. Kiedy Derek brał herbatnik i kanapkę z ogórkiem, Lilly zbyt głośno mieszała łyżeczką w szklance.

Wrócili na swoje miejsca; niebawem Derek wstał i opuścił towarzystwo.

Zanosilo się na dzień pełen zdarzeń.

Kiedy gospodarz odprowadzał go do wyjścia, gdzie czekał już stangret, który miał go odwieźć na Althorpe, Lundy nie mógł się powstrzymać, żeby znów się nie pochwalić swoją zdobyczą.

- Wspaniała, prawda? - Nadymał się rozradowany. - Piękność, jak już panu mówiłem... No i dama! W każdym calu.

- Wspaniała, to prawda - odparł Derek, wsiadając do karety. Zatrzasnął za sobą drzwi.

Nie masz nawet pojęcia, Lundy, jaka wspaniała.

Damy wyszły wkrótce po nim. Jechały czteroosobowym, odkrytym powozem pani Clearwell, żeby korzystać z pięknego, słonecznego dnia.

Lilly trzymała nad głową parasolkę. Powóz jechał wiejską drogą prowadzącą do Londynu. Byłoby jej na pewno milej wystawić twarz do słońca, ale na londyńskim targowisku próżności dama powinna dbać o cerę.

A uroda to tak naprawdę jej jedyny atut.

Pani Clearwell wskazała na piękne jezioro, w połowie ukryte między drzewami wśród łąk, jednak kiedy Lilly nareszcie zdobyła się na skinienie głową i uśmiech, serce wciąż jej biło jak szalone po niespodziewanym spotkaniu z Derekiem Knightem. Znow poruszył jej zmysły.

Nie mogła tego znieść. Niepewność doprowadzała ją do szaleństwa. Musi dowiedzieć się, czy Derek zamierza zdradzić Edwardowi ich tajemnicę.

Mimo wszystko nie miał prawa niszczyć jej małżeńskich planów. Powie mu to na spotkaniu w Hyde Parku.

Oczywiście pokazanie się w publicznym miejscu ze słynnym kobieciarzem narażało na szwank jej reputację; Derek był znany ze swoich miłosnych przygód.

Ale może po rozmowie z nim odzyska spokój ducha. Mogła chyba mieć taką nadzieję. W domu Edwarda nie powiedział nic kompromitującego, chociaż mógł to zrobić. Kiedy ją zobaczył, był tak samo zdumiony jak ona, gdy go ujrzała na podjeździe. Może nie powinna się go bać...

Ale nie miała zamiaru ryzykować.

To źle, że w pewnym sensie była zdana na jego łaskę. Odwieczny pech Balfourów prześladował także ją.

A na dodatek... Boże! Aż trudno uwierzyć. Ten hultaj dał się zaprosić na przyjęcie u Lundyach! Teraz z jeszcze większą niechęcią myślała o tym dniu.

- Co sądzisz o majorze, złotko? - spytała od niechcienia pani Clearwell.

Lilly nie miała pojęcia, że orlooka przyzwoitka patrzy na nią już od dłuższej chwili i czyta z jej twarzy, jakie emocje przeżywa. Kiedy dostrzegła to spojrzenie, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że chrzestna matka słyszy gwałtowne bicie jej serca.

Lilly zbladła i spuściła oczy.

- Wydał mi się... dość przyjemny. - Miała nadzieję, że zabrzmiało to naturalnie.

- Przyjemny? Uważam, że jest czarujący! Prawdę mówiąc, nie rozumiem, dlaczego nie znalazłaś sobie kogoś takiego jak on, zamiast Edwarda. Dzielny, dobrze wychowany i taki nieprawdopodobnie przystojny.

- Pani Clearwell - przerwała jej Lilly, nie mogąc znieść tej litanii zachwytów - czy pani nie wie, że ten człowiek ma jak najgorszą reputację?

Przyzwoitka zmarszczyła brwi i zachichotała.

- Może sobie mieć, moja kochana. Może sobie mieć.

Lilly patrzyła na nią.

- Obawiam się, pani Clearwell, że urzekł panią ten hulaka.
- Nawróceni kobieciearze są najlepszymi mężami. Nie wiedziałas o tym, dziewczyno?

Wprawiała Lilly w konsternację.

- Pusty frazes, nic więcej - powiedziała cicho.

Jedyną odpowiedzią był śmiech chrzestnej.

Kiedy dotarli do domu, Lilly pobiegła do sypialni i dała upust próżności, siadając przed lustrem. Nie mogła zaprzeczać temu, że jej się podobał, ale to nie powinno mieć znaczenia. Gdyby tylko mogła opanować wielką chęć, żeby biec, byle jak najprędzej go zobaczyć!

Wmawiając sobie, że tak jej spieszo do niego, bo pragnie odzyskać kolczyk, przysładziła włosy, uszczypnęła się w policzki, by nabrały koloru, i na miękkich nogach zesłała po schodach.

Pani Clearwell obrzuciła ją zdziwionym spojrzeniem.

- Dokąd się wybierasz, złotko?
- Powinnam odbyć codzienną przechadzkę dla zdrowia - skłamała, starając się zagłuszyć poczucie winy. - Zjadłam u Lundy za dużo herbatników. Trochę ruchu dobrze mi robi.
- Ach, ta energia młodych! Co do mnie, mam zamiar się zdrzemnąć.

Pani Lundy to kochane stworzenie, ale zagadała mnie na śmierć.

Matka chrzestna nadstawiła policzek i Lilly ją ucałowała.

- Nie zapomnij zabrać ze sobą Elizy - przypomniała opiekunka. - To nie wieś, gdzie można samotnie spacerować.
- Tak, madame.

Kiedy pani Clearwell udała się do sypialni, Lilly wezwała piegowatą pokojówkę Elizę i wyszły na miasto.

Po chwili były już w Hyde Parku, pełnym ludzi, choć jeszcze nie tak zatłoczonym jak o piątej po południu. Pojawiło się już mnóstwo osób z towarzystwa, elegancko ubranych dam i dżentelmenów, zwracały uwagę piękne ekipaże.

Lilly wypatrywała Dereka Knighta. Wreszcie dostrzegła go w tłumie. Jechał wierzchem na lśniącym karym koniu. Kiedy go zobaczyła, uśmiechnęła się bezwiednie. Przystojny kawalerzysta w galowym mun-

durze na rumaku, który zdawał się tańczyć pod jeźdźcem, to był wspaniały widok.

Och, ale ona przecież nie potrzebowała bohatera w botfortach na wysoki połysk i uniformie ze złotymi epoletami! Musiała zasilić gotówką rodzinną kasę, a ponieważ nie mogła liczyć, że z nieba spadnie deszcz złota, szukała pomocy, z nadzieją na hojność, u kogoś takiego jak Edward Lundy.

- Boziu! - wykrzyknęła z zachwytem pokojówka. - Piękny jest, panienko.

- Tak - mruknęła Lilly; dygotała targana pożądaniem. Odwróciła się, żeby nie widzieć Dereka. - Prawdę mówiąc, Elizo, właśnie z jego powodu tu jesteśmy.

- Żeby na niego popatrzeć, panienko?

- Więcej. Muszę z nim porozmawiać.

Pokojówka spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Czy to jest aby przyzwoite, panienko? Lilly zmierzyła ją wzrokiem.

Eliza pomyślała chwilę, kręcąc głową; prawdę mówiąc, nikt ze służby nigdy nie widział, żeby panna Balfour zrobiła coś nieprzyzwoitego.

- Dobrze - powiedziała. - Jeżeli panienka musi porozmawiać z tym dżentelmenem, to na pewno ma panienka jakiś powód.

- Dziękuję ci, Elizo. Nie zabawię długo.

Zorientowała się, że Derek Knight ją zauważył. Zupełnie, jak na balu wzrokiem wyłuskał ją z tłumu i teraz patrzył tylko na nią.

Serce zabiło jej szybciej.

Zawrócił konia i eleganckim truchtem pojechał w stronę promenady.

Lilly doceniła miejsce, które wybrał na schadzkę. Wysokie drzewa i kępy krzewów ocieniały tę część ścieżki wokoło sztucznego jeziora. Co prawda nie byli tak odseparowani jak wtedy w altanie, ale przecież teraz nie będzie żadnych pocałunków.

Szkoda, pomyślała zuchwale, ale zaraz siebie zganiła. Wzięła głęboki oddech i przygotowała się na spotkanie.

Eliza posłusznie została z tyłu, a Lilly ruszyła na pole bitwy, gotowa zmierzyć się z Derekiem Knightem.

7

Coś podobnego! Panna Lilly Balfour! - powitał ją Derek, jakby rozmawiając się w nazwisku, które nareszcie poznał. - Znowu się spotykamy!

Pochylił się lekko w siodle, przesunął wodze na bok i patrzył na Lilly z uznaniem, kiedy szła w jego stronę.

Już otrząsnął się z szoku po spotkaniu z Mary Niezrównaną w rezydencji Edwarda Lundy'ego i wyzył podejrzeń, jakoby Lilly Balfour mogła mieć coś wspólnego z malwersacjami finansowymi, do których doszło w komisji. Dziwne zachowanie Sinclaira i zaskakujące rewelacje Lundy'ego musiały go trochę oszołomić, ale teraz widział już wszystko o wiele jaśniej.

Młoda dama, wywodząca się z kiedyś zamożnej, a teraz będącej na skraju bankructwa arystokratycznej rodziny, chciała po prostu bogato wyjść za mąż. W końcu *co* dobrze wychowane dziewczątka mogą wiedzieć o oszustwach finansowych?

Poza tym kapryśna panienska, z którą flirtował w altanie, była taka niewinna... Nie mogłaby popełnić żadnego niegodziwego czynu.

Poluje na bogatego męża i tyle, pomyślał z ironią.

Głupiutka gąska.

Mała intrygantka, której bronią są kobiece sztuczki.

Pełnia wielki błąd, sprzedając się temu bęcwałowi, ale pomysł, że mogłaby coś wiedzieć o sprawach komisji, był absurdalny.

Nie wspomni o tym ani słowem. Gdyby poruszył sprawę, przysporzyłby sobie tylko kłopotu. Panna zapewne pobiegłaby do swojego ukochanego Edwarda i zaczęła go wypytywać, co z kolei wzbudziłoby w Lundym podejrzenia. Lepiej trzymać ją z daleka od tego tematu.

- Mogę mieć nadzieję, że przychodzi pani po następny pocałunek? - zażartował z ostrożnym uśmiechem.

- Bynajmniej - rzuciła zdecydowanym tonem. Zatrzymała się o kilka kroków od Dereka i uniosła hardo głowę, mierząc go ostrym jak stal spojrzeniem. - Przychodzę po kolczyk. Wie pan o tym doskonale.

- Ależ otrzyma go pani. - Zeskoczył z konia, podszedł do Lilly i popatrzył jej głęboko w oczy. - Zaraz po krótkiej pogawędce.

Nie dała za wygraną.

- Panie majorze, proszę. Te kolczyki należały jeszcze do mojej prababki.

- Cierpliwości, moja droga. Nie wierzy mi pani?

Patrzyła na niego nieufnie.

- Skąd mogę wiedzieć, czy naprawdę ma pan ten kolczyk?

Derek sięgnął do kieszeni i wydobył klejnocik. W lawendowych oczach Lilly pojawiła się ulga. Uniosła głowę i bąknęła:

- No tak... Powstrzymał uśmiech.

- Chodźmy się przejść. Podał jej ramię, ale nie przyjęła.

- Nie mogę daleko odchodzić. Pokojówka na mnie czeka. Jeżeli mnie za długo nie będzie, powie o tym opiekunce...

- Och! Nie sądzę, żeby pani Clearwell miała coś przeciw temu. - Uśmiechnął się z pewnością siebie.

Lilly zmarszczyła brwi.

Derek się zaśmiał.

- Zanadto się pani przejmuje.

Lekko pociągnąwszy konia za uzdę, ruszył zwirową alejką; Lilly nie pozostawało nic innego jak tylko pójść za nim.

Kiedy dołączyła do Dereka, nie patrzył na nią. Szli w milczeniu.

- A więc zarzuciła pani sidła na tego kundla Lundy'ego? - powiedział, wolno cedząc słowa.

- Proszę go tak nie nazywać. Sądziłam, że jest pan jego przyjacielem.

Derek powstrzymał się od komentarza.

- A poza tym czy zarzuciłam na kogoś sidła, czy nie, to chyba nie pańska sprawa.

- Jasne, że moja. W każdym razie od wczorajszej nocy.

Spuściła oczy jak skarcone dziecko. Derek miał wrażenie, że między nimi przeskakują iskry elektryczne i że Lilly czuje to samo.

- Teraz przynajmniej wiem, dlaczego tak uparcie starała się pani zachować incognito.

- Panie majorze, uważa się pan za szczerego człowieka, tak? Czemu więc nie powie pan od razu, o co chodzi? - Stała przed nim.

Wzruszył ramionami.

- Chcę tylko zrozumieć.
- Co?! - wykrzyknęła, obrzucając nerwowym spojrzeniem spacerowiczów, którzy przechodzili obok nich.
- Panią, panno Balfour.
- Mnie?
- Śmiem twierdzić, że ta młoda dama, którą dziś poznałem w domu Lundy, pełna godności i o nienaganych manierach, to tylko pani codzienne przebranie. Natomiast tamtej nocy, mimo że w masce, pokazała mi pani prawdziwe oblicze. Cóż, podejrzewam, że jestem jednym z niewielu albo nawet jedynym, który dostał zaszczytu poznania go - chociaż w niewielkim stopniu.
- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, majorze.
- Myślę, że jednak pani wie - szepnęła z szelmowskim uśmiechem. - Nieznośna mała kłamczucha...
- Odsunęła się i wyprostowała z miną obrażonej królowej.
- Czy celem tego spotkania jest obrażanie mnie?
- Jeśli ktokolwiek na całym świecie ma do tego prawo, to tym kimś jestem ja.
- Co takiego?!
- Wykorzystała mnie pani. - Zabrzmiało to oskarżycielsko.
- To pan zaczął! Nie prosiłam, żeby mnie pan zachodził od tyłu i zniecka chwycił w ramiona...
- No, nie... ale poprosiła pani, żebym ją pocałował.
- Zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.
- Mogłabym wreszcie dostać mój kolczyk?
- Dlaczego wychodzi pani za Lundy'ego?
- A dlaczego pan wraca do Indii? - odparowała, mierząc go pogardliwym spojrzeniem.
- Bo Indie to miejsce, do którego należę.
- No, więc proszę sobie zapamiętać, że ja należę do Edwarda!
- Och, dajmy temu spokój, to bzdura i pani o tym doskonale wie. Wczoraj uciekła pani przed nim z sali balowej, czyż nie tak było? Przecież dlatego spotkaliśmy się w ogrodzie.
- Nie mam zamiaru z panem dyskutować. Chcę tylko prawdy. Czy powie pan Edwardowi o tym, co zaszło tamtej nocy?

- Myśli pani, że mógłbym...? - powiedział miękko. - Nie ufa pani żadnemu mężczyźnie? Czy tylko mnie? - Patrzył jej głęboko w oczy.

Widząc jej wahanie, uznał, że posunął się za daleko.

- Nic pani nie grozi z mojej strony - zapewnił. - Po prostu wściekam się, kiedy widzę, jaki straszny błąd pani popełnia.

- Błąd? O czym pan mówi?

- O wyborze męża! - palnął bez namysłu. - Ta dziewczyna, która mnie oczarowała, nie może przecież być bezduszną łowczynią bogatych mężów! Rodzina panią do tego zmusiła? Nie uwierzę, że taki obrzydliwy plan to pani pomysł.

- Obrzydliwy?

- Panno Balfour, wiem, że pani rodzina straciła majątek. Sam Lundy mówił mi o tym dziś rano. Myślę, że między innymi dlatego ten kolczyk tyle dla pani znaczy. Ale proszę pamiętać, że Edward wie o wszystkim. Nie zwiodła go pani ani na jotę. Wie, że uwodzi go pani wyłącznie dla jego złota i, szczerze mówiąc, on wcale nie współczuje pani z powodu jej niedoli. Wykorzystuje panią po prostu.

Patrzyła na jezioro długą chwilę, zanim się odezwała.

- Myśli pan, że o tym nie wiem?

- Rozumiem. Uważa pani, że wszystko jest w porządku, bo pani z kolei wykorzystuje jego, tak?

- Nie ma powodu, żeby przedstawiać to tak trywialnie, panie majorze. Chyba nie muszę pana przekonywać, że taki właśnie jest świat.

Ogarnęła go złość: ta smarkula odważa się mówić jemu, jaki jest świat!

Zmarszczyła brwi, kiedy spojrzał na nią ironicznie.

- Żeby pan wiedział! Pan Lundy potrafi być... bardzo miłym mężem czyżną! - wybuchnęła.

Jej frustracja rosła, być może dlatego, że przekonując Dereka, przekonywała samą siebie.

- Jest dobrym człowiekiem! Porządnym człowiekiem. Ma powody do dumy. Proszę spojrzeć, ile już dokonał, a ma raptem czterdzieści lat. Edward jest kimś, kto się nie poddaje, za to go cenię i podziwiam.

- Cóż, to z pewnością prawda. - Objął Lilly spojrzeniem. - Ale wątplię, czy kiedykolwiek całowała się pani z nim w taki sposób jak ze mną.

Nieelegancko zakłęła pod nosem i się odwróciła.

- Czyżbym panią znów zdemaskował? - mówił cicho, obserwując jej delikatny profil. Wie pani, ubiegłej nocy byłem tym naprawdę zachwycony. Przeżyłem coś niezwykłego! Kiedy mnie pani opuściła, marzyłem, żeby jeszcze...

- Dlaczego pan mnie dręczy?

- Chciałbym wiedzieć, co mamy zamiar z tym począć.

- Z czym?

- Z tym - szepnął.

Kiedy przesunął palcem po jej ramieniu, zadrżała gwałtownie, spojrzęła na niego zalękniona i się cofnęła.

Jeśli mu odpowie na to pytanie, potwierdzi, że Lundy jest jej w gruncie rzeczy potrzebny jak zeszłoroczny śnieg.

Nie mogła zaprzeczyć, że naprawdę potrzebuje Dereka.

A on potrzebował jej.

- Nie obchodzi pani Lundy ani pani nie obchodzi jego. W żadnym wypadku nie powinna się pani znaleźć w tak niekomfortowej dla niej sytuacji. Przykro mi ze względu na kłopoty finansowe pani rodziny, ale czy rzeczywiście jest aż tak źle, że musi pani sprzedawać się komuś takiemu?

- Wybacz pan! - zaczęła ostro, chcąc mu dać do zrozumienia, gdzie jest jego miejsce, ale nie dał się zbić z tropu.

- Jest pani na to za dobra, Lilly Balfour. Nie powinna pani sprzedawać się za złoto. Ktoś tak cudowny jak pani nigdy nie powinien znaleźć się wśród pozabawionych skrupułów łowczyń majątków.

- Jak pan śmie? - Odstępując krok w tył, spiorunowała go wzrokiem. Była roztrzęsiona, krew odpłynęła jej z twarzy. - Kim pan jest, że ośmiela się mnie osądzać? Właśnie pan! Awanturник wojenny! - wyrzuciła z siebie. - Jak pan może tak mówić! Może i chcę wyjść za mąż, żeby sobie zapewnić przyszłość, ale przynajmniej nie zarabiam na życie zabijaniem ludzi!

Derek oniemiał. Patrzył na Lilly ze zdumieniem.

- Uważa pan, że jest kimś lepszym ode mnie? - wykrzyczała. - Wiem

doskonale, czemu mężczyźni zaciągają się i jadą walczyć do Indii! Wiem o tym lepiej niż ktokolwiek, więc może zechce pan zsiąść ze swojego moralnego konika, majorze. Chciwość: oto odpowiedź. Sława i pieniądze! Phi! Nie wątpię, że przysięgacie bronić króla i ojczyzny, ale wy, głupi mężczyźni, chcecie wojować tylko dlatego, żeby położyć łapę na hinduskim złocie i rabować!

Zdała sobie sprawę, że posunęła się za daleko. Ale cóż! Powiedziała prawdę.

Poza tym on też przekroczył granice, nazywając ją łowczynią majątku; jakby była ladaczną, wystawioną na sprzedaż w jakimś domu publicznym. Dotknął struny, która okazała się czulsza, niż Lilly sądziła. Zbyt dobrze знаła uczucie palącego wstydu, żeby teraz znosić takie oskarżenia.

Derek odezwał się po dłuższej chwili milczenia; jego głos brzmiał lodowato.

- Wołałaby pani, żeby Anglia zbankrutowała? Żeby stała się łupem dla wrogów? W ogólnym rozrachunku wygląda to tak, że jeżeli zabijam, robię to dla Anglii i dla pani.

- Nie wierzę panu.

- Nie chce mi pani wierzyć, bo wówczas cała ta krew znalazłaby się na pani rękach, nie tylko na rękach podległych mi żołnierzy. Cywile! - parsknął z obrzydzeniem, jakby mówił o kimś obmierzłym i bezużytecznym.

Patrzył na nią twardo. Jego oczy przypominały srebrnobłękitne lustro.

- Zanim mnie pani nazwie wynajętym najemnikiem, proszę pamiętać, że to dzięki bogactwom Indii wygraliśmy wojnę z Napoleonem. Nasz naród ma prawo i obowiązek robić to, co mu pozwala przetrwać.

- Podobnie jak ja - wypaliła.

- Panno Balfour - rzekł zduszonym głosem, z twarzą zastygłą w gniewie - ma pani naprawdę szczęście, że jestem dzentelmenem.

Wcisnął Lilly w dłoń kolczyk, wskoczył na konia i już go nie było.

Gdy chwycił wodze, miał spojrzenie, które mogłoby ją wdeptać w ziemię.

Serce Lilly waliło, kiedy patrzyła za nim. Zgrabnie prowadził konia, poganiał go do biegu klaskaniem, lekko trącając boki kolanami.

Galopem wyjechał z parku. Została sama.

Ścisnęła w rękę kolczyk tak silnie, że skaleczyła sobie dłoń. Poczowała ból i oprzytomniała. Kuszące wizje, którymi upajała się już od spotkania w altanie, musiały ustąpić ponurej rzeczywistości.

Zegnała się z marzeniem o szczęściu, które dopiero co zrodzone musiało umrzeć. Nie będzie żałować, że rozstała się z Derekiem w gniewie. Nie powinni nawet ze sobą rozmawiać.

Przeszedł ją dreszcz; starała się opanować nerwy, uniosła głowę, żeby powstrzymać łzy cisnące się do oczu. Więc to tak... Nie będzie po nim płakać. W każdym razie dostała to, po co przyszła.

Nigdy nikt go tak nie obraził.

Wchodząc do domu przy Althorpe, Derek trzasnął drzwiami; kipiał ze złości.

Gabriel spojrzął na niego zaskoczony.

- Co ci jest? - wysapał. Mozolnie ćwiczył, żeby wzmocnić mięśnie i poprawić kondycję.

Derek coś mruknął i rzucił płaszcz na wieszak.

Gabriel odłożył hantle, otarł pot z twarzy. Zmarszczył brwi, kiedy zobaczył, że Derek przemierza pokój od okna do drzwi i z powrotem; był wściekły.

- Do diabła z nią! - wybuchnął. Miał ochotę walić pięściami w ścianę, ale powstrzymał się; remont kosztuje, a on nie był aż tak bogaty, żeby móc szastać pieniędzmi.

- Do diabła... z kim? - spytał Gabriel kpiąco.

Derek wciąż chodził w tę i z powrotem po pokoju. Wreszcie stanął przy kominku i się odwrócił.

- Z kim? Z Lilly Balfour. To najbardziej irytująca kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałem.

- Dlaczego? Co takiego zrobiła?

- Ona... obraziła mnie. Splamiła mój honor.

- Coś takiego! Chcesz ją wyzwąć na pojedynek?

Gdyby brat nie był chory, Derek odpłaciłby mu za tę uwagę, jak wtedy, gdy byli uczniakami i grali w rugby. Zmrużył oczy.

Gabriel się śmiał. Derek kopnął otomanę i wypadł z pokoju. Poszedł do siebie, starając się opanować wściekłość.

Niewdzięcznica!

Kątem oka dostrzegł na poduszce kartkę od lady Amherst; w tej chwili nie miał ochoty jej czytać. W ogóle nie chciał mieć do czynienia z częścią ludzkości płci odmiennej.

Oparł dłonie na brzegu toaletki i ze złością spojrzął w lustro.

Co innego spotkać się z brakiem szacunku ze strony polityków, zwłaszcza takich, którzy defraudują pieniądze. Ale ta zniewaga dotknęła go mocniej, bardziej osobiście. Lilly Balfour - niech ją piekło pochłonie! - nie była mu obojętna. Zalaźła za skórę.

Potępiła to, co w życiu Dereka miało największą wartość. Poczul się nikim; on i jego ludzie, wszyscy zostali spostponowani. Mięso armatnie... Tak, jakby całe ich poświęcenie było niewarte funta kłaków.

Właściwie, co go obchodzi, za kogo ta dziewczyna wyjdzie za mąż? Całkiem możliwe, że Lundy będzie ją bić... Ale to też nie jego sprawa. Wyłącznie panny Lilly. Cóż, jak sobie pościele, tak się wyśpi. Nie żeby miał ochotę zaproponować tej małej łowczyni majątków siebie w zamian za Lundy'ego! Zresztą ani ona, ani żadna inna dama jej pokroju nie zdecydowałaby się na małżeństwo z nim, pozbawionym majątku młodszym synem!

O, Gabriel! Ten z pewnością miałby szanse u pięknej i zimnej jak lód Lilly Balfour, ale nie Derek. Tymczasem brat mu zarzuca przerost ambicji! Powtarza się zawsze ta sama stara historia. Odwieczny dylemat młodszego syna.

Gabriel miał dobre perspektywy na przyszłość dzięki pieniądзом. Derek wzrastał w przekonaniu, że żadna kobieta go nie pokocha, chyba że jako żołnierz wsławi się bohaterstwem i będzie jej mógł zapewnić majątek. Tylko to mogłoby zrekomensować jego niższy status z powodu daty urodzenia.

Był czas, kiedy w zamian za prawdziwą miłość oddałby wszystko: wierzył w nią całym swoim głupim sercem!

Już jako chłopiec Derek nie potrafił sobie wyobrazić nic gorszego niż to, że żadna cudowna dziewczyna nigdy go nie pokocha. Zainteresował się dziewczętami wcześniej, gdy jego rówieśnicy jeszcze się z nich wyśmiewali. Bez skrupowania rozmawiał z tymi „niezwykłymi stworzeniami”, w przeciwieństwie do innych chłopców, którzy nie zdoławszy wybąkać ani słowa, rzucali ze złości kamieniami i uciekali. Jedyną rzeczą, którą lubił bardziej od jazdy na szybkim koniu, było rozśmieszenie ładnej dziewczyny. O tak, chciał, żeby pewnego dnia któraś z nich go pokochała; pragnął wielkiej, prawdziwej miłości. Właśnie dlatego wiele lat temu wybrał taką, a nie inną drogę zawodową.

Gdyby miał nawet zaryzykować życie i zdrowie, podejmując niezwykle modne wyzwania dla zdobycia bogactwa, które przyniosłoby mu miłość kobiety, uważał, że byłoby warto.

Bez tego równie dobrze mógłby nie istnieć.

Wojaczka weszła mu w krew, a co do wiary w prawdziwą miłość... Cóż, miał tej wiary coraz mniej. Każdy kolejny romans utwierdzał Dereka w przekonaniu, że dozgonna miłość to tylko słodka ułuda.

Kiedy spotkał Mary Niezrównaną, przez parę godzin odważył się mieć nadzieję, że może ta dziewczyna jest inna...

Okazało się jednak, że jest taka jak wszystkie. Intrygantka z ładną buzią. Jej pocałunek był cudowny... Ale przecież młoda dama, która włóczy się po ogrodzie i całuje z nieznajomym mężczyzną w altance, to nie materiał na żonę!

Nieważne. Nie oczekiwał małżeństwa z miłości, podobnie jak Lilly Balfour czy Lundy. Nic nie zostało z romantycznego chłopca, jakim był niegdyś Derek. Teraz już starszy, mądrzejszy, zahartowany, lepiej rozumiał, co znaczy miłość.

Gdyby jeszcze wierzył w prawdziwą miłość, marzyłby o kimś, kto by go pokochał właśnie teraz, kiedy posiadał tylko nieduży majątek, ale miał wielkie ambicje.

Kobiety przysięgały, że go kochają, a on odpowiadał w duchu: „Więc, do licha, udowodnij to!”

Niechby któraś odważyła się dzielić z nim obowiązki, teraz, gdy jeszcze nie dorobił się fortuny... Niechby poszła za nim na wojnę, towarzyszyła mu cały czas. To właśnie byłaby miłość...

Niechby poznała jego codzienne piekło. Niechby mu pomagała doglądać rannych żołnierzy, strzałem w głowę dobijać, żeby nie cierpiały, kawaleryjskie konie z połamanyimi nogami. Niechby widziała, jak w wirze walki jej mąż ścina ludziom głowy, jak rąbie wrogów ostrą jak brzytwa szpadą... Ciekawe, czy któraś z dam miałaby ochotę na małżeństwo z takim splamionym krwią mordercą!

O to właśnie oskarżała go Lilly Balfour.

Nie, o takiej miłości Derek nawet nie marzył. Nie wierzył, że mogłaby być możliwa.

Zresztą nigdy nie żądałby takiego poświęcenia od kobiety. Za dobrze wiedział, że sam widok walki jest rodzajem gwałtu na duszy.

Lepiej, żeby kobieta po prostu podziwiała jego mundur.

Mundur był dla niego maską.

Poza tym obmyślił bardziej realistyczny plan. Pewnego dnia, kiedy zdobędzie majątek w Indiach, kupi sobie najpiękniejszą pannę, jaką zdoła znaleźć - najbardziej wyniosłą, najwyżej urodzoną, najniewinniejszą.

Do tego czasu musi przestać na wesołych wdówkach i cudzych żonach.

A Lilly Balfour niech idzie do diabła.

Na nieszczęście znajomość Edwarda z majorem spowodowała, że Lilly i Derek musieli znosić swoją obecność.

Kiedy nadszedł dzień wieczoru muzycznego u lordostwa Fallow, już prawie przekonała siebie, że zapomniała o Dereku.

Nie było to łatwe, zważywszy że regularnie widywał się z Edwardem, nie mówiąc już o tym, jak często jej opiekunka wspominała o tym hulace.

Kiedy Edward mówił o spotkaniu z nim w sprawach komisji, pani Clearwell nieodmiennie dodawała, że major Derek Knight jest zupełnie nadzwyczajny. W dodatku, kiedy były same, matka chrzestna powtarzała, że ten łajdak, ten „ogier sezonu” to mężczyzna, którego Lilly powinna złapać, uwieść i wziąć za męża.

Po moim trupie, odpowiadała Lilly w myślach. Ale że taka odpowiedź mogłaby tylko zaciekawić przebiegłą opiekunkę, Lilly uśmiechała się jak najpiękniej do niej i nie podejmowała tematu.

Kiedyś jednak w chwili słabości zuchwale zaproponowała, żeby tym polowaniem, uwodzeniem i braniem za męża pana Knighta pani Clearwell zajęła się osobiście. Wyglądał na takiego, który bardzo lubi zamożne wdowy.

Lilly nie powinna była już o nim myśleć. Odzyskała kolczyk i naprawdę nie miała powodu zaprzętać sobie głowy Derekiem.

Niestety, ciągle jeszcze nie mogła się od niego uwolnić.

Bolały ją słowa wypowiedziane przez niego w Hyde Parku. Sprawił, że wstydziła się teraz swojego planu małżeństwa z Edwardem. Nazwał ją „obrzydliwą łowczynią majątku”! Zapewne inni też tak ją postrzegali, kiedy przybyła do Londynu: widzieli w niej zubożałą arystokratkę, która szuka bogatego męża. Majorowi Knightowi nie brakowało tupetu, powiedział jej to prosto w twarz.

Do diabła z nim.

Zbyt pochopnie ocenia ludzi.

Mężczyźni mają setki rozmaitych możliwości, żeby dobrze pokierować swoim życiem. Mogą kształcić się, zdobyć popłatny zawód; kobiety, a już zwłaszcza damy, nie mogą sobie na wiele pozwolić. Jak mówiła matka, jedyną właściwą drogą dla prawdziwych dam jest zawarcie odpowiedniego małżeństwa.

Niech zatem Derek Knight kpi sobie z niej, skoro jest źle wychowany. Nie może się z nim równać. On ze swoją bogatą rodziną i wpływowymi znajomościami, z doświadczeniem i talentem mógł mieć cały ten rządzony przez mężczyzn świat u stóp.

Sława i majątek, rzeczywiście!

Przysięgła sobie, że gdyby odważył się powiedzieć choćby jedno przykre słowo, tak go zwymyśla, że popamięta! I nic jej nie będzie obchodzić, czy nie słucha tego ktoś trzeci.

W ten sposób wyrzuciła Dereka Knighta z serca i całą uwagę skupiła na Edwardzie.

Tego wieczoru narzeczony zrobił na niej wyjątkowo dobre wrażenie. Zachowywał się wzorowo, pewnie dlatego, że gospodarz przyjęcia, lord Fallow, to jego długoletni patron i opiekun.

Edward wyglądał wytwornie w śliwkowym fraku i kremowych bryczesach. Pierwszy raz widziała go tak elegancko ubranego. Kręcił niecierpliwie głową - może służący zbyt mocno wykrochmalił fular. Tak czy owak, Lilly była zadowolona i gratulowała sobie. Jasne, że poprawa wyglądu Eda to jej zasługa.

Spacerowali po ogromnym holu pełnym posągów jak para zakochanych. Marmurowa posadzka w czarno-białe kwadraty ciągnęła się pod wysokimi arkadami z białą kolumnadą. Wnętrze miało nieco surowe, czyste linie architektoniczne. Ściany były szaroniebieskie i stanowiły spokojne tło posągów z brązu, dramatycznie upozowanych wśród tłumu gości, a w niszach ściennych stały marmurowe popiersia starożytnych greckich filozofów.

Hol wychodził na ogród, który zajmował część wielkiego kwadratowego podwórca, gdzie zbudowano dom. Kwiaty i strzyżone krzewy na klombach tworzyły oryginalną mozaikę. Zmierzch już zapadł, ale lampiony oświetlały miejsce, gdzie miał być koncert.

Na razie w holu występowała harfistka; słodkie dźwięki harfy współgrały z upajającym nastrojem wieczoru. Goście przechodzili do ogrodu, racząc się winem i lekkimi przekąskami.

Lilly podeszła z Edwardem do stołu z mozaikowym blatem. Pod szkłem był obraz, lekko wyblakły, ale jeszcze barwny, przedstawiający Rzym. Aż krzyknęła, kiedy Edward chciał postawić na stole swój kieliszek.

Spojrzał na nią filuternie i mrugnął na znak, że po prostu zażartował.

- Nie strasz mnie w ten sposób! - strofowała go cicho, przycisnąwszy rękę do serca.

Odwrócił się, chichocząc.

- Nareszcie ktoś znajomy! - Spoglądał ku drzwiom wejściowym.

Lilly spojrzała w tamtą stronę; kiedy zobaczyła, o kim Edward mówi, zamarła.

Stał tam Derek Knight... z kobietą.

Nie był w mundurze, lecz w wytwornym czarno-białym stroju. Wpatrywała się w jego niesformą, kručzącą czuprynę. Nie związał włosów, tylko je rozpuścił: połączenie elegancji z dzikością.

Długie włosy, lśniące i gęste, opadały na szerokie ramiona. Wyglądał, jak dzikus.

Nie mogła od niego oderwać oczu.

Nieświadom jej emocji, Edward witał się z nimi serdecznie. Lilly patrzyła z niesmakiem, ale nie była niezadowolona. Knight to jeden z niewielu członków najlepszych rodzin w Londynie, którzy akceptowali Edwarda. Niewątpliwie ich wzajemna sympatia miała źródło we wspólnej wojskowej tradycji i służbie w Indiach.

Zastanawiała się, czy major się z nią przywita, czy też zignoruje po sprzecze w Hyde Parku.

Lilly rzuciła okiem na towarzyszącą majorowi piękność, ponętą brunetkę w ciemnooliwkowych atłasach, obrzeżonych czarnymi koronkami - niewątpliwie w półżalobie.

Kolejna wdówka z pieniędzmi, jak się wydaje. Jasne.

Jakie to dla niego wygodne, że tyle pięknych młodych kobiet z towarzystwa powychodziło kiedyś za mąż za schorowanych starców!

Z alabastrowej piersi wdowy spływał piękny naszyjnik z ametystów. Podobnie jak jej towarzysz, rozpuściła mahoniowe sploty, wyraźnie

dostosowując się do „dzikości” majora. Ta piękna para wydawała się napaść własnym buntem przeciwko konwenansom.

Lilly odwróciła wzrok, nie chcąc doszukiwać się śladów miłosnych uniesień na twarzy damy. Ten potwór był pewnie zdolny wziąć ją nawet w powozie w drodze na koncert...

Ukłuta zazdrością, spuściła oczy, przeklinając wszystkich mężczyzn na ziemi, Dereka Knighta też... a także siebie za to, że nie potrafi zdobyć się na obojętność.

Wchodząc do domu hrabiego w towarzystwie swojej ostatniej zdobyczy, Derek dostrzegł, że Edward macha do niego ręką. Odpowiedział chłodnym ukłonem; zdrętwiał, gdy zobaczył obok Lundy'ego pannę Balfour; jej twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Nie przyznałby się do tego za całe złoto Indii, ale po kilku dniach spędzonych z dala od niej widok Lilly sprawił, że brakowało mu tchu, serce łomotało; wywołał, o zgrozo, dziwną reakcję w okolicach splotu słonecznego.

Był zmieszany. Przecież nawet nie lubił tej małej łowczynie majątku!

Oczywiście to wierutne kłamstwo. Musiał też przyznać, że podziwiał jej niezwykłą urodę. Dziewczyna wyglądała świetnie. Tak świetnie, że miało się ochotę ją zjeść.

Urzeczony jej prostotą i naturalnym wdziękiem, jakże różniła się od uwodzicielki, uwieszanej u jego ramienia, czuł, że pragnie Lilly aż do bólu.

Panna Balfour była ubrana w suknię z jasnoniebieskiego jedwabiu oraz dopasowany do niej toczek z białym strusim piórem. Spod kapelusza wysuwały się płowe loczki. Jasne atłasowe rękawiczki miały poniżej łokcia wycięcie, które aż kusiło, by wsunąć tam palec i pogłaskać...

Wyobraźnia podsunęła Derekowi obraz tej dziewczyny, ubranej tylko w te swoje cholerne diamentowe kolczyki... To mu przypomniało, że ta mała harpia podała w wątpliwość jego honor, nie mówiąc już o tym, że zakwestionowała sens całej jego służby wojskowej. Coś takiego!

Niestety, ich drogi nieraz będą się krzyżować ze względu na wspólną tę interesów z Lundym.

Chyba powinni udawać, że są dla siebie mili, w każdym razie tak się zachowywać w towarzystwie. W przeciwieństwie do jej amanta nie bra-

kowało im kindersztuby. Zresztą Derek był pewien, że potrafi być dla niej uprzejmy, w każdym razie zachować pozory.

Prawdę mówiąc, czekał na spotkanie z nią, na nową okazję dokuczenia jej, choćby w grzecznej formie. Chciał tę małą kłamczuchę chociaż trochę zawstydzić.

Na pewno nadal bała się śmiertelnie, że mógłby powiedzieć genialnemu Edwardowi o ich namiętnych pocałunkach na balu maskowym.

Niestety, on sam myślał o nich aż za często. Nawet w tej chwili czuł pożądanie, ale nie chciał się przyznać do zazdrości o tego bęcwała, jej narzeczonego.

Gdyby tak panna Balfour okazała chociaż odrobinę zazdrości na widok zmysłowo zaokrąglonej bogini u jego ramienia!

Wtedy, pomyślał Derek, byłbym naprawdę zadowolony.

Uśmiechnął się do swojej kochanki, podał jej ramię i poprowadził, żeby przedstawić szczęśliwej parze zakochanych.

8

Lilly, udając znudzenie, oglądała medaliony na suficie i wachlowała się, kiedy „ogier sezonu” podszedł do nich wraz ze swoją najnowszą zdobyczą. Na widok Lilly skłonił się i wpił w nią chłodne spojrzenie stalowo-niebieskich oczu. W ich głębi błysnęło cyniczne rozbawienie.

- Panno Balfour... - powiedział jak najuprzejmiej.

Wstrzymała oddech i odparła z trudem:

- Panie majorze...

Dokonał prezentacji swojej przyjaciółki: pani Frances Coates.

Edward robił, co mógł, by nie wpatrywać się natrętnie w przepiękną damę ani nie jąkać podczas rozmowy. Lilly zauważyła, że kilka pań stojących w marmurowym holu nie spuszcza oka z tej pary; wśród nich wyniosła blondynka, którą widziano z majorem na balu maskowym i która przerwała ich schadzkę w altanie.

Biedactwo, pomyślała Lilly. Jeszcze jedna nieszczęsna niewolnica w jego orszaku.

Cieszę się, że mam więcej rozsądku niż one.

Matka miała rację. „Bogaty i głupi” to najlepszy wybór, a Edward odpowiadał idealnie jednemu i drugiemu. Obrotny w interesach, bo w przeciwnym wypadku nie dorobiłby się takiego majątku, niezbyt bystry, jeśli chodziło o kobiety.

W Lilly nie wzbudziło zazdrości jego nieprzytomne gapienie się na panią Frances Coates; zaczynała dostrzegać, że nieśmiałość Eda w stosunku do kobiet może działać na jej korzyść.

W każdym razie nie mogłaby znieść, gdyby był tak uprzedzająco grzeczny i przebiegły jak jego nowy przyjaciel. Miała nadzieję, że Derek Knight nie wywrze złego wpływu na jej narzeczonego.

Pani Clearwell zauważyła już swojego ulubieńca i przyfrunęła z miejsca, gdzie gawędziła ze znajomymi paniami, wydając okrzyki podziwu na widok egzotycznego majora i skacząc wokół niego jak kura nad kaczącym.

- Mój drogi chłopcze! Jakże się cieszę, że cię znowu widzę!

- Pani Clearwell... - Pochylił się i złożył szybki, synowski pocałunek na jej policzku. - Widzę, że pani nie ma wina, madame. Czerwone czy białe?

- Poncz z szampanem, jeśli łaska!

Spytał też swoją towarzyszkę, czego by się napiła, ale kiedy się oddalił, pani Clearwell podążyła do stołu razem z nim.

Lilly struchlała, widząc, jak opiekunka, przepycha się przez tłum gości z majorem.

Bóg jeden wie, co chrzestna może naopowiadać!

Wspaniała pani Coates została razem z Edwardem i Lilly. Rozanielonym wzrokiem odprowadzała swojego mężczyznę.

Naciesz się nim, póki czas, pomyślała Lilly, zerkając z ukosa na luksusową kochankę. Nawet się nie obejrzysz, jak po tobie będzie następna...

- A więc... - zwróciła się do nich z półprzytomnym spojrzeniem - skąd państwo znają Dereka?

Lilly wzdrygnęła się lekko na dźwięk jej głosu, gdy tak lubieżnie wymawiała imię kochanka, Edward zaś szybko wyjaśnił, że znają się z pracy w pewnej ważnej komisji. Nie mógł się powstrzymać i dodał, że on też, podobnie jak ów czarujący major, służył kiedyś w wojsku w Indiach.

- Dopraaaawdy? - Pani Coates patrzyła na niego z pewnym zainteresowaniem.

- Tak, madame - odparł z przejęciem.

Lilly zauważyła, że jej konkurent jest zachwycony piękną jak bóstwo kobietą, ale, o dziwo, to ją rozbawiło, nie zdenerwowało.

- Wyobrażam sobie, jak tam jest egzotycznie - powiedziała pani Coates.

- Przede wszystkim, madame, to tam jest piekielnie gorąco - mówił Edward w swój bezceremonialny sposób. - W każdym razie w tej części kraju, gdzie byłem.

- Hm...- Pani Coates owijała wokół palca ciemny lok włosów i przechylała głowę zaciekawiona. - Wie pan, nigdy nie rozumiałam, jak to wszystko działa, jak to jest, że tacy dzielni ludzie jak wy, potrafią wracać z Indii z krociowymi fortunami.

Edward się roześmiał.

- O, mogę to pani wytłumaczyć, pani Coates! Zupełnie tak samo jak Królewska Marynarka wynagradza swoich ludzi dodatkami do żołdu, który, jak cały świat wie, jest bardzo niski.

- Tak?

- Kiedy się zdobędzie statek nieprzyjaciela, rozumie pani, zarówno oficerowie, jak i marynarze otrzymują w nagrodę pewien procent wartości zdobytego statku, tak zwane łupy wojenne. Podobnie jest w Indiach: za każde zwycięstwo rozdziela się między żołnierzy łupy zdobyte na wrogu.

- Właśnie tak - potwierdził Derek Knight, podchodząc do nich, i wręczył pani Coates kieliszek z ponczem.

Dama uśmiechnęła się promiennie.

Lilly odwróciła oczy.

- Taki system nagradzania mobilizuje i sprzyja utrzymaniu wysokiego morale w wojsku - kontynuował major, podejmując wątek od miejsca, w którym Edward skończył.

- To prowokowanie ludzi do jeszcze większego przelewu krwi - mruknęła Lilly, ale usłyszano uwagę.

Zaskoczyła wszystkich; Derek Knight uśmiechnął się niewyraźnie.

- Jest w tym coś więcej niż tylko to, panno Balfour.

Lilly tylko wzruszyła ramionami. Trochę zarumieniona trwała jednak przy swoim:

- Jeżeli spojrzeć na to logicznie, taki system wynagrodzeń zachęca do przemocy, nawet wtedy, kiedy nie trzeba się do niej uciekać. Wszystko, co chcę powiedzieć, to to, że są chyba lepsze sposoby zarabiania na życie.

- Naturalnie - odpowiedział Derek z miłym uśmiechem. - Na pewno moje życie byłoby łatwiejsze, gdybym na przykład znalazł sobie bogatą żonę, a ona zapewniła mi wygodne życie, do jakiego przywykłem. - Objął ramieniem szczupłą kibić pani Coates i lekko ją uściśnął. - Co na to powiesz, mój ty plastrze miodu? - powiedział przeciągle. - Dlaczego nie przekażesz mi swojej fortuny poprzez święty akt małżeństwa?

- Akurat! - Wybuchnęła śmiechem. - Nie masz pojęcia, przez co musiałam przejść, żeby ją zdobyć!

Odpowiedź pani Coates rozładowała napięcie powstałe po surowej ocenie Lilly, ale ostry blask oczu Dereka, kiedy na nią spojrział, nie pozostawiał wątpliwości, że celem jego żartobliwego wywodu była ona... i tylko ona.

Tymczasem jak zwykle do rozmowy włączyła się Bess Kingsley, co jeszcze bardziej pogorszyło sytuację.

- Eddie! Proszę, proszę! Jaki ty jesteś dziś przystojny! A gdzie twoja matka?

- Hm... Nie zaproszono jej.

- Co? Chyba żartujesz!

- Nie.

- Kim jest ta piękna młoda dama? - Major obrzucił kpiącym spojrzeniem hałaśliwą, przysadziłą dziewczynę.

O Boże, pomyślała Lilly. Tylko nie ona. Chyba taki kobieciarz, jak Derek Knight ma jednak lepszy gust!

Edward przedstawił sobie majora i hałaśliwą dziedziczkę, a Lilly patrzyła na nich niemal z przerażeniem.

Jeżeli to, co przed chwilą powiedział Derek, nie było żartem, jeśli naprawdę rozglądał się za bogatą żoną, żeby móc przyjemniej żyć, nie mógłby znaleźć lepszej od panny Bess Kingsley. Taki czarujący bawidamek łatwo owinąłby sobie tę prostoduszną dziewczynę wokół małego palca.

- Właśnie mówiliśmy o tym, jak to jest w Indiach - kontynuował rozmowę z Bess Edward.

- Nie, naprawdę? To oburzające!

- Co takiego?

- Ach, z pewnością nie mógłbyś być tak okrutny, Eddie, i zachować się tak prostacko!

- Przepraszam?

- Przecież nie powinieneś mówić takich rzeczy przy panie Balfour!
Nie wolno ci!

- A to dlaczego? - spytał Derek.

- Przecież jej ojciec tam umarł - oznajmiła Bess, zanim Lilly zdołała ją powstrzymać. - Wtedy, gdy próbował zdobyć majątek dla swojej rodziny.

Bezczelna uwaga dziewczyny wytrąciła Lilly z równowagi; zaniemówiła do głębi upokorzona.

- Biedactwo. - Bess miała współczujący uśmiech na ustach i złościła wą satysfakcję w oczach. - Wszyscy wiedzą, że Langdon Balfour umarł bez grosza, gdzieś w miejscu zapomnianym przez Boga i ludzi. Tak, tak...

Eddy, naprawdę był podły, mówiąc o tym w obecności panny Balfour.

Edward wymamrotał jakieś spóźnione i zupełnie niepotrzebne przeprosiny za niestosowny wybór tematu, ale Derek Knight milczał, cały czas patrząc na Lilly.

Po chwili przeniósł wzrok na Bess.

- Jak to uprzejmie z pani strony, że zwróciła nam na to wszystko uwagę, panno Kingsley - rzekł cichym, aksamitnym głosem, w którym kryła się groźba.

- Tak mi przykro z powodu pani nieszczęścia. - Pani Coates z szalkiem skineła głową, a Lilly odwzajemniła gest.

- Dziękuję. To było już dawno temu... - Zastanawiała się, co wymyślić, by móc odejść, ale nic nie przychodziło jej do głowy. - Wybaczą mi państwo? Muszę... - Głos jej się załamał, nie mogła jednak znaleźć wytłumaczenia.

- Lilly...? - Matka chrzestna delikatnie dotknęła ramienia dziewczyny, kiedy ta się odwróciła.

- Wezmę sobie szklankę ponczu, zanim... zanim zacznie się koncert.

- Czy mogę...? - Edward poczuł się w obowiązku dotrzymać jej towarzystwa.

- Nie - odparła pogodnie. - Zaraz będę z powrotem.

Spojrzenie Dereka Knighta, stale w nią utkwione, a niezauważone przez innych, stało się jeszcze bardziej natarczywe. Lilly nie mogła już tego znieść. Odwróciła się i odeszła.

Jej nieszczęście nic go nie powinno obchodzić. Duma nie pozwalała Lilly tolerować współczucia - czy to z jego strony, czy kogokolwiek

innego. Wyprostowana, z wysoko uniesioną głową podeszła do stołu z przekąskami, chociaż, prawdę mówiąc, zbierało jej się na płacz.

O Boże! To wszystko było takie absurdalne!

Najcudowniejszy mężczyzna w jej życiu umarł w dalekim kraju. Niepotrzebnie. A ten czarujący major, chociaż być może uważa, że jest niepokonany, pewnego dnia podzieli los jej ojca.

Rozpoczął się koncert.

Derek był zmieszany. Przyszedł tu dziś ciągle jeszcze zły na Lilly Balfour, przygotowany na to, że cokolwiek ona powie, będzie go obrażać. Nie przewidział, że tak go chwyci za serce.

Nie miał pojęcia, że groźny klimat Indii odebrał jej ojca, ale nietrudno było się domyślić, że właśnie ta śmierć doprowadziła rodzinę do ruiny i w rezultacie bankructwo stało się przyczyną desperackiego pomysłu Lilly, żeby poślubić bogatego mężczyznę. Z pewnością to wszystko wpłynęło na jej surową opinię o Anglikach, którzy wyjeżdżają do Indii, by dorobić się fortuny.

To nie na mnie się gniewasz, Lilly, prawda? - dumął, popatrując na nią podczas koncertu. Gniewasz się na swojego ojca... dlatego że wyjechał do Indii, że cię zostawił. I zmusił do rozwiązania problemów, którym sam nie zdołał zaradzić.

Teraz, kiedy miał jaśniejszy obraz sytuacji, czuł się jak łajdak. Jej plan wyjścia za mąż za Eda Lundy'ego nadal mu się nie podobał, ale co do jednego miała rację: Nie wolno osądzać, nie znając faktów.

Podczas koncertu nie spuszczał z niej oczu. Miała taki delikatny profil; wzruszał go widok jej rąk w rękawiczkach, tak słodko złożonych na podołku. Diament w uchu migotał w świetle świec jak gwiazda i przypominał o wspólnej tajemnicy...

Derek chciałby jeszcze więcej...

Gdyby tylko znalazł się z nią znów sam na sam! Na pewno zachowałyby się zupełnie inaczej, bardziej szarmancko. Zrozumiał, że to kobieta o szlachetnym sercu i umyśle. Nawet w stosunku do Lundy'ego była lepsza, niż mogłaby być.

W przerwie pomiędzy częściami sonaty fortepianowej, kiedy publiczność zachowywała się nieco swobodniej, obserwował tych dwoje i zauważył, że Lilly ani drgnęła, nawet kiedy jej konkurent popełnił gafę.

Była wcieleniem cierpliwości i taktu. Derek podziwiał jej nieskazono niczym wdzięk.

Może rzeczywiście zależy jej na Lundym, myślał; ale, na Boga, przecież zasługiwała na coś lepszego! A już na pewno na więcej szacunku z mojej strony.

Kiedy pianista i orkiestra skończyli grać sonatę, publiczność oklaskiwała artystów. Następnie poproszono gości na przerwę.

Derek zauważył, że Lundy wstał z krzesła i podszedł do lorda Fallowa. Widząc pannę Balfour osamotnioną, jedynie w towarzystwie sympatycznej przyzwoitki, zwrócił się do pani Coates:

- Pozwolisz, że cię na chwilę opuszczę, kochanie?
- Już mnie porzucasz?

Ucałował jej rękę.

- Przeciwnie. Ale obawiam się, że mogłem nieopatrznie obrazić pannę Balfour.

- Czyżby?

Skinął głową z powagą.

- Nie chciałbym, żeby między nami powstały jakieś niesnaski, zwłaszcza że muszę na co dzień współpracować z jej przyszłym mężem. Pójdę i zamienię słówko z nią i z panią Clearwell. Wiesz, przyglądnę piórka... i tak dalej.

- Mam iść z tobą?

- Hm... nie. Nie ma takiej potrzeby. - Uśmiechnął się czarująco. - Zaraz wrócę. Przepraszam cię na chwilę.

- Ależ naturalnie. - Rzuciła mu znaczące spojrzenie.

Derek wstał, złożył jej elegancki ukłon i, nie oglądając się za siebie, skierował się w stronę Lilly Balfour.

Przebił się przez tłum ludzi do tego rzędu ławek, gdzie siedziała. Niestety, zastał tylko jej przyzwoitkę.

Pani Clearwell wskazała mu wysokie treliaże obrośnięte herbacianymi różami. Lilly patrzyła z zachwytem na wspaniałą kaskadę kwiatów. Derek podziękował starszej damie; dotarł do ogrodu w chwili, kiedy panna Balfour pochylała się, by powąchać pięknie pachnący kwiat róży.

- Lilia wśród róż - zażartował Derek dyskretnie.
- Odwróciła się zaskoczona i uśmiechnęła nieśmiało.
- Są naprawdę piękne. Proszę powąchać.

Delikatnie ujęła palcami kwiat i lekko uniosła, na tyle, na ile mogła naciągnąć gałązkę.

Derek schylił się i chłonał słodki zapach. Uśmiechnął się do Lilly z zadowoleniem.

Nie wiedział, od czego zacząć. Do licha, czyżby z powodu tej dziewczyny zapomniał języka w gębie? Nieprawdopodobne!

- Włożyła pani kolczyki - zaczął ostrożnie, ale ciepło. - Obydwa.

- Tak. - Dotknęła uszu, sprawdzając, czy są dobrze zapięte. - Zaniośłam je do jubilera, żeby wzmocnił zameczki. Nie... nie chciałam ich znowu zgubić.

- Gdyby pani je znów zgubiła, postarałbym się znaleźć - rzekł z łagodnym uśmiechem. - Wie pani co? Nie jestem zbyt dobry w przeproszaniu, ale potrafię przyznać się do błędu. Wtedy w Hyde Parku byłem zbyt obcesowy. Nie miałem prawa pani osądzać. Nie wiedziałem o pani ojcu. Czy przyjmie pani moje przeprosiny?

- Pod warunkiem że pan przyjmie moje - odpowiedziała miękko.

Oniemiał.

Wzruszyła lekko ramionami i spuściła oczy.

- Właściwie wcale pana nie uważałam za najemnika, majorze. Uczciwie służy pan w wojsku i ma pan pełne prawo mówić, że operacje wojskowe w Indiach pomogły nam bezpiecznie przetrwać konflikt z Napoleonem. Myślę, że się na pana gniewałam, bo bałam się, że... że mógłby pan skończyć jak... jak mój ojciec. Poza tym czułam się obrażona i chciałam w odwecie obrazić pana.

- No i udało się pani - mruknął, unosząc brwi.

Spojrzała na niego i zakryła usta ręką. Oboje równocześnie wybuchnęli śmiechem.

- Rozejm? - zaproponował Derek. - Czy już dostatecznie naobrażaliśmy się nawzajem, czy też powinienem zwrócić się do mojego szwagra, dyplomaty, by zajął się przygotowaniem traktatu?

- Rozejm. - Wyciągnęła do niego rękę.

Derek potrząsnął jej prawicą rozbawiony.

W normalnych okolicznościach ucałowałby jej dłoń, a nie potrząsał nią, ale w wypadku Lilly Balfour nie pasowała mu wytworna galanteria, z jaką zwykle traktował kobiety.

Kiedy puścił jej rękę, wskazał ogrodową ścieżkę.

- Zbadamy ten teren, panno Balfour?
- Otworzyła szeroko oczy.
- Przepraszam...?
 - Miałem na myśli ogród. Ktoś mi mówił, że ta ścieżka prowadzi aż do rzeki.
 - Do Tamizy?
 - Nie, do Błękitnego Nilu - odparł złośliwie. - Nie mam bynajmniej zamiaru pani bałamucić, proszę mi wierzyć! Myślałem po prostu, że warto by tam pójść i rzucić okiem. Zapraszam panią.
 - Och. Naturalnie... Bardzo dobrze, więc... - Kiwnęła głową i lekko odchrząknęła. - Byłoby mi bardzo miło, ale nie jestem pewna, czy moja opiekunka będzie...
- Jedno spojrzenie w stronę pani Clearwell wystarczyło za odpowiedź, zanim Lilly zdążyła zapytać.
- Opiekunka była pogrążona w rozmowie z pewną matroną, mimo to nie spuszczała ich z oka. Przyzwoliła na spacer, bo pomachała dłonią, jakby zachęcająco; zapewne uważała, że pod opieką majora jej podopiecznej nic nie grozi.
- Pani Clearwell... hm... Wygląda na to, że się zgadza- szepnęła nieśmiało Lilly.
 - Jestem o tym przekonany.
- Kiedy sprawa już została wyjaśniona, Lilly się odprężyła. Skinęła głową i poszli ogrodową ścieżką.
- Idąc obok niej już, już miał zamiar podać jej ramię, ale się powstrzymał. Była taka niepewna, tak ostrożna, że obawiał się ją wystraszyć czy zdenerwować. Chciał, by wiedziała, iż w jego towarzystwie jest zupełnie bezpieczna.
- Żeby nabrała do niego zaufania.
- Szli pod kamiennym łukiem, który prowadził z podwórca do ogrodu pełnego rzeźb. Goście prowadzili rozmowy w grupkach, czekając na kolejną część koncertu. Wysypana żwirem ścieżka wiła się jak wąż między kępami drzew aż do ciemnej rzeki, oświetlonej teraz srebrnym światłem księżyca.
- Pani Coates nie zmartwi się pana nieobecnością? - Lilly zerknęła na niego z rozbawieniem.
 - Powiedziałem jej, że wolę rozmawiać z panią.

- Pochlebia mi pan. - Milczała chwilę. - Jest bardzo piękna. Zawsze są takie, nieprawdaz?

Derek z nieco cynicznym uśmiechem wzruszył ramionami. Utkwił wzrok w ścieżce.

- Czy panu Lundy'emu podobała się sonata? - spytał poważnie, wsuwając ręce do kieszeni.

- Och, proszę...! - Nie wytrzymała i zachichotała. - Obawiam się, że pan Lundy nie jest na razie wielkim miłośnikiem muzyki. Ale pracujemy nad tym - dodała. - Jestem pewna, że nudzi się śmiertelnie. Co do mnie, uważam, że sonata była naprawdę piękna.

- Tak... - Derek odrzucił pasmo włosów z twarzy i rozważał następne posunięcie.

- Czy... czy mógłbym zadać pani pytanie natury osobistej, panno Balfour?

- Boże, mówi pan tak, jakbym była w stanie pana powstrzymać. - Roześmiała się. - Dobrze, panie majorze. Może pan pytać, ale ja mogę nie odpowiedzieć.

- Dlaczego on?

- Słucham?

- Dlaczego właśnie Lundy? I proszę dać sobie spokój z tymi bzdurami, jakimi mnie pani częstowała w parku, wychwalając jego niezwykle zalety. Są przecież dobrze urodzeni, kulturalni, a przy tym bogaci mężczyźni! Wielu z nich nie spuszczało z pani oczu tamtej nocy. Na pewno pani zauważyła.

Coś odburknęła, a on drążył temat:

- Czemu nie wybrała pani jakiegoś syna lorda zamiast tego parweniusza?

Szła obok niego w milczeniu, jakby zastanawiając się, co odpowiedzieć.

- Ci mężczyźni, o których pan mówi... Tak, oczywiście, że zauważyłam. Złota młodzież, bywalcy klubu White'a. Hulaki! Doprawdy, majorze, wydają mi się odrażający.

- Odrażający? - wykrzyknął ze śmiechem. - Czemu?

- Po prostu... jakoś tak jest.

- Dobrze. A zatem, jak to jest z panią i Lundy? Występujecie jako para, ale nie jesteście zaręczeni?

- Tak. To prawda. - Zerknęła na niego. - Dlaczego pan o to pyta?

Derek nonszalancko wzruszył ramionami.

- Po prostu jestem ciekaw, czemu jeszcze się nie oświadczył.

- Zrobi to, kiedy będzie gotowy - zapewniła Lilly.

- A pani jest gotowa? Wyprostowała plecy i uniosła głowę.

- Oczywiście, że jestem.

Przyglądał jej się z uwagą. Nie mogąc się powstrzymać od choćby jednego, jedyne dotknięcia, musnął palcami jej podbródek.

- Co za determinacja - powiedział cicho. - Znam to spojrzenie. Wi działem je u młodych żołnierzy idących do boju.

Zmarszczyła brwi, ale on już opuścił rękę, zanim zdążyła go upomnieć za ten delikatny kontakt. Szli dalej.

- Kiedy pani straciła ojca?

- Piętnaście lat temu.

- Była pani jeszcze dzieckiem...

- Tak.

- Naprawdę bardzo pani współczuję z powodu tej straty. Indie, to... trudny kraj.

- Pan z pewnością o tym wie.

- Zginął w bitwie?

- Nie. Nie. - Westchnęła. - Nie zginął tak bohatersko. Umarł na gorączkę monsunową.

Spojrzał na nią z ukosa.

- Śmierć w bitwie wcale nie zawsze jest tak bohaterska, jak pani może

słyszała. - Zawahał się chwilę. - A swoją drogą, co za dziwny zbieg okoliczności, oboje zostaliśmy sierotami z tej samej przyczyny.

Zaskoczył ją.

- To znaczy?

- Moja matka zmarła w czasie powodzi monsunowej. Powodzie, gorączki... zawsze się ze sobą łączą. Sezon gorączek następuje tuż po corocznych powodziach monsunowych. Stojąca woda pozostała po obfitych deszczach... Lekarze twierdzą, że to ona właśnie jest przyczyną chorób.

Zadrżała.

- I tak jest co rok?
- Bez wyjątku.
- Boże, to brzmi okropnie.
- To jest okropne - zgodził się z cichym śmiechem. - Owady wielkości królików... Tygrysy ludojady... Maharadzowie, którzy spadają na nas jak deszcz i siekają mieczami... Słowem, nieustające radosne święto.
Uśmiechnęła się blado.
- Musi pan chyba pragnąć śmierci, majorze; podczas naszej rozmowy w Hyde Parku odniosłam wrażenie, że bardzo chciał pan tam wrócić.
- Bo to mój dom - odpowiedział. - A wojna ciągle trwa. Żołnierze mnie potrzebują.
- I czeka pan na okazję - przypomniała z lekkim uśmiechem.
Derek nie zaprotestował.
- Och, myślę, że kto jak kto, ale pani wie coś niecoś o ambicji, Lilly Balfour.
Uznał, że to dobry moment, by jej podać ramię, a kiedy to zrobił, nie odmówiła.
- Naprawdę - ciągnął, rozkoszując się ciepłem, które poczuł przy swoim boku - myślę, że mamy ze sobą więcej wspólnego, niż chcemy przyznać.
- Jak to?
- Jedziemy na tym samym wózku. Próbujemy w Londynie wydobyć pieniądze dla sprawy, która nas przerasta. Pani - żeby uratować rodzinę, ja - by zasilić wojsko w Indiach. Tak czy owak, to dosyć trudne i denerwujące zadanie dla nas obojga.
Patrzyła na niego w milczeniu.
- No, cóż. - Nie uważał za stosowne przedłużać tematu. - W każdym razie teraz, kiedy wiem o pani ojcu, mogę zrozumieć pani niechęć do wszystkiego, co związane z Indiami. Zapewniam jednak, że mimo tylu niebezpieczeństw ten kraj jest niewiarygodnie piękny.
- Między innymi dlatego mój ojciec tak obsesyjnie o nim marzył. Obiecywał przywieźć matce worek pełny rubinów, a mnie - diamentów - mówiła z drwiną w głosie.
- Ach, więc był jednym z tych... No, myślę, że teraz mam już pełny obraz. - Derek pokręcił głową. - Chciałbym dostać szylinga za każdego

nowego rekruta, którego musiałem zapoznawać z rzeczywistością w zamian za legendy o skarbach Indii...

- Tak, to prawda, papa niewiele wiedział o twardej rzeczywistości, majorze. W tym tkwił problem. Był marzycielem. Dlatego właśnie moja rodzina nigdy nie pozwoliłaby mu wyjechać. Matka, dziadek. Oboje musieli doskonale wiedzieć, że nie jest typem człowieka, który by potrafił to wszystko przetrwać. Papa nie był taki... jak pan - dodała z wahaniem. - Nie miał pańskich cech.

- Jakich cech? - dopytywał się, lecz zbyła go. - Ależ mnie pani zaintrygowała - mówił rozbawiony. - O jakich cechach pani mówiła, panno Balfour?

- No... na przykład bezwzględność.

Trudno to było uznać za komplement.

- Ja? Bezwzględny? - zawołał z niewinną miną.

Oboje się roześmieli.

- No, może niezupełnie, ale musi pan przyznać, że ma w sobie pewną bezwzględność, przynajmniej w niektórych sprawach.

- Nigdy w życiu!

- Niech pan nie kłamie. To widać. Na przykład potrafię sobie bez trudu wyobrazić pana w bitwie.

- Wolałbym, żeby pani nie próbowała. Miałaby pani potem koszmarne sny.

- Ale na pewno nie umiałabym sobie wyobrazić mojego papy w takiej sytuacji. Chociaż to śmieszne. Myślałam o nim tej nocy w altanie w ogrodzie, zanim się spotkaliśmy. Ojciec zbudował dla mnie taką altanę w ogrodzie, do zabawy, kiedy byłam mała, właściwie zaczął ją budować. On nigdy nic nie skończył...

Nagle zamilkła. W tym momencie Derek pochylił się i ucałował jej głowę.

- Wszystko będzie dobrze - wyszeptał zupełnie bez sensu. Nie wie rzył ani trochę w to, co mówi, ale w jakiś dziwny sposób te słowa zawsze dodawały otuchy. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

Puściła jego ramię i stanęła obok, gdy doszli nad brzeg rzeki. Patrzyli, jak toczy swe nurty.

- Życie, panno Balfour - odezwał się Derek po dłuższym milczeniu - nie jest dla bojaźliwych, prawda?

- Prawda - przyznała szeptem.

Kiedy napotkał jej spojrzenie, nagle się wzruszył. Dławiły go łzy; czuł w sobie tysiące nigdy niewydanych krzyków, głęboką rozpacz, pozostałą po brutalnej przemocy. Zastanawiał się czasem, jakim cudem to wytrzymuje...

Stał obok Lilly kompletnie zagubiony. Otaczała go ciemność.

Delikatnie wzięła Dereka rękę.

Wpatrywała się w jego twarz, jakby szukała w niej duszy.

- Chodźmy- wyszeptała, ujmując go pod ramię; poszli w stronę domu, latarni i muzyki.

Wciąż na nią patrzył.

Nie odezwał się ani słowem.

Ona mówiła. Dużo.

Jakby wiedziała, że swoim głosem może złagodzić dotkliwy ból duszy. Mówiła coś o klombach, kwiatach, poidelkach dla ptaków. Nie zwracał uwagi na słowa, ale w jakiś sposób jej uspokajający ton głosu sprawił, że Derek poczuł wielką ulgę - wydobywał się z mrocznej, czarnej dziury, w której tkwił przez lata.

Kiedy doszli do kamiennego łuku wiodącego na podwórze i znaleźli się wśród gości, wreszcie zdołał się uśmiechnąć.

A więc wracamy do swoich partnerów...

Lilly spojrzała na niego badawczo, nie ukrywała troski o stan jego ducha; rozumiała powody dręczącej go zgryzoty. To złagodziło ból. Dlaczego tak mocno zabolalo właśnie dziś? Potrafił doskonale panować nad swoimi uczuciami, ale kiedy Lilly była przy nim, nie udawało mu się to.

- Wie pan, majorze - powiedziała z uśmiechem - że jeszcze panu nie podziękowałam za uratowanie mojego kolczyka? Teraz dziękuję.

Skłonił się urzeczony jej wdziękiem.

- Gdyby miała pani jeszcze coś do uratowania, panno Balfour, proszę mnie powiadomić.

- Nie omieszkam. I, majorze... - Zatrzymała go.

Spojrzał pytająco.

Zagryzła wargi, a potem się uśmiechnęła.

- Myślę, że już teraz może pan do mnie mówić „Lilly”.

Uniósł brwi.

- Naprawdę mogę?

- No... ale tylko wtedy, kiedy nie będzie przy nas nikogo innego.
- Oczywiście... Lilly - powtórzył, z przyjemnością wymawiając podarowane mu przed chwilą imię. Nie miał ochoty jej teraz opuszczać, ale nie było innego wyjścia. Zadowolił się więc dyskretnym, pełnym uznania spojrzeniem.

- Przekaż moje uszanowanie Edwardowi. - Towarzyszył tym słowem drwiący uśmiech.

- Baw się dobrze z panią Coates - odparła.

Strzelił palcami.

- Prawda! Nigdy nie mogę sobie przypomnieć jej nazwiska.

Pokręciła głową, ale już nie próbowała go zatrzymać. Pożegnał się i odszedł. Kiedy wracał do oczekującej go damy, był przekonany, że maska beztroski jest na swoim miejscu.

Lilly patrzyła za nim z czułością i zatroskaniem.

Po chwili znów była w towarzystwie Edwarda; pani Clearwell spoglądała na podopieczną z ciekawością. Lilly wiedziała, że przyzwoitka gryzie się w język, żeby zapytać wprost, o czym rozmawiała z majorem podczas spaceru. Tymczasem ona wcale nie była pewna, czy to, o czym mówili, może powtórzyć chrestnej matce.

Wiedziała teraz lepiej niż kiedykolwiek, co przeżył ten mężczyzna. Dostrzegła jego ból. I cierpiała razem z nim.

Znała ból po stracie rodzica jeszcze z dzieciństwa, a Derek w dodatku przeżył koszmar wojny. Jasne, że jego służba wojskowa kosztowała go tyle samo, jeżeli nie więcej, ile na niej zyskał. Czowała się okropnie na myśl, że mu zarzucała cyniczne podejście do żołnierskiej służby.

Jednak, do licha, byłoby jej łatwiej odzyskać spokój ducha, gdyby pożegnała się z Derekiem Knightem w przekonaniu, że to hulaka i hedonista, a już co najmniej szukający przygód najemnik.

Teraz wiedziała, co się kryje pod pozorną beztroską majora. Zrozumiała, że powodem jego miłosnych podbojów jest coś więcej niż tylko dogadzanie zmysłom. Chciał się uwolnić od dręczących go demonów, jakby fizyczna miłość była dla niego rodzajem znieczulenia, jakby uciechami cielesnymi starał się przytępić umysł.

Pod koniec wieczoru zobaczyła majora wychodzącego z radośnie uśmiechniętą panią Coates przy boku.

Na widok pięknej pary Lilly zadrżała. Odwróciła wzrok.

Najgorsze ze wszystkiego było to, że sama aż za dobrze знаła chęć znalezienia bezpieczeństwa w ramionach kogoś, komu właściwie jest się obojętną. To na chwilę zmniejszyło ból, ale w rezultacie tylko go powiększało.

Derek...

Przez całą drogę do domu z gadatliwą opiekunką Lilly miała bardzo niewiele do powiedzenia.

Z nieznanых sobie przyczyn, nie miał zamiaru ich dociekać, Derek po przyjęciu odwiózł olśniewającą panią Coates do jej modnej londyńskiej rezydencji i udał, że nie zauważył delikatnego zaproszenia do spędzenia z nią nocy. Odmowa była dla niej szokiem. Prawdę mówiąc, była szokiem też dla niego, ale, do wszystkich diabłów, nie miał dziś ochoty na miłosne igraszki. Czy to taki grzech?

Nie chciał się przyznać, że ten nagły niesmak na myśl o nocy rozkoszy z Fanny Coates miał coś wspólnego z Lilly Balfour.

Przeciwnie. Uparcie zajął się praktyczną stroną zagadnienia. Spraw do załatwienia było aż nadto.

Przede wszystkim musi jak najprędzej zająć się śledztwem.

Głęboka noc to idealna pora na myszkowanie; znakomita okazja, by sprawdzić domy niektórych członków komisji. Czegoś takiego jak wpadka w ogóle nie brał pod uwagę.

Z tą myślą wrócił do domu przy Althorpe, przebrał się w czarny strój i osiodłał konia. Wkrótce jechał w kierunku północno-zachodnich granic Londynu, gdzie w pięknej willi mieszkał jeden z najważniejszych członków komisji, magnat z Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Kiedy wspaniały rumak Dereka (kupiony u Tattersalla*) płynnym galopem pędził przez ciemności nocy, jeździec rozmyślał nad wydarzeniami tego wieczoru. A miał o czym.

Nawet jeżeli nie liczyć nawiązania nowych relacji między nim i Lilly.

W czasie koncertu natknął się na lorda Sinclaira i umocnił go w przekonaniu, że on, Derek, uwielbia towarzystwo kobiet, wystarczyło bo-

* Richard Tattersall (1785-1859), wnuk założyciela domu aukcyjnego, gdzie sprzedawano rasowe konie w Zjednoczonym Królestwie i Republice Irlandii. Dom istnieje do dziś (przyp. tłum.).

wiem spojrzeć na piękność uwieszoną u jego ramienia. Początkowo Derek czuł się obrażony, że hrabia widzi w nim kawaleryjskiego zawadiakę, ale teraz nic sobie z tego nie robił.

Do diabła! Pozwolić wrogowi, żeby nas nie doceniał, to prawdziwa satysfakcja! Towarzystwo pani Coates, która w dodatku czule kąsała go w ucho, w tej sytuacji bardzo Derekowi pasowało. Sinclair nadal go będzie uważać za nierozgarniętego dzikusa, którym łatwo manipulować. Dzięki temu Derek będzie miał więcej swobody, a tym samym więcej możliwości, żeby dowiedzieć się prawdy o tym, co się stało z trzystoma tysiącami funtów dla wojska.

Lord Sinclair może i nie był defraudantem, był natomiast odpowiedzialny za całość funduszu.

Przez cały następny tydzień Lundy informował go na bieżąco o wszystkim, co się działo na tajnych posiedzeniach komisji. Twierdził, że Sinclair chce utrzymać całą sprawę w tajemnicy i załatwić ją jak najdyskretniej, nie angażując Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, które z pewnością zażądałoby formalnego śledztwa, a to trwałoby w nieskończoność.

Derek nie miał czasu. Pieniądze były potrzebne zaraz.

Lundy powiedział mu też, że odbyło się jeszcze jedno prywatne zebranie. Sinclair zwołał wszystkich członków komisji i żądał, żeby ten, kto „pożyczył” pieniądze, natychmiast je zwrócił, a nikt go o nic nie spyta.

Teraz czekali. Malwersant miał tydzień na zwrot gotówki. Wówczas będzie można wypłacić całą sumę wojsku, unikając skandalu.

Plan Sinclaira mógł się powieść, ale Derek musiał być przygotowany na wypadek, gdyby tak się nie stało. Jeżeli nikt się nie przyzna, trzeba będzie zbadać sytuację finansową każdego członka komisji.

Co prawda nie miał pojęcia, w jaki sposób to zrobi. Przywykł do innego rodzaju konfliktów, takich, w których udowodniano swoje racje za pomocą szpady.

Tu wchodziły w grę tylko subtelniejsze środki.

Wszyscy członkowie komisji robili wrażenie bogatych, ale wrażenia mogą być mylące. Musiał znaleźć sposób, by zajrzeć pod „maskę bogactwa” i sprawdzić, który z tych panów mógł ostatnio popaść w tak poważne kłopoty finansowe, że zdesperowany sięgnął po rządowe pieniądze.

Derek uważał, że przede wszystkim powinien rzucić okiem na domy i posiadłości członków komisji, na liczbę zatrudnianej służby, na ostatnio

dokonane poważne zakupy, na długi, inwestycje, jednym słowem na wszystkie większe wydatki.

Tymczasem Lundy pracował nad przygotowaniem dla niego listy nazwisk osób, które pomagały członkom komisji w operacjach finansowych: adwokatów, sekretarzy, agentów ziemskich, bankierów. W razie potrzeby Derek miał zwrócić się do nich. Nie będzie łatwo skłonić ich do mówienia, ale skoro uzmysłowi się im powagę sprawy i wspomni o karach grożących za udział w przestępstwie, mogą być znakomitym źródłem informacji.

Musi przyjrzeć się wszystkim ludziom z komisji, sprawdzać ich po kolei, i odrzucić tych, którzy na pewno nie mieli nic wspólnego z przestępstwem. To zawęzi listę podejrzanych.

Nie wiedział, w którym miejscu na liście umieścić Eda Lundy'ego. Czy może zaufać rzekomemu sojusznikowi? Pomagał, ale to mógł być podstęp wymyślony, żeby nie znaleźć się w kręgu podejrzeń.

Derek modlił się, by Lundy nie miał nic wspólnego z kradzieżą. Nie chciałby, żeby Lilly Balfour w jakikolwiek sposób dotyczyły podobne sprawy.

Spotkanie z gospodarzem wieczoru, lordem Fallow, trochę go uspokoiło. Szczupły, siwowłosy hrabia, który niedawno wycofał się z życia publicznego, znany był z uczciwości; a skoro taki człowiek jak Fallow, popierał Eda Lundy'ego, to już coś znaczyło: Służba wojskowa w Indiach chyba też przemawiała na korzyść Edwarda.

Być może sympatia do towarzysza broni była ze strony Dereka przesadą. .. Nie ufał żadnemu innemu członkowi komisji, a od czegoś musiał zacząć, komuś zaufać - chociażby w pewnym stopniu.

W wojsku nauczył się, że w pojedynkę nie zajdzie się daleko. Dyktował to zdrowy rozsądek. Tylko wspólne działanie ma szansę powodzenia w wykonaniu trudnego zadania.

Umieścić Lundy'ego na ostatnim miejscu na swojej liście.

Może dzisiejsza noc dostarczy kolejnego podejrzanego?

Miał taką nadzieję - ze względu na Lilly.

Nie mógłby pozwolić, żeby wyszła za defraudanta, który skończy na szubienicy. Gdyby się okazało, że coś ją łączy, nie mówiąc już o małżeństwie, ze złodziejem, nigdy nie odzyskałaby dobrego imienia. Nikt by się z nią ożenił. Nie uchroniłaby swojej rodziny przed bankructwem.

Do diabła, będzie śledzić każdy krok tej dziewczyny, z jej wiedzą lub nie, byle tylko nie doznała żadnej krzywdy.

A gdyby okazało się, że Lundy jest winien. Cóż... Wtedy można by posłuchać rady starszego brata i wziąć za żonę tę małą, śliczną poszukiwaczkę złota.

Tak rozmyślając, Derek dojrzał w oddali willę. Wprowadził konia w gęstwinę drzew, zeskoczył z siodła i ukrył wierzchowca w bezpiecznym miejscu.

Zadowolony z możliwości przeprowadzenia konkretnej akcji, bo przecież tak długo był z dala od frontu, dotknął broni, a miał zwykle przy sobie kilka rodzajów, i poszedł w stronę ciągnącej się kilometrami rezydencji członka komisji.

Panowała cisza.

Zwinnie i cicho, jak podczas niezliczonych ataków ze swoimi żołnierzami w zimne noce, wspiał się na mur okalający pałac. Choć tym razem działał sam, nie czuł się samotny.

Nie myślał o strachu, kiedy wspominał nieśmiały uśmiech i aksamitne spojrzenie błyszczących oczu o lawendowym odcieniu polnych dzwonek...

9

Lilly nie mogła przestać myśleć o Dereku Knighcie. I to był problem.

Kiedy następnego ranka obudziła się, przypomniała sobie ten drwiący uśmiech. Cicho westchnęła i leżała wpatrzona w sufit.

Nie powinna pragnąć tego, czego mieć nie może. Pomyślała o Edwardzie, wzięła głęboki oddech i wstała, nie pozwalając sobie nawet na najmniejsze wahanie w podejmowaniu decyzji.

Ubrała się i zeszła na śniadanie, które jadała razem z matką chrześną. Kiedy raczyły się jajkami i grzankami, Lilly zaskoczyła nie tylko panią Clearwell, ale i samą siebie: zaproponowała wyprawę na zakupy.

Wędrówka po eleganckich sklepach przy Bond Street pomogła jej uporządkować myśli. Poświęci się, dzięki temu klan Balfourów odrodzi się w bogactwie i godności; ona oczyści sumienie, może odkupi dawną hańbę,

a gdy już wyjdzie za Edwarda, wszystkie te luksusowe drobiazgi, których pełno na półkach, będą tak łatwo dostępne. A wówczas na pewno matka spojrzy na nią życzliwiej.

Lilly zależało, by zatrzymywały się dłużej w magazynach, gdzie oprócz sprzedaży projektowano suknie ślubne dla dam z najlepszego towarzystwa.

Na co Edward czeka? Z zażenowaniem przypomniała sobie impertynenckie pytanie Dereka, czemu jej konkurent zwleka z oświadczeniami. Mnąc w palcach zwój jedwabiu barwy kości słoniowej, Lilly dała sobie spokój z wątpliwościami i usiadła przy niskim stoliku pośrodku luksusowego sklepu, oglądając żurnal z propozycjami pięknych sukien ślubnych oraz rozmaitych dodatków.

Edward na pewno wkrótce się zdeklaruje, mówiła sobie.

A na razie... zawsze lubiła coś planować, a czyż młoda dama nie uwielbia marzeń na jawie o dniu swojego wesela?

Były tam welony i wysadzone klejnotami tiary, cudowne aksamitowe pantofelki, piękne pończochy z białego jedwabiu, koronkowe podwiązki i gorsety, a także ozdobione pianą falbanek halki, które miały nadać pożądany kształt sukni.

Wolała skupić się na takich szczegółach niż rozważać ponure perspektywy czekających ją lat małżeństwa.

Kiedy przeglądała żurnal, przypomniała sobie nagłe słowa ostatniej kochanki Dereka. Gdy złożył pani Coates żartobliwą propozycję małżeństwa i w żartach namawiał do przekazania mu swojej fortuny, odpowiedziała: „Kochanie, nie masz pojęcia, przez co musiałam przejść, żeby ją zdobyć”.

Lilly nie chciała nawet myśleć o tym, przez co musiała przejść pani Coates, by odziedziczyć majątek nieboszczyka męża.

Tymczasem pani Clearwell starała się oczarować krawcową, namawiając, by pozwoliła zerknąć na przygotowywaną właśnie kreację ślubną. Suknię szyto już od tygodni, gdyż wymagała pracy, była wyhaftowana paciorkami i ozdobiona rzędami maleńkich różyczek, lekkich warstw delikatnej siatki i wstążeczek.

Wytworne modele nie zainteresowały Lilly. W dodatku, kiedy patrzyła na przebogata w zdobienia suknię ślubną, bynajmniej nie myślała o Edwardzie, lecz widziała zupełnie innego mężczyznę prowadzącego ją do ołtarza.

Na Boga! Przecież ona w ogóle nie ma prawa do brania ślubu w bie-
li...

- Na mój gust za dużo w tym wszystkim przepychu - szepnęła na ucho matce chrzestnej, kiedy krawcowa odbiegła do innych pań. Pani Clearwell pożerała wzrokiem wspaniałą różową suknię, którą szwaczki wykańczały dla jakiejś wysoko urodzonej matki panny młodej. - Muszę obejrzeć więcej, żeby wybrać - rzekła Lilly niecierpliwie.

Opiekunka obrzuciła ją rozbawionym spojrzeniem.

- Rzeczywiście, musisz.

- A może zajrzemy do księgarni? Mają tam żurnale; może coś wy-
patrzę.

- Doskonały pomysł, moja droga. Chodźmy.

Podziękowały i wyszły ze sklepu. Lilly ujęła chrzestną matkę pod rękę, pomagając starszej pani przejść przez ruchliwą ulicę.

Wyjść za mąż za Dereka Knighta! - myślała, kpiąc w duchu z diabel-
skiego pomysłu, który jej wpadł do głowy w sklepie z sukniami
ślubnymi.

Znakomity sposób, żeby sobie zrujnować życie!

Niewątpliwie mógłby je umilić w małżeńskim łóżu, ale to jedyna po-
ciecha.

Zresztą on już był poślubiony - wojsku. Ten dzikus przecież nie wy-
rażał najmniejszego zainteresowania stworzeniem domowego ogniska,
jeśli nie liczyć zuchwałych oświadczeń wdowie Coates.

Gdyby można go było usidlić i gdyby Lilly oszalała, decydując się na
małżeństwo z takim barbarzyńcą, nie tylko zostałaby w biedzie i sprawiła
zawód własnej rodzinie, ale, co gorsza, musiałaby za tym szubrawcem
jechać do tego okropnego kraju monsunów i tygrysów ludojadów, stwo-
rzyć mu dom tam, pośrodku obozu wojskowego, i opatrywać rany po
każdej bitwie!

Dobry Boże! A gdyby zginął na wojnie? Zostałaby w Indiach zupeł-
nie sama, bez jednej życzliwej duszy.

To najgorszy pomysł na świecie. Doprawdy, gdyby okazała
najlżejszą chęć zrobienia czegoś takiego, należałoby ją natychmiast
zamknąć w domu dla obłąkanych.

Była damą. A damy nie mieszkają w namiotach.

Otwarte drzwi wejściowe do księgarni pod zielonym szyldem ze zło-
tymi literami zapraszały. Wokół witryny kłębiła się grupka gapiów:
pękali

ze śmiechu z najnowszych dowcipów w gazetach satyrycznych, które księgarz wystawiał codziennie na zewnątrz, żeby przyciągnąć klientelę.

Damy przecisnęły się przez tłum do środka iabrały do szukania pism dla pań oraz żurnali z wykrojami sukien i magazynów prezentujących najnowszą modę ślubną.

Lilly aż zagryzła wargę, dziwiąc się sobie samej. Nawet myśl o wyjściu za mąż za Dereka Knighta była kompletnie absurdalna.

Związanie się z bogatym, ale głupim mężczyzną miało na celu zdobycie dostępu do jego pieniędzy- bez konieczności tłumaczenia się z utraczonego dziewictwa. Ponieważ Derek Knight, przebiegły wojownik, nie był bogaty, ale nie był też głupi, wiedziała, że jako jej mąż zażądałby wyjaśnień, a za żadne skarby nie mogłaby mu się zwierzyć ze swojej dziewczęcej głupoty.

Zadrzała, uświadomiwszy sobie, że ta ohydna sprawa mogłaby po tylu latach wyjść na światło dzienne. Na myśl o tym niemal dostawała mdłości.

W jakimś zakątku mózgu ciągle jednak kryła się ciekawość, jak Derek zareagowałby, gdyby poznał jej historię, dowiedział się, że została wykorzystana przez przystojnego i pozbawionego sumienia hulakę. Zresztą mogła sobie wyobrazić, co taki dzikus jak major mógłby zrobić. Z pewnością bez dalszych pytań zacząłby ścigać lorda Owena Mastersa, a schwytanego rozniósłby na kawałki.

Ach, cóż...

Chociaż ta myśl dawała jej pewną satysfakcję, Lilly wiedziała, że to wszystko jest tylko fantazją. Była chrześcijanką i wysłuchała w życiu wielu kazań o tym, że zemsta należy do Pana.

Poza tym, myślała ponuro, jakoś to przecież przeżyła. Dostała dobrą lekcję. Nigdy więcej nie miała zamiaru nikomu zaufać.

Chociaż... niezupełnie.

- O, tu jest to, czego szukałaś. - Pani Clearwell zdjęła z półki cienki magazyn i wręczyła Lilly. Był to egzemplarz „La Belle Assemblee”. -W dziale „Zwierciadło Mody” znajdziesz pewnie coś dla siebie. A może tu? - Podawała jej kilka najnowszych numerów „Lady's Monthly Museum”. - Nie jesteś głodna, kochanie? Bo ja chętnie bym zjadła coś małego. Kiedy tu szłyśmy, widziałam za rogiem małą kawiarenkę...

Nagle przerwała i omal nie upadła.

- Och! - krzyknęła, ale Lilly na szczęście zdążyła ją podtrzymać. - Starszą damę potrafił mały chłopczyk, który wyskoczył zza rogu i rzucił się do biegu przejściem pomiędzy półkami.

- Matthew! Wracaj! Proszę panie o wybaczenie. Jak mi przykro! Mój siostrzeniec jest nieco rozbrykany...

Wciąż podtrzymując panią Clearwell, Lilly podniosła wzrok i szeroko otworzyła oczy.

- Panna Balfour! Pani, pani Clearwell - wybąkał Derek Knight. Zawahał się. - Przepraszam na chwilę; muszę złapać siostrzeńca. Gdyby uciekł, siostra urwałaby mi głowę. Proszę nie odchodzić! Zaraz będę z powrotem.

- Może panu pomóc? - zaoferowała się Lilly, ale Dereka już nie było.

Wymieniły zdziwione spojrzenia.

- Dziecko jego siostry? - wyszeptwała Lilly.

- Więc ten mały diabełek jest przyszłym markizem? - zdumiała się jej opiekunka.

Roześmiały się i podążyły za oszołomionym wujkiem Derekiem. Kiedy się spotkali, major trzymał pięcioletniego łobuza mocno za rękę.

Przedstawił paniom Matthew Prescottta, lorda Aylesworth.

- Matthew. Przepraszam, że wpadłem na nie jak dzikus.

Matthew błagalnie zwrócił wielkie brązowe oczy na wuja; Derek odpowiedział twardym spojrzeniem.

Lilly walczyła ze śmiechem, kiedy Matthew z głębokim westchnieniem powiedział:

- Przepraszam.

Ona poważnie skinęła głową, przyjmując przeprosiny, ale pani Clearwell nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Nic złego się nie stało, chłopcze, ale proszę, uważaj na przyszłość i nie biegnij jak szalony. Mógłbyś upaść i rozbić sobie głowę.

Lilly i Derek wymienili dyskretny uśmiechy; patrzyli sobie w oczy nieco dłużej, niżby wypadało.

Serce Lilly biło gwałtownie. Aż trudno uwierzyć, jaką radość jej sprawiło to spotkanie. Złękła się, że pewnie się rumieni.

Tymczasem jej przyzwoitka zawierała z Matthew przyjaźń na śmierć i życie.

- Musisz być bardzo mądrym chłopcem, skoro poprosiłeś wujka, żeby cię zabrał do księgarni.

- Wolałem wybrać jakąś, hm... spokojniejszą rozrywkę- wtrącił Derek. - Siostra nie czuła się dobrze, więc zaproponowałem, że wezmę chłopaka na spacer, żeby mogła odpocząć. Inaczej nie dałby jej spokoju.

Lilly patrzyła na niego wzruszona takim przywiązaniem do rodziny.

- Znalazłeś coś do czytania, Matthew? - zapytała pani Clearwell.

Mały odpowiedział rzeczowo:

- Mogę się wdrapać na szczyt każdej z tych półek!

Co prawda nie była to właściwa odpowiedź, ale nieważne. Z ciekawością patrzył w górę.

- Nie, Matthew. Już ci mówiłem, że na półki nie wolno się wdrapywać. - Derek spojrział na nie ze skrucą. - Próbowaliśmy znaleźć jakąś książkę o zwierzętach.

- Ja jestem tygrys! Rooarr! Pani

Clearwell udała przestraszenia.

- O Boże!

Derek spokojnie patrzył na chłopca.

- Tak, trudno sobie wyobrazić, że któregoś dnia ten urwis zasiądzie w Izbie Lordów.

- Wszyscy kiedyś byliśmy mali, majorze - odparła Lilly ze śmiechem. - To synek pańskiej siostry, tak?

- Moja siostra wyszła za wdowca. Matka Matthew była pierwszą żoną Lorda Griffitha.

- Więc biedactwo jest sierotą? - Pani Clearwell spojrziała na malucha pełna współczucia.

- Już nie. Teraz ma nową matkę i po prostu ją ubóstwia.

Matthew wyszczerzył ząbki w uśmiechu.

Lilly wzruszała radość w oczach Dereka, kiedy mówił o rodzinie. Na pewno bardzo ich wszystkich kochał. Zwróciła się do chłopczyka.

- Co będziesz robić, kiedy zostaniesz tygrysem? Oczywiście, jeżeli wolno spytać!

- Będę odstraszać od dzieci wszystkich złych ludzi - odpowiedział ponuro, ale zaraz znów się rozweselał. - A potem ich zjem!

- Coś takiego! - wykrzyknęła pani Clearwell, przykładając rękę do serca.

- Mały dużo przeszedł - wyjaśnił szeptem Derek. - Niecały miesiąc temu omal go nie porwano.

Lilly szeroko otworzyła oczy.

- To okropne!

Skinął głową.

- Jego ojciec podczas kariery dyplomatycznej narobił sobie sporo wrogów. Ale teraz już wszystko w porządku. Mamy nadzieję, iż Matthew już wie, że nic mu nie grozi i że życie wróciło do normy. Zaczyna w końcu wychodzić ze swojej skorupy, co panie zresztą na pewno zauważyły.

- Jestem przekonana, majorze, że w pana towarzystwie czuje się bezpieczny - szepnęła pani Clearwell z promiennym uśmiechem.

Nie tylko czuje się bezpieczny, pomyślała Lilly. Jest bezpieczny. To wielka różnica.

Derek uśmiechnął się skromnie. Zdążył już zauważyć pełne żaru utkwione w nim oczy Lilly. Kiedy dostrzegł, że dziś też włożyła diamentowe kolczyki, posłał jej poufały półuśmiech.

- Widzę, że kupiły panie kilka rzeczy - zauważył, zmieniając temat.

Rumieniec na twarzyczce Lilly się pogłębił.

- Tylko parę żurnali... - Chciała niedbale odłożyć je na bok.

- ...pełnych sukien ślubnych - uzupełniła ze słodyczą w głosie pani Clearwell.

Lilly się skrzywiła.

- Ach... - Derek spojrział na nią znacząco.

- A pan co wybrał, majorze? O nie! Czyżby to właśnie było to, o czym myślę? - Zadowolona ze zmiany tematu Lilly wskazała mały tomik w tańszej oprawie, który Derek trzymał pod pachą.

- To? Och, to nic szczególnego.

- *Zamek z Otranto?* - przeczytała rozbawiona. - No nie! Majorze! A ja sądziłam, że pan jest rozsądnym człowiekiem.

- A pani jest rozsądna, studiując te żurnale? - odparował z pasją, podczas gdy obie panie śmiały się z jego niezbyt ambitnego intelektualnie wyboru, tak jakby mogły coś o tym powiedzieć.

- Przyznaję, że czasem lubię czytać powieści grozy - bronił się. - Może nie są zbyt wartościowe, ale bardzo miłe... do poduszki! Pomagają mi zasnąć.

- Zasnąć? Pan może spać po czytaniu takich krwawych historii? - zdumiewała się Lilly, rozkoszując rzadką okazją dokuczenia majorowi.

Jasne, że czuł się upokorzony, bo wyszła na jaw jego upodobanie do literatury niezbyt wysokich lotów.

Lilly trąciła łokciem panią Clearwell.

- Pamela byłaby uszczęśliwiona.

- Wyobrażam sobie!

- Kto to jest Pamela? - zagadnął.

- Moja kuzynka. Pisuje takie rzeczy - dodała Lilly scenicznym szep-tem. Trudno jej było się powstrzymać od prowokowania Dereka.

- Naprawdę? - Jego zainteresowanie było autentyczne mimo kiepskich wymówek na temat wyboru lektury. - Czy coś już wydała?

- Oczywiście, że nie! Damy nie piszą powieści.

- Ale przed chwilą pani mówiła...

- Mimo wszystko nie powinny tym się parać.

Uniósł brew.

- Może, gdyby kuzynka sprzedawała swoje książki pod pseudoni-
mem, pomogłoby to pani rodzinie wydobyć się z kłopotów?

Ich stosunki ociepliły się, skoro potrafili żartować na temat pecha w
rodzie Balfourów.

Lilly nie czuła się urażona.

- Drogi majorze - odparła nonszalancko - kiedy rodzinie pozostał już
wyłącznie honor, trzeba o niego dbać.

- Tak, ale nie pozbawiać spragnionych czytelników godziwej roz-
rywki! Czy opowiadania pani kuzynki są dobre?

- Są przerażające. Straszne. Makabryczne.

- Cudownie!

- W każdym razie lepsze niż to, co pan kupił. - Lilly roześmiała się
beztrosko, dumna ze swojej ekscentrycznej kuzynki, i zwróciła Derekowi
książkę. - A jeżeli ma pan koszmarne sny, drogi czytelniku - zaintonowa-
ła - proponuję wypijać przed spaniem filiżankę gorącego mleka!

- Jest pani szalona. - Roześmiał się, lecz było widać, że czuł się nie
zręcznie.

Lilly niemal tego nie zauważyła.

- Troszeczkę.

- Hej, Matthew! - zawołała pani Clearwell, czym skierowała uwagę majora na krążącego po księgarni siostrzeńca.

Derek ściągnął chłopaka z półki, na którą ten się właśnie wdrapywał, po czym posadził sobie małego na ramieniu, żeby urwis nie mógł znów uciec.

Lilly patrzyła na dziecko z uśmiechem.

Przypomniała sobie lata, kiedy ojciec też tak nosił ją na ramieniu.

Niespodziewany widok Dereka w roli członka rodziny wywołał w jej brzuchu dziwne drżenie.

- Och, umieram z głodu po tych zakupach! - oznajmiła nagle pani Clearwell. - Majorze, czy po powrocie do Londynu był pan już w sławnym sklepie Guntera?

- Nie, ale słyszałem o nim.

- Matthew, czy tygrysy jedzą lody?

Przyszły markiz triumfalnie wyrzucił w górę małą piastkę.

- Hura! Do Guntera!

Po paru chwilach byli już w samym sercu modnej dzielnicy Mayfair, gdzie słodkie zapachy, dochodzące z najbardziej ekstrawaganckiego sklepu kolonialnego w Londynie wydostawały się aż na Berkeley Square. Nikomu nie udało się przejść obok Guntera, żeby nie został zwabiony do środka. Biada temu, kto by się tłumaczył dietą!

Cała czwórka, przełykając ślinę, weszła do sklepu pełnego ludzi. Odurzył ich intensywny zapach wanilii i cynamonu, wypełniający całe pomieszczenie. Dział piekarniczy, w którym przez cały dzień przygotowywano ciasta i ciasteczka, pachniał niebiańsko, podczas gdy z lady po przeciwnej stronie sklepu dochodziły zapachy wędlin i serów, nie wspominając już o aromatach dziesiątków gatunków herbat i kaw.

Już samo oddychanie powietrzem u Guntera było czystą rozkoszą. Jednak większość osób tłumnie oblegających kontuary sklepu w to gorące, słoneczne popołudnie przychodziła tu przede wszystkim dla bogatego wyboru lodów, sorbetów i aksamitnych mrożonych kremów z owocami.

Ustawili się w kolejce.

- Proszę spojrzeć, panno Balfour - Derek wskazał na słodkości - mają tu weselne torty. - Popatrzył na nią ze złośliwym uśmiechem. - Pasują do pani dzisiejszych poszukiwań, jak mi się wydaje?

- O tak, Gunter jest znany ze ślubnych tortów - wtrąciła pani Clearwell, a Lilly rzuciła Derekowi wyzywające spojrzenie.

Matthew nagle bez ostrzeżenia wyskoczył z kolejki i podbiegł do oszklonej lady, gdzie wystawiono wspaniały, wielopoziomowy tort.

- Hej! - wykrzyknął przejęty. Przycisnął nos do szyby, pozerając wzrokiem wszystkie te wspaniałości: ciasta śliwkowe, makaroniki, rozmaite ciasteczka i cukierki.

- Obowiązek mnie wzywa - powiedział żartobliwie Derek. Przeprosił i odprowadził Matthew na miejsce.

Kiedy damy cierpliwie czekały w kolejce, zabrał siostrzeńca na przechadzkę po zatłoczonym sklepie, żeby chłopca czymś zająć.

Lilly patrzyła, jak podziwiali szafę wystawową, gdzie na srebrnym podgrzewanym blacie oferowano fondue z sera z małutkimi kawałeczkami chleba, które należało maczać w złocistym, gęstym sosie. Poszli dalej. Nie opodal wystawiono przysmaki piknikowe pakowane w pudełka cieszące się wielkim powodzeniem.

Matthew bez przerwy wypytywał wuja. Sprzedawcy uwijali się jak w ukropie, wkładając do pudła plastry dziczyzny, gomółki sera, winogrona i butle szampana. Gotową paczkę wręczyli oczekującemu lokajowi jakiegoś bogatego klienta; lokaj pędem biegł ze sklepu do powozu.

Cały czas do sklepu napływali nowi klienci spragnieni smakołyków; kelnerzy wchodzili i wychodzili, zanosząc lody gościom, którzy czekali w parku po przeciwnej stronie ulicy. Inni zbierali na tace brudne naczynia i odnosili je do kuchni.

Derek razem z podopiecznym wrócili, żeby wreszcie złożyć zamówienie.

- Proszę spojrzeć, ile smaków - zwrócił się do pań, podnosząc Matthew do góry, żeby widział lody, które sprzedawca wyjmował z wielkich, metalowych pojemników i wkładał do szklanych kielichów. - Które wybieramy?

Pani Clearwell już wiedziała.

- Ja poproszę brzoskwiniowy sorbet.

- Ja miętowe! - krzyknął Matthew.

- A pani, panno Balfour? - zwrócił się Derek z uśmiechem.
- Hm... Dziś chciałabym coś nowego. Może spróbuję z białych porzeczek.

Skrzywił się na ten wybór, po czym zwrócił się do kelnera:

- Dla mnie proszę migdałowe i pistacjowe.

- Wujku, bierzesz aż dwie porcje? - zawołał Matthew.

- Tylko na wypadek, gdyby panna Balfour nie była zadowolona ze swojego wyboru. A propos, jak tam Edward? - dodał ciszej.

Lilly pokręciła głową, śmiejąc się z tej złośliwości.

- Jednak wezmę chyba waniliowe - powiedziała do kelnera.

- Waniliowe? - Derek się skrzywił. - Toż to nuda.

- Bardzo lubię zapach wanilii, jeżeli chce pan wiedzieć.

- Nie sądzę, żeby ta młoda dama w ogóle wiedziała, czego chce. Jak pani myśli, lady Clearwell?

- Ma pan rację, majorze. Rzeczywiście, wygląda na to, że nie wie.

Przyzwoitka zachichotała.

- Gdybyście przestali na chwilę mówić, może wiedziałabym, czego chcę!

Lilly zignorowała ich prześmiewcze docinki i z całą powagą zastanawiała się nad wyborem.

Każdy smak musiał być przepyszny.

- Ananasowe! - zdecydowała nagle.

- Ach, szlachetne ananasy, jestem pełny uznania - wtrącił Derek.

- Symbol gościnności - dodała pani Clearwell, kiwając poważnie głową.

- Czy moglibyście wreszcie przestać? - złajęła ich Lilly.

- Zaraz przyniesiemy - zapewnił kelner i chyba marzył już o tym, żeby się z nimi rozstać. Wolał poważniejszych klientów.

Derek zmarszczył brwi i machnął ręką, kiedy pani Clearwell sięgnęła po torebkę. On zaprosił wszystkich. Podziękowały mu, wyszły ze sklepu i spacerkiem udały się do otwartego powozu pani Clearwell, stojącego obok skweru w cieniu kwitnących drzew.

Pani Clearwell objaśniała Lilly, że to jest właśnie najelegantszy sposób jedzenia lodów od Guntera.

Lilly była świadoma ciekawskich spojrzeń, jakimi ich obrzucali ci - osoby z towarzystwa - którzy też raczyli się lodami w parku. Niewątpliwie

widok majora Dereka Knighta, opiekującego się małym chłopcem, w dodatku w towarzystwie dystyngowanej panny oraz jej przyzwoitki, nie zaś kolejnej kochanki wywoła lawinę plotek.

O Boże, pomyślała Lilly. Na pewno będą gadać.

Ale przecież pójdzie na lody nie jest niczym niestosownym! Oczywiście, gdyby nie było z nią pani Clearwell, zniszczyłyby sobie reputację, zanim lody zdążyłyby się rozpuścić.

Kiedy podszedł kelner z tacą, zaczęła podawać każdemu odpowiedni pucharek.

- Proszę, Matthew - zawołała, wyciągając rękę z lodami do chłopca. - Zjemy je tu. Jestem pewna, że cały powóz byłby zachlapany mięto wymi lodami.

Mały najpierw się ucieszył, przez chwilę zjadał lody, potem rozglądał się wokoło, wreszcie całą uwagę skupił na lśniącym żuku wędrującym po ścieżce.

Pochylił się, żeby go obejrzyć z bliska, i w tym momencie kulka lodów wypadła z pucharka i potoczyła mu się pod nogi.

Matthew z przestachem spojrział na wuja, a tymczasem żuk rozwinął skrzydełka i odleciał.

- O nie! - zawołała pani Clearwell ze współczuciem.

Chłopiec wodził oczami od Dereka do pań. Jego dolna warga drżała, zbierało mu się na płacz.

- Chodź, Matthew, weź moje. - Lilly już podawała mu pucharek, ale Derek zaprotestował:

- Nonsens!

Podniósł z ziemi resztę lodów i wrzucił z powrotem do pucharka Matthew.

Chłopiec patrzył na niego z niepokojem.

Lilly zrobiła wielkie oczy.

Gdyby matka zobaczyła coś takiego, zemdłaby. Ale Derek po prostu wyjął chusteczkę z kieszeni i wytarł ręce.

- No co? Są jeszcze zupełnie dobre - powiedział do osłupiałego malucha. - Nie wierzysz mi?

Matthew z otwartą buzią śledził każdy jego ruch.

- Proszę. Zaręczam ci, że na wojnie jadałem brudniejsze rzeczy.

Nabrał łyżeczkę lodów z pucharka Matthew i włożył do ust.

Lilly i pani Clearwell się skrzywiły. Derek poklepał siostrzeńca po plecach.

- Jedz, chłopie. Przeżyjesz.

- Jest pan tego absolutnie pewien? - Lilly zerknęła na chłopca, ale Matthew postanowił pozbyć się strachu i z takim samym zapałem jak poprzednio zabrał się do lodów. - Mam nadzieję, że mały nie zarazi się jakąś chorobą.

- Nic mu nie będzie. Trochę brudu tylko dobrze mu zrobi.

Ach, ci mężczyźni...

Lilly spojrzała na majora.

- Ma pan charakterek.

- Odrobina lodów z londyńskiego chodnika jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Rozpieszczanie to tragedia dla każdego szanującego się chłopaka. Czy nie mam racji, Matt?

- Tak jest, sir! - Mały uśmiechnął się całą usmarowaną lodami buzią, zachwycony wujem, który miał odwagę łamać zasady; Lilly jednak wątpiła, czy chłopiec w ogóle wiedział, o czym mowa.

Odwróciła się do Dereka i z przyjemnością obserwowała, jak jadł ze smakiem lody, niedbale oparty o bok powozu.

- A więc ma pan własną filozofię wychowywania dzieci, majorze?

Zamrugął.

- Wie pani? To naprawdę jest bardzo podobne do szkolenia żołnierzy. - Wzruszył ramionami. - Zajmuję się przecież zmienianiem ma minsynków, niewyćwiczonych, niemających celu w życiu młodych ludzi w twardego żołnierza, panno Balfour. Oczywiście Matthew jest nieco młodszy od tych, których wychowuję. Proszę na niego popatrzeć. - Z dumą pokiwał głową. - Prawdziwy tygrys.

- Szczęście, że ma takiego wujka - powiedziała miękko Lilly.

Derek przez chwilę milczał.

- Muszę go zaraz odprowadzić do siostry. A może panie mogłyby pójść ze mną i poznać ją?

- Mówił pan, zdaje się, że lady Griffith nie czuje się najlepiej...

- Lady Griffith? - parsknął. - Aha, racja! Zapomniałem. Nie mogę się przyzwyczaić do jej tytułu. W domu mówimy po prostu Georgie. Lady Griffith... To rzeczywiście brzmi wielkopańsko!

Lilly wybuchnęła śmiechem.

- Jest pan z siostrą bardzo blisko?
 - Mówiąc otwarcie, moja siostra i ja zawsze byliśmy zmorą dla siebie nawzajem, ale pani chyba ją polubi.
 Znowu żartował. Światełka tańczące w jego bladoniebieskich oczach przyciągały magicznie. Pokręciła głową.
 - Nie chciałabym przeszkadzać pańskiej siostrze, jeżeli jest chora.
 - Nie jest chora, panno Balfour. - Przysunął się bliżej i zniżył głos. - Oczekuje dziecka.
 Lilly zaczerwieniła się pod jego spojrzeniem.
 - Och...
 Uśmiech zdradził rozbawienie Dereka jej zażenowaniem.
 - W każdym razie rano już minął, więc powinna czuć się dobrze. Czyż nie tak, pani Clearwell?
 - Trudno powiedzieć - odparła matrona, wzruszając ramionami. - Każda kobieta jest inna.
 - Przynajmniej pojedźmy tam razem. Odprowadzę Matthew i sprawdzę, czy „lady Griffith” dziś przyjmuje gości. - Zerknął na Lilly, która wciąż miała wątpliwości czy to dobry pomysł.
 - Panno Balfour, czy pani była już kiedyś w londyńskiej rezydencji markizy?
 - Nie.
 Skinął głową.
 - Więc musi pani ją zobaczyć. To powinno panią zainspirować do celowania nieco wyżej.
 Mrugnął do niej, wkładając do ust kolejną wielką porcję lodów. Lilly uderzyła go po ramieniu.
 - Ależ gbur z pana.
 Pani Clearwell roześmiała się promiennie.
 - Tylko żartowałem. - Ale przestał się śmiać. - Naprawdę wiele by dla mnie znaczyło, gdyby pani zechciała tam pójść i poznać ją.
 - Dlaczego? Żeby mogła razem z panem kpić sobie ze mnie, tak?
 - Nie. - Pochylił głowę, nabierając okazałą porcję lodów pistacjowych. - Georgie wie o Indiach nawet więcej niż ja. Myślałem więc, że w pani sytuacji, skoro straciła pani tam ojca, mógłbym pani pomóc w ten sposób, że dowiedziałyby się pani o wiele więcej o kraju, który go pani

odebrał. O jego dobrych i złych stronach. Może gdyby pani porozmawiała z moją siostrą, a także poznała jej hinduskich służących, którzy są właściwie członkami naszej rodziny, uchwyciłaby pani to piękno, które sprawiło, że jej ojciec pragnął tam pojechać. I - uśmiechnął się czarująco - jeśli czuje się pani bardzo odważną osobą, poproszę, żeby Purnima któregoś dnia przygotowała paniom jakąś szczególnie pikantną potrawę curry na kolację. Po takiej kolacji będzie pani potrzebna wanilia.

Patrzyła na niego zaskoczona. Nie była w stanie wymówić słowa, tak ją wzruszyła troskliwość i chęć zapoznania z krajem, który zabrał jej ojca.

Był to tak serdeczny gest, że nie wiedziała, co odpowiedzieć; zdała sobie teraz sprawę, że Derekowi bardzo zależy na jej uczuciach.

Spojrzała na opiekunkę.

Pani Clearwell królewskim gestem skinęła głową.

- Będziemy zaszczycone, mogąc poznać lady Griffith, majorze, pod warunkiem że się czuje na tyle dobrze, żeby nas przyjąć.

- Wspaniała nowina. Matthew, zjadłeś już lody? Idziemy do domu, do mamy?

Chłopczyk pokiwał główką, wcisnął pusty pucharek i łyżeczkę do rąk Dereka i wdrapał się do powozu.

- Oho! Widzę, że ktoś chciałby się zdrzemnąć - zauważyła nie bez racji pani Clearwell.

Lilly siedziała ze spuszczoną głową, z dłońmi złożonymi na kolanach. W tej chwili obejrzenie miejskiej rezydencji lorda i lady Griffith nie było dla niej najważniejsze.

Derek troszczył się o nią...

Nigdy dotąd nie przeżyła nic podobnego.

Kiedy major zajął miejsce w powozie naprzeciw niej, serce Lilly mocniej zabiło; cała drżała.

Boże, dopomóż mi, pomyślała, wstrzymując oddech.

Naprawdę zaczynała mu ufać.

Wyjechali z Berkeley Square, zmierzając w stronę bogatych dzielnic w okolicach Green Park, gdzie znajdowała się wspaniała rezydencja lordostwa Griffithów.

Powóz przejechał kilka przecznic; przez cały czas pani Clearwell bała rozmową przysłego markiza.

Tymczasem Lilly długo nie podnosiła oczu, starała się zamaskować swoje wzruszenie na serdeczność Dereka.

Kiedy wreszcie odważyła się spojrzeć na niego, spotkali się wzrokiem; siedział, podpierając się pięścią, z łokciem na poręczy powozu.

Całą sobą czuła żar jego spojrzenia.

Edward nigdy nie patrzył na nią w ten sposób.

Miała wrażenie, że płonie, blednie - może i jedno, i drugie. Prawdę mówiąc, była wzburzona. Nie potrafiła oderwać od niego oczu.

Derek posłał jej łagodny uśmiech.

Ciepły płomyk w jego oczach uspokoił Lilly i zdołała głęboko odechnąć.

Co za głupota z mojej strony, pomyślała.

Nigdy cię nie zranię! - mówiły jego oczy.

Ta niewypowiedziana, uprzejma, nieżądana nic w zamian obietnica zszokowała Lilly.

Powolutku napięte mięśnie jej ramion zaczęły się rozluźniać.

Boże drogi! Skoro sama obecność tego mężczyzny - bo nawet nie dotyk - tak na nią działa...

Przełknęła ślinę i starała się skupić całą uwagę na pięknych widokach Green Parku, obok którego akurat przejeżdżali.

10

To mój dom! - zawołał Matthew, wskazując wysoką, majestatyczną budowlę wyłożoną lekkim wapieniem portlandzkim; drzwi frontowe i okiennice były ciemnoczerwone w kolorze burgunda.

Lilly uniosła się na siedzeniu, zaintrygowana.

Derek wysiadł pierwszy, pomógł Matthew zeskoczyć, a następnie z uśmiechem podał rękę paniom, podczas gdy jego siostrzeniec popędził do wejścia.

Drzwi otworzyły się, zanim młody panicz zdążył zapukać; stanął w nich niski, łysiejący, korpulentny kamerdyner. Uśmiechał się serdecznie do chłopca jak poczciwy stary gnom.

- Panie Tooke! - zawołał do niego Matthew.

- Dzień dobry, lordzie Aylesworth. Majorze...

Pan Tooke otworzył szeroko drzwi. Derek wprowadził panie po schodach.

- Znaleźliśmy dziś razem z Matthew dwie zabłąkane owieczki - Derek z łobuzerskim błyskiem w oku uśmiechnął się do kamerdynera. - To moje znajome, pani Clearwell i panna Balfour. Czy siostra przyjmuje? Marzę o tym, żeby jej przedstawić obie panie.

- Wydaje mi się, że tak, sir, ale nie jestem pewien. Proszę łaskawie wejść, zaraz się dowiem.

Twarz miał uśmiechniętą, kiedy gestem wskazał paniom wejście do wysokiego marmurowego holu. Lilly szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

Powściągliwa elegancja domu z zewnątrz nie zapowiadała niezwyklego bogactwa wnętrza.

Był to po prostu pałac.

Po obu stronach holu ciągnęła się podwójna kolumnada w korynckim stylu, wiodąca do okazałej klatki schodowej, która rozchodziła się w dwie strony; imponujące schody prowadziły na piętro.

Lilly ze smutkiem pomyślała o dziurawym dachu Balfour Manor, kiedy pan Tooke zamykał za nimi drzwi.

Gdyby matka mogła zobaczyć ten dom, oniemiałaby z zachwytu! Tymczasem wśród tych wspaniałości mały chłopczyk z buzią umazaną lodami pędził, tupiąc, przez wytworny hol na spotkanie z łaciętym szczeniakiem, który truchtał naprzeciw niego. Ujadanie psiaka i krzyki radości Matthew odbijały się echem w ogromnym wnętrzu.

- Co to za okropna awantura, tam na dole? - rozległ się głęboki, miły głos ze szczytu schodów.

Zaskoczona Lilly podniosła oczy; Matthew zrobił to samo.

- Dziadek! - zawołał chłopiec.

Po schodach zstępował powoli wysoki, silny, o wielkopańskim wyglądzie mężczyzna około sześćdziesiątki, siwy, ale ciągle jeszcze w dobrej formie, przystojny, pełen godności, z błyszczącymi błękitnymi oczami.

- Chodź do mnie, mały urwisie!

Matthew podbiegł i rzucił się dziadkowi w ramiona.

Derek doprowadził panie do siwego dżentelmena.

- Ojciec... - przywitał go ciepło.

Ojciec Dereka?

Starszy pan spojrział z roztargnieniem, cały czas trzymając Matthew w objęciach.

- Witaj, synu.
- Nie spodziewałem się, że jeszcze cię tu zastanę.
- Ani ja nie myślałem, że tu jeszcze będę, ale tak to jest, kiedy się rozgadamy.

Lilly nie wiedziała, czemu tak ją zdziwiło, że ten przystojny pan jest ojcem Dereka; właściwie czego się spodziewała? Derek mógł wyglądać jak półbóg, ale przecież nie za sprawą Zeusa.

Kiedy starszy pan Knight zwrócił uwagę na towarzyszące synowi damy, był trochę zaskoczony.

Derek czym prędzej przedstawił je ojcu, lordowi Arthurowi Knightowi, młodszemu bratu poprzedniego księcia Hawkscliffe. Lord Arthur postawił Matthew na posadzce, pogładził go czule po głowie i odesłał z powrotem do pieska, po czym złożył paniom elegancki ukłon.

- A gdzie mama? - spytał Matthew, ciągnąc go za rękaw białej koszuli, bo dziadek był bez surduta, ubrany po domowemu.

- W niebieskim gabinecie.

- Myślisz, że nas zechce przyjąć? - spytał Derek.

Ojciec spojrział na niego uważnie.

- Może sam do niej pójdziesz i spytasz?

- Tak zrobię. Chodź, Matt. Chodźmy do twojej mamy. Zaraz będę z powrotem - zwrócił się do pań z uśmiechem.

- Przepraszam, panno Balfour - odezwał się lord Arthur, kiedy ci dwaj odeszli. - Czy nie jest pani czasami spokrewniona z wicehrabią Balfour? Wiele lat temu był moim serdecznym przyjacielem.

Spojrziała na niego.

- Ma pan na myśli Noaha Balfoura, milordzie?

- Oczywiście, Noah! Jest pani jego krewną?

- To mój dziadek!

- Pani dziadek! Na Jowisza, ile już lat minęło od czasu, kiedy go ostatni raz widziałem! Stary, dobry Balfy! Często razem grywaliśmy w karty w klubie White'a, zanim wyjechałem z Anglii i popłynąłem szukać szczęścia w Indiach.

Mogła tylko patrzeć na niego z niedowierzaniem.

Balfy?

Wszyscy troje roześmieli się z tego niespodziewanego odnalezienia wspólnych znajomych, wtedy jednak lord Arthur zadał nieuniknione pytanie.

- A jak ten stary czort się miewa?

Twarz Lilly powlokła się smutkiem.

- Och, lordzie Arthurze... - Zabrakło jej słów. Z trudem mogła sobie wyobrazić swojego ponurego, starego dziadka w latach młodości, grającego w karty z wesołymi kompanami, którzy nazywali go „Balfy”. - Przykro mi to mówić, ale zmarł dwa miesiące temu.

- O, biedactwo. Tak mi przykro. Co za strata!

Kiwnęła głową. Pani Clearwell poklepała ją po ramieniu. Na szczęście powrót Dereka do holu sprawił, że gula, jaką Lilly poczuła w gardle, zniknęła.

- Mam dobre wieści! - oznajmił z energią. Lilly nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć na niego z zachwytem. - Georgie czuje się na tyle dobrze, że zaprasza na krótką wizytę.

- Jest pan pewien, majorze? Nie chciałybyśmy przeszkadzać lady Griffith...

- Ależ nie, naprawdę chce panie poznać! Proszę mi wierzyć, pani Clearwell, że gdyby moja siostra nie czuła się na siłach, powiedziałyby mi o tym.

- To prawda - zgodził się lord Arthur z westchnieniem. - Nigdy nie ma oporów przed mówieniem tego, co myśli.

- Inaczej było tylko wtedy, kiedy zakochała się w Griffie. - Derek się roześmiał. - Gdyby nie ja, nigdy by się nie zeszli.

- Czy to prawda? - spytała Lilly niepewna, czy nie żartował. Szli razem do niebieskiego gabinetu, w którym czekała na nich młoda markiza.

- Oczywiście, że prawda! - wykrzyknął. - To ja mu poradziłem, żeby się z nią ożenił.

- No, teraz już przesadza - zauważył lord Arthur. - Musicie panie na niego uważać.

Derek się roześmiał.

- Poczekaj tylko, ojczu! Któregoś dnia mogę znów wykorzystać swoje talenty swata i znaleźć jakąś damę dla ciebie.

Lilly zaskoczyło filuterne spojrzenie majora w stronę pani Clearwell. Matka chrzestna spojrzała na niego zdumiona i nagle oblała się rumieńcem, co Lilly ogromnie rozbawiło.

Lord Arthur, który zamykał ten niewielki pochód, nic nie zauważył.

- Cóż, to bardzo uprzejme z twojej strony, synu - odparł trochę ironicznie - ale przedtem pomyśl o znalezieniu jakiejś miłej młodej damy dla siebie. Hm...

Teraz z kolei Lilly się zarumieniła. Oczywiście; lord Arthur nie wiedział przecież, że jest prawie zaręczona z kimś innym.

Derek nie powiedział ani słowa. Pierwszy wszedł do gabinetu i czekał tam na pozostałych.

Minąwszy szereg eleganckich sal recepcyjnych, weszły do urządzonego z prostotą, zacisznego saloniku w głębi korytarza na parterze. Lilly pomyślała, że już samo wnętrze wiele mówiło o lady Griffith.

Siostra Dereka była czarnowłosa piękną o porcelanowej cerze. Trzymała Matthew na kolanach.

- Cały się lepisz - łajała go z czułością, kiedy ocierał się noskiem o jej nos. Trzymał ją za szyję. Za plecami lady Griffith stał w niedbałej pozycji jej bardzo przystojny mąż, wsparty łokciami o fotel.

Patrzył na żonę i syna z zachwytem. Kiedy goście weszli, powitał ich serdecznym uśmiechem.

Dokonano wzajemnej prezentacji. Kiedy Derek poznawał Lilly ze swoją siostrą, uwagi dziewczyny nie uszło zagadkowe spojrzenie, jakim Georgiana obrzuciła brata. Wyglądało na to, że zapraszanie kobiet na wizyty do rodziny nie leżało w jego zwyczaju.

Sprawiło jej to przyjemność.

- Nie zabawimy długo - mówiła pani Clearwell. - Chciałyśmy po prostu powiedzieć, że jesteśmy zachwycone pani rozkosznym chłopcem. Młody lord Aylesworth był dzisiaj dla nas wspaniałym towarzyszem.

- Naprawdę? - Lady Griffith była bardzo zadowolona. Głaskała Matthew po głowie. - Żałowałam, że nie mogłam dziś pójść z nim na spacer. Och, zwykle nie bywam taka zmęczona. To dlatego, że - zarumieniła się - oczekujemy... radosnego wydarzenia. - Dotknęła spoczywającej na jej ramieniu dłoni męża.

Kiedy gratulowały małżonkom, Lilly dostrzegła, że lord Griffith uściśnął rękę żony. Poczła dziwne ukłucie żalu czy zazdrości w sercu.

Oto prawdziwie szczęśliwe małżeństwo.

Nie fikcja, jaka ją niewątpliwie czeka w małżeństwie z Edwardem.

- Bardzo ciężko to pani przechodzi, milady? - zapytała pani Clearwell.

- Och, czuję się po prostu okropnie! - wyznała markiza ze śmiechem. - Ale mój lekarz przysięga, że za parę tygodni wszystko minie. - Pokręciła głową. - Jak dla mnie, to niezbyt prędko.

Kiedy o tym wspomniała, Lilly zauważyła, że piękna dama ma sińce pod oczami, chociaż jej błękitna suknia z wysokim stanem nie wskazywała jeszcze na ciążę. Georgiana nadal była szczupła i giętka jak młoda brzoźka. Ale na małym stoliku obok niej stała wiele mówiąca filiżanka miętowo-imbrowej herbatki, a obok niedojedzona sucha grzanka.

Biedactwo...

W każdym razie miała obok siebie oddanego, opiekuńczego męża. Lord Griffith opiekował się nią z największą troską, nie odstępował jej na krok, gotów na każde wezwanie.

- Dosyć narzekań - stwierdziła dzielnie Georgiana. - Warto przeżyć te wszystkie cierpienia, żeby w końcu dostać za nie nagrodę, prawda, kochanie?

- Naturalnie. - Mąż ucałował jej dłoń.

Wzruszona urodą i wzajemnym oddaniem tej pary Lilly, nie wiadomo dlaczego, spojrzała na Dereka.

Znów jej się przypatrywał. Magnetyczne spojrzenie zapierało dech.

Kiedy tak wpatrywali się w siebie, była pewna, że czują to samo. Przez moment pomyślała, że jej marzeniem byłoby stworzyć podobną więź między nimi dwojgiem.

Odwrócił wzrok.

Lilly pochyliła głowę, wytracona z równowagi, ale i bardzo przejęta tym nigdy dotychczas nieoglądanym widokiem szczęścia rodzinnego.

Karciła siebie w duchu, że zbyt folguje wyobraźni. Jakim cudem mogłaby nawiązać takie relacje z Derekiem Knightem, skoro jedynym sposobem wspólnego życia byłoby zerwanie ze wszystkim, co jest jej drogie?

Musiałyby porzucić nadzieję na utrzymanie Balfour Manor w rodzinie. Tak, to prawda, klan Knightów dysponował wielkim majątkiem, ale zdążyła przecież zauważyć, że oświadczenie lorda Arthura w holu określiło stosunek rodziny do młodszego syna. Przecież lord Arthur także,

jako młodszy syn, musiał wyjechać do Indii, żeby dorobić się majątku. Niewątpliwie od Dereka oczekiwano tego samego.

Lilly z pewnością by tam z nim nie pojechała. Żeby być razem z nią, Derek musiałby pozostać w Anglii, a tego sobie nie życzył.

Miałby wyrzec się sławny bohatera kawalerii? Zostać zwykłym cywilem? Wątpliwe, czy zdobyłby się na takie poświęcenie.

- Derek - odezwał się lord Griffith. - Myślałeś może o tym nowym stanowisku, o którym rozmawialiśmy w zeszłym tygodniu?

- Griff, przemyślałem to. Ciekawa oferta, ale nie mam zamiaru nadstawiać karku dla jakiegoś polityka o ptasim mózdzku. Żaden nie jest tego wart. Oczywiście z wyjątkiem tu obecnych.

- Robimy wszystko, co można, żeby zatrzymać mojego brata w Anglii - zwróciła się do pań lady Griffith. - Ian próbuje go namówić do przyjęcia świetnego stanowiska w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Zapewniałby ochronę dygnitarzom odwiedzającym pałac królewski.

- Rozumiem - wyszeptła pani Clearwell, pochylając głowę, ale Derek tylko parsknął.

- Musiałbym się za nimi włożyć po pałacu jak jakiś utuczony pudel. Wątpię, czy byłbym zachwycony.

- Może pani nam pomoże go przekonać, panno Balfour?

- Naturalnie, nawet będę się bardzo cieszyć, gdyby spróbowała. - Derek się roześmiał.

- Derek! - krzyknęła siostra, zasłaniając dłońmi uszy Matthew. - Nie przy dziecku, ty hultaju! Przepraszam za mojego brata, panno Balfour. Zawsze udaje rodzinnego błazna. A może pałac królewski szuka nowego trefnisia?

- Bardzo przepraszam - powiedział z poważną miną, ale Lilly uśmiechała się słodko, bynajmniej nieobrażona.

- Prawdę mówiąc, milady, chyba coś w tym jest... Major wyglądałby znakomicie w czapce Arlekina. - Rzuciła mu znaczące spojrzenie, podczas gdy jego ojciec i siostra śmiali się serdecznie.

- Widzi pani, co ja tu muszę znosić? - wykrzyknął z udawanym oburzeniem. - I dziwię się, że chcę wracać do Indii!

Lilly zachichotała.

- Cóż - stwierdziła w końcu pani Clearwell - naprawdę powinnyśmy już iść.

Lilly przytaknęła; nie chciały zmęczyć gospodyni.

- Ja też wychodzę - oznajmił Derek. - Odprowadzę panie.

Pocałował siostrę w policzek, poczochnął czuprynkę siostrzeńca, pożegnał się z ojcem i szwagrem, po czym razem z Lilly i jej opiekunką poszedł do wyjścia. Jeszcze raz przeszły przez ogromną kolumnadę w holu, wreszcie znalazły się na zewnątrz.

Derek wyszedł na ulicę przywołać dorożkę.

- Dokąd pan chce pojechać, majorze? - spytała pani Clearwell.

- Do domu. Mieszkam przy Althorpe.

- Więc musi pan pozwolić się tam zawieźć.

- Nie chcę nadużywać...

- Niczego pan nie nadużywa; to przy Piccadilly, prawda? Tak myślałam. Właśnie nam po drodze.

- Och! Więc dobrze. - Serdecznie dziękując, przyjął propozycję i powóz ruszył.

Niebawem zobaczyły Knight House w odległym końcu Green Parku: elegancki dom lorda Griffitha wyglądał jak domek w porównaniu z tym wspaniałym pałacem.

Tam właśnie, jak objaśniał Derek, była oficjalna siedziba rodu Knightów. Tam mieszkał jego kuzyn, głowa rodu, Robert Knight, książę Hawkscliffe; przedtem rezydował tam jego ojciec i ojciec jego ojca - i tak dalej, przez pokolenia.

Słuchając go, Lilly rozmyślała o przyjemnościach dzisiejszego dnia i zastanawiała się, kiedy znów będzie mieć okazję spędzenia czasu z Derekiem. Zastanawiała się też, co by powiedziała Edwardowi, gdyby się dowiedział, że ją dziś widziano na ulicach Londynu w towarzystwie jego nowego - przystojnego! - przyjaciela.

Nie wydarzyło się nic, co miałoby chociaż cień niepoprawności, niemniej chyba Edward nie byłby zadowolony. Jednak nie czuła się winna.

Nagle powóz zaczął zwalniać. Lilly dostrzegła, że skrzyżowanie, odległe od nich o jakieś pięćdziesiąt jardów, jest zablokowane szeregiem pojazdów, które z jakiegoś powodu musiały stanąć.

- Pewnie czyjś powóz się zepsuł - mruknął Derek.

Lilly, zdenerwowana, pokręciła głową.

- Mam nadzieję, że to nie wypadek.

- Cóż... Nie byłoby w tym nic dziwnego, ci hulacze młodzieńcy jeżdżą po wariacku! - rzekła pani Clearwell z dezaprobatą. - Któryś z nich mógł kogoś przejechać. Biedna ofiara!

Derek słuchał jej z ponurym spojrzeniem. Twarz mu stężała.

Nagle wstał.

- Pójdę zobaczyć, co się stało. Może ktoś potrzebuje pomocy.

- Pomocy? - zdziwiła się Lilly.

- O, drogie panie, gdybyście wiedziały, ile pospiesznych operacji wykonałem wprost na polu bitwy. - Stał z boku powozu i damy niezbyt wyraźnie słyszały jego słowa.

Ruszył w stronę skrzyżowania i szybko zniknął w tłumie. Lilly, zdumiona, odwróciła się do pani Clearwell.

- Operacji?

Matka chrzestna wzruszyła ramionami. Oczywiście można się było spodziewać, że musiał mieć pewną wiedzę medyczną. Z pewnością po każdej bitwie było tam więcej rannych niż lekarzy.

On ratuje ludziom życie, pomyślała z podziwem. Dotąd myślała, że Derek gra tylko rolę bohaterskiego wojownika.

Zabiegani londyńczycy nie pozwalali, żeby byle wypadek utrudniał ruch, więc po chwili powozy ruszyły. Serce Lilly biło coraz mocniej.

Nie była pewna, czy chciałaby zobaczyć ofiarę wypadku, kogoś przejechanego przez powóz. Widok krwi przyprawiał ją o mdłości. Ale chciała zobaczyć Dereka w akcji.

Kiedy podjechały bliżej, co prawda w ślimaczym tempie, powozy, które były przed nimi, po prostu objeżdżały stojący na drodze pojazd. Zawalidrogą był przeładowany dyliżans z czerwonymi kołami i stertą bagaży oraz grupką wrzeszczących pasażerów na dachu. Z okien też wychylali się rozgniewani podróżni, krzyczący na woźnicę:

- No, dalej! Jedziemy czy nie?

- Zmusz tę szkapę, niech się ruszy!

Oczy Lilly rozwarły się szeroko, kiedy zobaczyła, że Derek stoi obok jednego z koni, które ciągnęły dyliżans. Wychudzony, mizerny kasztan był w opłakanym stanie; ranny, a może chory - w każdym razie nie nadawał się do pracy. Zaplątany w uprzęż dygotał i przerażonym wzrokiem wpatrywał się w Dereka, jakby czuł, że on może mu przyjść z pomocą.

Czerwony czaprak konia pociemniał od potu, a grzbiet krwawił od uderzeń batem.

- Z drogi! - huknął potężny woźnica z wysokości kozła dyliżansu.

Coś w jego rysach przypomniało Lilly Edwarda.

Mężczyzna z pewnością nie zdawał sobie sprawy, z kim ma do czynienia.

Derek spojrział na niego z twarzą pobladłą z wściekłości. Wlepił w woźnicę groźny wzrok i wskazał na niego palcem.

- Jeszcze raz uderzysz to zwierzę, a przysięgam, pokażę ci, co to znaczy brać cięgi.

- Grozisz mi? Wara ci od mojego konia!

- Wyprzęgnę klacz. Dziś nie może już ciągnąć.

- Idź do diabła! Myślisz, że możesz kraść moją własność? Będziesz wisieć, ty koniokradzie!

Ruch znowu ustał. Zebrał się tłumek zainteresowanych, jak się skończy ta awantura. Ludzie zatrzymywali się na skrzyżowaniu i gapili. Stangret pani Clearwell, Gerald, przeprowadził powóz na drugą stronę ulicy, by przepuścić inne pojazdy

- Kupuję od ciebie tę klacz! - krzyknął Derek do woźnicy.

Jego głos brzmiał złowrogo, Lilly jeszcze nigdy nie słyszała u niego takiego tonu.

- Nie jest do sprzedania! Mówię: zejdz mi z drogi! -Woźnica, wściekły na wrzeszczących pasażerów, uniósł kciuk do góry. - Muszę się trzymać rozkładu!

- No, więc pewnie się spóźnisz - odparował Derek i spokojnie zabrał się do rozplątywania lejców, którymi omotana była klacz.

- Do diabła z tobą! - ryknął woźnica.

Lilly o mało nie krzyknęła, bo mężczyzna podniósł bat, żeby znów uderzyć konia, ale Derek wyciągnął rękę w skórzaną rękawicę i złapał bat w powietrzu. Szarpnął tak gwałtownie, że woźnica nie utrzymał się na koźle i runął na ziemię, tuż przy przednim kole dyliżansu.

Major podszedł do niego.

W tym momencie stajenny i strażnik poczty zeskoczyli z dachu i rzu- cili się na Dereka, wymyślając mu.

Na skrzyżowaniu zrobiło się jeszcze większe zamieszanie.

Knighr zmierzył intruzów lodowatym, groźnym spojrzeniem.

W dyliżansie był, jak zawsze, uzbrojony strażnik zobowiązany do pilnowania poczty, ale dzięki Bogu miał dosyć rozsądku, by nie wypalić z muszkietu na zatłoczonej ulicy. Użył natomiast broni jako kija i walnął Dereka w głowę.

Ten zablokował uderzenie lewym ramieniem i rozpląszczył na ziemi masywnego strażnika uderzeniem prawej pięści. Teraz zwrócił się do stajennego. Chłopak cofał się powoli; nie chcąc tchórzliwie uciekać i narazić się na kpiny zachęcających do walki gapiów, próbował kopnąć Dereka w kolano.

Major zaklął, złapał chłopaka za piętę i przewrócił.

Stajenny wrzasnął, padając na wznak na bruk, ku wielkiej radości tłumu; nie próbował wstawać, nawet gdyby mógł.

Lilly nie winiła Dereka za to. Gdyby to była prawdziwa bitwa, taki sprytny trik prawdopodobnie zakończyłby się nadzianiem delikwenta na szpadę; niemniej zachowanie majora wobec tych wrogów było tak spokojne, że przypominał jej kota igrającego z myszą, zanim jej odgryzie głowę.

Tłum bawił się doskonale. Zachęcano Dereka, ten jednak oszczędził swojej ofierze jeszcze większej kary i zajął się woźnicą, który ocknął się po upadku.

On to naprawdę zrobi, myślała Lilly, marszcząc czoło; serce waliło jej jak młotem. Zaraz spuści mu lanie.

Okrutny woźnica powoli podnosił się na nogi; miał minę wściekłego, zranionego byka.

- No, dalej, wstawaj! - natrząsał się Derek, podchodząc do niego. - Podnoś się! Szybciej!

Zrobiła wielkie oczy, kiedy major wziął zamach i trzasnął osiłka jego batem.

Mężczyzna wrzasnął jak ukąszony przez węża i znów upadł pod koła, chociaż Derek nie uderzył aż tak mocno, żeby mu rozdrzeć ubranie.

- No, co? Nie podoba ci się? - kpił Derek, coraz bardziej rozjuszony. - A może nie zrobiłem tego porządnie?

Uderzył jeszcze raz, tym razem mocniej.

- Wstawaj, ty sapiący bebecchu! Zobaczymy, jak ci pójdzie z kimś, kto jest w stanie się bronić!

- Derek! - krzyknęła Lilly.

Jej krzyk sprawił, że Derek oprzytomniał. Kiedy się do niej odwrócił, twarz płonęła mu z gniewu, oczy lśniły zimną wściekłością.

Miał nieobecne spojrzenie.

Patrząc na niego, Lilly uświadomiła sobie, że taką posępną ciemność widziała już w jego oczach, gdy stali nad rzeką. Wtedy ją to wytrąciło z równowagi; teraz czuła się oszołomiona.

Chyba dostrzegł w jej przerażonym spojrzeniu odbicie swojej wściekłości, bo już po chwili odzyskał kontrolę nad sobą. Zmrużywszy oczy, z pogardą mierzył wzrokiem woźnicę.

- Zasłużył na to.

Ruszył znów do niego, ale podniósł tylko bat, odszedł parę kroków i wyrzucił go wysoko w powietrze. Bat przeleciał nad budynkami, wijąc się jak wąż i wylądował gdzieś na dachu.

Derek otrząpął dłonie z kurzu, rzucił woźnicy jeszcze jedno groźne spojrzenie i spokojnie zabrał się do wyprzęgania kasztanki.

Uwolnił klacz z więzów, położył jej rękę na szyi i coś do niej mówił łagodnie. Trzymając za brudną skórzaną uzdę, odprowadził kulejące zwierzę na bok.

Tłum już nie podburzał do walki. Teraz uwaga publiki była skupiona na cierpieniu konia.

Ludzie rozstąpili się i bez słowa przepuścili majora.

Derek, zanim opuścił miejsce zdarzenia, niemal niezauważalnie się zawahał. Zatrzymał się na moment, by przez ramię rzucić Lilly przeprasające spojrzenie.

Popatrzyła na niego z czułością.

Opuścił głowę i ruszył dalej. Zamknęło się za nim morze ludzi: bohater kawalerii i chora klacz zniknęły w tłumie.

Dopiero wówczas pojawili się trzej konstable, ponieważ próbowali zorientować się, o co chodzi w zamieszaniu. Woźnica, nie tracąc ani chwili, posłał ich w pogoń za Derekiem.

- Trzymać złodzieja! Łapcie go! Morderca!

Gramolił się na nogi przy przednich kołach dylizansu, w miejscu, gdzie Derek go zostawił, i wrzeszczał na całe gardło, wskazując, dokąd poszedł Derek.

- Panowie oficerowie, tędy uciekł! To jakiś wariat, zaatakował nas i porwał mi konia! Wielki chłop, długie czarne włosy. Na co czekacie? Ucieka z moim koniem! Patrzcie! -Wymachiwał pustą uprzężą.

- Czy to prawda? - spytał konstabl, rozglądając się dokoła.

- Tak, sir! - krzyknął stajenny. Próbował wstać, ostrożnie rozcierając sobie pośladki. - Przewrócił mnie tak, że stłukłem sobie tyłek!

O parę jardów od niego leżał strażnik poczty, wciąż jeszcze trochę zamroczony. Rękawem wycierał krew z nosa. Twarz policjanta stężała.

- W porządku. - Zwrócił się do swoich ludzi: - Wiecie, co robić. Za nim!

Oczy Lilly rozszerzyły się, kiedy konstable z pałkami w rękach rzucili się w pogoń za „napastnikiem”, żeby go złapać i aresztować.

Wymieniły spojrzenia z panią Clearwell, wiedząc, że z „ukradzionym” kulejącym koniem Derek nie mógł daleko odejść. Lilly mogła się tylko modlić, żeby głęboki szacunek, jaki Derek żywił dla władzy, powstrzymał go od pobicia konstabli.

Być może przy swoim uroku zdoła się wybronić...

Nadzieje się rozwiały zaraz po tym, kiedy ktoś z tłumu wrzasnął:

- Aresztują go!

Stało się.

Lilly wyskoczyła z powozu, uniosła brzeg spódnicy, i podbiegła do konstabla.

- Panie oficerze, proszę zaczekać!

Policjant odwrócił się do niej.

- O co chodzi, panienko?

- W tym, co ten człowiek mówi, nie ma słowa prawdy!

- Och, istotnie? Chyba jednak ktoś tych ludzi zaatakował!

- Zapewniam pana, że na to zasłużyli, a zwłaszcza on! - wskazała woźnicę.

Z tłumu rozległy się okrzyki: „Tak! Prawda! Ma rację”.

- Ten pan, którego oskarżyli, to słynny oficer kawalerii. Bynajmniej nie chciał ukraść konia temu głupcowi; to śmieszne oskarżenie i on o tym doskonale wie! Kto chciałby kraść taki nieszczęsny, nędzny worek kości? Major po prostu ratował biedne zwierzę przed okrucieństwem tego człowieka.

- Moim okrucieństwem?! - Krzyknął woźnica. - To on próbował nas wszystkich pozabijać! Niebezpieczny wariat! Powinno się go zamknąć!

- Głupcze! Gdyby chciał, żebyś zginął, już byłbyś martwy. Powinno być wdzięczny, że ci darował życie.

- Rzeczony osobnik, madame - zwrócił się konstabl do Lilly - to, jak rozumiem, pani małżonek?

- Nie. - Pytanie ją zaskoczyło. - To mój... przyjaciel.

Woźnica zaśmiał się szyderczo.

- Aha! Pani przyjaciel? No to, laleczko, poszukaj sobie lepiej nowego przyjaciela, bo ten trafi do Newgate, tam, gdzie jego miejsce.

- Przepraszam! Panie posterunkowy, jestem uczciwą kobietą. Tu w powozie siedzi moja opiekunka i przyzwoitka. - Wskazała na panią Clearwell, a następnie rzuciła policjantowi błagalne spojrzenie. - Major zaproponował, że kupi tego konia, ale woźnica po prostu ze zwykłego uporu odmówił przyjęcia pieniędzy!

- Ha! -Woźnica triumfował. -Więc przyznajesz, że ten drań zabrał moją własność! Kradzież to kradzież.

- Nie to miałam na myśli - wybąkała Lilly. Powiedziała akurat nie to, co powinna.

Konstabl patrzył to na nią, to na woźnicę.

- A zatem upieracie się przy oskarżeniu, tak?

- Pewnie, że tak, do cholery!

Lilly, rozwścieczona, odwróciła się do niego, i już chciała mu wygarnąć co o nim myśli ale widząc, że obaj odchodzą w stronę zatrzymanego, ugryzła się w język.

- Zaczekajcie! - zawołała.

Popatrzyli na nią pytająco.

Nie miała zamiaru pozwolić, żeby tak potraktować Dereka. Zamkną go w więzieniu? Powieszają? To czyste szaleństwo!

Nie był złodziejem, nie ukradł konia, ale nawet gdyby sąd go oczyścił z zarzutów, tak czy owak, aresztowanie byłoby niezmywalną plamą na jego wojskowym honorze. Mogłoby zniszczyć jego karierę.

Nie chciała, żeby Derek wrócił do Indii, ale też nie mogła pozwolić, by ten nic nieznaczący drań pozbawił go życiowej szansy.

- Czego pani chce? - mruknął woźnica, czekając, aż Lilly coś powie.

- Zanim zrobicie kolejny krok - odpowiedziała - czy mogłabym za mienić z panem słówko na osobności, panie...?

- Jones - odburknął. - Dobra, tyle szybko.

Konstabl kiwnął głową, że się zgadza. Odeszli na bok.

Woźnica Jones był ogromnym mężczyzną, w dodatku bił od niego fektor; Lilly patrzyła mu prosto w oczy.

- Po co pan robi takie głupstwo?

- Głupstwo? Jestem w swoim prawie! Kradzież to kradzież!

- Proszę być rozsądnym! Wie pan, że bardzo źle traktował tego konia. Robi to pan tylko przez złośliwość, bo major pana uderzył w obecności tylu ludzi.

- Należy mi się zapłata za moją własność i za mój ból! Inaczej będę się upierać przy aresztowaniu.

Był odrażający, ale jego słowa zachęciły Lilly.

- Więc dobrze! Dostanie ją pan! Zapłacę panu teraz i damy spokój całej sprawie. Ile ten koń jest wart? Najwyżej parę suwerenów, bo półżywy. Wsunęła rękę do woreczka i wydobyła wszystkie drobne. Woźnica popatrzył na kilka srebrnych monet na jej wyciągniętej dłoni i zaczął się śmiać.

- Więc tylko tyle jest dla ciebie warta wolność twojego ślicznego majora, laleczko? - Złożył grube łapy na piersiach.

Spojrzała na pieniądze.

- To wszystko, co mam.

Oczy mu się zwęziły.

- A co powiesz o... kolczykach?

11

Oskarżenie zostało wycofane.

Kiedy powóz pani Clearwell skręcił w Mayfair, Lilly wciąż była jak sparaliżowana. Nie mogła uwierzyć, że oddała kolczyki swojej praprababki za uwolnienie Dereka Knighta.

Ale w każdym razie się udało.

Woźnica odszedł zadowolony, a Dereka uwolniono; nie miał oczywiście pojęcia, że to dzięki niej. Nie zależało jej zresztą, żeby kiedykolwiek to wyszło na jaw. Gdy z daleka zobaczyła, jak Derek odprowadza rannego konia, poczuła większą satysfakcję niż kiedykolwiek w życiu: wiedziała, że naprawę mu pomogła.

Zasługiwał.

Najgorsze było to, że coraz bardziej zaczynała Lilly na nim zależeć.

Jednak strata kolczyków stała się jeszcze jednym powodem więcej, żeby doprowadzić do małżeństwa z Edwardem.

W każdym razie zabezpieczyła się przed utratą reputacji. Dobiła targu z woźnicą, pod warunkiem że nikomu nie zdradzi, iż dała mu kolczyki w zamian za wycofanie oskarżenia przeciw Derekowi. Chciwość woźnicy sprawiła, że chętnie się zgodził na zachowanie dyskrecji; nawet nie spytał Lilly o nazwisko. Zresztą jej to bardzo odpowiadało.

Nie chciała, żeby wiadomość o tym dotarła do Edwarda, a *co* do Dereka... Jeśli się nie dowie, jego duma nie będzie zraniona. Poza tym nie orientuje się, jak bardzo Lilly się w nim zadurzyła.

Nie żałowała tego, co zrobiła. Po prostu nie mogła sobie nawet wyobrazić, że ten wolny duchem, tak niezależny człowiek mógłby zostać zamknięty w ohydnej celi gdzieś w czeluściach Newgate.

Siedząca naprzeciw pani Clearwell wpatrywała się w Lilly zdumiona, jakby tej nagle wyrosła druga głowa.

- Kiedy już będziemy w domu, kochanie, myślę, że zaparzemy sobie dobrej herbatki i porozmawiamy...

Boże kochany!

- Dobrze, madame - wymamrotała stropiona nieczęstym u opie-
kunki tonem dezaprobaty w głosie; co prawda nie potępiła jej, ale jed-
nak...

Na nieszczęście, kiedy powóz stanął przed przytulną siedzibą opie-
kunki, Lilly zrozumiała, że jej kłopoty jeszcze się nie skończyły.

Był tam już Edward. Czekał na nią.

O Boże! Spędziła na mieście z Derekiem cały dzień; no i w dodatku
to zdarzenie na skrzyżowaniu! Czyżby Ed już się dowiedział? Jakim cu-
dem?

Co mu powiedzieć?

Na widok jego wielkiej czarnej karety stojącej przed domem pani
Clearwell Lilly zrobiło się niedobrze.

Sama myśl o niewątpliwej zazdrości grubiańskiego konkurenta wpra-
wiła ją w panikę. Rzuciła opiekunce przerażone spojrzenie; pani Clear-
well zdecydowanie skinęła głową. Zauważyła przestrasz podopiecznej,
ale zdawała sobie sprawę z jej winy. Także wobec rodziny.

Lilly była pewna, że Edward ją porzuci. Co ona powie matce? Nie wiedziała, kogo się bardziej boi: groźnego Eda czy lady Clarissy o oczach jak szpilety.

Do licha! Przeczuwała, że Derek Knight zrujnuje jej życie. Jak mogła wierzyć, że zrealizuje swoje plany, skoro już wiele lat temu udowodniła, że nie potrafi się kontrolować?

Kiedy Gerald otworzył drzwi i opuścił metalowe schodki, Lilly czym prędzej zamknęła oczy; wyobrażała już sobie żarty w towarzystwie, jak to dumna panna Balfour w przekomiczny sposób została odtrącona przez takiego intruza w towarzystwie jak Edward Lundy.

Oto, jak się kończy łapanie męża za wszelką cenę, powiedzą.

Bess Kingsley będzie piszczeć z radości, kiedy o tym usłyszy!

Cóż, widocznie tak musiało być.

Powoli zeszała ze schodków powozu i skierowała się w stronę domu. Teraz nie pozostawało jej nic innego, tylko wziąć się w garść i spróbować z godnością przyjąć, co jej przyniesie los.

Kamerdyner wprowadził już przedtem Edwarda do małego saloniku; Lundy, który siedział na niedużej, krytej aksamitem sofie, sprawiał wrażenie olbrzymia.

Lilly podeszła przywitać się, z trudem przywołując na twarz odważny uśmiech. Podniósł się z kapeluszem w rękę. Kątem oka dostrzegła w szybie serwantki niewyraźne swoje odbicie z przyklejonym sztucznym uśmiechem.

Była wprost zszokowana, tak bardzo w tej chwili przypominała swoją matkę.

Nie mogła nie spojrzeć na uszy - bez kolczyków.

Jestem zgubiona, pomyślała.

Edward się uklonił.

- Panno Balfour...

- Panie Lundy.

Chciała mu podać rękę, kiedy zauważyła, że nadal trzyma w niej żurnale.

Wszystkie ze ślubnymi sukniami...

Mogła tylko uprzejmie skinąć głową.

- Jak się pan dziś miewa? - spytała ostrożnie, umyślnie wdzięcznym ruchem siadając naprzeciw niego.

Pani Clearwell zatrzymała się w drzwiach saloniku, jakby się zastanawiała, czy Lilly chce, żeby weszła i wsparła ją moralnie.

Był zwyczaj, że przyzwoite zakochane pary miały prawo do piętnastominutowej rozmowy sam na sam. Dyskretnie dała opiekunce znak, by odeszła. Nie chciała, żeby tak przez nią kochana chrzestna matka stała się świadkiem jej, Lilly, upokorzenia.

Poza tym gdyby Edward w gniewie stracił samokontrolę, pani Clearwell będzie na tyle blisko, żeby go wyprosić z domu - przy pomocy kamerdynera i lokaja.

- Ja zaraz... hm... zajmę się herbatą - powiedziała opiekunka, po czym się wycofała. Drzwi zostawiła jednak otwarte.

Kiedy wymieniali zwykłe uprzejmości, Lilly wyczuła, że Edward ma ponury nastrój, jak wtedy na balu maskowym, chociaż starał się przed nią ukryć wzburzenie. Niewątpliwie coś go dręczyło, ale kiedy wspomniął o ich dzisiejszym spacerze, dała tylko ogólną odpowiedź, niepewna, ile Edward wie. Nie było potrzeby przyspieszania klęski.

W pewnej chwili odchrząknął.

- Panno Balfour, mam do pani osobiste pytanie. Właśnie dlatego tu jestem.

- Tak? - odparła z ostrożną powagą, złożwszy ręce na kolanach. Serce jej zabiło szybciej.

Edward potarł usta.

- Wczoraj wieczorem podczas koncertu zauważyłem, że pani zniknęła... w towarzystwie Dereka Knighta.

Powietrze uciekło Lilly z płuc. Patrzył jej prosto w twarz. Starając się zachować przytomność umysłu, zdobyła się na dostojne kiwnięcie głową.

- Major uznał, że mnie obraził, kiedy rozmowa zesłała na sprawę śmierci mojego ojca w Indiach. Chciał po prostu przeprosić.

Co jeszcze mogę ci powiedzieć, pomyślała.

- Rozumiem.

- Pan rozmawiał wtedy akurat z lordem Fallowem. W tej sytuacji poszłam z majorem na przechadzkę obejrzeć widok nad rzeką.

Kiedy rozważał jej odpowiedź, w sercu Lilly niespodziewanie zaczął wzbierać gniew.

Być może strach, jaki odczuwała, idąc tu, zaprowadził ją za daleko. ..
A może myśl o nieustraszonym Dereku Knighcie dodała jej odwagi i
sprawiła, że lęk zaczął ustępować?

Nie. To było coś więcej.

Kiedy siedziała naprzeciw pełnego podejrzeń i osądzającego ją
adoratora, poczucie winy, które od lat stale ją gniotło jak za ciasny
gorset, nagle zniknęło.

Po raz pierwszy od lat Lilly poczuła się kobietą zdolną do walki w
obronie swojego honoru.

- Co mi pan insynuuje, Edwardzie? - spytała lodowatym tonem. -
Czy chce pan przez to dać mi do zrozumienia, że jest pan zazdrosny?

- Nie - odparł z lekceważeniem, mierząc ją spojrzeniem. - To wcale
nie to. Wiem, że ma pani za wiele rozsądku, żeby taki fanfaron bez
grosza mógł zawrócić pani w głowie.

Skoro nie był zazdrosny, skąd to niezadowolenie?

Nie miała pojęcia, o co mu chodzi, czekała, co będzie dalej.

- Chciałbym wiedzieć, czy zadawał pani jakieś pytania na mój temat.

Lilly przechyliła głowę. Rozmowa zaczynała w tajemniczy sposób
zmierzać w innym kierunku.

- No, czy pytał o moje interesy, o mój majątek - mówił Edward na
tarczywie. - O moją pracę w komisji. O cokolwiek w tym rodzaju. Mu
szę wiedzieć wszystko, co mu pani o mnie powiedziała.

Ciekawe dlaczego, pomyślała. Niemniej, jako doskonale opanowana,
wytworna młoda dama, jaką zawsze się starała być w obecności
Edwarda, nigdy nie zadałaby takiego pytania głośno.

Czując, że trochę kręci jej się w głowie ze zdenerwowania, uciekła
się do zwykłego zachowania wobec Edwarda, czyli do uległości i
posłuszeństwa. Oczywiście w granicach rozsądku.

Nic dziwnego, że chciał się z nią ożenić.

- Major Knight nie pytał o nic takiego - odpowiedziała spokojnie.

Za żadne skarby świata nie przyznałaby się, że Derek pytał, dlaczego
Edward dotychczas jej się nie oświadczył.

- Proszę się zastanowić, Lilly. Jest pani pewna?

Skinęła głową.

- Jedyne, o co zapytał w związku z panem, to, czy sędzę, że dobrze
się pan bawi na koncercie.

Patrzył na nią badawczo.

- Naprawdę?

- Tak. Jestem zupełnie pewna. - Przerwała, po czym odważyła się zapytać. - Dlaczego?

- Bo nie mam do niego zaufania, dlatego - burknął Edward. Podniósł się i podszedł do kominka.

Lilly patrzyła za nim z zaciekawieniem.

- Ależ Edwardzie! Sądziłam, że to pański przyjaciel.

- Może tak, a może nie. To się dopiero okaże - odrzekł ponuro i stał chwilę zamyślony, oparty o gzyms kominka. -- W każdym razie, panno Balfour, musi się pani mieć przed nim na baczności.

Rozmowa zaczynała być naprawdę dziwna.

- Zna mnie pan przecież i wie, że mam się zawsze na baczności w stosunku do każdego. Ale - ciągnęła jak najdelikatniej - czy mogę spytać, dlaczego mi pan to doradza?

- Nie chcę, żeby posłużył się panią, próbując dobrać się do mnie.

Odwrócił się, spojrzenie miał twarde i twarz zaciętą. Lilly poczuła, że serce jej podchodzi do gardła.

Derek... miałby się nią posługiwać?

Poczuła mdłości. Ale nie! To nie ma sensu, przekonywała siebie, starając się nie myśleć o tym, że kiedyś wystrychnięto ją na dudka, ani o diamentowych kolczykach, których tak łatwo się wyrzekła dla niego.

- Dobrać się do pana? Co pan ma na myśli?

W oczach Edwarda mignęło coś bardzo dziwnego, ponurego i tajemniczego; po chwili jednak odwrócił się do niej i niecierpliwie machnął ręką.

- Ach, zna pani tych młodszych synów arystokracji. Szulerzy i oszuści. Sama arogancja i ani krzty szczerości! A już szczególnie tacy jak on, ci cholerni zawodowi wojskowi! Gdyby pani ich widziała, jak się puszą w Kalkucie, uważają, że są najlepsi. Ten major jest taki przyjacielski wobec mnie tylko dlatego, że pewnie chciałby ode mnie pożyczyć pieniędzy, gdyby zgrał się do nitki.

To niemożliwe, chciała mu powiedzieć Lilly.

Była przecież dopiero co w pełnym bogactw domu jego szwagra, markiza. Widziała dom kuzyna Dereka, księcia, w Green Park. Podejrzenia Edwarda są po prostu śmieszne.

Odsunęła od siebie myśl o kolczykach, bo nagle sobie uświadomiła, że może wcale nie musiała się z nimi rozstawać. Rodzina z łatwością wykupiłaby go z Newgate i zaangażowała najlepszych prawników do jego obrony.

Ale aresztowanie zostałyby odnotowane w papierach i wręcz uniemożliwiło karierę wojskową... Przed tym w każdym razie go uratowała.

Co do słów Edwarda, szybko doszła do wniosku, że były tylko zwykłą nieufnością nuworysza w stosunku do tych, których mimo wszystko uważał za „lepszych”. Od dawna ją dziwiło, że Edward uparcie szuka aprobaty u ludzi wysoko urodzonych, z którymi teraz stale się spotyka w towarzystwie, a równocześnie ich nienawidzi. W każdym razie w wypadku majora oba te uczucia szły w parze.

Lilly nie odważyła się powiedzieć Edwardowi o kolczykach ani o jakichkolwiek innych aspektach tej... „przyjaźni”, łączącej ją z Derekiem Knightem, w dodatku bez wiedzy Edwarda. Gdyby o tym wspomniała, jej niechęć do majora mogłaby się stać niebezpieczna.

Starając się bardzo ostrożnie rozwiać obawy Lundy'ego, posłała mu ujmujący uśmiech.

- Edwardzie, jestem pewna, że gdyby major popadł w jakieś tarapaty przy stołach gry, nie pomyślałby nawet, by pana trudzić, ale poprosiłby o pieniądze swoich krewnych. Zawsze pan myśli, że każdy chce pana tylko wykorzystać! Co do mnie, jestem pewna, że major naprawdę pana lubi. Jak mógłby pana nie lubić? Obaj byliście żołnierzami, obaj służyliście w Indiach...

- Och, na pozór to on jest całkiem sympatyczny - powiedział Edward trochę rozluźniony. - Ale wolę mieć tego łajdaka na oku i pani radzę to samo. A gdyby zaczął panią pytać o to, ile mam pieniędzy, chcę, żeby mi pani zaraz o tym powiedziała!

- Oczywiście - uspokoiła go.

Westchnął smętnie i spuścił głowę.

- W każdym razie dobrze wiedzieć, że mam panią po swojej stronie.

Uśmiechnęła się do niego, ale gdzieś w głębi duszy czuła zdziwienie, że Edward wcale nie był zazdrosny o „ogiera sezonu”. Derek ostrzegł ją, że Ed wie, iż ona pragnie tylko pieniędzy. Czy jednak uważał, że ona jest w tak rozpaczliwym położeniu finansowym, że może być jej całkowicie pewny?

Ta pewność Lundy'ego, że ma ją w ręku, zraniła jej balfourowską dumę.

Edward zerknął w stronę drzwi, by sprawdzić, czy nie ma przyzwoitki, po czym usiadł obok Lilly na kanapie.

- Moja droga panno Balfour! - Wziął ją śmiało za rękę. -Wie pani... właściwie te wszystkie pytania... no, nie były jedynym powodem mojej wizyty.

Rzuciła mu pełne powątpiewania spojrzenie.

- Jest jeszcze coś?

- Naturalnie! Chciałem panią zobaczyć. Ale to nic niezwykłego. Myśle, że pani doskonale wie, że jest moją ulubioną znajomą damą.

- Czyżby?

- Oczywiście, że pani nią jest! Zaraz po mojej matce. Ulubioną i jedyną.

- Proszę nie zapominać o pannie Kingsley.

- O niej? - parsknął, ale ku rozbawieniu Lilly trochę się zaczerwienił.

- A co z pańską nową znajomą, panią Coates? - drażniła się, udając zazdrość. - Zeszłego wieczoru wydawał się pan oczarowany jej urodą.

Roześmiał się niewyraźnie.

- Cóż, żadna z nich tak mnie nie zainteresowała jak pani. Droga Lilly...

Odważnie nazwał ją po imieniu i mocniej uścisnął za rękę.

- Pozwól mi udowodnić mój zachwyt... Czy mogę...

Słowa zamarły mu na ustach. Nagle, nie zadając sobie trudu proszenia o zgodę, przysunął się i pocałował ją.

Lilly otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, ale oczka Edwarda były zamknięte, kiedy dotykał jej ust zimnymi wargami.

Siedziała nieruchomo, modląc się, żeby tylko pani Clearwell nie stała się świadkiem tej sceny. To byłoby już zbyt żenujące! O Boże, pomyślała, czekając z bohaterką cierpliwością, aż to się skończy.

Starła się wywołać w sobie podobny dreszczyk emocji, jaki towarzyszył pocałunkom Dereka, ale eksperyment zupełnie się nie udał.

Nie poczuła nic.

W przeciwieństwie do Edwarda.

Wreszcie zdołała go odsunąć od siebie. Miał szklany wzrok.

- Kochanie - wychrypiał - wybacz mi.

- Nieważne - odparła szybko; dyskretnie otarła usta i odwróciła się z ukrytym niesmakiem.

Na dźwięk głośniego „uhum!” pani Clearwell z korytarza Edward wstał.

- Do widzenia, panno Balfour - powiedział z wahaniem.

Lilly złożyła dłonie na podołku.

- Do widzenia, panie Lundy.

Odpowiedziała na jego ukłon wdzięcznym kiwnięciem głową, po czym patrzyła uważnie, jak wychodził z salonu, zegnał się uprzejmie z panią Clearwell i szedł do wyjścia.

Kiedy Lilly usłyszała trzaśnięcie drzwi, opadła na poduszki i przycisnęła dłoń do bijącego gwałtownie serca. Leżała bezwładnie, oddychając z ulgą.

- Chwała Bogu, nie wspomniał o kolczykach! - oznajmiła, kiedy pani Clearwell weszła do pokoju z herbatą.

- Słyszałam...

- Słyszała pani? - Spojrzała na nią, zaskoczona.

- Kochanie, jestem twoją przyzwoitką. Podśluchiwanie to moje prawo, wręcz obowiązek. A teraz...

Pani Clearwell postawiła przed nią filiżankę herbaty na spodku i zasiadła przy niskim stolczku naprzeciw kanapy.

- Pozwoliłaś mu się pocałować?

- Tak - przyznała Lilly ze skruchą. - To było potworne.

- Cieszę się - rzuciła chrestna. - Pij herbatę, kochanie. Jesteś blada jak papier.

- To się stało tak szybko... - wymamrotała Lilly, biorąc do ręki filiżankę.

- Eliza nas dobrze zna. Od razu nastawiła wodę.

Istotnie, łyk uspokajającej herbatki z cukrem i mlekiem pomógł Lilly dojść do siebie. Na szczęście, bo za moment ten spokój okazał się bardzo potrzebny.

Pani Clearwell pokiwała głową.

- Teraz w każdej chwili spodziewaj się, że będziesz musiała podjąć natychmiastową decyzję, moja mała. Najpierw pocałunek, a zaraz po tym propozycja małżeństwa. Musisz mieć pewność.

Ależ ja mam pewność, decyzję podjęłam już dawno, chciała powiedzieć Lilly. Jednak się zawahała.

Czy rzeczywiście... ?

- Lilly, kochanie. - Pani Clearwell macierzyńskim gestem dotknęła jej policzka. - Wiesz przecież, że cię uwielbiam, ale nie wolno ci wyjść za mąż za mężczyznę, który ci się oświadczył, mając serce zajęte innym. To nieuczciwe.

Lilly była w stanie tylko patrzeć na nią bez słowa.

- No cóż... Przeszłaś dziś dość jak na jeden dzień, więc nic już więcej nie powiem. Wierzę, że postąpisz, jak należy.

- Madame, proszę mi wybaczyć, że pani komplikuję życie swoim zachowaniem w całej tej... nieudanej aferze.

Chrzestna wstała.

- Tak, miłość sprawia, że ludzie robią głupstwa.

- Miłość!

- Słyszałaś.

Pani Clearwell wzięła swoją filiżankę herbaty i skierowała się do drzwi.

- Jestem wykończona tymi zakupami. Pójdę się zdrzemnąć.

- Ale... pani Clearwell, on ma zamiar wrócić do Indii! - wybuchnęła Lilly, zanim jej opiekunka zniknęła za drzwiami.

- Ba, dziecko! Plany można zmieniać. - Chrzestna miała w oczach psotny chochlik.

Ta cała sytuacja przerastała Lilly, ramiona jej opadły.

- W każdym razie nie wolno mu powiedzieć o kolczykach. Jest taki dumny, że czułby się okropnie zażenowany.

Pani Clearwell gestem pokazała, że w tej sprawie ma zasznurowane usta. Po chwili rzekła:

- Wiesz co? Mogłabym spróbować je odzyskać dla ciebie.

- Nie, madame. - Lilly pokręciła głową. - Nigdy nie wypłaciłabym się pani. To mój wybór i moja odpowiedzialność, że je sprzedałam, i nie żałuję.

- Aha... rozumiem. Ale nie jesteś w nim zakochana?

- Nie!

Pani Clearwell odwróciła się i zachichotała.

- Wobec tego zobaczymy się przy kolacji. Ten lord Arthur... O mój Boże, ależ to przystojny mężczyzna! Widać, skąd się wzięła uroda ma jora...

Lilly uśmiechnęła się smętnie, a jej przyzwoitka wypłynęła z salonu, udając się na drzemkę.

Siedząc na kanapie, Lilly patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem oszołomiona tym, co się stało. Westchnęła, wypija łyk herbaty i oparła głowę na poduszkach.

Wciąż trzymała Edwarda na haczyku.

Nieco cynicznie pytała siebie, czy jej się uda łatwo z tego wyplątać?

O Boże, nie umiałyby traktować Dereka Knighta na równi z Edwardem Lundym i umizgać się do tego ostatniego.

Co robić?

Miała zupełny mętlik w głowie. Choć nie żałowała tego, co zrobiła, serce jej krwawiło, że już nie ma kolczyków. Była zaskoczona, że tak ją ciągnie do Dereka, coraz więcej o nim myśli. Podziwiała go za zaciekłość w walce. Czuła zażenowanie po idiotycznych pytaniach Edwarda na jego temat. Wreszcie niesmak na myśl o spędzeniu reszty życia z tymi lepkiemi wargami na swoich ustach...

Może rzeczywiście powinna wycofać się z tego?

Niestety, nie była na tyle odważna, żeby tak po prostu skoczyć z wysokiej skały, chyba że na dole byłby ktoś o silnych ramionach, kto by ją złapał.

Ale ten ktoś miał inne priorytety, w przeciwieństwie do tego, co sądziła jej przyzwoitka. Ów ktoś nie czuł do niej tego, co ona zaczynała czuć do niego aż za bardzo.

Z grymasem gniewu i niezadowolenia Lilly znowu zamknęła oczy. Czuła się jak w potrzasku.

Derek! Muszę zobaczyć Dereka.

Tak...

Poczuła przypływ energii.

Powinna pójść, sprawdzić, jak się miewa biedny chory koń!

Kasztanka była w bardzo złym stanie, ale Derek już w swoim życiu miał do czynienia z wieloma gorszymi przypadkami.

Klacz stała teraz w stajni na Althorpe, bezpiecznie uwiązana w boksie; chore kopyto moczyło się w wiadrze z gorącą wodą z gorzką solą. Derek, z rękawami zawiniętymi powyżej łokci, siedział na niskim stołku, uspokajając klacz, i pilnował, żeby nie wyrwała się i nie kopnęła wiadra.

Ulokowano ją w największym boksie na samym końcu stajni, z daleka od innych koni do czasu, aż będzie wiadomo, czy nie jest chora, tylko pobita i zmalretowana.

Jej stan zaczął się zadziwiająco szybko poprawiać. Oczyszczona, osuszona, wyszczotkowana i nakarmiona, z ranami na grzbiecie od bata, obłożonymi teraz ciepłą papką z ziół i otrąb przeciw zakażeniu, którą Derek sam przygotował, z godziny na godzinę zdrowiała.

W nim gniew już wygasał. Stajnia zawsze działała na niego uspokajająco: teraz ta pożyteczna praca przy koniu pomagała mu odprężyć się po dzisiejszej awanturze.

Ciągle był jednak zakłopotany, posepny i zamyślony.

Oskarżenie przeciw niemu wycofano, chyba z powodu kompletnej absurdalności zarzutów. Niemniej Derek nadal kipiał ze złości na myśl o woźnicy, który próbował go wsadzić do więzienia.

Znęcanie się tego drania nad zwierzętami widziała przecież co najmniej setka świadków. On jedynie zaaplikował temu bydlakowi odrobinę jego własnego lekarstwa.

Nie było w tym nic złego. Aż do momentu, kiedy sobie uświadomił, że Lilly to widzi.

Wciąż zastanawiał się, jak bardzo ją do siebie zraził i było mu trochę głupio, bo nie pojmował, czemu mu tak bardzo na niej zależy.

Znów ogarnął go niepokój na myśl o tych wszystkich nurtujących go kwestiach, które starał się ignorować, na przykład, jak bardzo wojsko, walka wpłynęły na jego osobowość.

Przerażenie Lilly, kiedy zobaczyła, jak ćwiczy batem woźnicę, sprawiło, że to pytanie oraz inne, wynikające z niego, wróciły.

Jeżeli uważała to za złe... Cóż, nie ma nawet porównania z tym, co wyprawiał w każdej bitwie.

Co, do licha, on ma wspólnego z tą dziewczyną? Tyle że naraził jej kruchy związek z Lundym na zerwanie.

A jednak nie potrafił trzymać się od niej z daleka. Coś go w niej dziwnie pociągało.

Do diabła, nie warto o tym myśleć.

Nawet gdyby nie wrócił do Indii, nic by to nie dało, jej rodzinie potrzebne są pieniądze, a on, cóż - bogaty nie był. W każdym razie nie tak, jak Lundy. Oczywiście, jego ród miał się znakomicie, ale Derek raczej

połknąłby własną szpadę, niż poprosił ojca o wypłacanie mu pensji jak jakiemuś młokosowi.

Poczuł na policzku ciepły oddech, o po chwili miękki pysk konia; klacz przytuliła się do niego. Spojrzał na nią z żartobliwym uśmiechem.

- Wiem, wiem, ślicznotko. Witaj w rodzinie!

Poklepał klacz po karku i sprawdził, czy woda w wiadrze jest jeszcze ciepła.

Okazało się, że jego jasnogrzywy konik ma wspaniały charakter. Aplikując okłady, Derek był mile zdziwiony, że mimo złego dotąd traktowania koń jest tak spokojny i serdeczny. Wiedział z doświadczenia, że większość zwierząt nie lubi dotykania ich ran, zwłaszcza te, które przedtem doznały cierpienia. Ta klacz jednak pozwoliła opatrzeć sobie rany na grzbiecie. Jej potulność nasunęła mu podejrzenie, że koń musiał być kiedyś pieszczony przez właściciela, zanim los go sprowadził do roli zwierzęcia pociągowego; prawdopodobnie sprzedano go na licytacji.

W tym momencie zaświtała mu myśl, że pewnie dlatego klacz nie potrafiła iść zgodnie w parze. Nie mógł z całą pewnością określić rasy, była mieszzańcem. To był koń pod wierzch! Wskazywała na to delikatna muskulatura. Prawda, że będzie musiała nabrać trochę ciała; miała jednak piękną linię i czystą krew.

W każdym razie wspaniały wierzchowiec Dereka uznał klacz za wartą uwagi. Kary ogier od Tattersalla wyraził swoje uznanie zachęcającym rżeniem już w momencie, kiedy się pojawiła; wystawiał głowę z boksu i potrząsał grzywą tak, żeby to zauważyła.

Klacz wydawała się traktować te awanse jako odrobinę przedwczesne.

Derek doskonale wiedział, do kogo powinna należeć. Byłaby pożytecznym prezentem dla Lilly. Jeżeli chciałaby sama jeździć, nie musiałaby już czekać na łaskę innych - swojej opiekunki czy konkurenta. Wiedział, że zależność we wszystkim od innych uraża jej dumę.

Uznał, że to bardzo dobry pomysł. Wykuruje klacz i podaruje komuś, kto z pewnością nigdy nie zrobi jej krzywdy.

Uznawszy, że kopyto jest już należycie wymoczone, Derek wyjął nogę klaczy z wiadra, ustawił obok i zaczął wycierać suchymi, miękkimi ręcznikami. Schylony obejrzał zranioną strzałkę na kopycie, po czym wzruszył ramionami. Czas pokaże.

Pozwolił klaczy postawić kopyto na ziemi i wstał. Poklepał kasztankę po szyi.

- Jak tam pański pacjent, majorze? - usłyszał cichy głos za plecami.

Derek odwrócił się zaskoczony.

- Lilly!

W nadziei, że jego twarz nie zdradza drgnięcia serca na jej widok, starał się opanować, wycierając ręce ręcznikiem.

- Co pani tu robi? - spytał ciepło, niby obojętnie.

- Odwiedzam chorego - odparła. - To, co zawsze robią dystyngowane damy.

Podeszła bliżej, odrzucając na plecy słomkowy kapelusz, który zawisnął na wstążce wokół szyi. Ściągnęła jasnobrązowe rękawiczki z kozłej skóry, sięgnęła do wiszącego na ramieniu koszyka i wydobyła marchewkę.

- Przyszłam z prezentem. Czy można?

- Proszę. - Derek wskazał gestem konia, nie mogąc oderwać oczu od dziewczyny. - Jest pani sama? - Był zaskoczony, nie widząc pokojówki ani towarzyszącej zwykle Lilly pani Clearwell.

- To tylko króciutka wizyta.

- Odważnie z pani strony, panno Balfour.

Powiodła spojrzeniem po jego piersi - miał lekko rozchyłoną białą koszulę.

- Czyżby to panu przeszkadzało?

- Absolutnie nie - zapewnił pośpiesznie.

Udała, że interesuje ją wyłącznie kasztanka.

- Jak ona się czuje?

- Ogólnie biorąc, powiedziałbym: jest zadowolona, że już po wszystkim.

Pokazał jej ostry, mały kamyk, który tkwił przedtem w kopycie klaczy.

- Właśnie z powodu tego paskudztwa okulała.

- O Boże, a to dopiero! Z czymś takim też bym kulała. Biedna dziewczynka... Wyleczy się z tego?

Z trudem odzyskał głos, tak był wpatrzony w dłoń Lilly, gdy gładziła miękką sierść konia. Zastanawiał się, co by czuł, gdyby tak głaskała jego.

- Trudno powiedzieć. - Odwrócił wzrok, stojąc z dłońmi opartymi na biodrach. Miał nadzieję, że jego pożądanie nie jest takie znów oczywiste. -

Każda rana miękkich części pod kopytem może być poważna, ale pocieszam się, że zdążyliśmy w porę.

- Wygląda na szczęśliwą...

Uśmiechał się oczarowany różowością jej policzków po szybkiej przechadzce; odstawiła kosz, po czym rozwiązała wstążki kapelusza.

Kiedy zawierała przyjaźń z klaczką, karmiąc ją marchewkami i jabłkiem, Derek z podziwem i upodobaniem przypatrywał się jej szczupłej figurze. Przebrała się w prostszy strój: miała na sobie bladoniebieską spacerową suknię i narzucony na nią rozpięty lekki beżowy płaszczyk do kolan. Dotychczas widywał ją najczęściej w balowych i wieczorowych strojach, uznał jednak, że o wiele bardziej podoba mu się taka jak teraz.

Ciepła. Dostępna. Nawet uśmiechała się bardziej naturalnie, bez troski.

Nie pamiętał już jej w masce i zwiewnej błyszczącej kreacji. Odnosił wrażenie, że dopiero teraz widzi prawdziwą Lilly.

Nie wiadomo kiedy złapał się na tym, że patrzy na jej wijące się po karczku kosmyki blond włosów i luźny warkocz na plecach. Zastanawiał się, co ją tu sprowadziło.

- Majorze...? - wyszeptła Lilly, uśmiechając się.

Pokręcił głową.

- Po prostu jestem zaskoczony, widząc tu panią, to wszystko. Bo to chyba... trochę ryzykowne dla pani reputacji, nieprawdaż?

- Musiałam przyjść i zobaczyć, co się z nią dzieje... I z panem. - Spojrzała mu głęboko w oczy. Podała klaczy jabłko. - Aż trudno uwierzyć, o ile lepiej teraz wygląda. Po prostu ślicznie. Jest pan pewien, że to ten sam koń?

- To ona - zapewnił. Odwrócił się, żeby wylać wodę z wiadra przez okno boksu.

- Zdziwiał mnie pan, majorze. Weterynarz, chirurg, opiekun dzieci, członek lobby i wojownik.

- Hm... tak. Co do tego ostatniego - zaczął z goryczą, odstawivszy na bok puste wiadro - to naprawdę chciałem przeprosić.

- Niech pan nie przeprasza. - Uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę i szybkim, krzepiącym gestem dotknęła jego ramienia. - Wszystko jest jak należy. Właściwie dlatego tu przyszedłem. Miałam wrażenie, iż pan uważa, że się na niego gniewam.

- Powinna pani. - Zmarszczył brwi. - Zachowałem się jak barba-
rzyńca.

- Może być, ale byłoby hipokryzją osądzać pana, skoro tak twardo
obstawałam przy tym, że panu nie wolno mnie osądzać; mnie, łowczyni
majątków. Pamięta pan?

Pamiętał aż za dobrze.

- W każdym razie, kiedy dziś wróciłam do domu, wie pan, kto na
innie czekał?

Derek oniemiał.

- Lundy? - Poczuł, że powietrze ucieka mu z płuc. - Oświadczył się?

- Nie. - Uśmiechnęła się kpiąco. Cały czas gładziła klaczkę. - Za-
chował się bardzo dziwnie. Zadawał mi pytania. Mówił dziwne rzeczy.

Patrzył na nią w skupieniu.

- Jakie rzeczy?

- Wiedział o naszym wczorajszym wieczornym spacerze.

- Jest pani pewna, że tylko o tym?

- Myślę, że tak. - Lilly przerwała na chwilę. - Starał się dać mi do
zrozumienia, że nie jest zazdrosny. Zresztą dlaczego miałby być? Świet-
nie zna moją sytuację.

Derek zacisnął szczęki i, stojąc z rękami na biodrach, patrzył w zie-
mię.

- Więc... czego chciał?

- Chciał wiedzieć, czy pan mnie wypytywał o jego dzierżawy i po-
siadłości. - Wzruszyła ramionami. - Myślę, iż obawia się, że pan tylko
udaje przyjaźń, bo on jest bogaty, a pan młodszym synem w rodzinie.
Podejrzewam, że całe życie był otoczony ludźmi, którzy próbowali wy-
korzystać jego bogactwo. Ale oboje wiemy, że nigdy by pan tego nie zro-
bił. - W jej wielkich błękitnych oczach dostrzegł poczucie winy. Przecież
i ona chciała wykorzystać tego bogacza. - Derek... Czy pan... zna jakiś
inny powód, dla którego Edward panu nie ufa?

Oczywiście, że znał. Śledztwo. Tego jednak nie mógł jej powiedzieć.

A zatem jego rzekomy sojusznik Lundy ani przez chwilę mu nie wie-
rzył. Zresztą podobnie jak Derek jemu. Lundy musiał zdać sobie sprawę,
że Derek jeszcze go nie skreślił z listy podejrzanych.

Ale, do stu diabłów, wciąganie w tę grę dziewczyny przekraczało
granice przyzwoitości.

Czekała na odpowiedź, on jednak pominął pytanie milczeniem.

- Mówił jeszcze coś godnego uwagi?

- Tylko tyle, że gdyby pan kiedykolwiek pytał o jego zasoby, mam go o tym powiadomić. Zgodziłam się - dodała poważnie.

- Cóż, wygląda na to, że zostałem ostrzeżony - rzekł Derek sucho.

- Nie traktowałam tego w ten sposób.

- A w jaki?

Odwiązał kasztankę z uwięzi. Klacz natychmiast wolnym krokiem odeszła w najdalszy koniec boksu i zabrała się do jedzenia wiązki świeżego siana, które jej Derek tam położył.

Policzki Lilly zrobiły się purpurowe.

- Nie wiem... W każdym razie nie musi się pan niczego obawiać. Udało mi się uspokoić Edwarda.

- Nie obawiam się. Jak pani tego dokonała?

Pominęła milczeniem to zazdrosne pytanie.

- Chciałam, by pan wiedział, że Edward nie jest z panem tak szczerzy, jak, być może, udaje.

- Cóż... - rzekł Derek spokojnie, chociaż krew w nim wrzała - to chyba obustronne.

- Co pan ma na myśli?

- To, że teraz stoję w końskim boksie z jego przyszłą żoną i wszystko, o czym jestem w stanie myśleć, to to, jak bardzo pragnę ją pocałować. Byłby głupcem, gdyby mi ufał. - Przerwał. Powoli okręcał wokół ręki sznur upręży i zrobił pętlę na końcu. - Pani zresztą też.

Na te zuchwałe słowa jej różowe policzki pociemniały. Patrzyła na niego tęsknie, a po chwili spuściła wzrok. Derek zamknął oczy. Człowieku, zastanów się!

- Powinna pani już pójść - mruknął chrapliwie.

- Nie chcę - wyszeptała, podchodząc bliżej. - Derek, wstyd mi.

- Mnie też.

Ciężko oddychał. Marzył o tym, żeby ją już, teraz, tu położyć na sianie, ale pohamował się, wspomniawszy jej przerażone spojrzenie, kiedy staczał bójkę z woźnicą. A teraz stała tu gotowa oddać mu siebie. Boże, nie miał pojęcia, co zrobić.

- Lilly, nie powinnaś chcieć takiego mężczyzny jak ja - powiedział brutalnie. Przechesał ręką włosy. -Widziałem, jak na mnie patrzyłaś wtedy, na ulicy, ale i tak nie masz pojęcia...

- Nie boję się. - Podeszła jeszcze o krok bliżej. - Derek! Chcę ci pomóc.

Natychmiast odzyskał czujność.

- Pomóc? Mnie?

Jej łagodne słowa przypomniały mu nocne koszmary, piekielny świat dymu i śmierci, w którym czuł się tak strasznie samotny.

- Zeszłej nocy, kiedy staliśmy nad rzeką, nagle stałeś się taki odległy,

jakby jakaś myśl nie dawała ci spokoju. A dziś znów dostrzegłam w twoich oczach to dzikie, groźne spojrzenie. Wiem, że cierpisz.

Poczuł, że jest zdemaskowany. Obnażony. Nie mógł znaleźć odpowiedzi.

Jej spostrzegawczość tak go wytrąciła z równowagi, że mógł się jedynie zdobyć na kłamstwo.

- Naprawdę nic mi nie jest.

- O nie! - Patrzyła błagalnie. - Nieprawda. Powiedziałeś, że jesteś uczciwym, szczerym człowiekiem. Udowodnij to. Przyznaj, co cię gnębi.

- Co ci mam powiedzieć? - wykrzyknął. Cofnął się pod ścianę boksu. Oparł się o nią plecami: milczał, szukając słów. - Oczywiście, że tu nie jestem w swoim żywiole.

- Gdzie?

- Tu, w tym mieście, w tym kraju, na tym kontynencie! Nie jestem u siebie. Oczywiście cieszę się, że spotkałem ciebie, ale naprawdę nigdy nie pragnąłem przyjechać do Anglii. Jestem tu, bo dostałem rozkaz, a także na życzenie mojej rodziny.

- Tęsknisz za Indiami? O to chodzi? Derek, wierz mi, naprawdę znam to uczucie...

- Nie, to nie to.

- Więc co?

- Tam toczy się wojna! Dlaczego nikt tu tego nie rozumie? Powinno być teraz w Indiach, z moimi ludźmi! Cały czas się o nich niepokoję. Nie mogę przestać o tym myśleć. Tam, beze mnie, dowódcy...

Pokręcił głową i odwrócił wzrok.

- Ta cała misja, zabezpieczenie funduszy dla armii, to kara, a nie na groda, jeżeli chcesz wiedzieć.

- Naprawdę?

Skinął głową.

- Uznano, że moje powiązania rodzinne będą użyteczne dla tego zadania - mówił z pogardą - ale tak naprawdę chciano mi dać nauczkę. Na jakiś czas odebrano mi dowództwo. Moje stanowisko zajął inny oficer. Nie jestem w stanie dowiedzieć się, jak on się sprawuje; jedynym sposobem, żeby znów się tam znaleźć, to pojechać z tymi piekielnymi pieniędzmi dla wojska.

- Za co ta nauczka? Co takiego zrobiłeś?

- Co zrobiłem? - Parsknął i spojrzał na nią, nie mając pojęcia, jak zareaguje. W końcu wzruszył ramionami. - Zabiłem kilku strażników pałacowych wewnątrz fortecy maharadży.

Szeroko otworzyła oczy.

- Nie miałem wyboru. Ich ksiązę chciał uwieść moją siostrę. Musieliśmy ją chronić: Gabriel i ja. Na nieszczęście przyjęto to bardzo niedo-
brze. Nasz pułkownik o mało nie oddał nas w ręce maharadży na ścięcie za złamanie miejscowego hinduskiego prawa.

Była tak zdumiona, że uznał, iż należy jej się dokładniejsze wyjaśnienie.

- Poznałaś męża mojej siostry, lorda Griffitha. Przyjechał do Indii w misji dyplomatycznej negocjować traktat z maharadzą Janpuru. Gabriela i mnie wybrano na szefów jego ochrony, jako eskortę na wrogim terytorium. Georgie - cóż, udało jej się też otrzymać zaproszenie do pałacu i - można powiedzieć, że ilekroć gdzieś się pojawiała moja siostra, za wsze powodowała zamieszanie. Gabriel i ja zrobiliśmy to, co musieliśmy uczynić, a ludzie zginęli - zakończył ponuro. -Wśród nich sam ksiązę od szpady Gabriela, a także większość ochrony księcia - od mojej. Ich śmierć kosztowała mnie dowództwo, a Gabriel omal nie stracił życia. Usunięto nas ze stanowisk, żeby tylko udobruchać maharadzę. Gdyby nie to, że Georgie, jak zwykle wtykając nos w nie swoje sprawy, odkryła spisek księcia, syna maharadży, przeciwko ojcu, już przed wieloma miesiącami ścięto by mi głowę.

Skrzywiła się na ten makabryczny żart.

Wzruszył ramionami.

- Co innego mogliśmy zrobić? Pozwolić królewskiemu synkowi skrzywdzić naszą siostrę? Nie było innego wyjścia. My albo oni.

- Na litość boską - mówiła słabym głosem - i po tym wszystkim twój brat też chce wracać do Indii?

- Nie. - Derek zamilkł na chwilę. - O mały włos go nie zabili tuż przed końcem bitwy. Do tej pory nie doszedł jeszcze do siebie. Dlatego jego powrót na dawne stanowisko nie wchodzi w rachubę. Mówi, że tak bliskie otarcie się o śmierć kazało mu się zastanowić, jak przeżyć resztę swoich dni.

- Rozumiem. - Lilly obserwowała go z pochyloną głową. - Ale na ciebie to nie podziałało w taki sposób?

- Nie! - rzucił gwałtownie. Nie chciał się przyznać do wątpliwości, które go dręczyły przez ostatnie miesiące.

- Och... rozumiem. - Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

- Znam dobrze wojnę, Lilly. Nie mam zamiaru zaczynać wszystkiego od początku. Jestem żołnierzem. Nauczyłem się wojaczki i robię to dobrze. To właśnie ci usiłuję wytłumaczyć. Wiem, że twoim zdaniem zachowałem się dziś jak barbarzyńca. Masz rację. Prawdę powiedziawszy, to, co widziałas, to zaledwie słabe wyobrażenie tego, do czego jestem zdolny, a co zdarzało mi się robić wielokrotnie. Dlatego wtedy w Hyde Parku wpadłem w taki gniew, kiedy mnie nazwałaś zabójcą. Na nieszczęście - odetchnął głęboko - jest w tym ziarno prawdy. Jak mógłbym o wszystkim zapomnieć i nagle stać się cywilem? Nie wyobrażam sobie... to chyba nie byłoby możliwe.

- Jest możliwe, Derek. - Spojrzała na niego współczująco i powoli pokiwała głową. - To wszystko, co zrobiłeś, musi być dla ciebie straszonym ciężarem. Jak w ogóle potrafisz z tym żyć?

- Lepiej o tym nie myśl - odparł.

Nie spuszczała z niego wzroku.

- Nie sądzisz, że i tak zapłaciłeś już wysoką cenę? Może twoja rodzina ma rację? Powrót po nowe cierpienia z pewnością nie byłby dla ciebie dobry.

- Tam ciągle są moi żołnierze. I dla nich to nie jest dobre. Dlaczego ja miałbym być w lepszej sytuacji od nich?

- Derek...

Gwałtownie przełknął ślinę.

- Tu nie jestem u siebie, Lilly. Dzisiejsza awantura tylko to potwierdziła. Może zaszyły we mnie zbyt duże zmiany i nie potrafię już przystosować się do życia w cywilizacji. Na polu bitwy przynajmniej pasowałem do tych... wszystkich innych dzikusów.

- Derek, ten woźnica był prawdziwym dzikusiem - odparła zdecydowanie, wskazując kasztanową klacz. - Dzikusami byli też ci ludzie, którzy przejeżdżali obok i nawet nie zatrzymali się, żeby ci pomóc. Nic ich to nie obchodziło. Możesz o sobie mówić „barbarzyńca”, ale byłeś jedynym człowiekiem, który dostrzegł piekło, jakie przeżywał ten nieszczęśliwy koń.

- A teraz ty dostrzegłaś moje - odpowiedział cicho, patrząc jej w oczy.

Co mam zrobić, myślał.

Wyjechać stąd, to znaczy wrócić do piekła. Zostać tu, to zwariować. Tak czy owak, był przeklęty.

- Jak ci mogę pomóc? - szepnęła, podchodząc jeszcze bliżej.

- A masz broń? - spytał z ponurym uśmiechem. Rozchylił koszulę i wskazał na serce.

- To nie żarty! - skarciła go za ten gest. Przycisnęła rękę, a potem usta do jego piersi i ten czuły dotyk wstrząsnął nim do głębi.

Zamknął oczy i przechylił głowę. Pieściła ustami jego pierś, jakby całowała to złamane serce. Słów mu zabrakło. Wdzięk i uroda Lilly pociągały go zbyt mocno, żeby to mógł znieść.

Przesunął dłonią po jej włosach i sięgnął do karku, po chwili ich usta złączyły się w gorącym pocałunku.

Tuliła się do niego całym ciałem, obejmowała kurczowo i głaskała mu twarz, zgłodniała i spragniona tak jak on. Zsunął jej ręce w dół, na swoją nagą pierś, drżąc z podniecenia, po czym ułożył ją łagodnie na miękkim sianie.

Całowała go ciągle, niepowstrzymanie. Delektował się smakiem jej języka i słodyczą ust. Płonał.

Przesuwał opuszkami po wygięciu alabastrowej szyi; Lilly wczepiła palce w jego włosy, jęknęła, kiedy objął dłonią pierś.

- Och, Derek...

- Tak bardzo cię pragnę. - To ciche wyznanie wymknęło mu się z ust, zanim zdołał się powstrzymać.

Całował ją znów.

- Chyba powinienes tu zostać - wyszeptała; patrzyła mu głęboko w oczy. Pieścił jej słiczną twarz, wyczytując z niej pragnienia. - Chyba powinienes tu zostać... ze mną.

- A może ty powinnaś pojechać ze mną do Indii.

Namiętność, którą miała w oczach, zniknęła. Lilly zeszywniała w jego objęciach.

- Wiesz, że nie mogę tego zrobić.

- Nie możesz czy nie chcesz?

Pokręciła głową i wyszeptała:

- Nie.

Jej odpowiedź przywróciła Derekowi przytomność. Spuścił głowę i się odwrócił.

- Ktoś mógłby nas zobaczyć. Powinnaś już pójść.

Wydało mu się, że nagle poczuła się zażenowana.

- Myślę... myślę, że masz rację.

Podał jej bez słowa rękę, żeby pomóc wstać. Nie przyjęła jej.

- Derek, przykro mi...

- Nie ma powodu. To był po prostu głupi pomysł.

Mówił to, unikając jej wzroku. Czuł się tak, jakby dostał pięścią w brzuch.

Dlaczego zaskoczyła go odmowa? Przecież taka prośba była kompletnie bez sensu!

Jednak dzika, tajemna, romantyczna strona jego osobowości nie potrafiła pojąć jej odmowy.

Wiedział, że potrzebowała pieniędzy. Jednak tam, gdzie w grę wchodzi prawdziwa miłość, pieniądze nie powinny mieć znaczenia.

Obawiał się, że zawsze już będzie samotny.

Czuł, że Lilly na niego patrzy, ale odwrócił wzrok. Chciał, żeby sobie poszła. Podświadoma samoobrona.

- Powinnaś już pójść - powtórzył z odrobiną bolesnej ironii w głosie. - Nie chciałbym, żeby mnie Edward wyzwiał na pojedynek.

Wahał się przez chwilę, jakby zakłopotany jej nagłym chłodem. Pomyślał po prostu: Do diabła z tobą.

Wstała bez pomocy i poszła za nim z wyrazem godności na twarzy, strzepując z sukienki kawałeczki siana; poprawiła też gorset.

Wzięła kapelusz, ale zostawiła kosz z przysmakami dla konia. Wychodząc, spojrzała za siebie ze łzami w oczach.

- Zegnaj, Derek. Uważaj na siebie... w Indiach.

- Uważać? - Uśmiechnął się pośpnie. - Niewiele by z tego było sławy.

Wzdrygnęła się na samą myśl o grożących mu niebezpieczeństwach. Derek natychmiast pożałował swoich pustych słów.

- Zegnaj, Lilly - powiedział cicho.

Być może natknie się jeszcze kiedyś na nią w Londynie, ale wiedział, że już nigdy między nimi nie będzie tak jak dawniej. To było pożegnanie.

- Mam nadzieję, że twoja rodzina docenia to, co dla niej robisz, bo rzeczywiście jesteś... - zająknął się, opuszczając głowę - jesteś najbardziej zachwycającą osobą, jaką kiedykolwiek poznałem. I strasznie mi przykro, że nie jestem bogatszy.

Jeszcze przez chwilę patrzyła na niego, zanim odeszła. Derek zacisnął powieki i rzucił półgłosem najokropniejsze przekleństwo, które sobie mógł przypomnieć, w jakimś hinduskim dialekcie.

- Boże kochany, kto umarł? - wykrzyknął Gabriel na widok zbolalej twarzy brata, kiedy ten wszedł do domu kilka minut później.

Derek popatrzył na niego.

- W przyszłym tygodniu pójdziesz ze mną na przyjęcie w ogrodzie do państwa Lundy - powiedział sflumionym głosem.

- Ja? - Gabriel pochylił się do przodu i spojrzał w kamienną twarz Dereka. - Dlaczego?

- Będziesz go zagadywał, żebym ja mógł na chwilę wymknąć się z przyjęcia i dobrać do dokumentów Lundy'ego. Trzyma je w domu.

- Chcesz to zrobić w trakcie przyjęcia? Dlaczego?

- Bo to najlepsza okazja, jaka może być - odburknął Derek. - Niech mnie diabli, jeżeli jej pozwolę wyjść za niego, póki nie sprawdzę, czy aby nie jest złodziejem.

Skoro już nie mógł jej mieć dla siebie, w każdym razie musiał ją chronić.

12

Nie chciała się przyznać sama przed sobą, po co naprawdę poszła do stajni: musiała sprawdzić, czy istnieje jakakolwiek szansa, żeby ona i Derek mogli być ze sobą i czy on odwzajemnia jej uczucia.

No cóż. Już miała odpowiedź.

Co prawda nie taką, jaką chciała usłyszeć, ale przecież zakochanie się nigdy nie leżało w jej planach.

Postanowiła raz na zawsze zapomnieć o Dereku Knighcie, wytrwać przy swoich pierwotnych zamiarach i poślubić Edwarda.

Gdyby tylko ją o to poprosił!

Na co on, u diabła, czeka?

Naprawdę zaczynała mieć do niego pretensję, że tak trzyma ją w niepewności. Doskonale przecież wiedział, że rybka połknęła już haczyk, ale z niewiadomych powodów pozwalał jej męczyć się, nie wyciągając z wody. Marzyła o tym, żeby w końcu skrócił jej cierpienia.

Nadszedł dzień przyjęcia u Lundych.

Spod cienistych drzew rozbrzmiewała pogodna muzyka, grana przez orkiestrę dętą. Pod ogromnym pasiastym namiotem mi brakowało trunksów, stały lśniące wazy z ponczem i beczki z bursztynowym piwem Ale. Długie stoły ugięły się pod obfitością przysmaków.

Nawet angielska pogoda sprzyjała uczestnikom garden party.

Lato było już w pełni, więc na całym terenie posiadłości Edwarda mogły się odbywać gry sportowe i zawody gimnastyczne. Krykiet, gry w kule, wiosłowanie na małym jezioru - no i oczywiście zakłady o zwycięstwo we wszystkich tych konkurencjach, nie mówiąc już o flirtach i ożywionych rozmowach. Ci z towarzystwa, którzy przyszli tu niezbyt chętnie, jako że gospodarz nie dorównywał im pochodzeniem, teraz, rozgrzani, korzystali w pełni z przyjemności wykwintnego przyjęcia.

Lilly była zadowolona ze względu na Lundy'ego i na siebie, jako jego przyszlą żonę. Modliła się, żeby Edward czy jego matka się nie skompromitowali. Na razie jednak wszystko przebiegało gładko.

Lilly czuła się nieswojo na myśl, że znów zobaczy się z Derekiem. Minął blisko tydzień, ale to, że odmówił pozostania razem z nią w Anglii, ciągle jeszcze ją bolało.

Okropnie bolało.

Wiadomo że ona nie pojechałaby za nim do Indii! Zresztą nie była nawet pewna, czy prosząc ją o coś takiego, mówił poważnie. Być może to szokujące żądanie było po prostu sposobem na pozbycie się młodych dam, które go osaczały. W wypadku takiego hulaki wszystko możliwe.

Chociaż jeszcze nie wyjechał, po raz drugi w życiu poczuła się porzucona. Z bólem przypominała sobie, jak ojciec odpływał z Anglii z uśmiechem na twarzy, by nigdy już nie wrócić.

Derek miał rację. Naprawdę sama nie wiedziała, ile jej gniewu skierowane było ku niemu, a ile wywołane śmiercią ojca.

Ale to teraz nie miało znaczenia.

Kariera wojskowa okazała się dla Dereka najważniejsza; nie próbował nawet wykorzystać szansy związania życia z Lilly, nie zwyciężyło uczucie. W związku z tym uznała, że nic dla niego nie znaczy.

W każdym razie dla Edwarda jednak coś znaczyła.

Jeżeli Derek jest taki niemądry, że nie wie, co traci, to jego sprawa, myślała ponuro, stojąc w pełnym słońca ogrodzie. Bała się spotkania, a równocześnie go pragnęła. W imię miłości oddała diamentowe kolczyki; cóż, kiedy ten dumny kawalerzysta, zaślepiony wizją zdobycia majątku i sławy, w ogóle nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo go kocha.

Oczywiście, rozpaczliwie pragnęła, żeby nigdy nie dowiedział się o jej poświęceniu, bo umarłaby ze wstydu, gdyby pojawił, na jakie szaleństwo zdobyła się dla niego.

Było jeszcze coś, co nie dawało Lilly spokoju.

Łatwo dało się porównać plany opuszczenia Anglii przez Dereka z planami jej ojca. Z łatwością mogła też przeciwstawić jego zachowanie postępowaniu lorda Owena Mastersa.

W zeszłym tygodniu w tym przeklętym boksie oboje potracili głowy. Inaczej niż jej uwodziciel sprzed lat, Derek nie nalegał na nic więcej! Wręcz przeciwnie, to właśnie on przerwał pieszczoty. Lilly ich pragnęła, z przyjemnością; tymczasem to Derek nie dopuścił, żeby posunęli się dalej.

To ją naprawdę zaskoczyło.

Owen ją błagał, mówił, że jeśli Lilly nie zaspokoi jego cielesnych potrzeb, on przeżyje taki fizyczny ból, jakiego żadna kobieta nie potrafi sobie wyobrazić.

Lilly, wówczas piętnastolatka, uwierzyła mu, nie mogąc znieść myśli, że ukochany mógłby cierpieć z jej powodu. Zniosła zatem wszystko, mimo że właśnie to, co jej zrobił, było naprawdę fizycznym bólem. Skończyło się poważnym krwotokiem.

Teraz przeciwnie: powściągliwość Dereka sprawiła, że Lilly mogła tylko z przykrością stwierdzić, iż to było tylko jedno z wielu kłamstw Owena. A z pewnością nie mogłaby o tym porozmawiać z matką.

Kiedy dostrzegła Dereka wchodzącego do ogrodu, zdrewniała. W pierwszej chwili jej się wydało, że przybył w towarzystwie dwóch dam, potem jednak okazało się, że ta druga przyszła z jego bratem.

O Boże! - pomyślała, wpatrując się w wysokiego, czarnowłosego mężczyznę. Gabriel Knight po tak długiej przerwie pojawił się w towarzystwie - i to gdzie? Na ogrodowym przyjęciu u Edwarda. Czyż to nie powód do dumy dla Lundy'ego?

Kiedy podeszli bliżej, ze zdziwieniem spostrzegła, jak bardzo obaj bracia są do siebie podobni, mimo że Gabriel nosił krótko obcięte włosy. Tylko powolny krok i lekkie oznaki wychudzenia przypominały o tym, że w ostatniej bitwie omal nie stracił życia. Ubrany był na czarno. Sprawiał wrażenie przygnębionego.

Elegancką blondynkę towarzyszącą Gabrielowi Lilly rozpoznała - ta dama pojawiła się w altanie pamiętnej nocy. Pewnie ją przekazał bratu.

U ramienia młodszego Knighta wisiła przepiękna pani Coates.

Lilly ze smutkiem patrzyła na Dereka i jego beztroską kochankę. Niemal nie słyszała, co Edward mówił do któregoś z przybyłych gości; oczywiście przechwalał się. Czuła ból, widząc Dereka roześmianego, jak zawsze czarującego, w towarzystwie nie jednej, ale dwóch swoich dawnych zdobyczy...

Lilly już postanowiła, jak się ma dziś do niego odnosić. Z pewnością zachowa dystans.

Wściekła na siebie, że pozwoliła mu na tak wiele, zwłaszcza że sama to sprowokowała, tym bardziej chciała mu okazać lodowatą obojętność.

Derek z kolei kierował swoje zainteresowanie w inną stronę. Niewątpliwie pani Coates usilnie mu w tym pomagała, jak to zazdrośnie oceniła Lilly.

Cudownie, pomyślała, patrząc na tę czwórkę. Idą tu.

Przekłęte serce! Dlaczego tak wali?

Spóźniali się jednak z prezentacją. Mieli trudności z przedostaniem się przez tłum kręcących się wszędzie gości. Obecność Knightów wywołała poruszenie. Pojawienie się jednego z braci zwykle budziło niezdrową ciekawość, a dwóch wywołało sensację.

Lilly jednak wiedziała, że spotkanie twarzą w twarz z Derekiem jest nieuniknione, gdyż zawsze każdy gość podchodził do gospodarzy, żeby się przywitać.

Lundy i jego matka stali w cieniu rozłożystego dębu, witając gości razem z Lilly i panią Clearwell, które tego dnia pełniły funkcję współgospodyń uroczystości. Chociaż Lilly cały czas uważała, żeby Edward nie popełnił jakiejś gafy, nie mogła się powstrzymać, by nie śledzić wzrokiem Dereka; wciąż na niego zerkała.

Obaj bracia mieli pełne ręce roboty, starając się, aby wśród rzeszy adorujących ich dam panował spokój. Udało im się opanować sytuację, nawet bez uciekania się do rozkazów w wojskowym stylu.

Utorowawszy sobie drogę pośród tej rozkochanej świty, obaj majorzy i ich wytworne towarzyszki podeszli do gospodarzy.

Lilly nie wiedziała, gdzie podziąć oczy. Kiedy wymieniano ukłony, serce biło jej jak szalone.

Bardzo pilnowała się, żeby nie zrobić czegoś, co mogłoby ją zdradzić przed Edwardem. Czy zdoła utrzymać na twarzy maskę przejmności?

Nerwy miała napięte, kiedy jej przyszły mąż ścisnął przyjaźnie dłoń tego, z którym w zeszłym tygodniu miała miłosną schadzki w stajni.

Derek przedstawił brata, a kiedy zbliżył się do Lilly, dygnęła przed starszym Knightem.

- Panno Balfour, tak wiele o pani słyszałem - powiedział Gabriel Knight z pełnym szacunku ukłonem.

- Naprawdę?

Oczy jej zapłonęły radością, ale już w następnej chwili wystraszyła się, że Gabriel może powiedzieć coś niestosownego w obecności Edwarda - o Boże, co ten Derek mógł o niej naopowiadać bratu? Jakież skandaliczne rzeczy...

Na szczęście pani Clearwell skierowała uwagę wszystkich na występy artystów pod namiotem.

Niestety, ulga Lilly nie trwała długo, gdyż już po chwili poczuła na sobie baczne spojrzenie brata Dereka.

Gabriel Knight miał oczy ciemnoniebieskie jak ocean i wpatrywał się w nią tak, że nie mogła pozbyć się wrażenia, iż zagłębia do jej duszy. Ta tajemnicza, krótka obserwacja wytrąciła ją z równowagi; czuła, że pierworzodny ocenia ją, sprawdza, czy jest godna jego młodszego braciszka.

Nie podobało jej się takie „prześwietlanie”.

Kiedy rzuciła okiem na Dereka w niemym proteście, od razu napotkała jego wzrok; srebrzystobłękitne, wilcze oczy wpatrywały się w nią równie intensywnie, chociaż w zupełnie innym celu.

Były w nich niechęć i pragnienie.

Oblała się rumieńcem, mimo usilnych prób nie mogła na niego nie patrzeć.

Edward był zajęty opisywaniem Gabrielowi rozmaitych gatunków piw w beczkach pod namiotem. Tymczasem w spojrzeniu Dereka była niechęć i pożądanie.

Lilly spuściła oczy. Boże! Jej „podwójne życie” zaczynało się coraz bardziej komplikować.

Cóż, stoi tam w całej świetności, mała łowczyni majątków. Dokonała wyboru, pomyślał Derek, więc niech tak będzie. Umywam ręce.

Tak sobie powtarzał przez cały miniony tydzień.

Teraz jej widok w jasnozielonej sukni, z bladą różą wpiętą w jedwabiste blond włosy bolał go jak okrutna wschodnia tortura. Nie ma jednak najmniejszego sensu chcieć tego, czego nie można mieć. A ona stała obok Lundy'ego.

Derek wiedział, że ma w odwodzie inne rozrywki. Objął Fanny w tali i rzucił jej dyskretne spojrzenie. Takie kobiety bywały o wiele mniej kłopotliwe.

Na szczęście był zbyt zajęty śledztwem, w każdym razie w ciągu dnia, by zaprzętać sobie głowę irytującym gatunkiem, jakim jest piękna.

W ciągu ostatnich kilku dni poczynił wielkie postępy. Miał już rozpoznanie co do stanu posiadania każdego członka komisji i zrobił szczegółowe notatki. Postanowił też pomóc szczęściu i odbył kilka prywatnych rozmów z czterema dżentelmenami, którzy okazali się zupełnie nieświadomi jakichkolwiek wykroczeń.

Z listy podejrzanych wykreślił wszystkich trzech członków Izby Gmin i jednego, najmniej znaczącego członka Izby Lordów. Pozostało

pięciu: prezes lord Sinclair, pewien drugorzędny lord oraz trzech działaczy Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Lundy wciąż pozostawał na liście.

Podskoczył nawet o kilka miejsc wyżej, kiedy okazał się tak doskonałym aktorem. Dzięki Lilly Derek dowiedział się, że Lundy mu nie ufa.

Jednak każdy postronny obserwator mógłby przysiąc, że Derek i Edward to najserdeczniejsi przyjaciele do grobowej deski. Talent aktorski Lundy'ego zaniepokoił Dereka.

Dziś zamierzał sprawdzić parę rzeczy, byle mu się udało wydostać z przyjęcia i dobrać do dokumentów Lundy'ego. Obaj z bratem dokładnie to zaplanowali. Gabriel miał poprosić gospodarza o oprowadzenie po wspaniałych stajniach, które Derek już widział; doskonale zapamiętał, jak Edward chełpił się swoją rasową stadniną. On miał się wtedy ulotnić.

Na razie spokojnie dobierał wyspecjalizowanych pomocników do współpracy w kolejnym etapie śledztwa. Znał swoje możliwości i ograniczenia, a oprócz planowanego na dziś sprawdzenia zamku Lundy'ego całość badań przenosiła się teraz na teren zupełnie obcy Derekowi, w dziedzinę, gdzie nie mógł ani nie chciał poszczycić się żadną wiedzą.

Obrzydliwa papierkowa robota.

Nie znał szczegółów, ale wyobrażał sobie, że są sposoby, jakimi ci oszuści potrafili ukryć spadłe im z nieba pieniądze, ukryć prawdę pośród niekończących się kolumn cyferek. W związku z tym następnym etapem musiało być zbadanie różnic między spisami ich zasobów, które tak dokładnie zgromadził, a tym, co figurowało w księgach.

Na Boga! Był patriotą i nic by go nie powstrzymało od wysłania wojsku obiecanych funduszy, ale kiedy tak szperał w starych dokumentach bankowych, formularzach podatkowych i pokwitowaniach, potwierdzeniach operacji giełdowych, aktach i depozytach, słowem w gąszczu papierzyk - gubił się w tym wszystkim. Dlatego wybrał się do Knight House i poprosił swoich londyńskich kuzynów o polecenie mu dobrego księgowego.

Skontaktowali go z jakimś Charlesem Beechamem, ich adwokatem i „człowiekiem do wszystkiego” w sprawach interesów, cieszącym się najwyższym zaufaniem klanu Knightów. Sam książę Hawkscliffe osobiście poprosił Beechama o dopisanie do listy spadkobierców maleńkiej Kate, kiedy jej lordowska mość miała zaszczyt przyjść na świat - gdyby jego

książęcej mości coś się stało, córeczka księcia miała się stać bardzo bogatym dzieckiem.

W każdym razie energiczny, łysiejący i pedantyczny Charles dołączył do śledztwa ze swoją pasją do liczb, która zadawała kłam jego ziemistej cerze i niewielkiemu wzrostowi.

Ten niewysoki dżentelmen, który wyglądał, jakby mógł zemdleć na widok krwi, okazał się darem niebios. Przez wiele lat pracował dla rozmaitych bogaczy, nim ostatecznie poświęcił się wyłącznie klanowi Knightów; znał wszystkie triki, jakich mogliby spróbować oszuści.

Derek instynktownie czuł do niego zaufanie i wierzył w jego uczciwość. Zobowiązał Charlesa przysięgą do zachowania tajemnicy, po czym wyjaśnił mu niemiłą sprawę prawdopodobnej defraudacji.

Charles od razu zorientował się w temacie i przystąpił do pracy z taką pasją, jakby się szykował do rozegrania decydującej bitwy.

- Nie ma obawy, majorze. Jeżeli w tym jest jakiś szwindel, wykryjemy - zapewnił, a następnie w obecności Dereka zaatakował z furją górę papierów.

Derek patrzył na to skonsternowany.

Charles miał wysoko postawionych szefów w rodzinie Dereka, to prawda. Niemniej w tym niepozornym człowieczku, który wyglądał, jak ktoś, kto nie byłby w stanie obronić się nawet przed woźniwą z tyłów armii, uderzyło go coś niezwykłego: nie wykazywał nawet cienia strachu przed ewentualnym sporem z notablami z podkomisji.

To zdumiewające, że w kimś tak mizernej postury biło prawdziwie lwie serce.

Przez ostatnich kilka dni Charles toczył świętą wojnę z księgami rachunkowymi. Zgodził się nawet trochę nagiąć zasady i użyć wpływu, jaki dzięki swoim patronom miał u kolegów w biurach Bank of England. Ponieważ Charles sprawował pieczę nad wartą miliony fortunę jednej z najbogatszych rodzin, udało mu się przekonać znajomych urzędników z banku, żeby mu pozwolili zerknąć w akta podejrzanych członków komisji.

Derek wiedział, że to jest nielegalne i obaj mogą wpaść w poważne kłopoty, ale nie było czasu na załatwianie potrzebnych mnóstwa zezwoleń; a zważywszy na biurokrację londyńską, formalności ciągnęłyby się w nieskończoność. Stawką było to nieszczęsne „dobro narodu”. Jeżeli

wojsko nie dostanie złota, może przegrać wojnę; kolonie w Indiach zaczęły się wywracać jak kostki domina, a kto może przewidzieć, jakie korzyści to przyniesie Francji czy innej rywalizującej z Anglią potęgze?

W każdym razie nielegalne myszkanie pozwoliło usunąć kolejne dwa nazwiska z listy.

Ponieważ prawie wszystko teraz zależało od umiejętności Charlesa, Derek nie mógł sobie znaleźć miejsca; na tym etapie śledztwa nie miał wiele do powiedzenia.

Niepokój, jaki panował w jego sercu po rozstaniu z Lilly, sprawiał, że każda godzina bezczynności piekielnie go męczyła. Chodził do stajni szkolić konie, po raz osiemnasty przepakowywał rzeczy przed wyjazdem. Ciągłe nie miał wiadomości ani listu od pułkownika Montrose'a. Martwił się o swoich chłopców, ciekawiło go, dokąd ich wysłano, jak się czują pod nowym dowództwem, czy była jakaś akcja i jakie poniesiono straty.

Lundy nie miał żadnych wiadomości, jak przebiegają starania lorda Sinclaira o odnalezienie defraudanta wewnątrz komisji. Derek oczywiście słowem nie wspominał o włączeniu Charlesa do sprawy. Zakończył szpiegowanie i teraz starał się, jak mógł, pomóc Charlesowi. W taki sposób spędzał dni.

Problemem stały się noce.

Te były bardzo ciężkie.

Leżał, nie śpiąc, i myślał bez przerwy o Lilly, a kiedy zasnął, widział ją w snach. W swoich koszmarach wojennych marzeniach słyszał, jak wola go przez huk armat i gęsty czarny dym. Śniło mu się, że rozpaczliwie próbują się odnaleźć, że chcą razem uciec z tego koszmarnego miejsca, żeby się uratować.

Śmierć była wszędzie. Gdyby Lilly zginęła, nigdy by sobie tego nie wybaczył. Ponadto istniała też groźba porwania, dla kobiety nawet gorsza od śmierci. Złotowłosa Angielka mogłaby zostać uznana za egzotyczną ozdobę każdego z prywatnych haremów miejscowych władców. Jej uroda uczyniłaby z niej cel do zdobycia, a to tylko zwiększyłoby niebezpieczeństwo dla całego szwadronu.

Mógł opiekować się Lilly i walczyć na wojnie, ale nie był pewien, czy zdołałby robić obie te rzeczy jednocześnie, codziennie przez dwadzieścia cztery godziny. Nawet „twardoręki Achilles” czasami musiał odpocząć.

W tej chwili cieszył się, że może być blisko niej, słyszeć jej miękki, melodyjny głos. Zastanawiał się, czy Lilly wie, że on patrzy na nią z zachwytem.

Kiedy przyszedł, próbował sprawdzić jej reakcję, ale tylko domyślił się, że nie była zadowolona, zobaczywszy go w towarzystwie Fanny.

Dobrze. Niech poczuje, jaki to ma smak.

Przypuszczał, że będzie traktować go tak jak pozostałych gości.

W głębi duszy śmiał się, obserwując, jak Lilly sobie radzi.

Za każdym razem, kiedy pani Lundy zaczynała się rozwodzić na temat planowanej podróży na Jamajkę, Derek widział na twarzy Lilly lekkie rozdrażnienie. Wznosiła oczy do nieba, jakby modliła się, żeby nie stracić cierpliwości i nie krzyknąć, kiedy pani Lundy wsiadała na swojego konika.

Uśmiechnął się i spuścił wzrok. Kiedy ją zobaczył po raz pierwszy, nosiła maskę, ale w jakiś sposób była dla niego otwartą książką, w dodatku taką, której lektura nigdy go nie nudziła.

Patrzył na nią uważnie.

Ze ściągniętą napięciem twarzą wpatrywała się w zieloną ścianę drzew. Jakby szykowała się do walki. Derek już wiedział dlaczego. Wielkimi krokami, falując spódnicami i halkami, zmierzała w stronę gospodarzy Bess Kingsley.

To może być interesujące, pomyślał.

No, nie! Znowu ona!

Przekonana, że już za chwilę karzące ramię sprawiedliwości znajdzie nowy sposób, by ją poniżyć w obecności wszystkich, Lilly z trudem zdołała się opanować. Bess, jak zwykle, wpadła w sam środek towarzystwa, natychmiast zaangażowała tylko dla siebie panią Lundy i zaczęła bardzo głośno mówić. Wypowiedziała bez ogródek swoją opinię na temat potraw, napojów, namiotu i muzyków, jakby kogokolwiek obchodziło, że jej tu coś się nie podoba.

Gabriel przypatrywał się dziewczynie ze zdziwieniem.

Zaraz rozboli mnie głowa, pomyślała Lilly; w tym momencie zauważyła cień współczującego uśmiechu na twarzy Dereka. To delikatne wygięcie warg tak ją cudownie koiło, jakby na niebie ukazało się słońce. Przystała zwracać uwagę na paplaninę wrzaskliwej panny Kingsley i słyszała

tylko melodyjną piosenkę małego niebieskiego ptaszka, który usiadł na gałęzi dębu nad jej głową.

Rozkoszny ptaszek podniósł ogonek i ulżył sobie... wprost do pełnego ponczu pucharka Lilly.

Pani Clearwell wydała okrzyk pełen niesmaku.

Ptaszek beztrąsko odfrunął, a Lilly tylko westchnęła, niezbyt przejęta zdarzeniem. Natomiast Edward i Bess zarykiwali się ze śmiechu.

- Och, Eddie, spójrz tylko! „Przekleństwo Balfourów” znowu daje o sobie znać!

- Jaki wspaniały cel ma to stworzonko - rzekła przeciągle Lilly, odstawiając pucharek na najbliższy stolik. Służący podał jej wilgotny ręcznik, którym wytarła dłonie, chociaż, na szczęście, nie było po czym.

- Mówią, że to przynosi szczęście - zauważyła pani Clearwell, patrząc ze współczuciem na Lilly.

- Słyszałem o tym - poparł ją Derek, podczas gdy pani Coates aż się skuliła z przerażenia, a lady Amherst wymamrotała:

- Pfe, co za obrzydliwość!

Mężczyźni byli bardziej odporni. Derek i Gabriel stłumili śmiech i równocześnie podali Lilly chusteczki.

- Wszystko w porządku, panowie - powiedziała Lilly. - Temu małemu diabełkowi nie udało się we mnie trafić.

- O mały włos! - parsknęła Bess, czerwona na twarzy z radości. Trafiła Edwarda łokciem. - Mówiłam ci, lepiej trzymaj się od niej z daleka, inaczej zdarzy ci się coś okropnego! Ona przynosi nieszczęście! Biedna panna Balfour! To chyba straszne: być kimś, kogo dotyka klątwa.

Lilly w tym momencie straciła cierpliwość. Obrzuciła Bess promiennym uśmiechem.

- Prawdę mówiąc, panno Kingsley, klątwy z reguły dotyczą tylko najlepsze rodziny. Może zresztą pani ojciec będzie sobie mógł ją kupić, kiedy już przestanie spłacać ostatnio nabyty tytuł.

- No, no... - mruknął Derek.

Oczy Bess wyszły z orbit.

- Co za... zuchwalstwo!

Pani Coates i lady Amherst podśmiewały się tak, jak to tylko potrafią robić damy z towarzystwa. Pani Lundy natomiast wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć.

- Och... och... moje drogie panie, proszę, nie...
 Bess drżącym głosem zwróciła się do Edwarda:

- Słyszałeś, co ona powiedziała?

- To było dość niegrzeczne, Lilly - zwrócił jej uwagę Lundy.
 Patrzyła na niego zdumiona.

- Nie, nie - wtrącił się Derek. - Nasza panna Balfour tylko nauczyła się odparowywać ciosy. Najwyższy czas... - dodał ciszej.

- O, zawsze to umiałam, majorze. - Lilly spojrzała na niego, a potem na Bess. - Wychowano mnie w doskonałej rodzinie.

- Dawniej nigdy nie miałaś dość ikry, żeby na mnie warczeć!

- Nie, panno Kingsley. Wie pani? To się nazywa „dobre wychowanie”.

- Proszę! Dobra sobie! Dość mam tego. Chodź, Eddie. Mój ojciec chce z tobą pogadać. - Bess pociągnęła Edwarda za rękaw.

- Edwardzie! - rzuciła Lilly, patrząc mu w oczy.
 Nie odważysz się...

- Zaraz wracam - burknął. - Pracujemy z panem Kingsleyem nad wspólnym interesem.

Bess rzuciła Lilly triumfujący uśmiech i pociągnęła Edwarda za sobą.

- Coś takiego! - mruknął Gabriel.

- *Au revoir*, panno Kingsley! - zawołała pani Coates, machając ręką.
 Lady Amherst dołączyła do niej.

- Proszę nas znów odwiedzić.

- Och! Och, Boże, jestem pewna, tak, to jest... - Pani Lundy mamrotała coś bez składu. Stała nieruchomo jeszcze kilka sekund, po czym pobiegła za synem.

- Kochanie, matka byłaby z ciebie bardzo dumna - szepnęła pani Clearwell z błyskiem w oku.

Lilly spojrzała drwiąco.

Krótko trwał jej triumf nad Bess, w tej chwili bowiem to ona, Lilly, stała tu, bez swojego konkurenta, przed Derekiem i jego wytworną kochanką. Poczuli się fatalnie, zostając bez partnera. Naprawdę, jakie to irytujące, że ta rozpuszczona dziewczyna zawsze jej wchodzi w drogę!

- Urocza panna - zauważyła pani Coates, przerywając niewygodną ciszę.

- Proszę mi wybaczyć - przeprosiła Lilly. - Nie przepadamy za sobą.

- Nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego - stwierdziła przeciągle lady Amherst.

Lilly bynajmniej nie zależało na sympatii światowych dam, przyjaciółek Dereka, przyjęła jednak ich zdanie do wiadomości.

- Panno Balfour, nigdy mi pani nie mówiła, że nad pani rodziną ciąży jakaś klątwa. Jakie to niezwykle - stwierdził Derek, nie zdając sobie sprawy, że porusza bardzo delikatny temat.

- Wierzy pan w klątwy, majorze?

- Nie.

- Ani ja. Jedyną „klątwą” naszego rodu są lekkomyślni członkowie rodziny Balfour, którzy podejmują złe decyzje i dążą prosto ku śmierci!

- Tak, rozumiem - mruknął. Jego wyraziste spojrzenie mówiło, że pojął, w czym rzecz. -Ale pani dziadek dożył późnego wieku, prawda?

- Miał rozum - odparła.

Czego nie mogłabym powiedzieć o tobie...

- Hm, majorze. - Pani Clearwell spoglądała to na Dereka, to na Lilly, niewątpliwie w strachu, że jej wysiłki połączenia ich spaliły na panewce. Na szczęście była wielką mistrzynią w sztuce łagodzenia sytuacji. -Jak się miewa pański uroczy siostrzeniec? I reszta rodziny?

- Doskonale, madame. Wszyscy dobrze się czują. Zwłaszcza mój ojciec... który prosił, żeby w jego imieniu złożyć pani uszanowanie.

- Och! Naprawdę? - Była zaskoczona. -Jak to miło z jego strony!

Lilly uśmiechnęła się na widok rozpromienionej twarzy chrzestnej.

- Nawzajem, majorze. Proszę przekazać moje najserdeczniejsze pozdrowienia lordowi Arthurowi.

- Nie omieszka. A jak pani rodzina, madame?

- Och, ona jest całą moją rodziną. - Przytuliła czule swoją podopieczną.

Lilly uśmiechnęła się niewyraźnie, bo z miejsca, gdzie stała, mogła dostrzec Edwarda rozmawiającego z Kingsleyami. Rozmowa wyglądała na bardzo serdeczną.

- Skoro już mowa o rodzinie... Lilly dostała ostatnio list od kuzynki. Prawda, moja droga? - Pani Clearwell zachęcająco kiwnęła głową; próbowała wciągnąć Lilly w rozmowę z Derekiem.

- Od kuzynki Pameli? - spytał z ciekawością. - Jak się ma rodzinna pisarka?

- No, opowiedz panu o tym liście. Listy Pameli są takie zabawne!
- Czy są przerażające? - Derek otrząsnął się z udawanym przestraszaniem.

- Rzeczywiście, nieco makabryczne. - Lilly zmusiła się do uśmiechu.
- Proszę opowiedzieć.

Reszta patrzyła na nich, nie mając pojęcia, o czym mowa. Dziwnie zadowolona, że Derek pamiętał jej kuzynkę, autorkę powieści grozy, Lilly zaspokoili jego ciekawość.

- Pamela wpadła w zachwyt z powodu nieproszonych gości, którzy zamieszkali na strychu w północnym skrzydle Balfour Manor.

- Balfour Manor?

- Tak. To mój dom.

- Jej dziadek, poprzedni lord Balfour, zostawił jej go w testamencie - wyjaśniła z dumą pani Clearwell, wskazując Lilly.

- Och? - Derek spojrzał na nią i w jego oczach pojawił się dziwny wyraz.

- To dom, w którym się wychowałam. Miałymy wielkie szczęście, że go nie włączono do masy spadkowej. Tak czy owak, tego skrzydła nie używałyśmy od lat - mówiła Lilly. - Niestety, w dachu musi być parę dziur, bo nasi lokatorzy latają tam i z powrotem pod okapem, kiedy tylko zapadnie noc.

- Jaskółki? - spytała pani Coates.

- Nietoperze - odparł Derek, słusznie się domyślając, jako wtajemniczony w specyficzne upodobania kuzynki Pameli.

- Ma pani na strychu kolonię nietoperzy, a pani kuzynka jest z tego bardzo zadowolona? - zdumiał się Gabriel.

- One stwarzają specyficzny nastrój, majorze. - Lilly wzruszyła ramionami. - Nasza Pam jest trochę dziwna. Ale bardzo ją kochamy. Trudność polega na tym, że nikt nie wie, co zrobić z nietoperzami.

- Ja wiem.

Lilly uniosła brwi.

- Okazuje się, że miałam rację, mówiąc o pana ukrytych talentach. Pani Coates i lady Amherst nie były zachwycone jej tak osobistym komentarzem.

Umilkła, w obawie, że te słowa mogły okazać się bardziej ryzykowne, niż sądziła.

- A zatem, jaka jest właściwa metoda, majorze? - Pani Clearwell
wolała trzymać się tematu, zanim jej podopieczna wda się znów w
utarczkę słowną, tym razem zbyteczną. - Wykurzyć je płonącym torfem?

- Nie. Prawdę mówiąc, jest o wiele prostszy sposób. - Derek popa-
trzył Lilly w oczy.

Był bardzo poważny, co ją zdziwiło. Myślała, że historyjka o
nietoperzach go rozbawi. Tymczasem napięcie w kącikach jego
bladoniebieskich oczu i surowa linia szczęki wskazywały, że jest czymś
rozdrażniony. Może nawet zły.

Dziwny człowiek!

Uprejmym tonem zwrócił się do pani Clearwell:

- Pierwszą rzeczą, którą trzeba zrobić, to załatać dziury w dachu.

- Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. - Lilly pokręciła głową, włą-
czając się do rozmowy. - Kiedy ostatnio ktoś oglądał dziury, powiedział,
że należałoby wymienić cały dach. To jest dom o powierzchni ponad
dwóch tysięcy jardów kwadratowych, a dwór pochodzi z czasów dynastii
Tudorów. Renowacja musi być zrobiona jak należy, w stylu epoki.

Derek patrzył na nią ze zdumieniem.

- Boże drogi, to by kosztowało majątek! Mówiła pani o tym Edwar-
dowi?

- Derek! - upomniał go Gabriel za tę bezceremonialność.

Ale Lilly już do tego przywykła. Nie obraziła się.

- Czy to coś złego? - spytała spokojnie.

- Nie! - wykrzyknął; oczywiście to było kłamstwo. - Jestem tyl-
ko zdziwiony. Pierwszy raz usłyszałem dziś o Balfour Manor. Nie mia-
łem pojęcia, że jest pani właścicielką jakiegoś ogromnego tudorowskiego
zamku!

Lilly patrzyła na niego zmieszana.

- Więc...?

- Nieważne. Idę grać w krykieta.

Kiedy oddalał się w stronę trzech młodych ludzi, którzy kiwali na
niego, spojrzął na Lilly; wyglądał jak chmura gradowa.

- O co panu chodzi? - zawołała.

- Mogłaby pani przecież sprzedać ten cholerny dom! - warknął i od-
szedł.

Była zdumiona.

- Kochany majorze, usycham z pragnienia! - powiedziała lady Amherst, robiąc minki do Gabriela. - Może się czegoś napijemy?

- Idę z wami. - Pani Coates też chyba miała dosyć towarzystwa Lilly.

- Hm... tak, oczywiście - odparł grzecznie Gabriel. - Panno Balfour... pani Clearwell... panie wybaczą.

- Ależ naturalnie, majorze. Do zobaczenia paniom - odparła uprzejmie opiekunka Lilly - Życzę dobrej zabawy.

Gabriel jakby przepraszająco skinął głową Lilly i po chwili odchodził już w towarzystwie aż dwóch światowych dam.

Kiedy tylko zniknęli, Lilly nie była już w stanie dłużej pohamować złości.

- Słyszała pani? On mi robi uwagi! Derek!

- Tak, słyszałam.

- Co za dzikus! Jest niemożliwy!

Pani Clearwell spojrzała na nią spod oka.

- Zwłaszcza jeśli ma rację.

- Co takiego?

Chrzestna wzruszyła ramionami.

- Gdybyś sprzedała dom, nie potrzebowałabyś pieniędzy Edwarda, czy nie tak?

- Sprzedać dom? Pani chyba żartuje.

- Nigdy w życiu nie byłam bardziej poważna. Najwyższy czas, żebyś zbudziła się ze snu i spojrzała prawdzie w oczy.

- Ale...

- Ale, ale... Naturalnie! Duma rodu Balfourów. *Au revoir*, kochanie. Pamiętaj, jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

Beztrosko poruszając wachlarzem, pani Clearwell wmieszała się w tłum gości; Lilly została sama.

Zrobiło jej się przykro, gdy zobaczyła, że przyzwoitka rozmawia z grupką znajomych pań.

Wszyscy ją opuścili!

Przez gęstwę liści dostrzegła Edwarda, ciągle jeszcze w towarzystwie Bess Kingsley i jej pulchnego taty fabrykanta.

Poszłaby do namiotu po nowy pucharek ponczu, ale tam był już Gabriel z tymi dwiema okropnymi kobietami.

Spojrzała z niechęcią w stronę pola krykietowego.

Derek stał z pałką na ramieniu i niecierpliwie podrzucał w rękę piłkę, czekając, aż gra się zacznie. Współgrający stali wokół niego, pytali o radę, w jakiej kolejności grać, co, jak przypuszczała, znaczyło, że on był kapitanem.

Naturalnie.

Po chwili gra się rozpoczęła.

Lilly zasłoniła oczy od słońca i obserwowała, jak serwujący zawodnik przymierza się do rzucenia piłki; ta upadła na płaskie pole pośrodku boiska, po czym została wybita przez gracza z kijem. Bramkarz stał jak mur, bezpiecznie ochroniony, na pozycji za nim, podczas gdy sędzia przykucnął w pobliżu i kontrolował sytuację.

Trzask!

Twarda brązowa piłka, uderzona z boku kijem krykietowym, zmieniła kierunek i poleciała tam, gdzie gracze najmniej się jej spodziewali. Coraz większy tłum kibiców zagrzewał ich do walki, dwóch uderzających biegło na środek boiska, zmieniając miejsca, podczas gdy napastnik nadal ścisnął swój kij w rękę.

„Doborowa jedenastka” Dereka szybko zaczęła zdobywać punkty.

Lilly nie chciała pokazać po sobie, z jaką przyjemnością przypatruje się jego grze, ale naturalne ruchy wysokiej, zgrabnej, wysportowanej sylwetki majora odznaczały się pewnością siebie i budziły zaufanie. Lok sobolowych włosów wysunął się z upięcia i okalał piękną męską twarz, kiedy Derek mrużył oczy od słońca. Niecierpliwie założył kosmyk za ucho, ale już po chwili włosy znów mu się rozwiały.

Miał na sobie cienkie, jasnobrązowe spodnie i rozpiętą białą koszulę, której rękawy zawinął do łokci przed rozpoczęciem gry. Zrzucił surdut, ale został w luźno związanej na szyi czerwonej apaszce.

Kiedy podszedł do linii bramki, wściekłym wzrokiem ocenił podanie, po czym nagle posłał piłkę w niestrzeżony odcinek pola.

Gracze rzucili się w tamtą stronę. Widząc go z kijem krykietowym w dłoni, łatwo można było sobie wyobrazić, jak ze szpadą w rękę szarżuje w bitwie na wroga.

Ten widok zaparł jej dech i przypomniał o jego niezłomnym postanowieniu powrotu do Indii, żeby nadal walczyć na wojnie. A jeżeli zginie? Chybaby tego nie przeżyła. Ale on i tak nie miał zamiaru jej usłuchać.

Wolał ją krytykować...

Sprzedać Balfour Manor? Z oburzeniem splotła ręce na piersi. Wystawić na licytację trzysta lat historii znakomitej arystokratycznej rodziny?

Obawiam się, że nie, majorze!

Powinien zrozumieć, co to znaczy duma rodowa.

Kibice tłumnie składali Derekowi gratulacje po zwycięstwie. Major z uśmiechem machał ręką do pań.

Lilly zdecydowała, że czas się zająć czymś innym.

Fanfaron!

Nie miała zamiaru być jedną z tłumu oczarowanych kobietek wpatrzonych w każdy jego ruch.

Poszła w stronę pola łuczników - rozerwać się, a przy tym wyładować irytację, strzelając z łuku.

Lokaj podał jej ze stołu lśniący damski łuk oraz strzałę i uprzejmym gestem wskazał tarcze.

Po obu stronach Lilly stały panie, które też strzelały z łuków. Odwróciła wzrok od pola krykietowego, gdzie harem Dereka wyrażał głośno swój entuzjazm, i przyjrzała się celowi.

Uniosła lekki tuk i napięła cięciwę; oceniała cel. Strzała trafiła niemal w środek tarczy, co Lilly dostrzegła, osłoniwszy dłonią oczy przed słońcem. Ach! W dźwięku, jaki wydawała strzała przy wbijaniu się w tarczę, kiedy drżała, już tkwiąc w kółku otaczającym środek, było coś, co dawało satysfakcję.

Nieźle.

Opuściła łuk i wzięła od pomocnika kolejną strzałę; postanowiła przestać myśleć o mężczyznach, Knightach i innych, w każdym razie na chwilę.

Po wystrzeleniu ponad tuzina strzał wdała się w uprzejmą rozmowę z kilkoma damami, które znały jej matkę. Minęło pół godziny, kiedy kątem oka dostrzegła, że gracze w krykieta albo skończyli, albo zrobili sobie przerwę w grze. Zauważyła, że Derek idzie w stronę domu. Rozejrzała się, szukając jego brata. Stał w pobliżu stajni w towarzystwie Edwarda.

Naturalnie, pomyślała. Edward jest nieprzytomnie dumny ze swoich rasowych koni. Nie przepuściłby okazji zaprezentowania ich temu arystokracie, w dodatku kawalerzyście.

W tym momencie Edward gestem zatrzymał Gabriela, jakby go prosił, żeby chwilę zaczekał.

Lilly ożywiła się, kiedy jej krzepki konkurent uniósł rękę i przywołał ją gestem. Hm...

- Przepraszam, myślę, że pan Lundy może potrzebować mojej pomocy - powiedziała do otaczających ją pań.

- Z pewnością - skomentowała jedna z nich pod nosem.

Lilly udała, że tego nie słyszy, i spieszenie poszła w stronę, gdzie stał Edward. On też szedł ku niej, zostawiwszy Gabriela przy stajniach. Derek już zniknął we wnętrzu domu.

- Tak, Edwardzie? Czy chcesz czegoś ode mnie?

Kiedy już była przy nim, Edward ujął ją za łokieć i przysunął się bliżej. Cuchnął piwem.

- Zrobisz coś dla mnie?

Wyniośle skinęła głową.

- Czego sobie życzysz?

- Chcę, żebyś weszła do domu i uważała tam na Dereka Knighta.

Powstrzymała oddech, słysząc, o co prosi, bo jej pierwszą myślą było, że Edward coś podejrzewa...

- Nie mogę przecież zostawić gości - mówił niewyraźnie, był już trochę pijany - więc ty musisz to zrobić za mnie. Obserwuj tego łajdaka. Dopilnuj, żeby nie ruszał nic, czego... nie powinien.

Miała nadzieję, że nie ma w tej chwili winy wypisanej na śmiertelnie bladej twarzy. Dreszcz przebiegł jej po krzyżu, kiedy zastanawiała się, czy to nie podstęp.

Czy ktoś ich widział razem? Czy mu o tym powiedział?

Niemożliwe. Edward nie stałby tu, patrząc jej w oczy, niecierpliwie oczekując odpowiedzi, gdyby wiedział, jak Lilly rozpaczliwie pragnie Dereka Knighta.

- Służba cię nie będzie o nic pytać - zapewnił. - Wiedzą, że jesteś zaufaną osobą. Pamiętaj, co ci o tym mówiłem... wtedy.

- Tak, ale, Edwardzie, jestem pewna, że major Knight nie ma zamiaru dobrać się do twojego złota!

- Lilly! Mogę na ciebie liczyć czy nie? - przerwał jej. - Zrobisz to dla mnie? Już, teraz?

Kiedy tak na niego patrzyła, zrozumiała, że chce się przekonać o jej lojalności. Czy zrobi to, o co ją poprosił?

Przełknęła ślinę.

- Zrobię.

Edward skinął głową zadowolony.

Lilly bez słowa odeszła. Serce biło jej jak młotem.

Do diabła! Naprawdę nie mam ochoty robić czegoś takiego. A co będzie, jeżeli Derek zobaczy, że za nim idę? Co sobie, do licha, pomyśli? Że latam za nim?

Jaki jednak miała wybór? To była okazja, żeby uświadomić Edwardowi, jak bardzo może być dla niego cenna. A poza tym im szybciej rozwieje paranoiczne niepokoje Edwarda, tym lepiej dla niej.

Nagle przyszła jej do głowy okropna myśl.

O Boże, naprawdę nie chciałyby zobaczyć Dereka w ramionach jego ostatniej miłości! A jeżeli wymknął się na randkę ze swoją piękną towarzyszką, jak wtedy na balu maskowym tej nocy, kiedy się poznali?

Ale może tak byłoby najlepiej. Gdyby go zobaczyła w gorącym uścisku z panią Coates, łatwiej zapomni raz na zawsze o tym mężczyźnie. Kto wie? Może Edward już zauważył jej zafascynowanie majorem i na swój brutalny sposób zmusza ją teraz do spojrzenia prawdzie w oczy.

Prawdzie, która mówi, że Derek miał już w życiu mnóstwo kobiet i prawdopodobnie zawsze będzie szukać przygód.

Ale mimo takich myśli jej serce nie chciało w to uwierzyć. Widziała go przecież z małym Matthew...

Kiedy weszła do ogromnego domu Lundych, okazało się, że w ten piękny dzień wewnątrz było tylko kilkoro gości i paru służących. W wielkim neogotyckim holu gromadka starszych państwa, którzy mieli już dość słońca, umilała sobie czas lamentowaniem nad wadami młodego pokolenia. Zupełnie nie zwrócili uwagi na Lilly, gdy przebiegła obok nich; zaglądała do wszystkich pokoi w poszukiwaniu majora.

Jadalnia... czerwony salon... biblioteka... pokój muzyczny. Wszędzie pusto. W sali balowej też. Weszła nawet do wielkiej cieplarni, żeby się upewnić. Ani śladu. Przechodząc obok łazienki dla panów, usłyszała plusk wody.

Aha, pomyślała, musiał tam wejść, żeby się odświeżyć po meczu krykieta. Szmer wody ustał, co znaczyło, że lada moment Derek może wyjść.

Zerkając do salonu po przeciwnej stronie holu, schowała się za pomalowane na biało drzwi. Zerknęła przez szparę między mosiężnymi zawiasami.

Na moment przedtem, nim drzwi do męskiej łazienki się otworzyły, wejście Dereka oznajmiło melodyjne gwizdanie.

Szedł dziarskim krokiem, obciągnął surdut i wygładził mankiety. Długie czarne włosy miał splecione w warkocz. Był sam.

Lilly wstrzymała oddech.

Szedł swobodnie głównym korytarzem. Odczekała, aż odległość między nimi stała się dostatecznie duża, po czym wymknęła się z kryjówki i cichutko poszła za nim.

Podążał w stronę jadalni - i właśnie w tym momencie pojawiła się pierwsza oznaka jego niegodziwych zamiarów.

Schowana za kolumną Lilly zmarszczyła brwi, kiedy Derek rozejrzał się ukradkiem, sprawdzając, czy nikt go nie widzi. Cichutko wszedł do jadalni, przebiegł ją w okamgnieniu i wyśliznął się drzwiami po drugiej stronie.

Lilly nie mogła uwierzyć własnym oczom. Dokąd on idzie? Czyżby Edward miał rację?

Wyglądało to podejrzanie.

Lilly szła za nim bezszelestnie, gdy schylony zapuszczał się w głąb domu. Nie miała najmniejszego pojęcia, co ten człowiek zamierza, ale wdzieranie się do prywatnych apartamentów gospodarza domu było po prostu nie do pomyślenia.

Kiedy w korytarzu pojawił się lokaj, major zrobił unik i schował się w jednym z bocznych pokoi. Lilly nie udało się ukryć, udała więc, że ogląda obrazy wiszące na ścianie.

Lokaj poznał w niej przyszlą panią domu i ukłonił się z szacunkiem. Uśmiechnęła się do niego z roztargnieniem, ponieważ jednak nie poprosiła o nic, wrócił do swoich obowiązków.

Kiedy odszedł, postarała się schować, zanim Derek ją dostrzeże. Cokolwiek major robił, bardziej niż kiedykolwiek nie chciała, by wiedział, że go szpieguje. Z bijącym sercem przycisnęła się plecami do ściany w małej alkowie. Czekwała.

Jak dotąd nie dostrzegła żadnej idącej na spotkanie z nim kobiety. To sprawiło jej ulgę.

Derek wysunął się ze schronienia w pobliskiej bibliotece. Rozejrzał się i poszedł dalej. Nie wiedziała, że można się tak poruszać. Przesuwał się po domu jak fantom, jak duch.

Lilly szła za nim korytarzem w odpowiedniej odległości; zniknął za kolejnym rogiem.

Podeszła tam cicho i wysunęła głowę, nasłuchując; próbowała wyłowić jakikolwiek dźwięk, który mógłby go zdradzić. Nic nie usłyszała, więc przeszła za róg.

W tym momencie Derek odwrócił się nagle i zobaczył ją. Przycisnął do ściany i stłumił jej lekki okrzyk strachu, zasłaniając dłonią usta; drugą ręką schwycił rękę Lilly i przytrzymał je nad głową za nadgarstki.

Wszystko to stało się za szybko, nie mogła się cofnąć. Jego żelazny uścisk nie wróżył nic dobrego.

Przerażona podniosła na niego oczy, a kiedy Derek pochylił głowę, zobaczyła jego pobladłą z gniewu twarz.

- Czy mogę pani w czymś pomóc, panno Balfour?

13

Była najbardziej kłopotliwą kobietą, jaką znał.

Zniweczyła jego jedyną szansę zdobycia informacji, której potrzebował.

Trzeba się jej pozbyć i kończyć to, co zaczął.

Nie widział w pobliżu żadnego służącego, ale na wszelki wypadek ukrył Lilly w najbliższej osłoniętej alkwie.

Kiedy znów się do niej zwrócił, nie bardzo wiedział, od czego zacząć.

Ciągle jeszcze był na nią wściekły za ten dom, za to, że miała środki zabezpieczające jej egzystencję bez uciekania się do małżeństwa z Londynem. Z jakiegoś niejasnego powodu nigdy mu o tym nie mówiła.

Tyle chciał jej powiedzieć i chyba ona jemu też. Kiedy starała się uwolnić z uścisku, w jej błękitnych oczach widział gniewne płomienie. Czuł pod dłonią wypukłe, jedwabiste gładkie wargi, a kiedy przycisnął ją do ściany i poczuł blisko siebie to cudowne ciało, cały gniew wyparował; zostało tylko pożądanie.

Dzkie, szaleńcze pożądanie.

Boże, jak on jej pragnął! Ale nigdy Lilly tego nie powie.

Ty idioto! Miej rozum! - mówił sobie.

Trudno mu było się skupić, taką żądzę wzbudzała w nim piękna uwięziona, ale zabronił sobie robić cokolwiek, co by jej uświadomiło, po co tu naprawdę przyszedł.

Nie chciał wciągać dziewczyny do swojego śledztwa, a poza tym po ich poróżnieniu się w zeszłym tygodniu nie miał pewności, czy Lilly nie powie swojemu oblubieńcowi, że Derek go szpieguje. Zdawał sobie sprawę, że jego misja musi poczekać do czasu, aż się pozbędzie tej kłopotliwej kobiety.

Tyle że miał ogromną ochotę wykorzystać rzadką okazję. Nareszcie był z nią sam na sam.

Po tym kiedy przez cały tydzień obsesyjnie myślał tylko o niej, nie chciał się jej pozbywać. Już sama jej obecność sprawiała mu wielką przyjemność.

- Myślałem, że już więcej tego nie będziemy robić - mruknął ochrypłym głosem.

Kiedy w odpowiedzi spod jego ręki wyrwało się kilka mocnych słów, uśmiechnął się. Pomyślał, że Lilly właśnie podaje w wątpliwość jego pochodzenie. Rozbawiła go jej furia, kiedy próbowała wydostać się z jego uścisku.

- Tylko mnie nie ugryź. - Poczul ostre zębki wbijające się w palec. Dała spokój. Pewnie doszła do wniosku, że damy nie gryzą. W każdym razie... nie w gniewie.

- Tak lepiej - wyszeptał. Rozkoszował się chwilą władzy nad tą kobietą. - Czy teraz porozmawiamy jak cywilizowani ludzie, czy raczej wolisz, żebyśmy mocowali się z tobą na podłodze? Ja wotuję za tym ostatnim.

Patrzyła na niego spod zmrużonych powiek, jakby chciała go zamordować. Śmierć z jej ręki... Niezły sposób na odejście z tego świata. Wpatrywał się w nią, coraz bardziej spragniony, ale wściekły, że nie mógł opanować żądz, nawet po tym kiedy Lilly tak go zraniła. Jeszcze bardziej jej pragnął.

Hm... Co zrobić?

Lilly Balfour była teraz na jego łasce; zaczął drzeć na myśl, że zamiast nakrywać jej usta dłonią, mógłby to zrobić wargami. Oczywiście, gdyby spróbował, ta mała kocica odgryzłaby mu pewnie język. No, wtedy będzie jej musiał dać klapsa...

Drżał z podniecenia, a ona wciąż próbowała walczyć wściekła, że ją uwięził.

Pomaleńku ustąpił, w końcu był dżentelmenem.

- Niegodziwy łotrze! - prychnęła, strącając jego rękę z ust. - Nie pochlebiaj sobie! Cokolwiek myślisz, nie po to tu przyszedłam!

- Och, naprawdę? Więc dlaczego szłaś za mną?

- A ty, dlaczego myszkujeś po domu Edwarda? - rzuciła zdyszczanym szeptem.

- Nie wiem - powiedział z nonszalanckim leniwym wzruszeniem ramion, dobrze obeznany ze sztuką tego rodzaju sprzeczek z płcią piękną.

- Pomyślałem po prostu, że sobie obejrzę twoją przyszlą klatkę... Lilly Lundy! Nie uważasz, że to brzmi niezbyt ładnie? Podejrzewam jednak, że to najmniejsze z twoich zmartwień. Trudno mi sobie wyobrazić ciebie tu, w małżeńskim gniazdku z kochanym, poczciwym Edwardem. Naprawdę masz zamiar zostać panią tego szkaradzieństwa?

Patrzyła na niego zmieszana; chyba dała się zwabić i przyjęła przeprosiny.

- Nie jest takie złe.

- Uważam, że lepiej by ci było w domu z nietoperzami.

- Na szczęście nikt cię nie pyta o zdanie.

Zaskoczyła go jej impertynencja. Pokręcił głową.

- Wiesz, naprawdę jesteś jakaś inna.

- Co takiego?

- To po prostu aż zanadto irytujące! Ty i ten twój dom.

- Dwór Balfour Manor?

- Ach, wybacz! Nie po prostu dom, ale „dwór”. Jak to wygodnie, że dotąd mi o tym nic nie mówiłaś. Ciekawym, dlaczego!

- O co ci właściwie chodzi?

- Jesteś właścicielką tudorowskiego zamku, tak wielkiego, że ma ileś tam „skrzydeł” i dwa tysiące jardów kwadratowych dachu, a mimo to zapewniasz, że twoja rodzina jest w takich tarapatach, że musisz wyjść za Lundy'ego.

- Akurat jedno i drugie to prawda.

- Lilly! - Lekceważąco popukał ją czubkami palców po głowie. - Dziewczyno, pomyśl tylko! Gdzie ty masz rozum?

- Pan wybaczy...

- Sprzedaj ten cholerny dom, zamiast się poświęcać za złoto Lundy'ego.

- Nie mogę tego zrobić - odparła ze znużeniem w głosie.
- Naturalnie, że możesz.
- Nie mam zamiaru zostać zapamiętana, jako ta z Balfourów, która straciła rodowe włości. - Westchnęła. - Poza tym ten dom jest strasznie zniszczony, nie przypuszczam, by ktoś chciał go kupić.
- Nie znasz się na tym. Znalazłby się chętny; a nawet jeżeli nie, zawsze możesz sprzedać firmie budowlanej, która go rozbierze i użyje materiał do nowych budynków. Dochód z tego pozwoliłby spokojnie żyć tobie i twojej rodzinie.
- Jak to?
- Są takie przedsiębiorstwa, które rozbierają stare budynki i wykorzystują różne ich elementy- tłumaczył, pośpiesznie sprawdzając, czy nikt nie idzie. - Mogą ponownie użyć cegły czy kamień, rozebrać kominy i zainstalować je w nowych domach. Zdejmują boazerie, drewniane belki, stare szkło z okien... To wszystko może zostać ponownie użyte, a płacą za takie rzeczy całkiem nieźle...
- Co za koszmarny! Proszę, przestań. Dość już. - Opędzała się przed jego słowami jak przed uprzykrzoną muchą. - Balfour Manor to mój dom! Jest naszym domem od trzystu lat. Prędzej oddałabym ciało dziadka do prosektorium, żeby studenci medycyny uczyli się na nim, niż przekazała swój stary, poczciwy dom firmie do rozbioru.
- Cóż, skoro tak to traktujesz, myślę, że pojmuję twój punkt widzenia - mruknął. Zmarszczył czoło i skrzyżował ręce na piersi. - Ale mówimy o twoim życiu tu. Do diabła ze zmarłymi przodkami. Przeszłość to przeszłość, a ty żyjesz tu i teraz. I to ty jesteś ważna. To absurd dobrowolnie rujnować własne życie dla jakichś tam duchów przeszłości.
- Pokręciła głową.
- Mówisz jak prawdziwy mieszkaniec kolonii. Spalić za sobą mosty i iść do przodu, w przyszłość.
- Chyba lepiej „spalić” przeszłość niż próbować nią żyć!
- Och, łatwo ci mówić! Mam się odwrócić tyłem do rodziny? Ty też na pewno nie chciałbyś opuszczać tego, co ci jest drogie. Może powinienes sam skorzystać z własnej rady? Już widzę, jak odwracasz się plecami do swoich żołnierzy!
- Moi żołnierze są ludźmi. Twój dom to materia nieożywiona. Ważni są tylko ludzie, Lilly. Ty jesteś ważna. O Boże, czy naprawdę musisz

być taka uparta? Nigdy ci nie przyszło do głowy, że kiedy wyjdiesz za Lundy'ego, wszystko to, co posiadasz, przejdzie prawnie na niego? - ciągnął. - Co go powstrzyma przed sprzedaż Balfour Manor, kiedy już będziecie małżeństwem? A co, jeżeli nie będzie miał ochoty płacić za remont? Pomyślałaś o tym?

- Oczywiście, że myślałam. Edward nie sprzeda Balfour Manor. Po prostu doskonale wie, że za całe swoje złoto nie kupi prestiżu tak starego rodu jak nasz. A jak sądzisz, dlaczego się ze mną żeni?

Derek bezceremonialnie obmacywał ją wzrokiem; miała aż zbyt ponętne kształty.

- Trudno mi się domyślić - mruknął.

- Rozpaczliwie pragnie poprawić swoją pozycję społeczną - wyjaśniła, nie zwracając uwagi na pożądliwe spojrzenia. - Nie ma powodu sprzedawać Balfour Manor. Nie dlatego, że potrzebuje pieniędzy... A zresztą, spisemy intercyzę i w ten sposób będę pewna, że nie będzie mógł sprzedać mojego domu, nawet gdyby chciał. Tak na wszelki wypadek.

- Aha! Widzisz? - Natychmiast podchwycił jej słowa. - Okazuje się, że nie wierzysz mu, tak samo jak ja! W tym właśnie tkwi problem, Lilly. Ja temu człowiekowi nie ufam. Powiedziałem ci to już - tam. Przykro mi, ale to prawda. Nie ufam mu i boję się o ciebie, co mnie doprowadza do szału. Muszę mieć pewność, że będziesz bezpieczna!

- Och, Derek...

Jego wybuch chyba ją zaskoczył. Czułym gestem dotknęła jego włosów i założyła mu za ucho zwisający lok.

- Co ja mam z tobą zrobić?

- Myślę, że jest kilka takich rzeczy - zażartował uszczęśliwiony tym dotknięciem. Chwycił jej rękę i wycisnął delikatny pocałunek na nadgarstku. - Czy już się oświadczył? Jesteś zaręczona?

- Nie - przyznała trochę stropiona. - A co u ciebie? Twój dowódca pisał?

- Nie. - Westchnął i puścił jej dłoń. - Wygląda na to, że oba nasze statki tkwią teraz bez ruchu w ciszy morskiej - powiedział bez emocji, z ironicznym uśmiechem. - Pewnie jedynym sposobem wydostania się będzie obranie nowego kursu. Zmiana ustawienia żagli.

- I popłyniemy... do którego portu? - podjęła tę grę słów.

- Jeden Pan Bóg wie, dokąd poniesie nas wiatr. - Nagle wpadł na pomysł. - Sztorm skandalu, oto, czego nam trzeba! Huragan plotek powinien nas wypchnąć ze strefy ciszy. - Uniósł brew i spojrzał na nią łobuzersko. - Ile setek gości jest tu?

- Nie odważysz się! - ostrzegła go, cofając się o krok.

- Och, to przecież takie łatwe i tak bardzo skuteczne. - Podszedł bliżej i pogłaskał jej ramiona. - Mógłbym w tej chwili zniszczyć ci opinię, doskonale o tym wiesz. Uratowałbym cię w ten sposób przed sobą samą. Chyba naprawdę powinienem to zrobić, także dlatego, żeby powstrzymać twoje szaleństwo.

- Ach, tak, to doskonały pomysł - odparła ironicznie. - Pan wybaczy, majorze, ale teraz, kiedy poznałam pańskiego brata, a zwłaszcza pana ojca, pewna jestem, że gdyby rzeczywiście zniżył się pan do czegoś takiego, zmusiliby pana do poślubienia mnie, a wtedy pański żart obróciłby się przeciw panu.

- Może to wcale nie był żart. - Nagle spojrzał jej prosto w oczy. - Mam to zrobić? Mam cię zmusić, żebyś została moją żoną?

Uniosła brwi.

- Derek. Chyba nie powiesz, że właśnie w tej chwili poprosiłeś mnie o rękę!

- No, nie! Niezupełnie. To znaczy sędzę...

Co ja właściwie sędzę? Umilkł, wyprowadzony tym nagłym impulsem z równowagi.

- Ja tylko... tylko próbuję ci pomóc.

Pokręciła głową.

Serce mu waliło. Obejrzał się za siebie, próbując to jakoś rozegrać.

- W ten sposób oboje mielibyśmy to, czego chcemy - powiedział.

- To prawda. - Zerknęła na niego podejrzliwie, jakby odkryła jego grę. - Gdybyś się ze mną ożenił, musiałbyś wracać do Indii i tam wdać się

w krwawe wojenne zabawy, aż w końcu straciłbyś życie. Do tego czasu wysyłałbyś mi do domu całe zdobyte tam złoto, ja dzięki temu miałabym możliwość zachować swoją rezydencję i może, ale tylko „może” pewnego dnia zyskałabym aprobatę matki.

Popatrzył na nią nieufnie.

- Ach, więc o to ci chodzi?

Pierwszy raz usłyszał od niej coś na temat matki, jednak z chwilą, kiedy to powiedziała, nagle mnóstwo niejasnych dotąd szczegółów ułożyło mu się w głowie.

Był zadowolony ze zmiany tematu i z ulgą stwierdził, że tym razem ona wyglądała na zakłopotaną. Odwróciła się zmieszana tym, co jej się wyrwało; blade dotąd policzki pokrył rumieniec.

- Nie powinnam była tego mówić. Okazałam jej brak szacunku.

- Nie przejmuj się. Twojej matki tu nie ma, a ja obiecuję, że nie powtórzę. Poza tym - zniżył głos i szepnął jej w ucho - sam też miałem tego rodzaju matkę.

- Naprawdę?

- Lilly - powiedział powoli, dotykając jej policzka. - Głupi ten, kto ciebie nie kocha. Bo jakże ciebie nie kochać? Jeżeli twoja matka ciebie nie kocha, jest głupia. To dotyczy zresztą również Lundy'ego.

- A pan, majorze? - spytała ledwie dosłyszalnie, odważnie unosząc brodkę do góry. Patrzyła mu w oczy. - Czy pana to też dotyczy?

- Ja nie jestem głupcem. - Westchnął.

Słodką tęsknota, którą wyczytał z lawendowych głębin jej oczu, odzwierciedlała takie samo pragnienie, jakie płonęło również w jego żyłach.

Chwyił ją w ramiona, zamykając oczy. Nie mógł czekać ani chwili dłużej.

- Boże! To właśnie to! Nie mogę ci pozwolić na fałszywy krok. Wywołam skandal, burzę w towarzystwie i wyciągnę cię z więzienia, do którego sama się wtrąciłaś...

- Nie! Nie odważysz się! - Policzki jej płonęły; wparła się dłońmi w jego pierś i odpychała go od siebie. - Nie wyjdę za ciebie!

- Dlaczego?!

- Bo jedynym wyjściem dla nas byłoby, żebyś albo udał się po pomoc do rodziny, albo wrócił walczyć do Indii. Tego pierwszego byś nie zrobił, a drugiego ja bym nie zniosła! Wiem, jakie straszne szkody psychiczne już poniosłeś.

- Zrobiłbym to dla ciebie - szepnął. Pragnął jej aż do bólu.

Przyłożyła dłoń do jego twarzy i powiedziała z wielką powagą:

- Ale ja nigdy bym ci na to nie pozwoliła.

Czas jakby się zatrzymał; stali wpatrzeni w siebie.

Musiał się do niej uśmiechnąć.

- Chcesz mnie chronić? - Pokręcił głową.

To chucherko miałoby go chronić? Najgłupsza, a przy tym najbardziej czarująca rzecz, jaką słyszał kiedykolwiek.

Zauważył jednak w oczach Lilly coś, co było odpowiedzią na jego pytanie. Zsunęła rękę z jego policzka.

- Posłuchaj mnie, Derek. Nie wiem, po co dziś przyszedłeś do tego domu, i, prawdę mówiąc, nie chcę wiedzieć. Ale co do przyczyny mojego wejścia... Pewnie powinnam cię ostrzec. To Edward mi kazał pójść za tobą.

- No, no - mruknął, starając się skupić uwagę. - To bardzo głupio z jego strony.

Mimo że poczuł ucisk w sercu, a męską próżność zraniła wiadomość, że nie przyszła tu za nim z własnej woli, docenił jej szczerłość. Powoli przesunął palcami po jej piersi.

- Nasz poczciwy Edward powinien był się zastanowić, co może się stać jego małej wywiadowniczym, gdyby została przyłapana.

Lilly drżała, a jej błękitne oczy ściemniały; rozumieli się bez słów.

Wtedy w stajni zdołali powstrzymać swoje namiętności. Teraz jednak żądza nimi zawiądnęła. Derek czuł, że nie będą w stanie się pohamować: byli jak gwał, który tocząc się z góry coraz szybciej i szybciej, nabiera mocy i szybkości.

Przerwa w spotkaniach zaostrzyła tylko wzajemny apetyt. Czuł to każdą komórką ciała. Widział to w jej oczach. Powoli pochylił się i przycisnął usta do wygięcia jej szyi.

Lilly dygotała.

- Och, Boże... proszę, Derek, nie rób tego. Tak bardzo cię pragnę. Nie kompromituj mnie. Reputacja to wszystko, co mam.

Złapała go za ramię; nie mógł się zorientować, czy po to, żeby go przyciągnąć do siebie bliżej, czy odepchnąć.

- Nie zniosłabym skandalu... Nie mogłabym - szeptała gorączkowo.

- Nie myśl o tym... - uspokajał ją zaniepokojony przerażeniem w jej głosie. - Nigdy bym cię nie skrzywdził.

Instynkt mówił mu, że wystarczyłoby jeszcze troszkę starania, a zrobiłaby wszystko, co chciał. Heroicznym wysiłkiem zmusił się do wypuszczenia jej z objęć.

Z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała powoli cofnął się o krok.

- Jak sobie życzysz, Lilly. - Najważniejsze było zachować jej zaufanie. - Nigdy bym nie wyrządził ci krzywdy i nie lekceważył twoich uczuć. Nie zmuszałbym cię do niczego. - Przełknął ślinę i dodał: - Nie jestem Edwardem.

- Nie, nie jesteś - zapewniła z odrobiną gorczy w głosie. - Chciałabym, żebyś nim był.

- No, to dalej! - powiedział, wskazując głową korytarz. - Wracaj do niego. Nie będę cię zatrzymywać.

Patrzyła na niego z bólem.

Krew w nim zawrzała.

Lilly się nie poruszyła. Nie odeszła.

- Ale... gdybyś chciała zostać - dodał powoli - wiesz, że potrafię być dyskretny. Jeżeli to wszystko, co może być między nami, godzę się i na to.

Z jej oczu strzelały błękitne płomienie; podeszła do niego. Chwyliła go za klapę surduta i przyciągnęła do siebie. Poddał się jak niewolnik na uwięzi; objęła jego szyję i pociągnęła go w dół; całował ją jak szalony. Był tak spragniony jej ust! Lilly uniosła się na palcach i oddawała pocałunki, tak samo ich złąkniona jak on. Pieścił ją odurzony namiętnością.

Ujęła w dłonie jego twarz - spijali zachłannie rozkosz ze swoich ust. Derek jęknął i mocniej objął jej szczupłą kibić.

Nie walczyli już z pożądaniem. Nie było już między nimi miejsca na odpowiedzi, było tylko pragnienie, wszechogarniająca żądza. Wszelkie rozsądne powody, dla których oboje powinni się trzymać z dala od siebie, przestały istnieć.

Derek zdawał sobie sprawę, że to szaleństwo. Lundy posłał ją za nim i teraz czeka na nią. Na Boga! Są przecież w domu tego człowieka. Z rozpaczą myślał, że Lilly nigdy nie będzie naprawdę jego. To sprawiało, że ich dotknięcia były tak pośpieszne.

Zerknąwszy szybko, czy droga wolna, Derek dostrzegł drzwi, odległe zaledwie o parę metrów. Nie przerywając pocałunku, zaciągnął pod nie Lilly. Prowadziły do zaciemnionego saloniku, który Derek odkrył przed chwilą, szukając biura Edwarda.

Otworzył drzwi i z bijącym sercem wprowadził Lilly do środka; szła za nim chętnie zadowolona z panującego tam półmroku.

Derek zamknął drzwi.

Zdzierając z siebie ubrania, ogarnięci namiętnością, potykali się o meble. Kiedy Derek położył ją na szerokiej otomanie, czuł, że nabrzmiały członek omal nie drze mu spodni. Upadł przed Lilly na kolana i zawahał się -sam zdziwiony głębią czci, jaką dla niej czuł. Drżał, dotykając jej; wiedział, że ona także go pragnie. Delikatnie uniół jej suknię.

Leżała na wznak na aksamitnej otomanie i patrzyła, jak Derek całuje jej dekolt, a potem tuli piersi ukryte pod gorsetem.

- Jesteś taka piękna. Każdy cal twojego ciała.

Pieścił jej zgrabne nogi i szczupłe biodra pod fałdami materiału.

- Ach...

Odrzuciła głowę do tyłu. Płonęła, usta miała spuchnięte i rozkosznie zaróżowione od pocałunków.

Patrząc na nią, schylił głowę i ucałował kolano, potem powędrował ustami wyżej.

Zostawił ślad pocałunku na wewnętrznej stronie uda - tam, gdzie tylko ona to mogła zobaczyć. Po paru dniach ślad zniknie, ale do tego czasu pozostanie po nim maleńka pamiątka. Dotknął czubkiem palca wilgotnej kobiecości, rozsuwając delikatnie skrywające ją blond loczki. Ta pieczyta wydobyla z jej ust głębokie westchnienie. Derek czuł jej zapach i dygotał. Przysunął się bliżej do gorącego źródła. Ten naturalny zapach świadczący o tym, jak bardzo jest gotowa go przyjąć, doprowadzał go do szaleństwa.

Rozsunął Lilly uda i smakował jej gorące wnętrze skryte między miękkimi fałdkami. Była gładka, słodka i twarda jak kamyk, kiedy ją wprawnie pieścił i całował jedwabiste ciało, pełny zachwyty, tracąc przy tym zmysły.

Jej jęki, westchnienia i każde uniesienie bioder mówiło mu, jak bardzo pragnie, żeby posunął się dalej. On też tego chciał.

Opadły z niej resztki królewskiego chłodu; była teraz miękka, uległa i całym ciałem poddawała się jego ustom i dłoniom.

Bardzo pragnął ją posiadać, sprawić, by każdy cal jej ciała, od palców u nóg do paznokci rąk, każdy loczek jej złotych włosów należał do niego. Przypuszczał jednak, że to byłoby możliwe dopiero po ślubie.

Jęknęła, wbijając mu palce w plecy.

- Och, Derek!

Kiedy doprowadził ją do szczytu, wilgoć jej ciała spłynęła mu do ust, co go doprowadziło do ekstazy.

Potem leżała wyciągnięta na otomanie i śmiała się radosnym, zdyszonym śmiechem.

Ten dźwięk zdziwił go. Patrzył na nią, posepnie uśmiechnięty. Ciągle jeszcze klęcząc przed nią, poprawiał jej spódnice.

- Och, Derek... To było niewiarygodne, cudowne. Mm... Nigdy sobie nie wyobrażałam czegoś tak wspaniałego.

- Nadal chcesz wyjść za mąż za Edwarda?

Zaśmiała się ospale, ciągle jeszcze przeżywając przyjemność.

- Niemożliwy jesteś - zamruczała cicho tonem czysto kobiecego przesyty.

- A ty jesteś piękna. - Gładził czule jej ramię.

- Och, nie powinniśmy tu zostawać, prawda? Chyba oboje robimy coś bardzo złego.

- Ty? Nigdy w życiu. Ja - może i tak. Ale nikt cię tu nie trzyma siłą, jeżeli tak to odczuwasz.

W odpowiedzi na jego lekceważącą uwagę uniosła się na łokciach.

- Tam są drzwi. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Oboje wiemy, że nie masz ochoty z nich skorzystać.

Lekko nachmurzona usiadła i leniwie objęła go rękami za szyję, wydymając usteczka.

- Myślę, że chyba właśnie w tym momencie w zeszłym tygodniu powiedzieliśmy sobie „do widzenia”.

- Ja też tak myślę. Więc znów jesteśmy w punkcie wyjścia. Chyba nie ma wielkiego sensu z tym walczyć.

- Nie...

Pogłaskała go, nie zdając sobie sprawy, że żądza już burzy mu krew.

Derek wpatrywał się w nią, jakby chciał całą oblać gorącym spojrzeniem, kiedy nagle coś zauważył...

- Co to, panno Balfour? Nie włożyła pani dziś swoich ślicznych brylantowych kolczyków? - Lekko szczyptał wargami płatek jej ucha.

Zachichotała i odsunęła się z tajemniczym uśmiechem.

- Nie, panie majorze. Dziś nie.

- Czy to twój sposób zapewniania, że będziesz dla mnie bez miłości?

Uśmiechnął się skruszony na myśl, że jej brylanty stały się kamieniami probierczymi ich wzajemnych stosunków.

- Niezupełnie - odparła z figlarnym błyskiem w oczach. - Po prostu... nie pasowały do tej sukni.

- Zawsze myślałem, iż wy, dziewczęta, uważacie, że brylanty pasują do wszystkiego.

- Tęskniłam za tobą - powiedziała, zręcznie zmieniając temat i pogładziła go po włosach. - W dni, kiedy cię nie widzę, chodzę, jak we śnie.

Pokiwał głową.

- Ja myślę o tobie cały czas. Bardzo się starałem trzymać od ciebie z daleka, ale...

Długą chwilę patrzyli na siebie.

- Nie spodziewaliśmy się tego, co?

- Cieszę się, że tak się stało. Pocałuj mnie. Pocałuj mnie teraz. - Przyciągnęła go do siebie.

Uznał, że ta młoda dama powinna jeszcze raz przeżyć rozkosz. Tak. Jeszcze jest czas na szybki...

- Mm... tak lepiej. Nie widziałam cię od wieków... jak się masz? - wyszeptwała. - A w ogóle, jak się ma twoja kudłata pacjentka?

- Koń?

- Nie, słoń - zażartowała ze śmiechem.

- O całe niebo lepiej. Ma już nawet imię.

- Naprawdę?

Trzepnął ją lekko po nosku.

- Mary Niezrównana, na twoją cześć.

- Czuję się zaszczycona!

- Powinnaś! Zdziwisz się, kiedy ją zobaczysz. Wczoraj Gabriel i ja jeździliśmy na niej, oczywiście na lonży. Ma piękne ruchy i z przyjemnością muszę powiedzieć, że wkrótce będę ją mógł powierzyć nowemu właścicielowi.

- Sprzedałeś Mary Niezrównaną? - wykrzyknęła z oburzeniem.

- Nie, kochanie, mam zamiar dać ci ją w prezencie.

Wytrzeszczyła oczy.

- Mnie?

Na widok jej dziecinnego zdziwienia parsknął śmiechem.

- Tak, Lilly, od początku tak planowałem. Mam nadzieję, że ją przyjmiesz? Potrzebuje dobrego domu. Nie mogę ryzykować oddania jej komuś, kto by ją krzywdził, kiedy wyjadę.

Na wzmiankę o wyjeździe z Londynu Lilly zmieniła się tak nagle jak angielska pogoda. Błękitne oczy zasnuł smutek.

- No, kochanie, nie patrz tak - prosił ze ściśniętym sercem.
- Nie potrafię inaczej. - Odwróciła głowę. - To nie w porządku.
- Co jest nie w porządku?
- To, że wyjeżdżasz szukać majątku i sławy i nawet nie zastanowisz się, co będzie ze mną!
- Naturalnie, że się zastanawiam.

Podniosła rękę do góry.

- Przez cały czas mnie dręczysz, że poluję na bogatego męża, hipokryta. Powiedziałeś mi podczas naszego pierwszego spotkania, że celem twojego powrotu do Indii jest tylko - cytuję - „majątek i sława”. Więc mi nie praw kazań o „polowaniu na złoto”, bo robisz dokładnie to samo.

- Tak... mówiłem coś w tym rodzaju- przyznał, wpatrując się w podłogę, po czym spojrzał na nią nieufnie. -Jednak ja jestem w zupełnie innej sytuacji niż ty.

- To znaczy... ?

Milczał przez chwilę, jakby się zastanawiał, jak wiele może jej powiedzieć. Wreszcie wzruszył ramionami i pokręcił głową. Z westchnieniem przysiadł na otomanie obok Lilly.

- W dzieciństwie matka bez przerwy mnie zmuszała, żebym wszystko robił lepiej, więcej się starał, więcej osiągał. Najgorszą rzeczą dla kogoś w mojej sytuacji była przeciętność.

- W twojej sytuacji?

- Młodsze go syna. Nawet śmierć byłaby dla mnie lepsza niż zwykłe, przeciętne życie. Ideał bohaterstwa! Matka mówiła, że jeżeli nie dokonam czegoś nadzwyczajnego, czegoś, co olśni świat, będę skazany na zapomnienie, a wówczas nikt mnie nigdy nie pokocha.

Przez chwilę panowało milczenie. Czuł, że Lilly na niego patrzy, ale spuścił oczy, unikając jej wzroku.

- Więc kiedy pojechałem, by ryzykować życie w zamian za „łupy z Indii”, jak to nazwałaś, to tylko dlatego, że próbowałem być godnym tego, o czym naprawdę marzyłem.

- O czym? - spytała szeptem. Odwrócił się do niej i spojrzał jej w oczy.
- O miłości.

- Och, Derek...

Patrzyła na niego tak, że serce w nim topniało; owinęła mu szyję ramionami i obdarzyła takim pocałunkiem, jaki każdy, nawet najbardziej cnotliwy chłopak uznałby za objaw pełnego oddania.

Ten dar sprawił, że Derek poczuł ból pożądania; zdawał sobie jednak sprawę, że czas ucieka. Lundy pewnie już jej szukał; inni też mogli zainteresować się ich nieobecnością. Nie, to nie było właściwe miejsce, a on nie był tym typem mężczyzny.

W każdym razie nie w obecnej sytuacji.

Wściekał się na myśl, że Lilly wróci teraz do Lundy'ego, ale był dostatecznie doświadczony, by wiedzieć, jakie zasady można bezpiecznie łamać, a które są żelazne.

Nie wolno mu cieszyć się nią w pełni aż do momentu, kiedy jej przyszły mąż pierwszy skorzysta ze swoich praw.

Na myśl o tym stracił humor; co jednak miał począć? Mimo że tak jej pragnął, należało wziąć pod uwagę pewne rzeczy - ryzykowne zarówno dla Lilly, jak i dla śledztwa, które prowadził. Do diabła, był bezsilny. Nie mógł przecież nic zmienić, a tu nagle zakochał się w niej jak głupiec. Po co?

Na razie nic się nie zmieniło. Nadal tkwili w miejscu. Jemu nie udało się wyperswadować Lilly nierozważnego planu, sam także nie zdołał zniweczyć jej zamiarów. W końcu czego oczekiwał? Ze jedna wspaniała rozkosz zdoła odmienić charakter kobiety?

Umysł miał zmacony pożądaniem połączonym z gniewem; gotował się w środku i czuł, że zaraz będzie kipieć. Był przygnębiony - nie dlatego, że Lilly nie chciała się z nim kochać, ale ponieważ nadejdzie dzień, w którym zrobi to Lundy. Lilly będzie jego panną młodą.

Z uczuciem, jakby cała sprawa wymykała mu się spod kontroli, Derek chwycił ją za ramiona i odsunął od siebie, zmuszając, by zaprzestała pocałunków. Trzymał ją na długość ręki.

- Coś się stało? - spytała szeptem.

- Musimy przestać - odpowiedział chrapliwym głosem.

Co za heroiczny wysiłek, szlachetne wyrzeczenie się przyjemności! - pomyślał, bezlitośnie kpiąc z samego siebie. Lilly patrzyła na niego ze zdumieniem.

Matka byłaby z pewnością z niego dumna.

- Powinnaś już tam wrócić.

- Och!...

- Nie chciałbym cię narażać, Lilly. I chyba nie trzeba, żeby któryś ze służących Lundy'ego nas tu zobaczył.

- Oczywiście, że nie. Jestem pewna, że masz rację, ale... co z twoimi potrzebami? - spytała nieśmiało. - To znaczy, jeżeli nie będziemy się... to znaczy, czy nie będziesz z tego powodu przeżywać jakichś cierpień, hm... anatomicznych?

Uniósł brwi.

- Chyba że masz teraz zamiar mnie kopnąć.

- Nie, no, co ty mówisz! - Policzki miała czerwone jak poziomki.

Nie mógł opanować śmiechu.

- Cierpień anatomicznych? Skąd ci przyszedł do głowy taki niemądry pomysł?

Spuściła oczy, kryjąc pod rzęsami paniński wstyd.

- Nieważne. Po prostu... coś o tym słyszałam.

- Nie, Lilly - powiedział miękko. - Niezaspokojenie jest częścią życia wszystkich nas, rozpalonych żądzą samców. Nie musisz mi robić żadnych przysług.

Spojrzała na niego dziwnie, wymamrotała zdawkowe „bardzo dobrze” i wstała, by wyjść. Przechodząc obok długiego, wąskiego zwierciadła między oknami, wygładziła suknię i poprawiła włosy.

- Na twoim miejscu postarałabym się jak najszybciej wrócić na przyjęcie - rzuciła przez ramię. - Edward na pewno będzie cię szukać.

- No i wyobrażam sobie, jak bardzo samotnie czuje się w tej chwili Fanny Coates - odpowiedział złośliwie.

Kiedy jednak Lilly odwróciła się i posłała mu smutne spojrzenie, a jasnozielone spódnice czarująco zawirowały wokół jej szczupłej talii, zacisnął zęby, zły na siebie za tę niemądrą uwagę.

Zmarszczyła brwi; starała się otrząsnąć i zdławić zazdrość, którą odczuwała.

Derek patrzył za nią, wciąż jeszcze rozdygotany.

- Co powiesz Edwardowi?

- Jeszcze nie wiem. Coś wymyślę. - Zawahała się z ręką na klamce. - Pewnie mu powiem, że byłeś... z jakąś kobietą.

Rzucił jej cyniczny uśmiech.

- No, to nawet nie będzie kłamstwo.

Nie wiedział, dlaczego nie potrafi pozbyć się grubiańskiego tonu w głosie i przeklinał siebie za to. Był niezaspokojony, ale to żadne tłumaczenie.

Spojrzała przenikliwie.

- Idę. Do zobaczenia.

- Teraz... kiedy już masz to, po co przyszedłaś.

- Derek! - Znowu się zatrzymała. - Co się z tobą dzieje?

- Nic. W ogóle nic.

Tylko to, że się w tobie zakochałem...

Teraz nagle zrozumiał.

Przełknął ślinę. Miał nadzieję, że Lilly go nie znienawidzi za to kiepskie tłumaczenie.

Obserwowała go z drugiego końca pokoju, a wyraz jej twarzy złagodniał. Jakby czytała w jego myślach. Ten niepokój, lęk, zmartwienie... to jego uwielbienie dla niej.

- Derek...?

Spojrzał na nią.

- O tych kolczykach... nie powiedziałam ci prawdy- rzekła łagodnie. - Oczywiście że brylanty pasowałyby do mojej sukni. Nie noszę ich, bo ich już nie mam.

Zmarszczył brwi.

- Dlaczego?

Uśmiechnęła się tajemniczo.

- Dałam je temu woźnicy, którego wybiłeś batem na ulicy. Zrobiłam to, żeby wycofał oskarżenie i żebyś nie trafił do więzienia.

Szczęka mu opadła.

- Co takiego?

Ruszył naprzód, ale Lilly posłała mu pocałunek od ust, wyślizgnęła się za drzwi i jak najciszej zamknęła je za sobą.

Derek stał jak słup wstrząśnięty, nie będąc w stanie się poruszyć, również z powodu „anatomicznych cierpień”.

- Do cholery!

Spojrzał z roztargnieniem na napięty materiał jasnobrązowych spodni, po czym z niedowierzaniem na drzwi, za którymi zniknęła. Zupełnie nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

- Dobry Boże - mruknął pod nosem, przejęty tą niezwykłą mieszaniną wściekłości, pożądania i rozkoszy, którą w nim wywoływała.

Nie powinna była tego robić!

Ale niemal roześmiał się głośno, kiedy zrozumiał, że jednak to zrobiła.

Serce mu pomknęło pod niebiosa. Na zawrotne wyżyny.

- Cóż - szepnął do siebie. - Muszę je natychmiast odzyskać i zwrócić jej.

Zerwał się na nogi, poprawił ubranie i poszedł z powrotem na przyjęcie. Mężczyzna, który posiadał najrozkoszniejszy sekret świata.

- Uff! - sapnął Jones, kiedy Derek cisnął nim o ścianę karczmy, gdzie go znalazł tej nocy; woźnicy trafiła się nie lada gratka, więc musiał to opić.

Derek łatwo go dopadł.

Konstable podali mu nazwisko mężczyzny, który go chciał wsadzić do aresztu; żołnierski zmysł obserwacji pozwolił mu przypomnieć sobie nazwę i adres przedsiębiorstwa, które Jonesa zatrudniało. Nazwa była wypisana wielkimi literami na boku dylizansu.

Po wyjściu późnym popołudniem z przyjęcia w ogrodzie Lundych Derek udał się na zatłoczoną główną stację dylizansów i z przyjaznym uśmiechem wypytywał o pana Jonesa.

Zlokalizowanie tego łajdaka nie sprawiło kłopotu. Około jedenastej w nocy Derek znalazł Jonesa pijącego w swojej ulubionej tawernie, ciągle jeszcze „dobrze sobie żyjącego”. Jones, ubrany w nowy strój, co chwila zamawiał kolejki piwa i jadło dla wszystkich kompanów.

Ci starali się nawet okazać lojalność i przeszkodzić Derekowi w wymierzeniu sprawiedliwości. Doszło do awantury - Derek skorzystał z szansy pokazania swojej siły wojownika wobec tych wszystkich cholerycznych cywilów.

Przerzucał swoich nieszczęsnych przeciwników przez stoły, przez ciężkie drewniane krzesła, powrzucał ich za bar, młóćących rękami powietrze. Kiedy w końcu poddali się i pochowali po kątach, poprawił ubranie i ruszył naprzód, by dać woźnicy Jonesowi lekcję, jak nie należy wykorzystywać dam.

Kiedy właściciel karczmy doznał wreszcie na miejsce awantury z nabitym muszkietem, żądając, by Derek opuścił lokal, ten najspokojniej

wyszedł, znając już nazwę i adres lombardu, w którym Jones zastawił kolczyki Lilly.

O tej porze lombard był zamknięty, ale właściciel mieszkał nad nim i w końcu, w odpowiedzi na niez mordowane walenie pięściami w drzwi i żądanie załatwienia sprawy, zszedł po schodach i otworzył.

Nieliczni przechodnie myśleli pewnie, że major jest pijany, zwłaszcza że podczas bójki w tawernie wylał na siebie beczkę piwa i teraz okropnie cuchnął; niemniej umysł miał jasny jak nigdy; miał też jasno wytyczony cel: Lilly Balfour. Nawet w chwilach, kiedy nie myślał o niej świadomie, czuł ją we krwi, w duszy. Więż między nimi wydawała się przepętniać każdą komórkę jego ciała.

Chciał odzyskać dla niej kolczyki. Doskonale rozumiał, jakie to było poświęcenie z jej strony, i za każdym razem, kiedy o tym pomyślał, czuł dla niej podziw.

Rozpierała go wielka radość.

Kiedy czekał przed sklepem, aż właściciel zejdzie na dół, rozejrzał się i zobaczył, że świat jest piękny. Wszystko wydawało mu się nowe, cudowne w świetle księżyca. Nawet wąska, brudna uliczka i zakurzone okna sklepu lśniły jakimś magicznym, srebrnym blaskiem.

Kiedy wrócił dziś po spotkaniu z Lilly na przyjęcie, jedyną osobą, która domyślała się prawdziwej przyczyny jego nieobecności, była Fanny Coates. Zauważyła przecież, że zniknął z Lilly w czasie koncertu u lorda Fallowa. Wyrafinowana dama co prawda ze znaczącym uśmiechem do kuczała mu złośliwymi pytaniami, ale robiła to bardzo dyskretnie, a Derek nie przyznał się do niczego.

Chociaż z pewnością nie żałował rozkosznej zmiany planów, która dziś oddaliła go od właściwego celu, fakt pozostawał faktem: nie udało mu się przejrzeć dokumentów Lundy'ego.

Potrzebował tych informacji.

Z drugiej strony Lundy z pewnością zauważy, że Lilly i Dereka łączy coś więcej niż towarzyska znajomość.

Derek nie lubił nikogo oszukiwać, ale podejrzewał, że będzie musiał jeszcze przez jakiś czas udawać przyjaźń dla Lundy'ego, aż zdobędzie niego potrzebne mu informacje. Liczył się jednak z tym, że kiedy Lundy się dowie, co jest między nimi dwojgiem, nic mu nie powie, tylko za- trzaśnie drzwi przed nosem.

Miał już w głowie kilka pomysłów, jak oczarować Lundy'ego i sprawić, że będzie mu jadł z ręki. Edward lubił pić... Postanowił upić go do nieprzytomności i wydobyć informacje na temat komisji.

Właśnie wtedy przez okno wystawowe dostrzegł światelka świec w kandelabrze, przesuwające się przez ciemny sklep. Po chwili drzwi się otworzyły, dzwonek zadzwonił przy nich. Pojawił się niski, rozczochrany człowiek, którzy nieporadnie wkładał okulary.

- Przepraszam, że przeszkadzam panu w odpoczynku - mówił Derek - ale znajoma młoda dama doznała poważnej krzywdy i... hm... trzeba to natychmiast naprawić.

- Aha. Bardzo dobrze, proszę pana. - Zaspany sklepikarz zauważył elegancki strój Dereka, jego arystokratyczną postawę i natychmiast dostosował się do sytuacji. - Proszę wejść.

Po chwili wyjął z sejfów i ułożył na ladzie wybite aksamitem pudełka z biżuterią. Ku bezgranicznej uldze Derek dostrzegł tam kolczyki Lilly i z radością za nie zapłacił.

Kiedy zapisywał właścicielowi numer swojego konta w banku, w duszy dziękował Bogu, że dotychczas nikt tych kolczyków nie kupił. Teraz trzeba będzie tylko znaleźć odpowiedni moment i oddać je...

- Może jeszcze coś dla wyjątkowej damy, sir? - próbował go skusić sklepikarz, zwracając uwagę na inne pudło, z pierścionkami i bransoletami, na szzytnikami, kolczykami i wysadzonymi klejnotami szpilkami do włosów.

Derek uśmiechnął się trochę zawstydzony, kiedy właściciel zwrócił jego uwagę na rząd złotych pierścionków powtykanych w fałdy aksamitu.

- Już się dziś oświadczałem - powiedział obojętnie. - Wyśmiała mnie.

Nie mówiąc już o tym, że gdyby chciał kupić obrączkę, nie wybrałby z pewnością używanej. Właściciel zachichotał.

- Może więc coś mniej zobowiązującego? Jakaś błyskotkę? Wręczył mu delikatną srebrną bransoletę, wysadzaną małymi gronkami diamentów i rubinów.

- Hm... Bardzo to ładne. Ale, prawdę powiedziawszy, nie jestem pewny, jakby zareagowała - głośno zastanawiał się Derek, oglądając bransoletę; pomyślał, że mogłaby obrazić się, gdyby po epizodzie na otomanie wręczył jej klejnot.

Znając Lilly i jej dumę, był pewien, że rozgniewałaby się, uważając to za rodzaj „podziękowania”, a nie za dowód uczucia. Odłożył bransoletkę.

- Chyba nie powinienem ryzykować.
- Zabawne. Nie robi pan wrażenia ostrożnego.

Derek roześmiał się, obracając w palcach wysadzaną klejnotami szpilkę do włosów. Właściciel przypatrywał się mu z niepokojem.

- Zły pomysł?
- Wielmożny panie... Gdyby to była moja żona, pewnie by to nazwała marnotą.

- Och! Naprawdę? - Derek zmarszczył brwi. Nie był tak bogaty jak Lundy, lord Griffith, czy nawet jego własny ojciec, mógł jednak sobie pozwolić na bycie oryginalnym - w rozsądny sposób - jeśli chodzi o rzeczy, sprawiające mu szczególną przyjemność. Tak jak kary ogier od Tattersalla.

Odłożył szpilkę i zatroskany podrapał się w głowę.

- Mam tu parę pięknych naszyjników, które na pewno spodobają się młodej damie...

- Chwileczkę! - Szperając w pudełkach, Derek natknął się nagle na największą, najbardziej krzykliwą, najbrzydszą ozdobę w kolekcji lombardu. - Boże drogi! - mruknął zdumiony. - Można?

Właściciel skinął głową i patrzył na gościa z powątpiewaniem.

- Widziałem to już kiedyś. - Z bijącym sercem Derek wziął do ręki wielką, inkrustowaną drogimi kamieniami broszę w kształcie koguta.

Paskudny kogut pani Lundy! Nie, to chyba nie ta sama brosza? Z drugiej strony nie mogło być przecież wiele podobnych w Londynie. Do diabła, jeśli to rzeczywiście była własność pani Lundy, co tu, u licha, robi? Spojrzał nieufnie na sklepikarza.

- Kiedy pan to kupił?
- Jakieś dwa tygodnie temu. Robi wrażenie, co? Wyjątkowa, ośmielę się powiedzieć. Interesuje pana ta broszka, sir?
- Właściwie bardziej chciałbym się dowiedzieć nazwiska osoby, która ją tu przyniosła.

- Och, proszę wybaczyć, ale nie mogę tego zdradzić. Naszą zasadą jest...
- Rozumiem. Myślę jednak, że znam osobę, do której ta brosza należała i ponieważ wiem, ile ona dla tej osoby znaczy, podejrzewam, że może być kradziona. To znaczy...

- Och, sir. Nie jestem paserem, zapewniam pana! - bronił się sklepi-
karz, trochę zdenerwowany. - Nie przyjmujemy kradzionych rzeczy!
 - Może bez pańskiej wiedzy...
 - O Boże...
 - Będę usatysfakcjonowany zwykłym „tak”, lub „nie”. Czy tę rzecz
przyniósł panu ktoś o nazwisku Lundy? - spytał Derek, uważnie patrząc
mu w twarz.
- Sklepiarz zmarszczył brwi, po czym wziął aksamitne pudło i spod
spodu, wydobyl skrawek papieru. Pokręcił głową.
- Nie - odparł poufałym tonem. - To przyniósł pan Bates.
 - Bates. - Derek zmarszczył brwi.
- Stangret Lundy'ego.

14

Edwardzie, naprawdę nie mam pojęcia, kim była ta kobieta.

Przez następne dwa dni Lilly miała trochę nieczyste sumienie w związ-
ku z tym, co opowiedziała swojemu konkurentowi, kiedy już wróciła na
piknik, ze wszystkich sił starając się zachować niewinny wyraz twarzy.

Z drugiej strony... to przecież nie do końca kłamstwo. W tej rozpust-
nej kobiecie, wijącej się z rozkoszy pod namiętymi pocałunkami Dere-
ka, z trudem rozpoznawała samą siebie, chłodną i poprawną córkę lady
Clarissy Balfour. Gdyby lady Clarissa dowiedziała się o tym bezwstydnym
zachowaniu, z pewnością przeklęłaby własną córkę.

Co do Edwarda... Sprawdzał jej lojalność, a Lilly wiedziała, że nawet,
gdyby tego nie robił, ona nie przeszła tej próby. I nawet się tym nie przejęła.

Niepokojące było to, że przed oddaniem się Derekowi w tym ciem-
nym pokoju powstrzymał ją tylko wstyd, że nie jest dziewczicą.

Zależało mu na niej.

W jego pięknej twarzy widziała miłość. Gdyby jednak odkrył, że nie
jest niewinna, jak sobie wyobrażał, na pewno straci dla niej całe uczucie.
Pragnęła go tak bardzo, że sytuacja stawała się nie do zniesienia.

Plan małżeństwa z Edwardem był poważnie zagrożony, walił się w
gruzy. Wszystko wydawało się takie niepewne!

Wiedziała, że przyszedł czas na zmianę ustawienia żagli, jak to żartobliwie określił Derek. Najbardziej jednak chciała, żeby jego statek popłynął nowym kursem... razem z nią.

Do dziś mieli różne plany; żadne nie myślało o kompromisie. Ale po tym, co między nimi zaszło, Lilly pojęła, że to, co mogliby wspólnie przeżyć w przyszłości, warte jest porzucenia dawnych zamiarów.

Nie chciała przeprowadzać się z Derekiem do Indii; uważała, że powrót na wojnę byłby dla niego najgorszym z możliwych wariantów - może jednak istniało pośrednie wyjście? Tyle że musieliby się nad tym wspólnie zastanowić. Sytuacja wyglądała obiecująco

Przede wszystkim Derek nie musiał zdobywać majątku i sławy po to, żeby zasłużyć na czyjąś miłość. Lilly już go kochała. Chyba go kochała od ich pierwszego spotkania.

A skoro okazało się, że jego poglądy na to, jak zasłużyć na miłość, okazały się fałszywe, może i ona też źle podchodziła do swoich zobowiązań?

Może mogłaby sobie wybaczyć dawne grzechy, niekoniecznie poświęcając siebie dla dobra rodziny? Derek nie wiedział o niej wszystkiego; jednak po latach życia z wyrzutami sumienia samo to, że zainteresował się nią ktoś tak cudowny, sprawiło, że Lilly zaczęła lepiej myśleć o sobie. Nie pragnęła już za wszelką cenę karać siebie za dawne grzechy.

W związku z tym jaśniej teraz widziała, że małżeństwo z Edwardem Lundym byłoby po prostu zdradą samej siebie. Właśnie to zarówno Derek, jak i pani Clearwell starali się jej wytłumaczyć.

Niestety, nie miała aż tyle odwagi, żeby zmienić plany, zanim nie będzie pewna, że oboje z Derekiem zechcą pożeglować w jedną stronę. To on był odważny, nie ona.

Zanim pozwoli Edwardowi odejść, musi porozmawiać z Derekiem i dowiedzieć się, czy chce, by oboje spróbowali.

Oczywiście nie można zagwarantować, że wynik rozmowy będzie właśnie taki. Dobrze to rozumiała. Już raz, wtedy, kiedy poszła do stajni, próbowała to z niego wydobyć i chociaż doszło wtedy do wymiany pewnych poufałości, i namiętych pocałunków, nagle kazał jej natychmiast odejść. Ponowne narażenie na szwank własnej reputacji wymagało odwagi, teraz jednak pragnęła tylko kolejnej szansy zbliżenia się do niego i za dania mu tych wszystkich pytań.

Czekała na okazję.

Następnego dnia po przyjęciu u Lundych w ogrodzie w domu pani Clearwell pojawił się Edward. Lilly znów ogarnęła panika i poczucie winy na myśl, że w jakiś sposób dowiedział o ich igraszkach na otomanie. Albo, co gorsza, uznał, że czas jej zaproponować małżeństwo!

Okazało się na szczęście, że tylko wpadł powiadomić je, że matka pojechała już w podróż na Jamajkę, a on sam wyjeżdża na parę dni z miasta w interesach. Serce waliło jej niemal równie głośno, jak dzwony w katedrze Świętego Pawła, ale tylko wdzięcznie skinęła mu głową i życzyła bezpiecznej podróży.

Kiedy wyszedł, wydała bezgłośny okrzyk radości. Uznała to za znakomitą okazję do rozmowy z Derekiem na najbliższym balu - bez obawy, że Edward im przeszkodzi.

Przestała myśleć o przyszłości, pieniądzach i oczekiwaniach matki; chodziło jej tylko o to, by dowiedzieć się, co chce zrobić Derek.

Oświadczył się jej co prawda (tak mniej więcej), ale przecież podobnie bezwstydną propozycję złożył także pani Coates; Lilly wolałaby zatem, żeby to zrobił w poważniejszej formie. Z kolei wiedziała już, że często jego łobuzerskie żarciki były tylko przykrywką dla poważniejszych uczuć.

Niepewność sprawiła, że Lilly żyła w napięciu. Na szczęście zbliżał się dzień balu, podczas którego będzie mogła porozmawiać z Derekiem.

Pokojówka upięła jej tego wieczoru włosy w kunsztowną fryzurę: pasma u góry ozdobiła drogocennymi spinkami, pozostawiając delikatne loczki na karku i skroniach. Tego dnia Lilly naprawdę cieszyła się, że odziedziczyła urodę po matce. Od lat przeklinała swoją twarz i figurę, bo przyciągały nieuczciwych i zdradliwych mężczyzn; podczas pobytu w Londynie z każdym dniem ta strona jej życia zdawała się odchodzić w niepamięć. Lilly czuła lekkość w sercu.

Po paru godzinach wchodziła już do sali balowej u boku opiekunki, ukradkiem szukając wśród zgromadzonych gości Dereka. Witając skinieniem głowy znajomych, dygnęła przed kilkoma najważniejszymi notablami i musiała dosłownie wyszarpnąć spódnicę spod nóg jakiegoś niezdarne dzentelmena.

Cudem uniknąwszy nieszczęścia, odwróciła się i spojrzała zza wachlarza na balkon. Ze smutkiem patrzyła na grono pięknych pań, domyślając się, że ten hulaka musi gdzieś tam być.

Zamiast niego dostrzegła Gabriela. Stał samotnie zajęty własnymi myślami. Jak oni bardzo się różnią, pomyślała. Derek zwykł być duszą towarzystwa, tymczasem Gabriel patrzył wilkiem na otoczenie i wydawało się, że marzy tylko o tym, by mieć święty spokój.

Lilly trąciła panią Clearwell i wskazała oczami na starszego Knighta. Opiekunka pokiwała głową.

- Może nam się uda poprawić mu humor?

- Spróbujmy. - Lilly się zaśmiała. Kiedy szły w jego stronę, serce Lilly rośło. Obaj bracia byli sobie tak bliscy, więc skoro Gabriel tu jest, Derek nie może być daleko.

Przywitały się z nim i wymieniły kilka żartobliwych uwag, po chwili jednak Lilly nie wytrzymała i spytała wprost:

- Gdzie pański brat?

- Właściwie... nie ma go tu.

- Och - zamilkła zaskoczona. - Czy przyjdzie później?

- Nie. O ile wiem, wyjechał z miasta na dzień czy dwa.

Była zdziwiona.

Wyjechał z miasta?

Dokładnie tymi słowami Edward powiadomił ją wczoraj o swoich planach. Nagle poczuła ucisk w żołądku.

- Nie mówił dokąd?

- W każdym razie nie mnie. Byłem u lekarza i kiedy wróciłem, zastałem tylko kartkę od niego. Myślę, że wyjechał w jakichś wojskowych sprawach. Czy coś się stało, panno Balfour?

- Nie, ja...

Słowa zamarły jej na ustach, kiedy znów spojrzała na Gabriela; niepokój nagle przeszedł w strach. Oczywiście to mógł być zbieg okoliczności. Ale jeżeli Edward dowiedział się o ich schadzce w saloniku...

O Boże! W głowie jej zawirowało na myśl o wszystkich niedobrych cechach, które postanowiła ignorować u Edwarda, a które nagle jej się przypomniały.

Bezwzględność. Brutalność.

- Moja droga, jest pani blada jak płótno! - Gabriel podtrzymał ją za ramię. - Czy pani jest słabo?

Lilly nerwowo przełknęła ślinę. Odciągnęła go na bok, podczas gdy pani Clearwell, nieświadoma jej zdenerwowania, witała się ze znajomymi.

- O co chodzi? - zapytał cicho Gabriel, patrząc na nią badawczo.

- Panie majorze... boję się, że pański brat jest w poważnym niebezpieczeństwie.

- Co takiego?

Skuliła się, przez chwilę nie mogła wydobyć głosu. W końcu zmusiła się do wyznania.

- Byliśmy... ze sobą... chociaż nie powinniśmy... Jeżeli Edward od krył...

Ciemnoszafirowe oczy Gabriela się zwęziły.

Lilly przełknęła ślinę.

- Edward wczoraj przyszedł do mnie i też powiedział, że „wyjeżdża z miasta” na parę dni. Jeżeli odkrył, że Derek i ja... To mogła być zasadzka.

Gabriel spokojnie kiwnął głową. Jego surowa twarz wyrażała śmiertelną powagę.

- Proszę się nie denerwować. Mój brat potrafi zadbać o swoje bezpieczeństwo.

- Nic pan nie rozumie. Edward nie zawsze... walczy uczciwie - rzucała ze łzami w głosie.

Gabriel uśmiechnął się pocieszająco.

- To samo robią Marathowie. Proszę tu zaczekać. Najpierw sprawdzę, co się da, porozmawiam z jego pokojowym. Derek chyba powiadomił Aadięgo o swoich planach. Aadi powinien nam powiedzieć, dokąd pojechał.

- Panie majorze, musimy być pewni, że jest bezpieczny!

- Postaramy się. To znaczy... ja się postaram. Pani zostanie tu...

- Nie! Idę z panem!

Zmarszczył brwi.

- Nie wiem...

- Ja wiem, jak postępować z Edwardem.

Przyglądał się jej uważnie.

- Jedno pytanie: czy mój brat wie, że pani jest w nim zakochana?

Zaparło jej dech.

- Więc nic panu nie powiedział? - spytała ostrożnie, na co Gabriel rzucił jej karcący uśmiech.

- Domyśliłem się. Nie będę się do tego mieszać. Chodźmy.

Lilly chwyciła panią Clearwell za rękaw i odciągnęła od grupki rozgadanych pań. Ciągnąc opiekunkę za rękę, pobięła za Gabrielem.

- Co się stało, kochanie? - wołała pani Clearwell.
- Powiem pani wszystko po drodze! - obiecała Lilly.

In vino veritas.

W winie prawda.

Właśnie dlatego Derek postanowił za pomocą produktów szacownych winnic oraz szlachetnego chmielu i jęczmienia spróbować wycisnąć z Eda Lundy'ego prawdę o funduszu dla wojska.

Tłumacząc się „przyjacielowi” Lundy'emu, że chciałby przez dzień czy dwa odpocząć od śledztwa i przy okazji zobaczyć kawałek Anglii poza miastem, Derek zaproponował tę awanturniczą wyprawę. Lundy się zgodził.

Biorąc jednak pod uwagę jego podstępne intencje, przedsięwzięcie okazało się bardziej skomplikowane, niż Derek przewidywał, wcale nie dlatego, że po drugiej nocy ich kawalerskiej popijawy, po Bóg wie ilu gospodach, butelkach i godzinach dogadzania sobie, czuł się niestety zmęczony tymi niekończącymi się strugami alkoholu.

Krótko mówiąc, major Derek Knight miał mocno w czubie.

Lundy był w zdecydowanie gorszym stanie; z ostatniej ironicznej uwagi Dereka śmiał się tak, że rzeził i walił w stół. Derek opowiadał mu akurat przesadzoną wersję swojego przerażenia, kiedy kilka tygodni temu słudzy Lundy'ego zatrzymali go na ulicy.

Lundy był zachwycony tą historią; spadał z krzesła pod stół, mimo że karczmarki próbowały go podtrzymać; przy tym beztrąsko szastał pięknymi słowami.

Dorodne dziewczuchy w zadymionej karczmie Pod Głową Byka wyczuły pieniądze, kiedy tylko Derek i Lundy weszli do środka; robiły wszystko, żeby ich skusić swoimi wulgarnymi wdziękami.

- Na Boga, myślałem, że mnie czeka lanie! - mówił Derek. - Piękne powitanie w Londynie. A, między nami, gdzie u diabła znalazłeś takich dobranych bandziorów?

- Ach, większość z nich jest u mnie od dawna. - Lundy otarł łzy śmiechu z oczu i pociągnął potężny łyk piwa. - Jones, Maguire...

- Czy tylko mnie tak nie lubią, czy w ogóle nikogo?

- Och, pewnie lubiliby te śliczne dziewczątka. - Ed z pożądliwym błyskiem w oku patrzył na piersiastą rudą dziewczynę, która siadła na sto-

le i starała się go skusić, podnosząc coraz wyżej spódnicę tak, żeby było widać haftowane pończochy.

- A Bates? - spytał Derek, nie zdradzając, czemu o to naprawdę pyta. - Jak do ciebie trafił?

Lundy machnął ręką.

- O, Bates i ja wychowaliśmy się na tej samej ulicy, od dzieciaka.

- Więc jest ci oddany?

- No! Jak brat.

Derek skinął głową, robiąc wszystko, by ukryć zadowolenie z tej informacji.

To właśnie chciał wiedzieć.

Dzięki Bogu...

Mimo że pijany w sztok, Lundy nadal kontrolował się na tyle, by unikać podstępnych pytań dotyczących komisji. Ale, jak zresztą Derek się spodziewał, nie przewidział jego linii ataku ani nie zdał sobie sprawy, co to znaczy, kiedy Derek zaczął go beztrząsco wypytywać o ludzi, jakich Lundy miał wokół siebie. O jego służących.

Ponieważ Bates podpisał się, zastawiając obrzydliwą broszkę „koguta”, Derek wywnioskował, że zupełnie możliwe, iż Bates ukradł tę błyskotkę swojemu chlebodawcy i zastawił, a pieniądze schował do kieszeni.

Jednak potwierdzając tak zdecydowanie lojalność Batesa, Lundy dał Derekowi powód do podejrzeń, że to on sam mógł nakazać Batesowi kradzież biżuterii matki. To z kolei sugerowało, że ciągłe głośne popisywanie się bogactwem Lundy'ego mogło być tylko maskowaniem zupełnie innej rzeczywistości.

A jeżeli Lundy ma problemy finansowe, może być zamieszany w zniknięcie funduszy dla wojska!

- Chłopaki, jeszcze jeden dzbanek? - spytała ponętna anielica za kontuarem. Podziwiali jej ciasno ściągnięty gorset, kiedy czekała na odpowiedź; huśtała się w rytm piszczałek i bębenków siedzących w rogu kar czmy wiejskich muzykantów i kokieteryjnie unosiła spódnicę.

Patrzyła na Dereka, który obserwował ją rozbawiony, ale Lundy pomachał ręką, żądając kolejnego dzbana.

- Przyniesz nam też coś do zjedzenia! - polecił. - Na Boga, miałbym ochotę na taki wielki, okrągły tyłek jak u tej dziewczyny - dodał, kiedy się

odwróciła. Barmanka pisnęła, kiedy Lundy klepnął ją ze śmiechem, dając wyraz swoim zachciankom. Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

Czarujące...

- Mnie bardziej interesują nogi - powiedział Derek sucho, cały czas myśląc, czy to możliwe, żeby Lundy miał coś wspólnego z kradzieżą funduszy.

Może skradł te pieniądze i stracił? Albo może zainwestował je tak, że ma kłopoty z likwidacją inwestycji? W każdym razie z pewnością musiał rozpaczliwie walczyć o odzyskanie pożyczonych pieniędzy ze względu na żądanie lorda Sinclaira i obietnicę anonimowości, żeby uratować głowę. Jeżeli te podejrzenia były słuszne, Lundy z pewnością marnował czas Dereka i robił z niego głupca, każąc mu szukać złodzieja, którym sam był.

Oczywiście i Derek robił z Edwarda głupca, jeśli chodzi o Lilly.

Myśli majora pobiegły ku niej - nie dlatego, że był zamroczony.

Dlaczego Lundy nie oświadczył się dotąd uroczej pannie Balfour?

Derek przypominał sobie sytuacje, w których wstrętna Bess Kingsley przeszkadzała Lundy'emu w przebywaniu sam na sam z Lilly. Najbardziej jaskrawym przykładem było spotkanie na przyjęciu w ogrodzie, gdy panna Kingsley odciągnęła Lundy'ego właśnie wtedy, gdy ten cholerny ptaszek rzucił „szczęście” do szklanki Lilly. Bardzo mu się nie podobało, że Lundy brał stronę Bess. Co wtedy rozkoszny Edward powiedział? Aha!

„Muszę iść. Pracujemy z panem Kingsleyem nad wspólnym interesem”.

Nagle podejrzenia w głowie Dereka zaczęły nabierać realnych kształtów. Interes?

Gdyby Lundy rzeczywiście miał jakieś poważne problemy finansowe, może powodem, dla którego nie oświadczał się Lilly, było to, że chciał sobie zostawić wolną rękę? Ewentualnie zrezygnować z Lilly i ożenić się z Bess Kingsley dla jej posagu?

Dobry Boże!

Czyżby Bess Kingsley trzymał w rezerwie?

Był tylko jeden sposób, żeby to ustalić.

- Wiesz, myślę o pozostaniu w Anglii na stałe - oznajmił nagle obojętnym tonem.

- Naprawdę?

Przytaknął.

- Uważam, że oddałem armii już dosyć własnej krwi i potu. Czas się ustatkować i bogato ożenić. Co ty na to?

- Aha! Na przykład z tą zachwycającą Fanny Coates?

Derek parsknął.

- Jest dla mnie za sprytna. Nie, myślałem o łatwiejszej zdobyczy. Myślałem o złożeniu propozycji... pannie Kingsley.

- Bess? - Lundy zerwał się z miejsca.

Derek pokiwał głową.

- Żartujesz!

- Broń Boże! Może nie jest w moim guście, ale wiesz przecież, Lundy. .. jestem tylko młodszym synem. Daleko mi do takiego bogacza jak ty. Po co przelewać krew dla majątku, skoro o tyle łatwiej i przyjemniej uwieść bogatą dziewczynę i w ten sposób zrobić majątek? - Przerwał, żeby się na pić. - Muszę być praktyczny, a jej posag to ho, ho! Można przyjemnie ująć: żonę trzymać na uboczu, najlepiej w domu na wsi, a zabawiać się w Londynie. Na przykład z Fanny Coates - dodał, mrugnąwszy.

Lundy gapił się na niego.

- Nie zechciałbyś Bess...

- Dlaczego? Nie masz chyba planów względem niej? Przecież - ciągnął gładko Derek - chyba się już dogadałeś z Lilly Balfour. Czy nie tak?

- No tak, ale...

- Ale co?

- Nic.

- Wiesz co, ty rzeczywiście robisz piękną i szlachetną rzecz, Lundy. Przychodzisz z pomocą rodzinie, która tonie w długach... No i ten wałęsający się ogromny dom... Większość mężczyzn wzdrygnęłaby się, mając w perspektywie wzięcie na barki takiego ciężaru finansowego, tylko po to, żeby zrobić przyjemność panience... Ale nie ty! Wiem, mówiłeś, że się z nią żenisz, żeby podnieść własny prestiż, ale mimo wszystko uważam, że ta dziewczyna ma szczęście.

- Tak... no, to niejedyny powód.

- Nie? Chyba się nie zakochałeś, staruszkule, co?

- Bynajmniej. Chcę ją tylko mieć u siebie w łóżku. - Lundy się roześmiał.

- Rozumiem...

- Rozumiesz, no nie? Mówiąc między nami mężczyznami... zawsze miałem cholerną ochotę posuwać prawdziwą damę, wiesz? Tak twardo i szybko, aż zaczniesz wrzeszczeć jak portowa dziwka. Można powiedzieć, że to taka moja mała fantazja. Niewiele jest tak dumnych bab jak moja lady Lilly... No, spójrzmy prawdzie w oczy: w jaki inny sposób mógłbym ściągnąć taką dziewczynę do łóżka? Tylko jej bieda daje mi taką możliwość.

Derek zmierzył go wzrokiem.

Mógłbym cię zabić za te słowa, pomyślał, wspominając jej niewinność, delikatność, wdzięk i ufność, wreszcie cześć, z którą on sam ją traktował. Był oburzony, ale zdawał sobie sprawę, że jeśli to okaże, odkryje swoje prawdziwe oblicze.

Obserwując groźny błysk w oku Lundy'ego, zdał sobie sprawę, że być może w ten sposób nabab chce mu odpłacić za rzekome plany co do Bess Kingsley.

Z drugiej strony, aby tego rodzaju taktyka zrobiła na Lundy'ym wrażenie, musiałaby zauważyć pociąg Dereka do Lilly...

Zachował spokój, pokrył wrzący gniew beznamiętnym uśmiechem.

- Naprawdę, starszku - odezwał się na pozór łagodnie, chociaż wszystko się w nim gotowało. - Tak się nie mówi o przyszłej żonie.

Lundy tylko się zaśmiał.

- Ja dla ciebie odstawię prawdziwą damę, Eddie - zaproponowała ruda.

- Wątpię, kluseczko. Masz za dużo diablika w oczach.

- Naprawdę?

- No, taaak. - Lundy zahaczył palcem o jej podwiązkę. Dziewczyna zachichotała; też była pijana. - Pocałuj nas, kochaneczko.

Kiedy Lundy przyciągnął rudą bliżej, żeby lepiej obejrzeć jej wdzięki, do stołu wróciła brunetka. Ni stąd, ni zowąd siadła Derekowi na kolanach.

- Witaj, mam na imię Polly.

- Wi... witaj. - Derek nie zwracał na nią uwagi, kiedy zaczęła go całować w policzek i przeczesać mu palcami rozpuszczone włosy, szepcząc coś do ucha.

- Jesteś taki kochany, majoruńciu; nie poszedłbyś ze mną na górkę, trochę się zabawić?

Nie był w stanie zrzucić jej z kolan, grzecznie wymówił się stanem niekwalifikującym go do takiej zabawy. Cały czas dręczyło go, jak grubiańsko Lundy wyraził się o tym, co chciałby robić z Lilly.

Czy mówił to tylko po to, żeby go doprowadzić do pasji, czy rzeczywiście ma ochotę wykorzystać ją w ten sposób?

Pewności nie miał, kiedy jednak sięgnął za plecami Polly po butelkę, zrozumiał, że to nie ma najmniejszego znaczenia.

Dlaczego?

Bo w tym momencie postanowił, że nigdy, pod żadnym pozorem nie pozwoli Lundy'emu zbliżyć się do Lilly na odległość mniejszą niż piętnaście mil. Nie pozwoli temu prostakowi jej dotknąć.

Lilly nigdy nie wyjdzie za Lundy'ego. Koniec, kropka!

Nagle tuż obok rozległ się krzyk; rudowłosa wlaźła na kolana Lundy'emu. Oboje z hukiem spadli na podłogę, zarykując się pijackim śmiechem, i tak leżeli.

- Do stu diabłów! - wrzasnęła po chwili ruda. - Ten niedołęga tak się zalał, że padł! Eddie! Obudź no się!

Odpowiedzią było głośne chrapanie.

Dziewuchy wybuchnęły hałaśliwym śmiechem, a razem z nimi karczmarz i wszyscy inni, którzy pili w gospodzie; Edward Lundy leżał pod stołem nieprzytomny, nieprzyzwoicie rozwalony, a jego ogłuszające chrapanie wypełniało całe pomieszczenie.

Co by na to powiedzieli szacowni dżentelmeni z komisji? - pomyślał Derek.

Polly wzmogła aktywność, wieszając mu się na szyi. Jej druga ręka błędziła po jego ciele.

- Majorciu, kochanie, pozwól, że ci dam... jeden raz... za darmo. Potrzebujesz tego. Zresztą... chyba mu się podobam.

Derek odsunął jej rękę ze swoich spodni.

- On... hm... sam ma swój rozum. Droga panno Polly... - Wiedział, że będzie go namawiać. Derek jednak stale myślał tylko o Lilly Balfour, a skoro Lundy zasnął jak kamień, już nie było potrzeby ciągnąć tej farsy. - Może pani sprowadzi tu gospodarza, żeby znalazł jakiś pokój dla mojego przyjaciela.

- A co z pokojem dla ciebie i dla mnie? - zaszczebotała.

- Raczej nie.

- Czemu nie?
- Bo jestem żonaty.
- Uch, majorze - mruknęła Polly, patrząc w stronę drzwi - Chyba pańska żona właśnie tu wchodzi...
- Co!?! - Derek obejrzał się i zamarł.

W drzwiach zajazdu stała Lilly i patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Dobry Boże! - zawołał Gabriel, stojący za nią w sieni; Lilly nie po wiedziała słowa. Krew odpłynęła jej z twarzy.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Edward leżał bez ruchu na podłodze i chrapał, u Dereka siedziała na kolanach wymalowana ładacznicą. Kiedy dojrzał Lilly i Gabriela, onie- miał; z pewnością jednak nie zdziwił się bardziej niż ona.

Jej bohaterski wojownik był w tej chwili uosobieniem hulaszczego wyuzdania: ubranie miał w nieładzie, koszulę rozpiętą, rozczochrane włosy spadały mu na ramiona, szczękę pokrywał dwudniowy zarost.

Wytrzeszczył oczy, zaczerwienione i zamglone od picia.

- Lilly! - Natychmiast zdjął z kolan dziewczkę i postawił na podło- dze. - Co ty tu robisz?

Pokręciła głową; ulga, że jest bezpieczny, zmieszała się w niej z furją.

- Widzę, że tracę tu tylko czas.

Odwróciła się na pięcie i zatrzasnęła za sobą drzwi gospody. Kiedy szła przez otaczające karczmę podwórko, gdzie przed chwilą, jadąc, dostrzegli wielką czarną karetę Edwarda, kręciło jej się w głowie. Serce miała złamane. Pani Clearwell wystawiła głowę z okienka swojego powozu.

- Lilly! Jest tu? Nic mu się nie stało?

- Tak. Jest tu. Nic mu się nie stało. Obaj są tu. Pijani.

- Och! Och, kochanie...

- Lilly! - usłyszała za sobą jego głęboki, nieco zachrypnięty od picia baryton, nie odwróciła się jednak, idąc prosto do powozu. - Lilly, zaczekaj! Możesz mnie wysłuchać?

Słyszała jego szybkie, ciężkie kroki, ale kiedy delikatnie ujął ją za ra- mię, wyrwała się.

- Nie dotykaj mnie!

- Muszę ci wytłumaczyć...

- Och, naprawdę nie ma potrzeby! - zawołała, starając się, by to zabrzmiało obojętnie, jednak wściekłość przebijała z tonu głosu. - Proszę, majorze, nie chciałabym pana odrywać od miłej zabawy!

- To nie jest tak, jak ci się wydaje.

- Zatrzymaj swoje niedowarzone kłamstwa dla siebie. - Spiorunowała go wzrokiem. - Wracam do Londynu.

- Lilly, zaczekaj, musimy porozmawiać!

- O czym, ty łajdaku bez serca?! W jakim celu? - Z jej oczu popłynęły łzy i nagle poczuła taką wściekłość, że ledwie mogła mówić. - Mam chyba oczy! Wszystko, co mi powiedziałeś dwa dni temu, to tylko gra. Czy jej też się oświadczyłeś? Czy co drugi dzień oświadczasz się rozmaitym kobietom?

Westchnął ciężko i przejechał palcami po włosach.

- Rzeczywiście, nie jestem w najlepszej formie - powiedział przez zaciśnięte zęby - ale przysięgam, na Boga, że nie było nawet w połowie tak źle, jak to wyglądało.

- Och, nie trudź się wyjaśnieniami. - Pokręciła głową. - Nie mogę uwierzyć, że ci kiedykolwiek zaufałam. Zegnaj, Derek. Dostatecznie długo ci pozwalałam psuć moje plany i, mówiąc otwarcie, narobiłeś więcej kłopotów, niż było warto.

Odwrócił się z gniewnym błyskiem w oku i chwycił Lilly za ramię.

- Posłuchaj mnie. Z twoich planów nic nie wyjdzie.

- Nie masz nade mną żadnej władzy!

- Lundy jest bankrutem.

- Co takiego?

- Nie ma grosza. Jestem tego zupełnie pewien; chce cię rzucić i ożenić się z Bess Kingsley dla jej posagu.

- To niemożliwe! Jak Edward może być bankrutem?

- Nie wiem, jak! Prawdopodobnie wydawał za dużo, starał się zrobić wrażenie w towarzystwie. Ten dom, stajnie, konie, klejnoty... - Zmarszczył brwi, patrzył na nią. - Chciałaś wiedzieć, czego szukałem w jego domu. - Pokiwał głową. - Nie miałem innego wyjścia. Próbowałem dostać się do jego biura i sprawdzić w dokumentach, czy moje podejrzenia są słuszne.

- Dlaczego miałabym ci wierzyć?

- Bo tak! Lilly, przecież ja to wszystko robię dla ciebie - wykrzyknął, wskazując karczmę. - Próbowałem dowiedzieć się prawdy, żeby cię chronić! Zaciągnąłem tu Lundy'ego, chciałem go upić, miałem nadzieję, że w jakimś momencie straci kontrolę nad sobą i dowiem się wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi.

- I co, udało ci się?

Westchnął rozpaczliwie i wrzucił ramionami. Oparł ręce na biodrach.

- W pewnym sensie. Nie możesz za niego wyjść, Lilly. Po prostu nie możesz.

- Nie potrzebuję twojego pozwolenia.

- Na miłość Boską, kobieto, wysłuchaj mnie! A dlaczego do tej pory zwleka z oświadczeniami? Po prostu wie, że może będzie musiał zmienić kurs i ożenić się nie z tobą, ale z Bess Kingsley, dla jej posagu. - Przerwał. Lilly stała, nie wiedząc, co zrobić. - Biorąc pod uwagę, jak bardzo ci zależy na reputacji - dodał Derek - proszę cię, żebyś w towarzystwie trzymała się od Lundy'ego jak najdalej. Jego kłopoty jeszcze się nie skończyły. Prawdę mówiąc, chyba się dopiero zaczynają.

- Co to by miało znaczyć?

- Nie mogę ci powiedzieć. - Kiedy przewróciła oczami, trochę zła godniał. - Lilly, to ma związek z komisją, w której działa. Tą samą, przed którą świadczyłem w sprawie pieniędzy dla wojska. Musisz mi uwierzyć. To coś bardzo złego. - Zawahał się. - No, dobrze, powiem ci. Myślę, że to właśnie on ukradł część pieniędzy z tego funduszu.

Lilly zrobiło się słabo, objęła się ramionami i odwróciła. Pokręciła głową.

- Cóż... Stara klątwa Balfourów.

- Kochanie moje... - Derek chciał ją przytulić, ale się cofnęła.

- Zostaw mnie!

- Odchodziłem od zmysłów, szukając sposobu, jak ci wszystko powiedzieć, żebyś to spokojnie przyjęła.

- Jak mogę mieć pewność, czy mówisz prawdę, czy to po prostu rodzaj jakiejś gry? - rzuciła. Bóg wie, że już kiedyś przeżyła coś podobnego.

Istotnie, ten incydent aż nadto wyraźnie przypominał jej całą mękę zdradzonej dziewczyny, kiedy dowiedziała się, że jej „ukochany” lord Owen Masters jest po prostu oszustem.

- Gry? - Policzki Dereka zapłonęły z gniewu. -Jeżeli nie znajdę tych pieniędzy, nigdy mi nie przywrócą stanowiska dowódcy! Czyżbyś na prawdę myślała, że mógłbym bawić się w jakieś gry, kiedy ryzykuję swoją karierę?

Jego słowa przypomniały Lilly, że twardo postanowił wracać do Indii, a także o jej nadziejach wyrwania go stamtąd.

- Nie, Derek. Nie myślę tak - odparła zdecydowanie. - Nie mogę sobie wyobrazić niczego, co by było ryzykiem dla twojej kariery. - Pokręciła głową i skierowała się w stronę powozu. - Muszę już jechać.

- Lilly, poczekaj!

Jakby go nie słyszała.

- Proszę, nie mów Edwardowi, że tu byliśmy. Wątpię, żeby cokolwiek zapamiętał, ale zgodzisz się na pewno, że to wszystko jest bardzo upokarzające. Majorze, jedzie pan z nami? - zwróciła się do starszego Knighta.

- Nie, zostanę tu z bratem - odparł Gabriel, stojący o kilka jardów od nich.

- Przepraszam, że sprawiliśmy tyle kłopotu, majorze - dodała. - Okazuje się, że moje lęki były bezpodstawne.

- Będę mógł wpaść do ciebie jutro? - Derek ujął pod ramię, jakby chciał zatrzymać. - Może pojutrze? - podsunął, widząc jej niechęć.

- Nie wiem.

Patrzył na nią długą chwilę.

- Trzymaj - mruknął. - Miałem nadzieję zrobić to w miłszych okolicznościach, ale, proszę, weź. - Sięgnął do kieszeni. - Daj rękę.

- Co to jest? - spytała nieufnie, wyciągając rękę.

- Miałem je przy sobie na szczęście, ale skoro tu jesteś...

Otworzył pięść i położył na dłoni Lilly brylantowe kolczyki.

Zdumiona patrzyła to na klejnoty, to na niego. Przyjrzała się im dokładnie i przekonała się, że to są jej kolczyki, te, które przehandlowała woźnicy Jonesowi.

- Jak...

Spojrzał jej w oczy.

- Nadal uważasz, że gram?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Muszę to przemyśleć - wykrztusiła w końcu, unikając jego wzroku. - Kiedy będę gotowa, dam ci znać. Wtedy się zobaczymy.

Sięgnęła do drzwi powozu. Derek otworzył je i stanął obok, kiedy wchodziła do środka. Pani Clearwell przesunęła się, żeby zrobić Lilly miejsce, przedtem jednak spojrzała przez okienko na Dereka i pokręciła z dezaprobatą głową.

Spuścił wzrok i zamknął drzwi.

Lilly zastukała w ramę powozu, dając znak Geraldowi, żeby jechał.

Po chwili powozik toczył się już drogą, pozostawiając Dereka na kamienistym podwórku.

- Niech to licha... - szepnął, po czym zwrócił się do brata. - Co o tym myślisz?

- Nie mów do mnie takim tonem. Skąd mogłem wiedzieć, co tu robicie?

- Dlaczego, do diabła, przywiozłeś ją tutaj?

- Bała się o ciebie! Myślała, że ci grozi niebezpieczeństwo; a kiedy mi to wyjaśniła, ja też tak myślałem!

- Cholera, Gabriel...

Podrapał się po karku i skierował z powrotem do gospody, kręcąc głową.

- Wiesz co? Byłbyś idiotą, gdybyś pojechał z powrotem do Indii, mając tu kobietę, która... - Gabriel przerwał nagle. Opuścił głowę doprowadzony do rozpacz. - Zresztą nieważne. Nie mam zamiaru mieszać się do tego. Masz. - Sięgnął do kamizelki i wydobył list. - Aadi błagał mnie, żebym ci to wręczył, kiedy mu powiedziałem, że muszę ciebie odnaleźć. Przyszedł dziś. To nie od pułkownika Montrose'a, ale Aadi powiedział, że na pewno chciałbyś go jak najprędzej przeczytać.

Derek wziął list, kiwnął głową i przysunął się do słabo świecącej latarni nad frontowymi drzwiami gospody.

Na kopercie nie było nazwiska nadawcy, ale kiedy Derek otworzył, zobaczył, że to krótka wiadomość od księgowego Charlesa.

*Panie majorze,
Coś znalazłem. Moje śledztwo prowadzi do miejscowego obiboka, nazwiskiem
Phillip Kane. Kiedy pan wróci, proszę przyjść do mnie, a ja wszystko objaśnię.
Pański sługa itd.*

Ch. Beecham

- Porządny człowiek - mruknął. Ta wiadomość to niewątpliwie kolejny gwóźdź do trumny biednego Edwarda.

Gabriel patrzył na niego pytająco, kiedy Derek składał list i chował do kieszeni.

- Chodź - powiedział swobodniejszym tonem, klepiąc starszego brata po ramieniu, i wskazał gospodę.

- Masz mi zamiar postawić kufel piwa?

Derek spojrzał na niego kątem oka.

- Dopiero kiedy mi pomożesz podnieść Lundy'ego z podłogi.

15

Przyszłam po kasztanową klaczkę - powiedziała Lilly chłopcom stajennym następnego dnia w stajni przy Althorpe. Miała na sobie elegancką amazonkę. Podniosła głowę. - Major Knight pozwolił mi wyprowadzić klacz na przejażdżkę, kiedy tylko będę chciała.

Dwaj młodzi stajenni, słysząc, z jakim przekonaniem mówiła, pośpieszyli wykonać, co należy.

- Ja osiodłam panience tego konika.

- Dziękuję. Czy major Knight jest w domu?

Podczas gdy jeden chłopak czym prędzej siodłał klacz, drugi zajrzał do pustego boksu, który zwykle zajmował wielki kary ogier Dereka.

- Chyba nie, panienko.

Bardzo dobrze.

Jeśli Derek dotychczas się nie pokazał, najprawdopodobniej Edward także jeszcze nie wrócił.

Po wszystkich szokujących rewelacjach usłyszanych zeszłego wieczoru od Dereka Lilly miała zamiar wykorzystać tę niewielką, ale niepowtarzalną okazję, by samej się dokładnie zorientować, o co chodzi. Martwiła się i denerwowała przez całą noc.

Nie da się wystrychnąć na dudka. Nad ranem już wiedziała, co musi zrobić. Same słowa czy zaklęcia mężczyzny, żadnego mężczyzny, już jej nie przekonają. Potrzebowała dowodów.

Skoro Edwarda dotąd nie było, postanowiła wśliznąć się do jego domu, dostać do biura - tak samo jak planował Derek podczas przyjęcia w ogrodzie - i potwierdzić lub obalić teorię majora o bankructwie jej bogatego konkurenta. Jeżeli Edward rzeczywiście planował porzucić ją dla Bess Kingsley, to mogła być jedyna szansa Lilly, by dowiedzieć się prawdy.

Kiedy niecierpliwie spacerowała między boksami, czekając, aż stajenny wyprowadzi konia, wiedziała, że jest jedyną osobą, która może się podjąć takiego zadania. Ponieważ od dawna znano ją jako przyszłą żonę Edwarda, a więc panią domu, armia jego służących, a także grupa fagasów o bandyckich gębach nie będzie zdziwiona, widząc ją tam.

Wiedziała, jak dostać się niepostrzeżenie do tego koszmarnego domu zamku, orientowała się też, gdzie Ed trzyma prywatne dokumenty. Łączyło się to z ryzykiem, ale była tak rozżłoszczona, że postanowiła spróbować szczęścia. Musiała dostać odpowiedź na swoje pytania. O wiele za długo grała rolę posłusznej młodej panny; miała tego dość.

Mając już przed śniadaniem ułożony plan, zaczekała, aż pani Clearwell wyjedzie z domu na poranne wizyty. Zmyliła służbę, udając, że nadal odpoczywa u siebie w pokoju. Tymczasem wymknęła się tylnymi drzwiami ubrana w amazonkę.

- Proszę, klacz gotowa, panienko. Czyściutka, wyszczotkowana, na jedzona i napojona, oporzędzona, podkuta. Gotowa do jazdy.

Lilly odwróciła się, słysząc za sobą rytmiczny stukot kopyt. Kiedy zobaczyła konia, którego Derek obiecał dać jej w prezencie, zdumiała się. Niemal nie wierzyła własnym oczom. To był prawdziwy cud!

Po niecałym tygodniu i troskliwej opiece Dereka sponiewierany i wyczerpany koń jaśniał teraz młodością i zdrowiem. Kasztanowa sierść była gładka i świecąca jak nowy miedziany pieniążek; jasna grzywa przepleciona kawałkiem czerwonej wstążki, pasującej barwą do grubego czerwonego czapraka pod siodło, mięciutkiego jak puch i ozdobionego monogramem „MN”.

Mary Niezrównana... Jej pseudonim.

Lilly uśmiechała się, gładząc dłonią w rękawiczce silną, gładką szyję klaczki.

- Kochana dziewczynka. Pamiętasz mnie? Na pewno pamiętasz! Dałam ci tyle pysznych marchewek i jabłek - szeptała. - Wspaniale się tobą opiekowałam, nieprawdaż? Teraz wyglądasz jak królowa balu.

Derek kupił klaczy nową miękką uprząż, a także wysokiej jakości damskie siodło. Uzdę ozdabiał czerwony haft. Lilly chwilę jeszcze przyzwyczajała klacz do swojej obecności, pieściła jej pysk i drapała po białej gwiazdce na czole.

Wielkie, wilgotne brązowe oczy klaczy były pełne słodyczy, spokoju i zaufania, zadawała kłam cierpieniu, które tak niedawno przeżyła.

Z bijącym sercem Lilly dała znak stajennemu, że jest gotowa jechać.

Pomógł jej usiąść w siodle. Wygładziła spódnicę i ujęła wodze. Poczowała niezwykłą wiarę we własne siły, siedząc na takim koniu.

Jako mała dziewczynka miała jabłkowitego kucyka, na którym jeździła po całym majątku dziadka, ale od dawna nie mogła się wybrać tam, dokąd chciała. Poczowała w sobie nowe siły i wiarę. Gdzie się podziały te wszystkie lata?

- Ale piękna para! - powiedział z podziwem jeden ze stajennych; zdjął czapkę i przeczesał ręką zwichrzone jasne włosy.

Drugi chłopak wręczył jej szpicrutę, ale na wspomnienie okrutnych ciosów woźnicy Lilly odmówiła.

- Myślę, że dam sobie radę bez tego.

- Nie będzie panienska jeździć zbyt długo, panno...?

- Balfour.

Stajenny skinął głową.

- Panno Balfour. Major powiedział, że na razie, zanim klacz się nie wzmocni, lepiej nie jeździć szybko.

- Nie jestem pewna, ile to zajmie czasu, ale będę się starać, żeby w drodze odpoczywała od czasu do czasu.

Lekkim uderzeniem stopą dała klaczy znak, żeby ruszyła. Kiedy Mary szła przez stajnię, Lilly odwróciła się jeszcze.

- Gdybyście zobaczyli majora, powiedzcie mu ode mnie „dziękuję”.

- Tak jest, panienko.

Wyjechała ze stajni na oblane słońcem podwórze, po czym Lilly ruszyła naprzód ulicami Londynu.

Wolność!

Serce jej rosnęło. Wyglądała - jeśli nie liczyć braku stajennego i przyzwoitki - jak rasowa, modna młoda dama, podążająca do Hyde Parku na miłą przejażdżkę. Ale miała inny cel, opuściła więc na twarz woalkę, na wypadek gdyby spotkała kogoś znajomego.

Wkrótce była już poza hałaśliwym, tłocznym centrum i jechała w stronę pokrytych lasem i ogrodami peryferii Londynu, gdzie nad Tamizą królowały pałace, takie jak dom Edwarda.

Po drodze rozmyślała, co powinna zrobić, gdyby w trakcie jej wizyty Edward wrócił do domu. Musi coś wymyślić, ale biorąc pod uwagę stan, w jakim go znalazła wczoraj w gospodzie, prawdopodobnie dziś odpoczywa w pokoju gościnnym, dochodząc do siebie po kilku dniach pijaństwa.

Miała nadzieję, że teraz cierpi. Ten gbur zasłużył na to.

Niebawem Lilly dotarła do wysokiego płotu z metalowych prętów otaczającego posiadłość Edwarda. Znalazłszy odcinek dobrze osłonięty drzewami, żeby tam ukryć konia, przywiązała klacz do słupka. Znów wskoczyła na konia i stanęła w siodle, a następnie ostrożnie przedostała się przez płot.

Na terenie posiadłości Edwarda poprawiła suknię i z bijącym sercem poszła w stronę domu.

Ponieważ ani pana, ani jego matki nie było w domu, służba robiła chyba wszystko wolniej lub nawet wcale, bo zamiast zwykłego gwaru panowała cisza.

Kiedy podeszła bliżej, ujrzała kilku drabów z otoczenia Edwarda, opartych leniwie o ścianę stajni. Palili cygara i gadali zajęci grą w karty; nie zauważyli jej.

Pobiegła naokoło wielkiego kwitnącego krzewu przez ogród w stronę drzwi, które, jak wiedziała, mogły być otwarte. Drzwi cieplarni, prowadzące na wyłożony kamieniami taras, zawsze były otwarte, bo latem w szklarni robiło się potwornie gorąco. Pani Lundy często się skarżyła, że żar, który stamtąd bije, rozchodzi się po całym domu.

Kiedy Lilly już była na tarasie, udało jej się wśliznąć do środka. Obok niej przebiegła pokojówka, ale Lilly zdążyła się schować za wielką donicę. Służąca szła do kuchni. Lilly odczekała chwilę, nasłuchując, aż się upewniła, że dziewczyna poszła.

Szła dalej przez ogromny hol. Dwie inne pokojówki ścierały kurze, gawędziły i chichotały, zwierając się sobie, który z lokajów jest najprzystojniejszy. Lilly cicho przeszła przez pustą jadalnię, całą wyłożoną, z której drzwi prowadziły na ten sam korytarz, którym szła za Derekiem w czasie przyjęcia w ogrodzie.

Teraz, kiedy знаła prawdziwy cel majora, podziwiała, jak daleko doszedł, zanim mu przeszkodziła. Prywatny gabinet Edwarda mieścił się w samym końcu korytarza. Drzwi były zamknięte. W tym momencie powstrzymała okrzyk i schowała się w tej samej zasłoniętej alkwie, gdzie ukrył się Derek, gdyż właśnie przez krzyżujące się korytarze przechodził strażnik Edwarda.

To był chyba Bates.

Lilly przywarła z całej siły do ściany. Serce jej waliło. Może cała ta wyprawa to szaleństwo; teraz było już jednak za późno, żeby się wycofywać. Cel znajdował się kilka kroków od niej.

Ostrożnie zerknęła spoza alkwie i upewniła się, że Bates odszedł.

Wyszła z kryjówki i przebiegła salonik, w którym doznała tyle rozkoszy! Zadrżała na wspomnienie tych przyjemności, ale przestała o tym myśleć i skupiła uwagę na swoim zadaniu. Poruszała się jak najciszej, jej kroki były niemal niesłyszalne na wypolerowanej podłodze. W końcu dotarła do drzwi gabinetu Edwarda. Otworzyła je ostrożnie i zajrzała do pokoju.

Pusto.

Z rozwianą spódnicą wpadła do środka i szybko zamknęła drzwi za sobą. Przyciskając dłoń pierś, odetchnęła z ulgą. Serce jej waliło tak mocno, że pomyślała, iż ten dźwięk gotów ściągnąć jej na głowę całą służbę.

Jedyną istotą, która wyczuła, że coś jest nie w porządku, był pies Edwarda, Brutus. Kiedy tylko weszła na teren posiadłości, zaczął wściekle szczekać w swojej klatce przy stajni.

Na szczęście nikt nie zwrócił na niego uwagi. Tylko któryś ze służących wrzasnął głośno i niecierpliwie: „Zamknij się!”

Piekielny jazgot był tu czymś zwyczajnym. Lilly była zadowolona, że na szczęście Brutusa nigdy nie wypuszczano z klatki. Skoro potrafił w ciągu paru minut pozabijać wszystkie walczące z nim psy, co mógłby zrobić z człowiekiem?

Odgoniła makabryczne myśli.

Zasłony z grubego aksamitu sprawiały, że mimo słonecznego dnia w pokoju panował półmrok. Rzutem oka ogarnęła wyłożony dębową boazerią zakurzony gabinet.

W oszklonej szafie stały czerwone skórzane teczki, związane czarnymi wstążkami - osobiste dokumenty Edwarda: korespondencja, rozliczenia i tak dalej. Księgi rachunkowe były ustawione alfabetycznie, a każda miała na grzbiecie wypisany złotymi literami tytuł.

Jej wzrok spoczął na wielkim metalowym sejfie pod ścianą. To chyba właśnie tam mógłby przechowywać najbardziej tajne dokumenty... Podbiegła sprawdzić, ale sejf oczywiście był zamknięty. Potężne żelazne drzwi ani drgnęły.

Cichutko przejrzała pokój, a przede wszystkim wielkie, masywne biurko, szukając klucza. Mnóstwo różnych drobiazgów zagracało biurko Edwarda. Stała tam mała klepsydra, paczka niezatemperowanych gęsich piór, dzbanuszki z granatowym i brązowym atramentem, plastry wosku do pieczętowania listów, srebrna tacka z piaskiem do suszenia zapisanych kartek, nóż do otwierania listów, kilka arkuszy papieru, zapasowe świece i wielka mosiężna lampa oliwna.

Zegar nad pustym kominkiem powtarzał swoje bezlitosne „tyk, tyk, tyk...”, a ona szukała coraz bardziej niecierpliwie.

Aha!

Nagle zauważyła kluczyk pod tacką z piaskiem. Podeszła do sejfu, ale zanim zdążyła sobie pogratulować talentów szpiegowskich, zmarszczyła brwi.

Kluczyk nie pasował.

W takim razie do czego on jest? Musi przecież coś otwierać.

Rozejrzała się po pokoju. Nagle dostrzegła zwinięty kawałek papieru, który wystawał spod skórzanej podkładki na biurku.

Podczas poszukiwań musiała przesunąć podkładkę i dlatego dopiero teraz zobaczyła papier. Natychmiast go wyciągnęła. Rozwinęła kartkę.

Był to czuły list pożegnalny do „Eddiego” od kochającej mamy.

Pani Lundy dawała synowi mnóstwo rad, jak jej kochany chłopczyk powinien o sobie dbać, kiedy jej nie ma w domu. Ma odpoczywać. Jeść jarzynki. Lilly uniosła brwi. Edward Lundy mógł wyglądać jak bandzior, ale był również przerośniętym maminsynkiem. Obracała w palcach tajemniczy kluczyk, myśląc nad tym, co przeczytała; natrafiła na fragment, który ją zastanowił...

...Musisz mieć wiarę i siłę aż do mojego powrotu. Postaraj się nie martwić za bardzo, ale czerpać pociechę z tego, że na mnie na pewno się nie zawiedziesz. Kiedy ten krętacz adwokat usłyszy, że pojechałam osobiście dopilnować twoich interesów, nie odważy się igrać z nami ani o minutę dłużej. Tylko pamiętaj, trzymaj karty blisko przy piersiach, mój kochany, i pilnuj tych wszystkich londyńczyków. Nie

się nie bój. Będę z powrotem, kiedy tylko sprzedaż się zakończy, a wtedy Sinclair może sobie iść do diabła. Obiecuję ci: wszystko będzie dobrze...

Lilly nie mogła wyjść ze zdumienia.

Miała wyjechać na Jamajkę leczyć podagrę...

Tu jednak znalazła zupełnie inne wyjaśnienie.

Dalej były już tylko marudzenia mamy kwoki.

Wsunęła list z powrotem pod podkładkę. Sprawdziła, czy wszystko na biurku leży tak jak przedtem, po czym uznała, że teraz trzeba sprawdzić jego księgi rachunkowe.

Zadanie było raczej odstrasające. Powstrzymała westchnienie, położyła kluczyk na rogu biurka i zabrała się do przeglądania papierów z szafy. Sięgnęła do małej drewnianej gałki w oszklonych drzwiach, kiedy ją jednak przekreśliła, gałka została jej w ręku. Złamała się!

Lilly stłumiła przekleństwo, gdy metalowa śrubka, która przytrzymała gałkę w szybie, z brzękiem upadła na podłogę.

- Do licha! - Schyliła się po nią, ale gałka potoczyła się pod półkę z książkami. Lilly zerknęła w stronę drzwi do gabinetu. Miała nadzieję, że nikt nie usłyszał hałasu.

Kiedy się schylała, by podnieść śrubę, jej uwagę zwrócił rząd książek na najniższej półce, w tej chwili na wysokości oczu. Spojrzała na tytuły. No, nie! To już naprawdę szczyt pretensjonalności. Po łacinie!

Edward nie znał ani słowa w żadnym z klasycznych języków. Wątpiła, czy w całym swoim życiu przeczytał chociaż jedną porządną książkę.

Nagle zmarszczyła brwi. W tych książkach było coś dziwnego. Sprawiały wrażenie jakby... zbyt doskonałych. Spróbowała wyjąć jedną i ze zdumieniem odkryła, że to w ogóle nie są prawdziwe książki!

Dyskretny rząd łacińskich tomów był w rzeczywistości zręcznie wykonanym gipsowym schowkiem.

Trąciła sztuczne książki, a one wysunęły się do przodu, następnie przejechały w górę po metalowej szynie i odsłoniły metalowy sejf, długi i wąski, specjalnie tak wykonany, by pasował do schowka.

No, Edwardzie! Ależ z ciebie szatan!

Sprawdziła dziurkę od klucza w sejfie, podbiegła do biurka, złapała znaleziony przedtem kluczyk i wsunęła go do sejfu.

Pasował idealnie.

W tajnym schowku znalazła więcej dokumentów. Jak przypuszczała, to były właściwe księgi rachunkowe. Na pierwszy rzut oka wydawały się identyczne z wystawionymi w szklanej szafie, ale ich zawartość musiała być ważniejsza.

Wydobyła teczkę z literami A-B i położyła sobie na kolanach. Rozwiązała wstążkę, otworzyła i zaczęła przeglądać ułożone tam luźne dokumenty i stare listy. Zdenerwowana - prawdę mówiąc nie bardzo wiedziała, czego powinna szukać - doszła do końca litery „A” i zabrała się do „B”.

I tu się zatrzymała.

Balfour, Lilly.

Wyjęła spięty razem komplet dokumentów z teczki i wpatrywała się w niego, nie wierząc własnym oczom. Edward wynajął prywatnego detektywa, który sprawdził jej cały życiorys!

W ustach miała sucho. Ręce jej drżały, kiedy przeglądała kartki.

Dobry Boże! Szczegółowe informacje nie tylko na jej temat, ale jej dziadka, dane o posiadłościach, dacie śmierci, dacie ślubu rodziców, kościele, w którym była ochrzczona, a nawet nazwisko jej pierwszej guwernantki!

Lilly była przerażona.

Wiedziała, że wśród bogatych i potężnych rodzin zdarzał się zwyczaj badania życiorysu ewentualnej żony czy męża, ale być samej obiektem takiego śledztwa wprost okropne dla kobiety, która ma coś do ukrycia.

Powoli tętno uspokoiło się, a strach minął. Jakimś cudem w raportach detektywa nie znalazło się nic o lordzie Owenie Mastersie. Zmowa lodowatego milczenia w rodzinie musiała jednak uratować jej reputację nawet przed zawodowym szpiegiem.

Prywatny detektyw Edwarda zdołał się dowiedzieć o pijackim pojedyńku, w którym stracił życie jej w gorącej wodzie kąpany kuzyn, brat Pameli, David. Gdyby biedny Davy nie był taki zadziorny, odziedziczyłby tytuł po dziadku. Ale szukając własnej zguby (w stylu Balfourów), ten pechowy chłopak wyzwał kogoś za oszustwo w kartach i, raniąc równocześnie swojego przeciwnika, sam został śmiertelnie ranny.

Opis śmierci tego ostatniego kuzyna z męskiej linii sprawił, że Lilly poczuła smutek. Gdyby miała więcej czasu, przejrziałaby dokładniej papiery...

Nagle olśniła ją kolejna myśl.

Czym prędzej włożyła dokumenty na miejsce i sięgnęła po inny tom. Na litery K-L.

Może Edward w swoim szaleństwie opracował podobny raport na temat Dereka?

Derek nie był jego przyjacielem, chociaż takiego udawał, o czym Lilly dowiedziała się podczas rozmowy przed karczmą Pod Głową Byka. Ale czy Edward także to wiedział?

Jeśli Edward po prostu grał, wiedząc, że Derek jest w gruncie rzeczy jego nieprzyjacielem, mogło to zapowiadać kłopoty dla majora. Z drugiej strony Lilly chciała przeszukać akta Dereka nie tylko dlatego, żeby go chronić.

Kiedyś pewien przystojny kłamca wystrychnął ją na dudka, a po ostatnim wieczorze, kiedy znalazła Dereka w karczmie w takiej... no... sytuacji, otworzyły się zabliznione rany. Co prawda nie to było celem jej wizyty, ale jeśli Derek jest kłamcą, lepiej dowiedzieć się o tym teraz.

Obsesja Edwarda dała jej jedyną szansę odkrycia tajemnic Dereka, których z pewnością nie chciałby ujawnić...

Otworzyła teczkę K-L i zabrała się do sprawdzania jej zawartości.

Kane, Phillip. Ten plik był bardzo gruby, pełen dokumentów, wyglądających na finansowe...

Odłożyła go.

Kingsley, panna Elizabeth. Widać Edward rzeczywiście rozważał ślub z Bess, skoro zadał sobie trud sprawdzenia także i jej. Poczyszające, że też stała się obiektem upokorzenia. Lilly darowała sobie sprawdzanie szczegółów z prywatnego życia Bess Kingsley.

Odwróciła kolejną kartkę.

Knight, major D.

Przełknęła ślinę i otworzyła plik. Nie wiedziała, czego się spodziewać, kiedy jednak szybko przebiegła wzrokiem kilka spiętych kartek, z opisem jego imponującej kariery wojskowej i rozmaitych koneksji rodzinnych, oczy dziewczyny napełniły się łzami.

Wszystko było dokładnie tak opisane, jak jej opowiadał.

Znalazł się tam nawet opis walki jego i Gabriela ze strażą królewską w pałacu maharadży. Derek nie powiedział Lilly, z jak ogromną przewagą liczebną wroga walczył. To z kolei dało jej pojęcie, jakim musiał być żołnierzem na placu boju. Otarła łzy, uśmiechając się z całego serca. Nigdy nie posażdała Dereka Knighta o nadmiar skromności.

Zanim odłożyła teczkę K-L na miejsce, chciała wygładzić kartki pierwszego pliku, tak, by mieć pewność, że wyglądają na nietknięte; w tym momencie jej uwagę przyciągnęły wypisane na samym początku ogromne sumy pieniędzy, wypłacane - narastająco - miesiąc po miesiącu firmie o nazwie Warwickshire Canals & Co. Całość wpłat wyniosła ponad trzysta tysięcy funtów.

Kilka listów od pana Phillipa Kane, prezesa, opisywało bardzo nudno i szczegółowo rozwój tego obszernego i wyraźnie źle pomyślanego projektu. Korespondencja pana Kane'a zawierała całą litanię kłopotów powstających w trakcie budowy jakichś kanałów: a to powódź, a to nagły skok cen drewna, to znów główny inżynier, zmarły nagle na atak serca...

Lilly pokręciła głową, kompletnie zaskoczona, że Edward zaangażował się w tego rodzaju ryzykowną spekulację.

Wiedziała, że miał doświadczenie w operacjach handlowych; a tu - trzysta tysięcy funtów...!

Nawet tak rozrzutny człowiek, jak książę regent zdziwiłby się, słysząc o takiej sumie. Lilly nie była oczywiście ekspertem w sprawach finansowych, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, jak i dlaczego Edward mógł utopić taki majątek w wątpliwych inwestycjach w kanały, a przy tym zachować jeszcze dach nad głową.

W dodatku dość duży dach.

Kiedy odwróciła kartkę, dotarła do końcowego wpisu, sprzed około roku. Skrzywiła się, gdyż nie znalazła tam już nic na temat inwestycji Edwarda, a tym bardziej żadnych wyjaśnień ze strony prezesa przedsiębiorstwa, Phillipa Kane'a.

Płatności po prostu ustały.

Hm...

Jedno wiedziała na pewno: Derek chciałby to zobaczyć.

Jej myśli przerwał odgłos ciężkich, dudniących kroków w korytarzu za drzwiami.

O mało nie krzyknęła.

Zamarła, wciąż trzymając w ręku dokumenty Phillipa Kane'a. Ktoś szedł w tę stronę korytarzem! Zbladła śmiertelnie. Gderliwy jazgot na służącego nie pozostawiał wątpliwości, czyj to głos.

Edward.

Wrócił do domu!

W mgnieniu oka Lilly zwinęła dokumenty Kane'a i schowała je za stanik obcisłego zakietu amazonki. Wrzuciła na miejsce teczkę K-L, zamknęła sejf, przekreśliła klucz w drzwiach do gabinetu, wsunęła na miejsce rząd fałszywych książek i podbiegła do biurka, odłożyć kluczyk pod tackę z piaskiem.

Wszystko uporządkowała, jeszcze raz sprawdziła, czy rzeczy leżą tak jak przedtem. Ale w jaki sposób miała się stąd wydostać? Były tylko jedne drzwi, przez które mogła wyjść, a zostając tu, nie miała gdzie się ukryć. Z każdą sekundą coraz wyraźniej słyszała kroki. Dobry Boże, teraz, kiedy Lilly odkryła złodziejstwo, zdradę i kradzież pieniędzy z królewskiego skarbcza, wiedziała, że jeżeli czegoś natychmiast nie wymyśli, Edward ją zabije. Gdy tu wchodziła, nie miała pojęcia, że może jej zagrazać takie niebezpieczeństwo.

Nagle sobie przypomniała, że zamknęła na klucz drzwi wejściowe; podbiegła i otworzyła je, żeby, kiedy Edward tu wejdzie, nie nabrał podejrzeń. Tymczasem błyskawicznie stwierdziła, że jej jedyną nadzieją na wydostania się stąd jest powrót do dawnej strategii, która, dzięki wieloletniej praktyce, stała się jej mocną stroną.

Nałożyła na twarz najbardziej chłodną z masek i w ten sposób ukryje się, będąc jednocześnie widzianą.

Kiedy otworzył drzwi, Lilly siedziała we wdzięcznej pozie na biurku, z rękami do tyłu, z nogą założoną na nogę, niecierpliwie kotłując stopą, która unosiła raz po raz brązowe fałdy eleganckiej amazonki.

Rzuciła mu filuterne spojrzenie. Edward stał w drzwiach skonsternowany.

- Lilly!
- No! Jesteś tu. Nareszcie.

Odchrząknął, czując się odrobinę winien wobec jej tonu małżeńskiej wymówki.

- Co ty... hm... tu robisz, kochanie?
- Czekam na ciebie, oczywiście! - odparła z chłodnym uśmiechem.
- Och... Czyżbyś się... uhm... stęskniła?
- Bynajmniej.

Odchrząknął i niepewnym krokiem wszedł do gabinetu, zamykając drzwi za sobą.

- Dobrze się bawiłeś podczas tej swojej podróży w interesach? Doprawdy, Edwardzie, bardzo się na tobie zawiodłam.

- Jak się dowiedziałeś? - wymamrotał ze spuszczoną głową.

- O, w towarzystwie wieści się szybko rozchodzą. Ale musiałam sama cię zobaczyć, żeby stwierdzić, czy w tych plotkach jest choć trochę prawdy. No, cóż. Myślę, że znam już odpowiedź. Teraz chyba sobie pójdę.

Zsunęła się z biurka i przeszła obok niego z wysoko podniesioną głową.

- Ale, Lilly, nie wybiegaj stąd jak burza!

Złapał ją za rękę i przytrzymał.

Do diabła! Nie udała jej się taka wygodna ucieczka!

Rzuciła przestraszone spojrzenie na paluchy, ściskające jej łokieć.

- Proszę puścić moją rękę. Będę miała sińce.

Z najwyższym wysiłkiem starała się zachować wyniosłą postawę, wiedząc, że otaczająca ją aura arystokratycznego chłodu była najbardziej skutecznym sposobem utrzymania Eda w ryzach. Jednak w miarę jak strach rósł, kamuflaż stawał się coraz mniej skuteczny.

- Chodź, nieczęsto mamy szansę być sam na sam ze sobą - namawiał ją Edward. - Zostań, porozmawiamy.

- Nie mogę. Muszę już iść. - Odsunęła się z niesmakiem, ale jej nie puścił.

- Może przynajmniej dostanę całusa na pożegnanie?

- Mowy nie ma.

Przysunął się bliżej, tak, że aż się skrzywiła. Śmierdział.

- Powinieneś wziąć kąpiel.

- Może byś się przyłączyła?

- Edwardzie! Jak możesz? - Nagle zrozumiała. - O Boże, ty jesteś pijany!

- N... nie! No, może odrobinę.- Rzęzący śmiech potwierdził jej podejrzenia. - Jeden pocałunek... i pozwolę ci pójść do domu - kusił, ale w jego oczach już widziała żądzę.

Muszę się stąd wydostać, myślała. Zaczynało się robić naprawdę niebezpiecznie.

- Moja ty dumna księżniczko. Tak się cieszę, że przyszedłeś mnie zobaczyć. Myślę, że w gruncie rzeczy chcesz tu zostać. - Nagle bez ostrzeżenia chwycił ją drugą ręką w pasie i schylił się, wdychając jej zapach. - Urocze... Zgódź się, lady Lilly. W końcu wybrałaś mnie z jakiegoś powodu. Mogłaś mieć tylu eleganckich, wykwintnych kawalerów. Coś mi się wy daje, że marzy ci się odrobina brutalności.

- Jak śmiesz mówić do mnie w taki sposób! - Próbowała zepchnąć jego ręce z talii, ale tylko wzmocnił niedźwiedzi uścisk. - O Boże! Jesteś niezdolnie wulgarny.

- Zgadza się, i właśnie tego dokładnie ci trzeba. Chodź Lilly, aniołku: tylko jeden całus.

- Naprawdę nie mam ochoty całować cię teraz, Edwardzie. - Starła się utrzymać chłodny ton. - Skłamałeś, a poza tym pachniesz jak... jak podłoga w karczmie.

- Och! W końcu chyba moje złoto jest dla ciebie coś warte, nieprawdaż?

- Zachowujesz się jak skończony gbur!

- Jeden całus i możesz sobie iść. No chodź, wiem, że masz w sobie więcej ognia, niż to po sobie pokazujesz. Czuję to we krwi.

Patrzyła na niego niewzruszenie, ale w środku aż się trzęsła. Jeżeli to rzeczywiście jedyny sposób, by się stąd wydostać, niech i tak będzie...

- Tylko szybko - rzuciła sztywno, kiedy się nad nią pochylił.

- Ach! - Oślizgłymi wargami wpił się w jej usta. Brudny, spocony, śmierdział jak brudna ścierka do naczyń. Gdyby nie była tak doświadczona w ukrywaniu swoich emocji, prawdopodobnie wrzasnęłaby, a w każdym razie zakrzusiłaby się obrzydliwym odorem przetrawionego alkoholu, a już na pewno językiem, który wciskał jej do ust.

- Pysznie - sapnął Edward po chwili, ale zamiast ją puścić, pochylił się znowu, by sięgnąć po więcej.

Zaczął ją obmacywać. Lilly była przerażona jego agresywnością i próbowała się wyrwać. Nie zwracał uwagi na jej protesty, kiedy chciała go od siebie odepchnąć i nagle ścisnął jej pierś.

Oboje zdrętwieli na dźwięk szelestu papieru.

Oczy nieomal wyszły jej z orbit.

Edward odsunął się i spojrzał na nią zdumiony.

Lilly z twarzą zszarzałą z przerażenia próbowała wyrwać się i uciec, ale Edward złapał ją za ramię i szarpnął do siebie, wrzeszcząc:

- Co tam chowasz?

- Nic! Zostaw mnie!

Złapał ją za ramiona i odwrócił twarzą ku sobie.

- Co tu naprawdę robiłaś?

- Powiedziałam już...
- Nie kłam!
- Nie wiem, o czym mówisz!
- Naprawdę?

Bezczelnie złapał ją za pierś i poczuł tam nie tylko ciało, ale sztywny kwadrat złożonych papierów, wetkniętych za dokładnie zapiętą białą bluzkę amazonki.

Oczy mu zapłonęły wściekłością, kiedy spojrzał na Lilly.

- Niech cię diabli!
- Edwardzie...

Krzyknęła, kiedy jednym szarpnięciem rozdarł jej stanik.

Lilly instynktownie starała się zasłonić, choć w tej chwili Edwarda bynajmniej nie interesowały jej piersi. Wyciągnął zza stanika dokumenty Phillipa Kane'a. Trzymając Lilly jedną ręką za gardło, drugą rozłożył papiery i sprawdził, co ukradła.

Odwrócił się ku niej powoli.

- Ty mała kłamliwa suko!

Popchnął ją tak, że runęła na podłogę. Włosy wysunęły jej się z upięcia, podarta suknia kłębiła się wokół niej.

Stał nad nią groźny jak góra. Lilly skuliła się na podłodze, próbując się zasłonić.

- Wdarłaś się tu i próbowałaś udawać, że mnie złapałaś na zabawie w knajpie? A ty co? To ty się teraz dałaś przyłapać, dumna lady. - Złapał ją za włosy i szarpnął jej głowę w tył. Schylił się i rzucił jej w twarz: - Zapłacisz mi za to.

- Edwardzie, proszę...

- To Knight cię w to wrobił, co? Odpowiadaj! - ryknął. - Sypiasz z nim?

- Nie! - krzyknęła.

- Nie wierzę ci - powiedział po krótkim milczeniu, dziwnie spokojnie. - To przez ciebie, Lilly, będę go musiał zabić.

- Edwardzie, nie!

- Ależ tak! Teraz wszystko rozumiem. Nikt nie będzie robić głupka z Edwarda Lundy'ego. Oboje mi za to zapłacicie. - Nagle puścił ją i otworzył drzwi.

Ryknął na swoich sługusów.

Nie minęło pięć sekund, a już stał nad nią z powrotem. Skuliła się ze strachu w obawie, że może ją kopnąć.

Za każdym razem, kiedy usiłowała się podnieść, spychał ją na ziemię.

- Tu zostaniesz, obrzydliwa mała złodziejko. Tu, na podłodze! Tu jest twoje miejsce.

Drgnęła, a Edward wybuchnął śmiechem.

Do gabinetu wpadł Bates. Zamrugał zdumiony na jej widok.

- Jak ona się tu, u diabła, dostała?

- Ty mi to powiedz! - ryknął Edward. - Durnie, pozwoliliście jej wejść!

Na gniewne wezwanie pana w drzwiach pojawili się inni służcy.

- Jones, Maguire! Sprawdzić cały dom! - rozkazał Bates. - Musimy być pewni, że przyszła tu sama.

- Tak, zróbcie to - dodał Edward sarkastycznie. - Niedorajdy... - mruknął pod nosem.

Lilly nie mogła dłużej milczeć.

- Edwardzie, nie ma potrzeby myśleć o zabiciu Dereka.

- Ty mała ladacznico, co wbijasz nóż w plecy! Myślisz, że kłamstwem ocalisz swojego kochasia?

- Jeżeli Knightowi cokolwiek się stanie, będziesz pierwszą osobą, z którą władze zechcą rozmawiać - rzuciła, próbując jak najszybciej coś wymyślić. - Zwłaszcza po twojej popijawie z tym hulaką... Alkohol często prowadzi do pojedynku, nawet pomiędzy tak zwanymi przyjaciółmi. Tak będą myśleć. - Z zaciśniętymi szczękami Lilly podniosła się ostrożnie, na wypadek gdyby znów chciał ją powalić na podłogę. Serce jej waliło, kiedy usiłowała doprowadzić do porządku podarty stanik sukni.

Teraz słuchał jej bardzo uważnie.

- Poza tym jest jeszcze kwestia Gabriela Knighta, brata Dereka. Mówią, że był jeszcze straszniejszy w walce niż Derek. No i jego potężni kuzyni: książę Hawkscliffe, lordowie Winterley Rackford, Griffith - wszyscy. Nie bądź niemądry. Jeżeli go pokonasz, będziesz miał ich wszystkich przeciwko sobie. Nie masz szans.

Zastanawiał się nad jej słowami, ale po chwili spojrzął wilkiem pełnym buty.

- Nie boję się ich. - Zerknął na Batesa. - Szykujcie się wszyscy. Musimy go dopaść.

- To zły pomysł, Edwardzie. Bardzo zły, chyba że ci nie zależy na poświęceniu życia kilku twoich kolegów z dzieciństwa, którzy zginą od jego szpady. - Lilly spojrzała znacząco na Batesa. - Derek Knight ma wielkie doświadczenie w walce. Naprawdę myślisz, że zdołacie go pokonać ty i tych paru bandziorów z East Endu?

Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Damy radę.

Edward odwrócił się w stronę jednego ze swoich ludzi:

- Zwiąż ją i nie spuszczaaj z oczu.

- Edwardzie, zaczekaj! Jeżeli nie możesz się uspokoić, jest inny sposób, żeby się go pozbyć!

Zatrzymał się w drodze do drzwi. Chwilę jakby się naradzał sam ze sobą.

- Doskonale. Spróbuję zacisnąć zęby. Jaki sposób?

Lilly miała tak wyschnięte usta, że z trudem mówiła.

- Schwytaj go, ale nie zabijaj. Wrzuć go na statek płynący do Indii. Wtedy ci zejdzie z drogi na zawsze i nikt cię nie będzie mógł oskarżyć o morderstwo.

Zastanawiał się.

- Porwać go...

- Dokładnie tak. Każdy, kto kiedykolwiek poznał majora, słyszał, że nie może się doczekać powrotu do Indii. Więc go tam wyślij! Ludzie pomyślą, że miał już dość czekania i uznał, że czas wracać do swoich żołnierzy.

Edward podszedł do niej i spojrział groźnie.

- Mam jeszcze lepszy pomysł. Wsadzę was oboje do pokoju w jakimś śmierdzącym hoteliku, każde z kulą w głowie. Nazwą to „sprzeczką kochanków”. Morderstwem - samobójstwem. Dość skandaliczny koniec dla takiej damy jak ty, co?

Zadrżała, ale po chwili opanowała strach.

- Mój pomysł chyba mi bardziej odpowiada.

Obserwował ją zwięzonymi oczami, wreszcie roześmiał się z jej kiego żartu i zwrócił do swoich ludzi.

- Idziemy.

Na nią już nie zwracał uwagi.

- Edwardzie! - Rzuciła się za nim i chwyciła za rękę. Łzy lały jej się z oczu. - Oszczędź go! Zrobię wszystko, co zechcesz!

- Coś takiego! - Odwrócił się do niej, w oczach miał złowieszcze pożądanie. - Bardzo interesująca propozycja, panno Balfour...

Z sercem w gardle i ciałem zimnym jak lód Lilly zmusiła się, by wytrzymać jego spojrzenie.

- Co proponujesz? - spytał kpiąco.

Nie odpowiedziała.

- Nie ożenię się przecież z tobą.

- Wiem...

- Z drugiej strony - ujął ją pod brodę i odchylił głowę, badając twarz, jakby była jakąś nieszczęsną rzymską niewolnicą wystawioną na sprzedaż w Koloseum - pewnie mógłbym mieć z ciebie jakiś pożytek.

Jego ludzie przyłączyli się do szyderczego śmiechu Edwarda.

- Co byś powiedziała na taką propozycję, dumna panno Balfour? Twoje usługi, jakie tylko mi się spodobają, w zamian za życie majora?

Nic nie powiedziała, spuściła oczy i się zaczerwieniła. To że się nie oburzyła na jego zuchwalstwo, wystarczyło jej zdaniem, by pojął, że zgadza się na wszystko.

Taksował ją spojrzeniem.

- Chłopaki, będę dziś wspaniałomyślny. Myślę, że ostatecznie możemy oszczędzić majora.

- Daj spokój, Ed! - zaprotestował Bates. - Chyba nie musisz wchodzić w układy z kimś takim jak ona! Możesz mieć tę dziwkę, czy będzie tego chciała, czy nie!

Edward rzucił mu wredny uśmiech.

- Ale wtedy zabawa jest lepsza, no nie?

Lilly wstrzymała oddech, przerażona własnym losem, dostrzegła jednak w oczach Edwarda brak pewności siebie.

Była w nich ogromna żądza i gwałtowność, ale także leciutki przejaw... serca. Może się zastanawiał, co o tym wszystkim powiedziałaaby jego matka? Być może wbrew zapalczywej pierwszej reakcji nie chciał zabić Dereka...

Obejrzał się, szybko ukrywając ślad jakiegokolwiek ludzkiego uczucia.

- Nie - rozkazał szorstko. - Wsadzimy go na pierwszy statek płynący do Indii. Ona ma rację: nie ma sensu się wdawać w afery z rodziną Knightów. A ja nie mam ochoty na wizytę tych tam łobuzów z Bow

Street*. - Obejrzał Lilly od stóp do głów. - Lepiej doprowadź się do porządku.

- No, mnie tam to się nie podoba - burknął Bates. - O niebo łatwiej po prostu zatłuc drania. Jeżeli ten Knight naprawdę jest taki dobry w bójkę, jak ona twierdzi, jak damy radę go podejść, żeby związać?

Edward zerknął na Lilly.

- Przecież przyjdzie tu do niej! Prawda, kochanie? Dziewica i jedno-rożec, co? Jeżeli chcesz, żeby Knight żył, pomożesz go nam złapać łatwo i szybko.

Krzyknęła z przerażenia, kiedy Edward znów ją złapał za ramię i przyciągnął do biurka. Wcisnął ją na krzesło. Rzucił na biurko arkusz papieru i gęsie pióro.

- Dalej - rozkazał. - Napiszesz śliczny liścik miłosny, że chcesz się z nim spotkać dziś wieczorem...

Lilly nie słyszała dalszych słów, wpatrzona w ostry nóż do otwierania listów, wetknięty w przegródkę w biurku.

Przez moment zastanawiała się, czy nie wbić mu tego noża w brzuch i tym sposobem wyrwać się stąd.

Nie, to nie miałyby sensu.

Mogła sobie fantazjować jako mała dziewczynka w ogrodowej altanie, ale w życiu bynajmniej nie była wojownikiem. Nie takim jak Derek. Ona miała zdrowy rozsądek, on swoją szpadę; to powinno obojgu wystarczyć.

- Każ mu przyjść na uliczkę za domem pani Clearwell. Nie chcemy budzić podejrzeń u naszego kochanego rycerzyka.

- Och, Edwardzie, proszę cię... - Spojrzała na niego błagalnie.

- Pisz! - ryknął i walnął pięścią w arkusz papieru.

Podskoczyła. Chciała, ale nie mogła utrzymać pióra; maczając je niezdarnie w atramencie zaczęła pisać. Łzy padały na kartkę. Teraz wiedziała, że po tym, kiedy się rozstali w gniewie, Derek gotów przyjść na spotkanie.

A wtedy pomyśli, że Lilly go zdradziła.

* Bow Street Runners - pierwsza zawodowa policja angielska, powstała w 1749 roku; jej biura mieściły się przy Bow Street (przyp. tłum.).

16

To naprawdę niezmiernie dziwna rzecz - mówił Charles do Dereka, który stał przy przeciwległej ścianie z rękami założonymi na piersi i czołem zmarszczonym w zamyśleniu.

Przyszedł wprost do schludnego biura adwokata przy ulicy Whitehall; jeszcze nie dotarł do domu przy Althorpe. Trochę bolała go głowa po pijackich ekscesach i marzył o solidnym posiłku, ale sprawa była zbyt ważna, żeby ją odkładać.

- Dlaczego poważany i godny człowiek, jak lord Sinclair, w końcu przecież par Zjednoczonego Królestwa, miałby wypłacać pieniądze ze swojego konta takiemu obskurnemu kundlowi jak Phillip Kane? To się po prostu nie mieści w głowie. Nie wiem, co to znaczy, ale pomyślałem, że chciałby pan poznać szczegóły.

- O tak, Charles. Bardzo słusznie, że pan po mnie posłał.

- Proszę, oto są. - Charles zajrzał do notatek. - Pięć tysięcy funtów, wysyłka dokonana niemal dokładnie dwa lata temu.

- Hm... Pięć tysięcy funtów, niemała suma. - Napił się wody z manierki, ciągle jeszcze czując suchość w ustach po ostatniej wędrownicy po gospodach. - A co wiemy o tym Phillipie Kanie?

- No, to nazwisko jest dość znane w kręgach prawniczych, bo stale popadał w konflikty z policją, przez co miał mnóstwo kłopotów. Zawsze umiał wymyślić jakąś bajeczkę i potrafił się obronić; w dodatku umiał opowiadać! Przez jakiś czas jego gładkie opowieści działały nawet w sądach. Miał wdzięk. Był przystojny, ekstrawagancki, o manierach dżentelmena; niestety całkowicie zniszczony rozpustnym życiem. Szukał przygód, stale planował coś nowego. Wielka szkoda, że swoich zdolności nie spożytkował w uczciwych celach, ale chyba uważał, że cały świat go skrzywdził.

- W jaki sposób?

- Cóż... Mówiono o nim, że jest nieślubnym synem jakiegoś wielkiego arystokraty. Jego matką była dziewczyna z opery - mówił Charles z niesmakiem. - Wychował się od dziecka w świecie teatru.

- Był aktorem?

Charles wzruszył ramionami.

- Nigdy nie słyszałem, żeby występował na scenie, ale umiejętności, jakie tam zdobył, świetnie mu pomagały w igraszkach z paniami, a przede wszystkim przy stołach gry. Miał opinię kobieciarza, ale znany był głów nie jako szuler. Wydaje mi się prawdopodobne, że lord Sinclair płacił mu, żeby załatwić jakiś dług karciany.

Derek pokręcił głową.

- Lord Sinclair nie tyka kart. Gdyby miał w życiorysie wzmiankę o grze, nie zostałby przyjęty do komisji. Wszystkie te pieniądze pod jego opieką... - przerwał na chwilę. - Oczywiście jego lordowska mość mógł płacić Kane'owi na przykład długi swojego krewnego, syna czy bratanka, który mógł wpaść w łapy tego oszusta przy kartach czy kościach.

- Tak, to możliwe. - Charles kiwnął głową, sznurując usta. - Chce pan, majorze, żebym się temu bliżej przyjrzał?

Derek machnął ręką.

- Sam się tym zajmę. Myślę, że najlepiej porozmawiać z lordem Sinclair'em o jego interesach z tym panem. Chciałbym też pogadać z Phillip'em Kane'em, jeżeli pan wie, gdzie go mógłbym znaleźć.

- Obawiam się, że na cmentarzu.

- Nie żyje?

- Właśnie. - Charles wskazał mu wycinek z gazety, nekrolog. - Jest w tym co prawda coś tajemniczego. Prawdę mówiąc, Phillip Kane narobił sobie bardzo wielu wrogów w swoim krótkim, barwnym życiu. Cokolwiek zrobił tym razem czy komukolwiek stał na zawadzie, wystarczyło, by musiał uciekać do Francji.

Ale już w Calais wrócił do dawnych zwyczajów. Francuzi jednak nie mieli ochoty być oszukiwani za pomocą jego rozlicznych talentów; w każdym razie nie bardziej niż nasi gracze w Londynie. Już po paru tygodniach gospodyni znalazła go martwego w pokoju. Otrutego.

Derek uniósł brwi.

- Trucizna? Hm... kobieca broń. Może zemsta ze strony jakiejś dawnej kochanki, której złamał serce?

- Z pewnością mógłbym w to uwierzyć, ale naprawdę bardzo wielu ludzi życzyło mu śmierci. - Charles wzruszył ramionami. - Doskonale pamiętam tę sprawę, bo w naszym prawniczym światku było wiadomo, że prędzej czy później coś takiego się wydarzy; pytanie tylko, kiedy i jak. Jedna z gazet wywęszyła raport tamtejszego prefekta policji. O ile pamię-

tam, z pokoju Kane'a nic nie zginęło. Żadnych śladów walki. Przyjęto, że albo go kochała, albo popełnił samobójstwo.

- Nie znaleziono żadnej notatki potwierdzającej to ostatnie?

- Nie. Kiedy minęło parę miesięcy i nic nie wykryto, zresztą nikt nie żałował tego kundla, sprawa utonęła w niepamięci. - Charles westchnął. - Cóż, gdyby Kane miał na tyle przyzwoitości, żeby zostać zamordowany w Anglii, byłoby łatwiej prowadzić śledztwo, ale jego śmierć za granicą... Rozwiązanie tej sprawy wymagałoby wspólnych działań przedstawicieli sprawiedliwości Anglii i Francji, a żadna ze stron nie była skłonna dzielić się z drugą informacjami.

- Jakie to wygodne dla tego, kto zabił - zauważył Derek cicho. Milczał przez chwilę. - Kiedy znaleziono jego ciało? Jak dawno?

Charles zajął do papierów.

- Ponad rok temu. Dokładnie czternaście miesięcy.

Derek skinął, w myślach roztrząsając sprawę.

- Świetna robota, panie Beecham. Być może lord Sinclair będzie mógł rzucić na tę sprawę nieco więcej światła. Wpadnę do niego po drodze do domu.

- Czy jest jeszcze coś, co mógłbym dla pana zrobić, majorze?

Derek się uśmiechnął.

- Tylko nadal studiować te książki na tyle, na ile bank się zgodzi. Jeżeli pan znajdzie coś jeszcze, proszę mi dać znać.

Charles uśmiechnął się i lekko zasalutował.

Przy wyjściu Derek zatrzymał się i zadał jeszcze jedno pytanie.

- Czy londyńskie plotki zawierały informację, kto mógł być ojcem Phillipa Kane'a?

- Była pewna teoria na ten temat; szeptano o tym w Tempie Bar.

- Nie miałem pojęcia, że prawnicy są takimi plotkarzami.

Charles się roześmiał.

- Podobno pewien hrabia najspokojniej w świecie zapłacił prawne zobowiązania Kane'a po którymś jego aresztowaniu.

- Kto? Chyba nie lord Sinclair?

- Nie, ale teraz, kiedy pan o tym wspomniał, przypomniałem sobie, że to był także członek komisji. Ściśle mówiąc, były członek: lord Fallow.

Derek spojrzął na niego. Lord Fallow... gospodarz koncertu w ogrodzie, tam, gdzie poszli z Lilly na spacer nad rzekę.

Lord Fallow. Lojalny opiekun Eda Lundy'ego.

- Wydawało mi się, że lord Fallow nie ma syna - rzekł powoli Derek. Gdzieś słyszał, że właśnie brak syna był w pewnym stopniu powodem, dla którego szlachetny lord wziął parweniusza Lundy'ego pod swoje skrzydła.

- Tak, no, w opinii świata nie ma - odpowiedział Charles. - Jego lordowska mość z pewnością nigdy nie uznał Phillipa Kane'a za syna. Zresztą biorąc pod uwagę, jak Kane się prowadził, nie wiem, czy na jego miejscu bym to zrobił - mruknął. - Nie wierzyłbym zbyt w prawdziwość tego twierdzenia, majorze. To tylko plotka, której autorem mógł być zresztą sam Kane, po prostu, żeby narobić jeszcze więcej zamieszania. Przecież ten człowiek na przykład przysięgał, że jej królewska wysokość księżniczka Charlotte - niech spoczywa w spokoju - mrugnęła do niego, kiedy karetka królewska mijała go na Pall Mall!

Derek wydał wargi na tę dziwaczną opowieść.

Charles zmarszczył czoło.

- Oczywiście, gdyby to była prawda... - Słowa zamarły mu na ustach, kiedy siadał za biurkiem.

- Gdyby to była prawda - rzekł Derek - Phillip Kane miałby bardzo poważny powód, by nienawidzić Edwarda Lundy'ego.

Charles przytaknął.

Derek pożegnał się i wyszedł z biura.

Konno pojechał w stronę rezydencji lorda Sinclaira.

Kiedy dotarł do domu hrabiego, naprzeciw wybiegł mu jakiś chłopak, proponując, że za szylinga przypilnuje konia. Derek zgodził się, ostrzegł chłopca, że koń ma duży temperament, i udał się do frontowych drzwi domu lorda. Zastukał mosiężną kołatką.

Kiedy pojawił się kamerdyner, na widok Dereka okazał niezadowolenie jak poprzednim razem i oznajmił, że lorda nie ma w domu.

Patrząc jednym okiem na kamerdynera, a drugim na chłopca, który robił, co mógł, żeby utrzymać w ryzach karego ogiera, Derek dał sobie spokój i uznał, że sprawa może poczekać. Zostawił tylko kartę wizytową, pragnąc nareszcie dotrzeć do domu po hulankach za miastem.

Podszedł do konia, wręczył chłopakowi obiecane szylinga i wskoczył na siodło. Kiedy jednak odjechał kawałek, poczuł, że włosy na karku podnoszą mu się; instynktownie wyczuwał czyjeś spojrzenie.

Ktoś go obserwował.

Rzucił okiem na dom Sinclaira i zauważył ruch w oknie na piętrze. Zanim zasłona z powrotem opadła, zdążył dostrzec w oknie korpulentną postać.

Zmarszczył czoło.

Kłamiwy bydlak. Sinclair oczywiście jest w domu, po prostu nie chce mnie widzieć.

Nie był tym zaskoczony. Z pewnością prezes nie darzył go sympatią.

Nieważne. Uda mu się złapać lorda w którymś momencie, kiedy tamten nie będzie się mógł przed nim schować, i wtedy zada mu kilka pytań. Byle to było po zjedzeniu czegoś, po kąpieli, a w każdym razie po paru godzinach snu.

Kiedy wprowadził ogiera do stajni przy Althorpe i przekazał go stajennym, dwaj chłopcy wyszczerzyli do niego zęby, śmiejąc się od ucha do ucha.

- Była tu pańska przyjaciółka, majorze.
- Zabrała klacz.
- Lilly? - wykrzyknął. - To jest, chciałem powiedzieć: panna Balfour?
- Noo, taak... właśnie ona.
- Kazała nam powiedzieć, że panu dziękuje, sir.
- Dziękuje - powtórzył.

No, tak! Powiedział przecież Lilly, że ma zamiar jej podarować tego konia, a po niemiłej rozmowie, kiedy go zeszłej nocy znalazła w karczmie, podpitego i w nie najlepszym towarzystwie, pewnie z przyjemnością odebrała teraz swój prezent, pięknie podziękowała i *au revoir!*

- Czy mówiła coś poza tym? Na przykład... że jeszcze tu wróci?
- Nie, sir, nie mówiła nic takiego.
- Dobrze. Dziękuję.

Derek westchnął i poskrobał się po nieogolonym policzku.

- Czy, gdyby przypadkiem odprowadziła tu klacz z powrotem, któryś z was mógłby przyjść i powiedzieć mi o tym?

- Oczywiście, sir!
- Dzięki.

Po powrocie do mieszkania wydał podobne polecenia Aadiemu i pozostałym służącym. Kiedy wreszcie dobrnął do sypialni, padł na łóżko. Po paru sekundach spał jak kamień.

Bez snów.

Obudziło go pukanie do drzwi. Mrugał, starając się oprzytomnieć. Był przekonany, że dopiero co zamknął oczy. Uniósł głowę i zobaczył brata. Zaglądał do pokoju i z uśmiechem wymachiwał jakimś listem.

- Pilna poczta do pana majora!

Derek zerwał się na równe nogi.

- Od pułkownika Montrose'a?

- Lepiej! - odparł Gabriel. Wszedł do pokoju i rzucił bratu list. Derek złapał go w locie i otworzył. Czym prędzej przebiegł wzrokiem kilka linijek tekstu.

- To od Lilly.

- Domyśliłem się. O czym pisze? Wybaczyła ci? Czy cię nienawidzi?

- Nic takiego nie pisze - odparł Derek, ciągle jeszcze trochę nieprzytomny po zerwaniu się z bardzo głębokiego snu. - Chce się ze mną spotkać.

- To może znaczyć, że jest bardzo dobrze. Albo bardzo źle.

Gabriel roześmiał się, rzucił bratu wiele mówiące spojrzenie i wycofał się, zostawiając „młodszego braciszka” sam na sam z myślami o tym, co też ta denerwująca dama może mu mieć do powiedzenia.

Napisała: „Proszę przyjść o dziesiątej wieczorem”.

Derek się skrzywił.

Czy uważasz, panienko, że mam na ciebie tam czekać?

Kiedy godzina ich tajnej schadzki nadeszła, Derek siedział na koniu wpatrzony w czarną czeluść ciągnącej się przed nim alei i czuł rosnącą z każdą sekundą niechęć do tego miejsca.

Nie miał pojęcia, skąd się w nim wzięła ta negatywna reakcja na to miejsce ich spotkania. Ale kiedy się tyle lat służy w wojsku...

Coś mu tu nie pasowało.

Przede wszystkim sprawa bezpieczeństwa Lilly. Co ona sobie, u diabła, wymyśliła? Chce wałęsać się po ulicy w ciemnościach, ona, taka wielka dama? Bandziory trafiają się nawet w tak wytwornej dzielnicy jak Mayfair. I nie tylko bandziory...

Gdyby ktokolwiek ośmielił się wyrządzić jej krzywdę...

- Lilly...?

Próbował przebić wzrokiem czarne jak atrament ciemności nocy. W końcu zsiadł z konia, ale w dalszym ciągu zachowywał jak największą ostrożność.

Na razie jej nie widział, ale zdawało mu się, że usłyszał gdzieś, w pobliżu, jakiś szmer...

Do stu tysięcy diabłów!

Albo przesadza z troską o Lilly, albo w tej alei jest więcej osób niż jedna.

Przesadza...

Chyba rzeczywiście przesadziłem, pomyślał. Nie jesteśmy przecież w Indiach. Jesteśmy w cywilizowanym Londynie. Świat nie jest wyłącznie miejscem wojen czy bitew! To tylko w mojej głowie...

Z przyzwyczajenia pogładził jednak dłonią rękę szpady. Przy drugim biodrze zwiślał mu nabity pistolet. Obserwował zachowanie konia, licząc na jego bardziej wyostrzone zmysły. Ogier strzygł uszami, a nozdrza miał rozdęte.

Derek podprowadził konia kilka kroków do przodu. Stukot kopyt na ulicznym bruku odbijał się od ścian stajen i powozowni domów po obu stronach ulicy.

Aleja tonęła w gęstych ciemnościach. Niebo nad nią wyglądało, jak czarny jedwab. Niewidoczne w tej chwili chmury przysłoniły gwiazdy i sierp księżyca.

W ciemnościach zaświeciły zielono oczy kota. Pręgowane zwierzątko przemknęło obok nóg Dereka i zamarło przy ścianie, prawdopodobnie czatując na mysz.

Z okapu jednej z powozowni zwiślała słabo oświetlająca okolicę zardzewiała latarnia. W jej świetle nagle pojawiła się Lilly: jej jasne włosy zaślnęły. Była owinięta ciemnym płaszczem.

Derek poczuł, że krew zaczyna mu żywiej krążyć w żyłach. Odruchowo się uśmiechnął.

- Nic ci nie jest? - spytał z niepokojem. Zaczął ściągać rękawice do konnej jazdy, podchodząc do dziewczyny.

- Derek! - wrzasnęła co sił w płucach dosłownie na pół sekundy przedtem, zanim poczuł oślepiający ból w tyle czaszki.

Rzucił się do przodu, ale schwytano go za ręce i nogi. Wyostrzony w bitwach instynkt nakazywał walczyć o życie. Ciągłe jeszcze niebotycznie zdumiony po ciosie w głowę próbował wyciągnąć szpadę... Niestety, siedziało na nim już trzech zbirów, przygniatając go całym ciałem do ziemi.

- Pozdrowienia z Indii, majorze! - odezwał się w ciemnościach drwiąco jakiś chrapliwy głos.

Poczuł, że ktoś mu dmucha w twarz i po chwili oczy zasypało mu czymś żrącym, chyba sproszkowaną papryką chili.

Oślepiiony, z piekącym bólem w oczach, wściekle ryknął „Lilly!” i w tym samym momencie otrzymał następny cios. Z ciemności wyłoniła się pięść, która z wielką siłą wylądowała na jego szczęcie, tak że Derekowi głowa odchyliła się w bok. Próbował jakoś znaleźć broń, ale w tym momencie ktoś mu nastąpił na rękę. Obcas ciężkiego buta wbił się w przegub. Derek zaklął.

- Lilly! Powiedz coś! - zawołał.
- Derek!
- Bierz mojego konia i uciekaj!
- O, co to, to nie. Ona tu zostanie... ze mną, kolego.
- Lundy!?

Derekowi zaparło dech. Potrząsał głową, usiłując przejrzeć na oczy. Gdzieś za sobą słyszał rozpaczliwy krzyk Lilly:

- Zostaw go! Obiecałeś, że nie zrobisz mu krzywdy!
- Lilly!
- Nie walcz z nimi, Derek! Błagam cię, nie walcz!

Zdziwiły go te słowa. Zastanowił się przez sekundę nad swoją sytuacją. Zasadzka... Lundy. Wiedział, jaka przynęta będzie nieomylnie działać, żeby Derek wpadł w pułapkę.

Jedno tylko chciał wiedzieć.

- Dlaczego...?
- Niby nie wiesz, dlaczego, ty dwulicowy bękarcie!
- Nie rozumiem - wykrztusił Derek.
- Nie rozumiesz? Nie trzeba jej było wtajemniczać w nasze interesy, Knight. Sądziłeś, że niczego się nie domyślam?
- Czyli to ty... ty wzięłeś te pieniądze.
- Wiesz, co ci powiem, nadęty bękarcie? - warknął Lundy.

Derek nie mógł go zobaczyć. Jego oczy były w tej chwili dwiema płonącymi dziurami w obolałej głowie. Głos nababa dochodził z bardzo bliska, a to, co mówił, zdumiało Dereka chyba bardziej niż niespodziewany cios w głowę.

- To lord Sinclair mnie zapewnił, że nie widzi nic złego w pożyczaniu sobie pieniędzy z funduszu. Pożyczaniu, słyszysz? - ryknął Lundy. - To nie była kradzież! Mam już środki, żeby te pieniądze oddać. To tylko kwestia czasu. Ale ty nie potrafisz być cierpliwy, co? Każdy, ale nie ty! Kawalerzysta w gorącej wodzie kąpany! Uważasz się za kogoś o niebo lepszego ode mnie. W porządku, wracaj sobie, skąd przyszedłeś, i bij się na tej swojej wojence! Ale zapamiętaj sobie na zawsze: Lilly zostanie tu, ze mną. I będzie robić wszystko, co jej każę!

- Jeżeli ją skrzywdzisz, Lundy, to Bóg mi świadkiem...

- Nie waż się mi grozić!

W tym momencie Derek zwinął się z bólu, gdyż Lundy, wściekły, kopnął go z całej siły w brzuch.

Derek nic nie widział. Nie był w stanie nawet domyślić się, co go za chwilę czeka.

Niech to wszyscy diabli!

- Lilly! - wrzasnął z całych sił jak oszalały; za wszelką cenę musiał usłyszeć jej głos, upewnić się, że jest bezpieczna.

- Zamknijcie mu gębę!

- Derek, błagam cię na wszystko: nie walcz z nimi!

Jej głos był dla Dereka jak chłodny powiew wiatru na rozpalonej twarzy.

- Lepiej będzie, jeżeli pan posłucha tej panienki, majorze. - To chyba mówił Bates. - Dobrze panu radzi.

Derek opierał się, więc zakneblowano mu usta jakąś śmierdzącą szmatką, a dwaj zbóje przycisnęli go do ziemi i związali ręce łańcuchem.

- Wsadźcie go do powozu - rozkazał mrukliwie Lundy. - A ty, Maguire, przyprowadź jego konia.

Bates i Jones gwałtownym ruchem postawili Dereka na nogi. Próbował się wyrwać, tłukąc jednego z nich łokciem w żołądek, ale w rezultacie zarobił tylko nowy cios w brzuch od Batesa. Ten dawny zawodowy bokser, obecnie stangret Lundy'ego, niemal pozbawił Dereka oddechu.

- Co pan woli, majorze? - zapytał obojętnie. - Z nerwami czy spokojnie? To tylko od pana zależy.

Knebel w ustach Dereka stłumił ostre przekleństwo.

Po chwili poczuł, że go wrzucają do wnętrza pojazdu. Powóz ruszył.

Kiedy Lilly znalazła się z powrotem w „zamku” Edwarda, zamknięto ją na klucz w gotyckiej sypialni na drugim piętrze. Tam miała oczekiwać swojego losu.

Dereka uwięziono w wielkiej metalowej klatce, zwykle przeznaczonej dla groźnego bojowego psa Edwarda. Pan kazał przywiązać Brutusa na łańcuchu tuż pod oknem sypialni Lilly, a klatkę z Derekiem przenieść do stajni, gdzie łatwiej było ukryć więźnia.

Z okna sypialni widziała stajnię, ale od chwili, kiedy ją przywieziono do zamku, nie miała pojęcia, gdzie jest Derek.

Przez jakiś czas spacerowała tam i z powrotem po upiornym, wyłożonym ciemną boazerią pokoju; od czasu do czasu tłukła rozpaczliwie pięściami w drzwi, wołając, żeby ją uwolniono, ale nikt się nie zjawiał. Brutus nie przestawał szczeleć pod oknem: chyba się przestraszył wichru, który przed chwilą się zerwał. Szyby aż brzęczały pod silnymi podmuchami.

Lilly zwinęła się w kłębek na fotelu pod oknem i ze strachem wpatrywała się w czarne jak smoła ciemności nocy.

Nie mogła przestać myśleć o Dereku. Właściwie cały czas drżała z niepokoju o jego życie. Czy bardzo go poturbowali? Mogą go torturować! Pierwszy cios w głowę wyglądał po prostu strasznie, a zasypanie oczu sproszkowaną papryką to z pewnością wyjątkowo prostacki sposób obezwładnienia przeciwnika. O Boże, musiało go strasznie boleć...

Miała tylko nadzieję, że do tej chwili ból i ślepotą ustąpiły.

Wiedziała, że do końca życia nie zapomni chwil nieznośnego oczekiwania tam w alei za domem. Wspominała, jak ostrożnie starała się podejść do Dereka i jak on natychmiast wyczuł, że coś jest nie w porządku. A jednak podszedł do niej... Czemu?

Nie widziała, co się z nim dzieje. Niepewność doprowadzała ją do szału. Gdyby tylko mogła go przekonać, że nie chciała zdradzić, że próbowała go ratować. Zrobiła wszystko, co mogła, żeby ocalić mu życie.

Kiedy patrzyła w stronę stajni, jej odbita w szybie twarz wyrażała rozpacz. Dotknęła szyby. Jakim cudem mogłaby się tam przedostać? Nad jej głową w szybie odbijały się też migające, jak złote łyzy, płomyki świec w kandelabrze; widziała też odbite jak w lustrze, ogromne łoże z baldachimem, przerażające jak forteca, ze słupkami zakończonymi ostro, pale częstokołu. Odwróciła wzrok.

Czuła, że jest zimna jak lód, a serce ma ściśnięte przerażeniem. Jaki los ją czekał? Nie miała wyjścia: musiała zgodzić się na tę piekielną transakcję. Musiała ratować Dereka. Nie miała innego wyboru. W rozpaczony przeczesywała palcami złote włosy. Może najlepiej byłoby, gdyby Derek nigdy się nie dowiedział...

Dopiero po chwili dotarł do niej szmer kroków w korytarzu za drzwiami. Odwróciła się i z szaleńczo bijącym sercem spojrzała w tamtą stronę.

Edward?

Krew odpłynęła jej z twarzy. O Boże, czy teraz będzie musiała wypełnić swoje zobowiązania?

Wiedziała, że wieczorem Edward zaszył się w biurze z jakimś przepukionym kapitanem jednego ze statków Kompanii Wschodnioindyjskiej i pertraktował w sprawie przeschmuglowania Dereka z Anglii do Indii. Musieli pewnie dojść do porozumienia i spotkanie się zakończyło.

Starając się jakoś okryć podartą amazonką, Lilly odeszła od okna. Stała na środku słabo oświetlonego pokoju z wysoko podniesioną głową, zdecydowana z godnością przyjąć przeznaczenie. Nie miała zamiaru chować się przed nim czy kulić pod ścianą. Nie na darmo nosiła nazwisko Balfour! Nie, nie da temu prostackiemu brutalowi satysfakcji; nie okaże strachu.

Być może nierozważna brawura Dereka, kiedy rzuciło się na niego trzech zbirów, uświadomiło jej, że teraz nie czas na walkę.

Usłyszała dźwięk wielkiego klucza, obracającego się w drzwiach i ze wszystkich sił starała się opanować przerażenie na myśl o tym, co ją teraz miało czekać.

Potężne drzwi otworzyły się z trzaskiem, ale to nie Edward stał za nimi. Powłócząc nogą, do pokoju wszedł sługa Lundy'ego; przyniósł na tacy jakieś obrzydliwe jedzenie. Kolacja... chyba najpóźniejsza w jej życiu.

Nieco pocieszona Lilly stała z oczami wbitymi w ziemię i rękami splecionymi na piersi; czekała, aż jej więzienny strażnik wreszcie wyjdzie. Przez chwilę zaświtało jej, że mogłaby przebiec obok niego i w ten sposób się uwolnić, ale nie zdobyła się na takie ryzyko. Gdyby zrobiła coś podobnego, osobą, która zapłaciłaby za to, byłby z pewnością Derek.

Nawet gdyby jakimś cudem znalazła możliwość ucieczki, zawarła przecież z Edwardem układ. Nie odważyłaby się złamać danego słowa, kiedy Derek wciąż był w jego rękach.

Stała zatem, milcząc; sługa wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Przymknęła oczy i odetchnęła nerwowo. Boże kochany... już blisko. Cóż, nie udało się odwrócić biegu rzeczy... tyle że to się odbędzie trochę później.

Świadomość, że Edward musi tu niebawem przyjść, nie dodawała jej apetytu na przyniesione przed chwilą jedzenie, zwłaszcza kiedy podniosła pokrywę. Znalazła tam miskę obrzydliwej, zimnej, już zgęstniałej grochówki z kawałkiem kości od szynki, kromkę czerstwego chleba i trochę rozwodnionego wina. Skrzywiła się i przykryła wszystko z powrotem, po czym znów podeszła do okna.

Usiadła pod grubą aksamitną zasłoną na ławeczce wbudowanej w ścianę pod oknem i znowu utkwiała wzrok w stajni. Rozglądając się po posiadłości Edwarda, myślami była na balu maskowym, na pierwszym spotkaniu z Derekiem w altanie. Pod śmiesznym daszkiem w kształcie ananasa pomyślała wtedy po raz pierwszy, że chciałaby, by tak zostało na zawsze...

A teraz proszę, jak oboje wyglądają.

Och, gdybym mogła sprawić, żeby to wszystko wydarzyło się jeszcze raz, myślała z coraz większym żalem, popłynęłabym z nim wtedy gondolą po jeziorze.

Gdyby wiedziała, że go pokocha, pozwoliłaby mu nawet zrujnować swoją reputację, właśnie wtedy.

Prowizoryczne więzienie Dereka nie było na tyle wysokie, żeby mógł w nim stanąć, więc ludzie Lundy'ego wrzucili mu do klatki pustą skrzynkę, na której siedział.

Rozwiązali mu na chwilę ręce, tak że mógł przepłukać oczy wodą. Ostrzegli go przy tym, że za jego każdy nieodpowiedni ruch zapłaci Lilly, a twarz mógł wytrzeć dopiero, kiedy go znowu zakuli w łańcuchy.

Wiedział, co jej grozi, więc pozwalał robić ze sobą, co chcieli. Ale pod pozorami spokoju buzował gniew. Jeżeli któryś z nich ją skrzywdził, zapłaci za to.

Teraz siedział na drewnianym pudle, oparty plecami o metalowe pręty klatki, z nogami wyciągniętymi przed siebie i rękami związanymi z tyłu. Głowa nadal bolała po uderzeniu.

Nie miał pewności, jak wszystko się potoczyło. Co wydarzyło się, kiedy był odwrócony? Coś musiało odciągnąć uwagę Lundy'ego.

Nienawidził myśli, że Lilly mogła wykorzystać informację, którą jej powierzył zeszłego wieczoru, i zrobiła coś, o czym nie powinna była nawet pomyśleć. Coś nierozważnego.

Wiedział tylko jedno: musi ją stąd wydostać. Wymyśli jakiś sposób.

Słyszał już, że mają go wyprawić do Indii, przemycić z Anglii razem z towarem na statku handlowym Kompanii Wschodnioindyjskiej. Ale ci ludzie nie znali go zbyt dobrze. Nie miał bynajmniej zamiaru wrócić i powiedzieć pułkownikowi Montrose'owi, że nie wykonał polecenia. Nadal obowiązywały go rozkazy, a dostał taki, żeby wyjaśnić sprawę funduszu przeznaczonego na potrzeby armii i wyegzekwować pieniądze należne żołnierzom, niezbędne do skutecznej walki z imperium Marathów.

Nie mógł pozwolić, żeby tacy ludzie, jak Ed Lundy przeszkodzili mu w wykonaniu zadania.

Trzeba działać przemyślanie i planowo.

Musi się uwolnić. To może wymagać odrobiny finezji. Lundy kazał go pilnować trzem najważniejszym spośród zbirów.

Paskudna trójka. Przypatrywał się im przekrwionymi, bolącymi oczami. Prowodyrem był Bates, Jones chyba jego pomocnikiem, a najmłodszy Maguire mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. O ile Derek sobie przypominał poprzednią, bardziej przyjacielską wizytę w stajni Lundy'ego, właśnie Maguire stracił palce w pysku tego potwora, Brutusa.

Kiedy już zamknęli więźnia, nie minęła godzina, gdy zdecydowali, że najlepiej będzie zabić nudę grą w karty. Rozsiedli się pod latarnią, którą Maguire umieścił na prowizorycznym stoliku - wypaczonej desce, ułożonej na drewnianej skrzynce, podobnej do tej, którą dali Derekowi.

Obserwował ich dłuższy czas niezauważony. Przerwali grę, bo doszło do kłótni.

Dereka dzieliła od wolności tylko ta trójka i klatka. Dotychczas nigdy nie zdarzyło mu się zabić Anglika; nie sądził, że mógłby wykorzystać swoje doświadczenie wojskowe w walce z rodakiem.

Jeżeli wystarczy im rozsądku, pomyślał, będą wiedzieć, kiedy odsunąć się na bok.

- Panowie, przepraszam, że wam przeszkadzam w grze. Nie myślę, że to wy chcieliście mnie zabić - odezwał się do nich swobodnie - ale rana na karku jeszcze mi krwawi. Mógłbym prosić o kawałek bandaża?

Uprzejmy ton jego głosu chyba ich zaskoczył. Jones się roześmiał.

- Nieźle mu dołożyłeś, co nie, Bates?

- To nic osobistego, majorze. - Bates zarechotał. - Nigdy nie miałem nic przeciwko panu.

- Ależ to oczywiste - zapewnił Derek dżentelmeńsko.

- Maguire! Daj mu bandaż i jakąś moką szmatę. Nie zaszkodzi, jeśli ten łotr trochę się obmyje. Solidnie dostał i trzeba powiedzieć, że przyjął to, jak trzeba.

- Robi się, sir.

Kiedy Maguire wyszedł do graciarni, Derek podniósł się i stanął z pochyloną głową, dotykającą niskiego stropu klatki. Przysunął się najbliżej, jak mógł, do ściany klatki, najbliższej grających. Maguire przyniósł czystą białą szmatę, zazwyczaj używaną do bandażowania nóg koniom.

- Czekajcie, zamoczę mu ją - powiedział Jones z szelmowskim uśmiechem, biorąc szmatę od Maguire'a. Bandzior podszedł do najbliższego boksu, zmoczył szmatę w wiadrze z wodą dla konia i wyjął jedną ręką.

Wielkoduszność Batesa nie sięgała aż tak daleko, żeby pohamować „żart” Jonesa. Obaj, on i Maguire wybuchnęli śmiechem na tę beczelną obrazę, kiedy Jones podał Derekowi kapiącą szmatę.

- Rozkujesz mnie, czy zechcesz sam opatrzeć mi ranę? - spytał Derek łagodnie.

Jones parsknął.

- Za cholerę tego nie zrobię!

- Co na mnie patrzysz? - zdenerwował się Maguire. - Nie dotknę tego gościa.

- Och, obaj powinniście wisieć! Co za beznadziejna para... - Bates wyjął z kieszeni klucz do kajdan Dereka. - Odwróć się, eleganciku. I lepiej nic nie próbuj, bo strzelamy. Zrozumiano?

- Raczej tak.

Po chwili Derek miał wolne ręce. Roztarł zdrętwiałe przeguby, podziękował Batesowi za uprzejmość jak pokorny niewolnik i wziął szmatę zmoczoną w wodzie z końską śliną.

Oby tak dalej...

Usiadł na drewnianej skrzynce i pod ich czujnymi spojrzeniami oparł guz na tyle głowy. Pogapili się jeszcze trochę i przestali na niego zwracać uwagę.

On wciąż szukał drogi wyjścia. Do diabła, gdyby głowa nie bolała go tak okropnie, pewnie łatwiej i szybciej obmyśliłby jakiś plan.

- Cholernie tu cicho - zauważył Jones, zerkając w stronę Dereka.

- No! - zgodził się Bates - aż za spokojnie. A ty, majorze, jeżeli coś kombinujesz, daruj sobie. Chyba że ci się marzy lanie.

- Albo kulka w serce - wymamrotał Jones, pociągając z butelki potężny łyk whisky. - I lepiej nie zwracaj sobie głowy tym, jaki to interes twoja damulka zrobiła z szefem.

Derek przysunął się do przodu, patrząc na Jonesa.

- Co takiego? Maguire zaczął się śmiać.

- Ale wstyd, nie? Taka dama jak ona i w ogóle... ?

- Była dama - poprawił Jones.

- No tak, była. Aż do dziś! - zgodził się Maguire.

Ryczeli ze śmiechu.

- Szef powiedział, że ją będzie miał tak czy owak, co nie?

- Cwany ten nasz Lundy.

- No! Dlatego on jest bogacz, a my nie.

- Co za... interes? - spytał jeszcze raz Derek głębokim, niemal zło wrogim głosem. Włosy mu stanęły na głowie. Omalże czuł, jak krew w żyłach zaczyna mu się gotować.

To pytanie wywołało jeszcze większą wesołość.

- On chce wiedzieć, jaki interes!

- Ja myślę! Nie zwracaj pan sobie tym swojej pięknej główki, majorze Knight.

- No chyba... przecież tylko dlatego jeszcze żyjesz - mruknął Jones, wyszczerzając zęby w szyderczym uśmiechu.

Derek chwycił pręty klatki.

- Bates!

To jedno słowo, pełne przerażenia i rozpacz, wyrażało żądanie odpowiedzi; Bates jednak się zawahał.

- Można powiedzieć, że twoja mała Lilly obiecała wyświadczyć panu Lundy'emu pewne... przysługi - odezwał się Maguire.

- Słodka była, co nie, kiedy tak błagała o życie tego łajdaka! - drażnił się z nim Jones, ale Bates wyciągnął rękę nad stołem i trzepnął go po głowie.

- Mordy w kubet! Nie musi wiedzieć wszystkiego. - Zwrócił się do Dereka, ucinając jego pytanie, zanim ten zdążył je zadać. - Nie myśl o tym! Ta mała głuptaska sama się podłożyła.

- Wiesz chyba, że włamanie to przestępstwo - włączył się Maguire. - Pan Lundy mógł ją oddać w ręce policji.

- Włamanie? - W mózgu Dereka zaświtało straszliwe podejrzenie.

- No, no, wy dwaj! Zawrzyjcie gęby! - krzyknął Bates.

Derek nie chciał ich wypytywać; a jeszcze bardziej by się na nim wyżywali. Wszystko zaczynało mu się układać w głowie.

Sam siebie przeklinał.

Och, Lilly!

Przymknął ciągle jeszcze piekące oczy, a przez myśl przelatywały mu tysiące przekleństw. Ból rozsadzał mu głowę.

Muszę nas stąd wydostać.

Spokojnie pomyśleć...

Koniecznien trzeba wywołać zamieszanie.

Wydostanie się z tej klatki; jeden z tych trzech zostanie w niej w zastaw po jego ucieczce.

Marząc o tym, żeby rozedrzeć na strzępy tych ludzi, a zwłaszcza Lundy'ego, Derek w jakiś dziwny sposób odzyskał samokontrolę, chłód i spokój. Oparł się o pręty klatki i odchrząknął.

- Moglibyście mi dać się napić? - Popatrzył na nich bystro.

- Nie dziwię się! Po tym, co usłyszałeś o swojej małej przyjaciółeczce... - Jones chichotał.

- Upierdliwy jesteś, majorze - mruknął Bates. Skinął na Jonesa. - Daj mu trochę swojej whisky.

- Jeszcze czego! Daj mu twojej!

- Rób, co ci mówię - powtórzył Bates z lodowatym spojrzeniem. - Tak ma być. Spytaj się o to tego żołnierza. - Wskazał głową klatkę. - Anglik nie maltretuje więźniów. Nie jesteśmy dzikusami.

To do dyskusji, pomyślał Derek.

Jones prychnął, ale chyba sobie przypomniał, że major poświęcał życie, broniąc tej samej Anglii, którą i on nazywał swoim domem.

Derek ukrył zadowolenie.

Ze skwaszoną miną Jones kopnął stołek i wstał. Capnął cynowy kubek, z którego pił Maguire.

- Ej! - zaprotestował chłopak, ale Jones nie zwrócił na niego uwagi; wlał trochę whisky do kubka i niedbałym krokiem szedł do klatki.

Derek spokojnie czekał, aż Jones podejdzie jak najbliżej. Miał w sobie piekielną zaciekłość, jakiej nauczyły go lata wojny. Jakaś ciemną moc. Nie chciał zrobić temu człowiekowi krzywdy, ale skoro już...

W tym momencie liczyła się tylko Lilly.

Jones zauważył chyba dziwne spojrzenie Dereka, bo jakby się zawahał i ościągął, zanim trochę nieufnie wyciągnął rękę z kubkiem.

Miał rację, że się bał.

Derek w ogóle nie zwrócił uwagi na kubek, tylko złapał Jonesa za ramię i przyciągnął; wcisnął mu twarz w pręty klatki tak, że ten wył z bólu. Odwrócił go i skrzył mu ramię, aż znalazło się daleko za plecami. Lewą rękę wysunął przez kraty i chwycił za gardło. Zaczął go dusić.

- Jeżeli chcecie, żeby żył, otwierajcie klatkę.

Wszystko stało się tak nagle, że Bates wypluł z ust whisky, podczas gdy Jones młócił wolną ręką powietrze, a Maguire gapił się na wszystkich z głupią miną.

- Zrób to! - ryknął Derek. Nie ruszali się dostatecznie szybko. - Chcacie, żebym mu złamał kark?

Wzmocnił chwyt. Twarz Jonesa nabrała szkarłatnej barwy, a z ust wydobywały się dziwne chrapliwe odgłosy. Wolną ręką szarpał dłoń, miazdzącą mu gardło, ale Derek coraz mocniej ścisnął.

- Albo mnie wypuście, albo go zabiję.

- Ty cholerny awanturniku z kolonii - wrzasnął Bates i sięgnął po widły. - Puścisz go albo cię na to nadzieję! - Wsunął widły przez pręty klatki i pchnął nimi Dereka.

Derek wywinął się, kiedy jednak Bates spróbował znów go dźgnąć, nie miał innego wyjścia, tylko puścić jeńca. Ale udało mi się chwycić widły. Wydarł je Batesowi z rąk i wciągnął do klatki. Obrócił drzewce, by móc użyć teraz wideł jako broni; Jones, uwolniony, łaknął jego krwi.

Podszedł do porzuconego płaszcza Dereka i wyciągnął duży kawalerski pistolet.

- Już jesteś martwy, ty bydlaku - wybełkotał, rozcierając sobie gardło.

Kiedy Derek zobaczył, że Jones ładuje broń, wiedział, że musi zareagować natychmiast.

Przesunął widły przez pręty klatki, kiedy tamten podnosił pistolet; chwycił widły jak Posejdon trójząb i cisnął nimi najlepiej, jak tylko mógł z niewygodnej, zgiętej pozycji.

Trafiły w cel.

Jonesowi broń wypadła z rąk, kiedy usuwał się z drogi. Strzał poszedł górą, gniotąc pręty klatki, lecz jej nie rozwalił, a zbir runął na ziemię przewracając prowizoryczny stół do gry. Wszystko, co na nim stało, wyleciało w powietrze.

Karty fruwały jak kolorowy deszcz; latarnia olejna i dwie otwarte butelki whisky wystrzeliły o jakieś trzy-cztery jardy od klatki i spadły na wiązkę suchego siana.

Maguire zaklął przerażony, bo siano natychmiast buchnęło płomieniem.

Lilly uniosła zalaną łzami twarz: usłyszała dochodzące z zewnątrz jakieś dziwne odgłosy. Leżała zwinięta w kłębek w małej niszy pod oknem i musiała na chwilę zasnąć. Jeszcze nie czuła zapachu dymu. Groźny pies Edwarda czekał nieustannie i rozlegały się przeraźliwe krzyki ludzi.

Co u licha?

Usiadła i zdjęta strachem wyrzwała przez okno.

Widok był straszny. Płonęła stajnia.

Dym wydobywał się z okien boksów końskich, dach już lizały płomienie. Konie przerażone ogniem miały się jak szalone.

Ludzie Edwarda z twarzami owiniętymi szmatami biegali z wiadrami wody, kilku wpadło do stajni, żeby ratować pozostałe tam konie. Próbowano zdławić ogień, ale pożar rozprzestrzenił się błyskawicznie.

Jeden rzut oka upewnił Lilly, że wspaniała stajnia Edwarda za chwilę spłonie doszczętnie; dręczyło ją jednak pytanie: Gdzie jest Derek?

Nie widziała go.

Otworzyła okno i chwyciła rękami za parapet. Nic nie mogła dojrzeć przez kłęby dymu.

Boże! Gdzie on może być? Czyżby był w środku?

Coś jej mówiło, że właśnie to jest przyczyną pożaru. Wyczuwała podświadomie, że musi Derekowi pomóc.

Zerwała się na równe nogi, przebiegła przez pokój i zaczęła walczyć z ciężkimi drzwiami. W bezsilnej złości waliła pięściami, wzywała służących.

Nikt się nie zjawił.

Rozwścieczona beznadziejnością sytuacji podbiegła do okna, wiedząc, że teraz jest zdana tylko na siebie.

Było za wysoko, żeby mogła skoczyć, w dodatku pod oknem warował groźny pies. Kiedy wychyliła się jak najdalej, by ocenić możliwości ucieczki, dostrzegła ustawiony na prawo od niej opleciony bluszczem treliarz. Gdyby jej się udało przesunąć w tamtą stronę, mógłby jej posłużyć jako drabinka, po której zesłaby na dół.

Ale co z psem?

Teraz wiedziała, dlaczego Edward kazał właśnie tu przywiązać psa. Żeby uniemożliwić ucieczkę. Zanim stanęłaby na ziemi, Brutus by ją rozszarpał.

Nagle jej wzrok padł na jedzenie, przyniesione na tacy przez służącego.

Uniosła pokrywę. Wyglądało jeszcze bardziej obrzydliwie, zimne i zaskorupiałe. Ale ten pies nie był chyba zbyt wybredny. Ze wstrętem wyciągnęła z garnka zatłuszczoną kość i strząsnęła z niej resztki zupy.

Wiedziała, że jej pomysł to czyste szaleństwo. Ale wiedziała też, że musi działać. Jeśli ona nie pomoże Derekowi, nikt tego nie zrobi. Bandziory nie będą ryzykować życia, żeby go ratować, skoro i tak miał przecież zginąć.

Z sercem walącym w piersi, krzywiąc się z odrazą, wsunęła kość za podarty stanik sukni. Wgramoliła się na okno i wychynęła na zewnątrz. Stojąc, odwracała się powoli, aż plecami dotknęła muru i powoli posuwała się wzdłuż ozdobnego obmurowania. Każdy krok budził przerażenie. Zerknęła w dół i zrobiło jej się niedobrze.

Modliła się, żeby się nie poślizgnąć, nie stracić równowagi. Kiedy wreszcie dotarła do szczytu treliarzu, kolana jej się trzęsły, a palce miała wilgotne od potu. Nie ułatwiało to przemieszczania się, a na dodatek obrzydliwa kość wpadła głębiej za dekollet.

- Au! - mruknęła, kiedy ukuła się kolcem róży, zsuwając się po kratownicy.

Nagle Brutus zauważył Lilly.

Jego łańcuch zabrzączał, pies zaczął szczekać, podbiegając pod ścianę. Pisnęła ze strachu, gdy podskoczył i kłapnął zębami tuż przy jej nogach. Krzyknęła, kiedy przy następnej próbie Brutus dosięgnął pyskiem trenu amazonki i opadł na ziemię, targając materiał.

Trzymając się z całych sił kraty, żeby ocalić życie, zawołała psa głosem, który - miała nadzieję - brzmiał przyjacielsko. Wyciągnęła zza stannika kość i pomachała nią, by pies wyczuł zapach.

Brutus przestał szczekać i zaczął węszyć.

Oceniała sytuację: rzucić kość jak najdalej, w przeciwną stronę do tej, w którą Lilly będzie biec, ale gnat musi upaść w zasięgu łańcucha.

Gdyby potwór chwycił przynętę, miała zaledwie kilka sekund, żeby zeskoczyć i odbiec dalej, niż sięgał jego łańcuch.

A jeżeli łańcuch się zerwie?

Wtedy pies ją zagryzie. Okropna śmierć.

Ale nie tak okropna jak spalenie żywcem.

Derek. Musi myśleć o Dereku. Wiedziała, że na nią czeka. Czują to. Liczył się czas.

Zamachała kością energicznie.

- B...Brutus! Patrz, co mam! Kąsek dla ciebie! Tak! No, teraz... Do bry piesek!

Pies skoczył w górę, ale tym razem jego celem była kość od szynki, nie Lilly.

- Dobry piesek! Łap! - Rzuciła kość.

Łańcuch brzęknął, kiedy Brutus pognął za nią.

Lilly zeskoczyła z treliazu, upadła na trawę, podniosła się i popędziła w stronę stajni. Zaparło jej dech, kiedy usłyszała za sobą brzęk łańcucha.

Potknęła się, przestąpiwszy brzeg podartej spódnicy, i potoczyła do przodu.

Szczekanie brzmiało teraz jak kanonada armatnia.

Kiedy zerknęła przez opadające na twarz włosy, Brutus niemal ją dogonił. Pędził wprost na nią z szeroko rozwartym, zaślinionym pyskiem. Myślał pewnie, że to arena, na której zwykł walczyć.

Nagle stanął, łańcuch się naprężył. Mordercze szczęki kłapnęły dosłownie o parę cali od twarzy Lilly.

Ale łańcuch trzymał mocno.

Przerażona powoli się odczołgiwała.

Boże jedyny, jak mogłam kiedykolwiek myśleć o wyjściu za mąż za człowieka, który trzyma w domu taką bestię?

Kiedy do niej dotarło, że Brutus jej nie pożarł, że nadal jest żywa, zdołała wstać i ruszyła w stronę stajni.

Nikt na nią nie zwrócił uwagi aż do chwili, kiedy zbliżyła się do płonącego wejścia. Czuła już żar płomieni. Gryzący, gęsty dym zatykał nozdrza i drażnił oczy.

Najpierw usłyszała grzmiący głos, dopiero po chwili spostrzegła Edwarda. Był przerażony.

- Łapcie te konie, zanim uciekną! Zapłacie mi za nie!

Dostrzegła go przez gęstą zasłonę dymu. Biegał tam i z powrotem, łapał się za głowę i wrzeszczał na swoich ludzi.

- Tam lejcie wodę. Tam, mówię! - Wymachiwał rękami, wskazując ścianę, gdzie buchały płomienie. - Prędeż, niedorajdy, bydlaki!

Lilly pragnęła za wszelką cenę uniknąć spotkania z nim, ale musiała przejść obok, żeby dostać się do stajni. Posuwała się do przodu w nadziei, że przemknie niezauważona obok niego, ale w tym zamęcie niemal się zderzyli.

Złapał ją za ramię. Warknął, chyba tak rozwścieczony jak jego pies:

- Co tu robisz? Jak wyszłaś z pokoju?

- Puść mnie! Gdzie jest Derek?

- Wierzę, że w piekle!

- Jest tu?

- Zapomnij o nim!

Próbowała się uwolnić.

- Pozwól mi go stąd wydostać!

- Zasłużył, żeby się spalić! Patrz, co narobił!

Gwałtownym gestem wskazał stajnię.

- Nie pozwolę ci go zabić.

- Zamknij buzię, do diabła!

Nie było czasu, by walczyć; a gdy chodziło o życie Dereka, na pewno nie było czasu, żeby walczyć honorowo. Lilly odwróciła się i z całej siły kopnęła Edwarda w podbrzusze.

Ryknął, puścił jej rękę i padł na kolana; skręcając się z bólu, trzymał za krocze.

Lilly wyrwała się i wbiegła do płonącej stajni.

Uwolniony koń wybiegał akurat na zewnątrz z chmury dymu i o mało jej nie przewrócił, ale zdążyła uskoczyć. Zakrywając rękawem nos i usta, pobiegła w głąb.

- Derek! Derek! - Widziała nie dalej jak na jard, było gorąco niczym w piekle. - Derek! Gdzie jesteś? Odezwij się?!

I wtedy, przez trzaski i syk ognia usłyszała rytmiczne walenie dochodzące z głębi stajni. Łomotanie w metalowe pręty.

Derek!

Dzięki Bogu jest przytomny i walczy jak lew, próbuje sforsować drzwi klatki. Tak sobie pomyślała.

- Derek, idę do ciebie!

- Lilly? - Łomot ustał. Usłyszała kaszel. - Lilly!

Mimo gęstego dymu dojrzała klatkę pośrodku przejścia między bokami. Na myśl o tym, co zrobili z Derekiem, ogarnęła ją furia, ale się opanowała.

Zobaczyła go skulonego, z twarzą nisko przy podłodze. Przerwał forsowanie drzwi klatki i schylił się, żeby nabrać powietrza, które przy ziemi było trochę chłodniejsze.

- Lilly! - Wyprostował się, na ile mógł w niskiej klatce. Podbiegła bliżej.

Patrzył na nią z niedowierzaniem, kompletnie oszołomiony.

- Co ty tu robisz? Musisz się stąd wydostać!

- Tylko z tobą!

- To zbyt niebezpieczne! Uważaj, pręty już są gorące - ostrzegł, starając się ją zatrzymać. Twarz miał mokrą od potu, wpatrywał się w Lilly zaczerwienionymi oczami.

- Spójrz w górę, Lilly! Sufit się pali. W każdej chwili może runąć. Uciekaj stąd. Już.

Nie słuchała go, rozglądając się dookoła.

- Chyba nie zostawili tu klucza?

Pokręcił głową.

- Nie. Kochanie - powiedział cicho. Była zdumiona jego spokojem. Gwałtownie przełknął ślinę. - Dla mnie nie ma wyjścia. Ale ty musisz uciekać.

- Nie.

- Proszę cię. -Wysunął rękę przez pręty i dotknął jej dłoni. - Po prostu ratuj siebie.

- Nie! - powtórzyła z jeszcze większą siłą. - Muszę cię stąd wyrwać! Chcę, żebyś wiedział, że to nie ja wciągnęłam cię w zasadzkę.

- Wiedziałem, że to nie twoja wina.

- Wiedziałeś?

- Naturalnie. A teraz słuchaj mnie. Musisz uciekać.

- Nie zostawię cię.

- Lilly! - szepnął. - Kocham cię.

Wstrzymała oddech i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Derek... - W jej oczach pojawiły się łzy. Sięgnęła przez kraty i wzięła go za rękę. - Ja też cię kocham.

Na Boga, póki życia, nie pozwoli, żeby człowiek, którego pokochała, umarł; a zwłaszcza zginął w taki sposób. To byłoby po prostu nieuczciwe. Nie po to przeżył tyle bitew, żeby teraz umrzeć tu, zamknięty w klatce.

- Nie pozwolę, żeby ci się coś stało - powiedziała z taką pasją, że po prostu oniemiał.

Zacisnąwszy zęby, odbiegła od niego i zniknęła w dymie. Znowu nabrała odwagi.

- Lilly, uważaj!

Spojrzała w górę i zobaczyła nad głową płonącą belkę. Zdołała uskoczyć, nim belka spadła.

- Nic ci nie jest? - wołał Derek łamiącym się głosem.

- W porządku! - odkrzyknęła Lilly, choć serce jej waliło. Wiedziała, że natychmiast musi coś wymyślić. Stajnia zaczynała się walić. - Pracuj nad drzwiami, dobrze?

- Nie jestem pewny, czy to ma sens. - Spojrzał na nią z bezbrzeżnym smutkiem. - Proszę...

- Nawet mi nie mów, że mam uciekać! - rzuciła, zanim zdążył jej wydać nieznoszący sprzeciwu rozkaz. - Cokolwiek się zdarzy, nie zostawię cię tu.

Rzuciła się w kłęb dymu przed sobą i już po chwili była z powrotem. Dźwigała szuflę na długim stylisku, którą znalazła na pogorzeliisku.

- Dobrze! - wykrzyknął z trudem Derek; kaszlał i odganiał dym. - Daj mi to i, do diaska, uciekaj!

Lilly spojrzała na niego.

- Odsuń się!

- Lilly...

Trzask!

- Jezu! - Derek cofnął się o krok.

Z całej siły zamachnęła się szuflą i walnęła w metalowy zamek.

Drzwi podskoczyły, ale zamek trzymał.

Uderzyła jeszcze raz.

Derek patrzył na to w ponurym milczeniu; nie protestował. Może zdał sobie sprawę, że będąc w środku, nie mógłby ustawić się odpowiednio ani mocno zamachnąć.

Pewnie się modlił - tak gorąco jak ona.

Lilly raz po raz uderzała w zamknięte drzwi, coraz silniej, szybciej, z większą zaciekłością, ale bez rezultatu. Z dzikim okrzykiem furii jeszcze raz rąbnęła z całej siły.

Metalowe zawiasy puściły z brzękiem.

Odrzuciła szuflę, a Derek kopnięciem wywalił drzwi i wpadł wprost w jej ramiona.

- Uciekajmy stąd! - wyszeptał.

Lilly kiwnęła głową. Dygotała. Objęci biegli w stronę wyjścia ze stajni, ale nie mogli tam dotrzeć. Derek się szybko rozejrzał. Mrużył oczy od dymu.

Lilly podziwiała jego spokój; będąc żołnierzem, na pewno nieraz znajdował się w takim dymie, chaosie i zniszczeniu.

- Tam.

Wskazał drogę przez dym. Płomienie nie dotarły jeszcze do ostatniego boksu. Otwarte okno stanowiło najlepszą drogę i prawdopodobnie ostatnią szansę ucieczki.

Przebiegli pędem przez stajnię i dotarli do okna. Podniósł Lilly do góry jak piórko i postawił na parapecie.

Zeskoczyła na trawę, za nią Derek. Wzięli się za ręce.

Zostawiając za sobą posiadłość Edwarda w chaosie i zniszczeniu, zniknęli w ciemnościach.

Strzelają do nas! - krzyknęła Lilly, patrząc przez ramię, kiedy ogłuszający huk rozdarł powietrze.

- Na ziemię! - Derek przykrył ją własnym ciałem; po chwili znów bieg

li przez posiadłość Edwarda. - Zaraz będziemy poza zasięgiem strzałów!

Biegli pochyleni w stronę żelaznego ogrodzenia.

Piękne konie Lundy'ego jak szalone biegały tam i z powrotem po parku; w grupach albo pojedynczo. Tuż przed nimi pojawił się jak duch, szary koń, wpadł na klomb azalii i pogalopował dalej.

- Złapałbym któregoś, żeby stąd jakoś wyjechać - mruknął Derek.

- Nie trzeba: ukryłam kasztankę w lesie. Zresztą tu jest płot.

- Doskonale. Chodźmy, kochanie. - Lilly kaszłała. Płuca wciąż miała pełne dymu.

Znów rozległ się strzał; krzew bukszpanu rozsypał się, obsypując ich deszczem liści.

- Właż! - rozkazał. Podstawił jej złożone dłonie i podsadził na żelazny płot.

Weszła na „strzemień” z jego rąk i chwyciła za sztachety, podciągając się do góry. Ostrożnie sprawdziła, czy długa spódnica o coś nie zahacza, i skoczyła, niezbyt wdzięcznie, na drugą stronę.

- Nie masz czasem manierki z wodą? - Derek przeskoczył przez płot z taką łatwością, jakby codziennie to robił.

- Niestety, nie. - Patrzyła z podziwem na jego ruchy, gracją przypominające wielkiego kota. - Musisz być strasznie spragniony...

- Przeżyję. Znajdźmy twojego konia.

- Chyba tędy...

Biegli przez lasek na skraju drogi. Lilly nie mogła sobie przypomnieć, gdzie uwiązała Mary Niezrównaną; miała zamęt w głowie po tych okropnych przeżyciach, no i było ciemno.

Derek cierpliwie szedł obok niej w milczeniu. Od czasu do czasu cicho przywoływał swoją byłą podopieczną.

- Tu jest - powiedział nagle, wskazując wielki cień między drzewami. Podbiegli do potulnej klaczy. Cugle się odwiązały, ale nie odeszła da leko. Cicho zarżała na ich widok.

Derek ściągnął mocniej popręg i podsadził Lilly na siodło.

- Możesz jechać.

- Co takiego?

- Klacz nie uniesie nas oboje.

- Ależ uniesie!

- Nie kłóć się ze mną. Jedź. Będą cię ścigać. Ja tu zostanę i zatrzymam ich. Jedź do Gabriela.

- Nie! Nie mam zamiaru znowu cię stracić. Jedziesz ze mną. Do diabła, Derek, jesteś ranny, bez broni i sam wobec takiej liczby...

- Lilly, ja mogę...

- Wiem, że możesz! Ale nie chcę, żebyś to robił. Nie ma nic, co by to usprawiedliwiało! Po prostu chcę, żebyś jechał ze mną. Proszę, Derek... Nie mogę cię stracić.

Popatrzył w niebo. Księżyc oświetlał srebrem jego postać.

- Lilly, jeżeli on... zmusił cię, musi umrzeć.

- Nie. Nic takiego się nie stało.

Badał przenikliwym wzrokiem jej twarz.

- Mówisz prawdę?

- Tak. - Głos jej zadrżał. - Pchnął mnie na ścianę i groził, ale wydostałam się stamtąd, zanim cokolwiek gorszego się wydarzyło. Derek, proszę cię! Musisz jechać ze mną, inaczej zwariuję. Musimy stąd odjechać razem.

Był zdenerwowany.

- Razem nie zajdziemy daleko, Lilly. Koń jest za słaby.

- Więc będziemy jechać tyle, ile klacz wytrzyma, potem ukryjemy się. Daj jej szansę, Derek. Jest silniejsza, niż przypuszczasz. Możliwe że cię zaskoczy. A teraz, na litość boską, skoro ci ocaliłam życie - włąźże na tego konia!

Rzucił jej powątpiewające spojrzenie, ale w końcu ustąpił i wskoczył na konia. Jedną ręką chwycił lejce, drugą obejmował Lilly w pasie. Klacz szybko przebiegła przez las i wydostała się na drogę.

- Dalej, moja mała. Miejmy nadzieję, że jesteś szybsza, niż się wydaje.

Trącił Mary Niezrównaną nogami i popędzili wiejską drogą.

Kasztanka wyczuła chyba ich desperację i jakby zapomniawszy o ciągle jeszcze bolesnych ranach na grzbiecie, dawała z siebie wszystko, gdy galopowali w ciemnościach.

Mówiąc prawdę, Lilly bardziej martwiła się o Dereka.

- Jak twoja głowa? Oczy?

Mruknął coś wymijająco.

- Więc myślałaś, że uda ci się włamać do biura Lundy'ego - szepnął jej do ucha z cichą, ale wyraźną irytacją. - To był chyba nie najlepszy pomysł, kochanie.

- No tak... teraz to wiem. Ale zanim mnie zbesztasz, wiedz, że do-
wiedziałam się paru rzeczy, o których chciałbyś wiedzieć.

- Na przykład?

- Miałaś rację. Edward ma problemy finansowe i wiem, dlaczego. Te trzysta tysięcy funtów wsadził w jakiś podejrzany projekt budowy kanałów.

- Kanałów? - Ciekawe. - Gratuluję ci, Lilly.

- I jest jeszcze coś więcej. Pani Lundy wcale nie pojechała na Jamajkę dla podratowania zdrowia. Znalazłam w biurze tajny list od niej do Edwarda, wyraźnie wskazujący na jakieś kłopoty z ich tamtejszymi plantacjami.

- Plantacje. Oczywiście! - Chwilę zastanawiał się nad czymś. - Lundy musi je sprzedać. Wiesz, kiedy już myślał, że ma mnie w ręku, przyznał się do zabrania tych pieniędzy. Ale zarzekał się, że już znalazł środki na spłacenie tego, co „pożyczył”. Wysłał matkę po to, żeby sprzedała plantacje jak najszybciej i najdyskretniej, chyba jest początkiem takiej operacji.

- To z pewnością zwróci mniejszą uwagę, niż gdyby zaczął sprzedawać swoje posiadłości w Anglii. Każdy zaraz by wiedział, że Lundy ma długi, a wtedy natychmiast straciłby swoją pozycję.

- Nie zapominaj, że zmienił plany małżeńskie, przedkładając nad ciebie Bess Kingsley i jej posag.

- To prawda - przyznała Lilly ponuro.

- Zaczął sprzedawać biżuterię - mówił Derek. - Pewnie w nadziei, że to mu pozwoli zachować trochę gotówki, zanim matka wróci, a on się ożeni. Dlatego wysłał mnie, żebym szukał wiatru w polu.

- Co?

Derek parsknął z obrzydzeniem.

- Próbował mnie nastawić przeciwko każdemu członkowi komisji z wyjątkiem siebie.

- Tak, pożar w stajni doprowadził Lundy'ego do zguby. Widziałam go tam. Wrzeszczał, że jest zrujnowany.

- Znaczy, że w tej chwili jest najbardziej groźny. Czuje się przyparty do muru. Nie ma już nic do stracenia.

- Boże... Derek... mogłeś przecież umrzeć.- Odchyliła się w tył i dotknęła jego twarzy. - Szczęście, że nic ci się nie stało.

- Dzięki tobie. - Ucałował jej palce. - Nie mogę uwierzyć, że uratowałaś mi życie - powiedział cicho.

- Cieszę się, że mi się udało.

- Byłaś niewiarygodnie odważna, wiesz?

Uśmiechnęła się.

Pocałował ją w skroń. Jechali dalej.

- Naprawdę tak myślę, jak wtedy powiedziałem. Lilly - wyszeptał. - Kocham cię.

Przytuliła się mocniej do niego.

- Ja też cię kocham. I wiem, że tak myślisz. Zawsze mówisz to, co myślisz, prawda?

- Hm... obawiam się, że tak.

- To jedna z twoich najwspanialszych cech.

- Wobec tego pozwolisz, że cię spytam. Dlaczego pachniesz szynką?

Parsknęła śmiechem.

- Nie myśl sobie nic złego! To cena, jaką musiałam zapłacić, żeby cię uratować.

- Och, nic złego nie myślę. Ta szynka to po prostu jeszcze jeden powód, żebym chciał cię zjeść.

- Jesteś okropny.

- To jedna z moich najwspanialszych cech. - Z kpiącym śmiechem popędził konia. - No, dalej, mała! Nie zwalniam!

- Jedź, proszę cię, Mary. Jesteś nam potrzebna!

- Nie da rady dłużej utrzymywać takiego tempa. Musimy zjechać z drogi - stwierdził Derek. Głos mu spoważniał. -Jadą za nami.

- Widzisz ich? - Lilly, wystraszona, zerknęła przez ramię.

- Nie, ale Mary ich słyszy. - Wskazał uszy klaczki. Lilly podziwiła jego umiejętność odczytywania reakcji zwierzęcia; przywykł do zdawania się na instynkt wierzchowca, który w wielu szarżach kawaleryjskich ratował mu życie. - Trzymaj się.

Derek pociągnął za lejce, dzięki czemu galop przeszedł w trucht. Klacz skierowana w bok musiała przeskoczyć nasyp i wbiec między drzewa.

Lilly nie wiedziała, na czyim terenie się znaleźli, ale już po kilku chwilach Derek skierował Mary Niezrównaną przez pola i oświetlone księżycem łąki, od czasu do czasu do czasu poprzecinane gęstym cieniem zagajników.

Kilkaset metrów od drogi znaleźli schronienie w kępie drzew. Derek ześliznął się z siodła i skinął na Lilly, żeby się przesunęła bliżej kłębu kłaczy. Sam poszedł naprzód, trzymając uzdę tak, by koń szedł cicho i bezpiecznie.

Lilly, wstrzymując oddech, patrzyła na drogę. Była zdenerwowana, ale bliskość Dereka dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Cały czas rozglądał się i trzymał rękę na karku konia.

Ludzie Edwarda pędem przejechali obok nich drogą, z której właśnie przed chwilą zoczyła kłacz.

Było ich czterech; pędzili jak szaleni. Derek i Lilly patrzyli na nich w milczeniu schowani w zagajniku.

Gnali w kierunku Londynu, unosząc za sobą chmurę kurzu.

Lilly odetchnęła dopiero, kiedy bandycka czwórka znalazła się już poza zasięgiem wzroku.

Byli tak blisko nich!

Derek odczekał jeszcze trochę, by się upewnić, że nie mają zamiaru wracać. Spojrzał z niewyraźnym uśmiechem na Lilly.

- Myślę, że niebezpieczeństwo mamy za sobą. - Rozluźnił koniowi popręg. - Wszystkim nam należy się chwila wytchnienia. Czeka nas jeszcze długa podróż.

Ciszę zagajnika zmąciło kwakanie; dobiegało z lasu po przeciwnej stronie pola.

- Kaczki? - Lilly spojrzała na Dereka.

- Kaczki oznaczają wodę - odparł z chytrym uśmieszkiem. - Chodźmy tam.

Kiedy przechodzili przez oświetlone księżycem pole, Lilly zeskoczyła z konia i szła obok. Derek sprawdził, czy nikogo nie ma na drodze; była pusta.

Cieszyła się, że coraz bardziej się oddalają od ludzi Edwarda. Im dalej od nich, tym lepiej.

Derek ma rację, pomyślała. Powinni zatrzymać się, usiąść i odpocząć, wspaniale, gdyby mogli napić się wody; muszą nabrać sił przed dalszą podróżą.

Prowadząc między sobą ufną Mary Niezrównaną, weszli na niewielki pagórek, a kiedy znaleźli się po jego drugiej stronie, nie widzieli już stamtąd drogi. Była o jakieś dwie mile za nimi.

Ostrożnie zapuścili się w las. Lilly trzymała Dereka za rękę, pozwalając się prowadzić. Gałęzie drzew trzeszczały im nad głowami. Po chwili znaleźli się na polance.

- No proszę, pełno tu kaczek - mruknął Derek.

Z serdecznym uśmiechem spojrzeli na siebie, a zaraz potem utkwili wzrok w jezioru przed nimi.

Stado kaczek wyległo na brzeg; próbowały ułożyć się do snu wśród kęp wikliny, ale na razie nie mogły przestać się klócić.

Jezioro urzekało spokojem. Odbijały się w nim gwiazdy. Po gehennie dymu i płomieni sam widok chłodnej wody działał jak balsam.

- Widziałeś kiedyś coś piękniejszego? - wyszeptła Lilly wpatrzona w drobniutkie fale na skrzającej się tafli jeziora.

- Tak...

Spojrzała na Dereka. Stał wpatrzony w nią jak w obraz.

Uśmiechnęła się i zarumieniła.

Też się uśmiechnął. Ale jezioro było zbyt wielką pokusą dla kogoś, kto dopiero co omal żywcem się nie usmażył.

Puścił jej rękę, odszedł na bok i ściągnął koszulę przez głowę.

- Idę do wody!

- Och! - wyrwało się Lilly na widok jego wspaniałego ciała; każdy muskuł lśnił w świetle księżyca.

- Chodź ze mną! - Mrugnął do niej i ruszył przed siebie.

- Ja...

Już miała mu wytknąć, że to nie wypada, kiedy sobie przypomniała noc na balu maskowym i swoje wahania.

Odmówiła mu wtedy, gdy proponował, że popłynie z nią gondolą po jeziorze i że będą się kąpać przy świetle księżyca. Nago! Tak wtedy powiedział.

Ale ona już nie była tamtą kobietą, wystraszoną, zamkniętą w klatce konwenansów.

Znajomość z Derekiem ją odmieniła. Dzięki niemu nie miała nic do ukrycia.

Los dał jej kolejną szansę... i tym razem nie mogła jej zmarnować.

- No? - zachęcał Derek z brzegu jeziora. Stał na jednej nodze, z drugiej ściągał but.

Odpowiedziała figlarnym uśmiechem.

- I ktoś by pomyślał.

Ściągnęła ostatnią wstążkę podtrzymującą włosy; potrząsnęła lokami tak, że rozsypały jej się na ramionach, i dumnym krokiem podeszła do brzegu. Zaczęła zdejmować suknię.

Przyglądał się jej z otwartymi ustami.

- Tak! - wykrzyknął radośnie.

Rzuciła mu wesołe spojrzenie przez ramię.

Wpatrywał się w nią z zachwytem i napięciem, podziwiał jej ciało. Lilly drżała, spragniona tego spojrzenia. Kiedy jednak popatrzyła w stronę wody, zdała sobie sprawę, do czego to wszystko prowadzi, i przypomniała sobie tajemnicę, której przysięgła nigdy nie zdradzić.

Stała, zasłaniając się podartym stanikiem sukni.

Co innego uciec się do kłamstwa wobec Edwarda o jej braku „nie-winności”, a co innego mówić o tym Derekowi. Bardzo pragnęła, by stali się jednością; teraz był jej tak bliski, po wszystkim, co przeszli razem. I ufała mu.

Miała nadzieję, że nie na próżno.

Wiedziała, że nadszedł moment prawdy. Chciałaby go odwlec. To z pewnością nie jest odpowiedni czas, by Derekowi zwracać głowę czymś tak okropnym, kiedy dopiero co o mało nie spłonął żywcem. Ale dopóki nie wyjawí swojej strasznej tajemnicy, dopóty nie staną się jednością. A muszą nią być.

Oboje pragnęli znaleźć swoje dopełnienie w ramionach drugiego.

Nie można było tego uniknąć. Zanadto go kochała i szanowała, żeby choćby próbować go oszukać.

Ale... O Boże! Co on na to powie?

Nie miała pojęcia. Zebrała jednak całą swoją balfourowską odwagę.

Gdyby po tym wyznaniu nie mógł jej kochać, lepiej dowiedzieć się o tym już teraz. Jeżeli ją odrzuci dlatego, że zgrzeszyła, Lilly po prostu postara się poskładać serce połamane na kawałki, które złamał on, nie kto inny.

Stała twarzą do jeziora, tyłem do Dereka; czuła, że na nią patrzy.

- O czym tak rozmyślasz, moja piękna?
Przez chwilę nic nie mówiła. Przymknęła powieki. Drogi Boże, modliła się, proszę, nie pozwól mu mnie znienawidzić...
To było stokroć gorsze od wbiegania do płonącej stajni.
- Lilly? - Podszedł do niej i delikatnie położył jej rękę na ramieniu. - Kochanie, o co chodzi?
Patrzyła na niego i znów poczuła nabożny podziw dla jego apollin-skiej urody. Długie do ramion włosy były tak czarne, że aż granatowe; srebrne cienie rzeźbiły szczupłą twarz i jakby wykute z kamienia ciało. Jasne oczy lśniły srebrzyście w świetle księżyca. Nie mogła się powstrzymać i przeciągnęła dłonią po umięśnionym torsie.
Tak bardzo cię pragnę, myślała.
- O co chodzi? - powtórzył; patrzył na nią z troską.
- Och, Derek - jęknęła. Starła się zebrać całą odwagę. - Jest coś, o czym ci muszę powiedzieć, ale... ale nie wiem, jak.
Ujął jej dłoń i przycisnął do ust.
- Lilly, kocham cię. Możesz mi powiedzieć wszystko. Cokolwiek to jest, należę do ciebie.
Patrzyła na niego niepewnie. Przysłoniła oczy rękami.
- Dobrze.
Przypatrywał się jej, czekając, co powie.
Lilly wyprostowała ramiona.
- Edward nie był jedynym, który został naciągnięty przez oszusta. Ja przeżyłam to samo... kiedy miałam zaledwie piętnaście lat. Ten człowiek mi powiedział, że mnie kocha, a ja mu uwierzyłam. - Wyprostowała się jeszcze bardziej. - Nie jestem dziewicą, Derek.
Milczał.
- Właśnie dlatego wybrałam kogoś takiego jak Edward - mówiła drżącym głosem. - Wiedziałam, że jego uda mi się oszukać. Jemu mogłam skłamać. Ale tobie... nie. Za bardzo cię kocham. - Rozpląkała się. - Bardzo cię też szanuję, Derek. I tak bardzo chciałabym zasłużyć i na twój szacunek...
Przerwała, bo ją chwycił w ramiona i przytulił. Przycisnął jej głowę tak, że się znalazła pod jego brodą, i szeptał gwałtownie:
- Zawsze cię szanowałem, Lilly; a już nigdy bardziej niż teraz.

Objęła go rękami w pasie i mocno przytuliła. Łzy lały się jej strumieniem po twarzy.

- Nie chcę cię stracić...
- Nie stracisz.
- Jeżeli to zmieni twoje uczucie do mnie, zrozumiem.
- Nie zmieni niczego. - Ujął jej twarz w dłonie i odchylił, by spojrzeć w oczy. - Oddałbym życie za ciebie.

Szlochała.

- Ciii... - szeptał, mocniej obejmując ją ramionami.

Łzy Lilly moczyły mu pierś, kiedy tulił ją do siebie, w milczeniu i głaskał jej głowę.

Czuła jednak, że rozmyśla nad jej wyznaniem.

- Kto cię skrzywdził, Lilly? - zapytał. - Powiedz. Jak się nazywa?

Spojrzała na niego nieufnie.

- Dlaczego chcesz wiedzieć?
- Żebym mógł zrobić, co należy. - Szczególny ton w jego głosie sprawił, że po plecach Lilly przebiegł dreszcz. Pod warstwą łagodności dzwiewczał morderczy chłód.

Odsunęła się.

- Nie dlatego ci o tym powiedziałam.
- Skoro ten bydlak cię skrzywdził, powinien zapłacić.
- Dziadek już to z nim załatwił.
- Dziadek? Stary człowiek?! - wykrzyknął Derek z gniewem.

Lilly drgnęła.

- Wybacz. - Z trudem opanowywał wściekłość. - Jak to załatwił?
- Kazał mu wyjechać z Anglii i zagroził, że jeżeli kiedykolwiek tu wróci, zginie. On... uciekł na kontynent. Pewnie teraz uwodzi włoskie dziewczęta, podobnie jak uwiódł mnie.

- Nie darowałbym mu życia. Czy nikt nie nalegał, żeby się z tobą ożenił?

Z trudem przełknęła ślinę. Przypomniała sobie, jak serce jej krwawiło, kiedy się dowiedziała. Tak strasznie ją oszukał.

- Miał już żonę. I dwoje małych dzieci.

Derek zaklął pod nosem.

- Właśnie dlatego dziadek darował mu życie.
- Bo widział, jak na ciebie wpłynęło wychowanie bez ojca?

Spojrzała błagalnie.

Wzrok mu złagodniał; zorientował się, jak bardzo jego gniew wytrąca Lilly z równowagi. Opanował się, mówił spokojnie:

- Jeżeli nie chcesz mi wyjawić jego nazwiska, powiedz przynajmniej, co to był za człowiek; miał żonę i dzieci, a mimo to uwiódł piętnastoletnią dziewczynkę?

Te słowa skłoniły Lilly do zastanowienia się, po co właściwie ochrania Owena. Poczuła się nagle bardzo silna. Masz rację, pomyślała.

- Lord Owen Masters. - Odwróciła się do Dereka. - Miał dwadzieścia sześć lat, był młodszym bratem markiza. Odwiedzał kogoś z miejscowych ziemian w naszej okolicy. Tam mnie pierwszy raz zobaczył. Siedziałam na drzewie i czytałam książkę.

Przerwała na chwilę, starając się sobie wszystko przypomnieć.

Teraz mówiła o tym bez wstydu, tylko z żalem. Ale bliskość Dereka koła ból.

- Uznał czytanie książki na drzewie za bardzo zabawne i zaczął ze mną rozmawiać. - Pokręciła głową. - Nigdy przedtem nie byłam nigdzie poza naszą wioską. Jak mogłam coś wiedzieć o londyńskich hulakach i ich podbojach?

- Nic dziwnego, że nimi pogardzasz.

- Powiedział, że jestem ładna. I wszedł do mnie na drzewo.

- Jak wąż - mruknął.

- Właśnie. Pytał, jaką książkę czytam, a potem chciał się wszystkiego o mnie dowiedzieć.

- Zabiję go! - wybuchnął Derek.

- Och, Derek, on był podły, ale to ja byłam głupiutką gąską.

- Byłaś małą dziewczynką! Chyba nie potępiasz siebie samej?

- Oczywiście, że potępiam; zresztą powinnam.

- Uszom nie wierzę!

Spojrzała na niego.

- Pozwoliłam mu na to. I nie tylko raz, ale dwa razy; dopiero wtedy moja matka odkryła, co się stało.

- Czy w ogóle rozumiałaś, co z tobą robił?

- Nie... Ale skoro nie było w tym mojej winy, dlaczego matka krzychała na mnie tak strasznie i groziła, że mnie wyrzuci na ulicę?

- Kochanie moje. - Przysunął się bliżej. - Teraz rozumiem, dlaczego dziadek zostawił Balfour Manor właśnie tobie. - Pokiwał głową. - Lilly, twoja matka zareagowała najgorzej, jak tylko można. A ty jej wierzyłaś. - Oczy mu się zwężyły, wyglądał groźnie. - Widywałem takich ludzi. Chodziłem z nimi do szkoły, służyłem z nimi w wojsku. Ten mężczyzna wybrał właśnie ciebie, bo nie było przy tobie ojca, który by ciebie obronił.

- Nie! - Zadrżała i odwróciła wzrok, jakby ją uderzył. - Proszę, Derek, nie mów tak.

- Dlaczego? Wiesz, że to prawda.

- Nie wolno ci potępiać mojego ojca, to ja popełniłam błąd! - krzyknęła z bólem.

- Nie. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Błąd popełnił ten mężczyzna i twoi rodzice.

Pokręciła głową.

- Ty byłaś niewinna - powiedział miękko. - Miałaś umysł dziecka. Wiem, jakie to przerażające zdać sobie z tego sprawę. Uświadomić sobie, że na świecie jest tylu złych ludzi, ludzi bez sumienia, którzy potrafią zrobić coś takiego. I z pewnością okropnie jest stać się ofiarą czegoś, nad czym nie jest się w stanie panować.

Pląkała, a on ocierał jej łzy z twarzy.

- Ale teraz masz mnie - oświadczył twardo. - I gdyby ktokolwiek próbował zrobić ci krzywdę, będzie miał ze mną do czynienia.

Lilly dygotała; tak bardzo pragnęła mu uwierzyć.

- Wybiłbyś dla mnie do nogi pół świata, tak?

- Gdyby cię napastowano, tak.

- Mój ty żołnierzu...

- Prawdę mówiąc, myślę o zmianie zawodu. - Dotknął ręką jej policzka.

- Och? - wyszeptała zaniepokojona. - Co będziesz robić?

- Przede wszystkim być blisko ciebie. - Rozglądał się po otaczających ich polach. - To mi wystarczy.

Odsunęła się i spojrzała niepewnie.

- Myślałam, że wracasz do Indii.

- Zmiana planów.

- Od kiedy?

- Od teraz.

- Mówisz poważnie?
- Czy wyglądam, jakbym żartował?
Serce jej zadrżało.
- Może jednak powinieneś to jeszcze przemyśleć. Dzień czy dwa...
- O czym tu myśleć? Czy stanęłaś i myślałaś, zanim wpadłaś dziś do płonącej stajni, żeby mi ratować życie? Albo czy zawahałaś się przed sprzedaniem najcenniejszej rzeczy, jaką miałaś, żeby mnie nie zamknęli w Newgate? Nie, Lilly. Wszystko przemyślałam. Może nie jestem bogaty, ale wszystko, co mam, jest także twoje. A gdybym musiał sam wziąć młotek do ręki, żeby naprawić twój cholerny dach, zrobię to. Jestem twój - skłonił głowę. - Jeżeli mnie oczywiście zechcesz.
Patrzyła na niego zdumiona.
- Chcesz powiedzieć, że...
- Zostań moją żoną, Lilly. Jestem pewien, że wszystko nam się uda, tak długo, jak będziemy razem.
- Och, Derek... - Padła mu w objęcia, całując go radośnie. - Kocham cię.
- Kocham cię, Lilly. - Objął ją w talii i podniósł do góry. - Dziękuję ci za to, że mi zaufałaś i powierzyłaś swoją tajemnicę.
- A ja, że na to zasłużyłaś. - Pocałowała go znowu. - Pachniesz dymem.
- A ty jak uwędzona w tym dymie szynka.
- Obrzydliwość!
- Nieważne. - Roześmiał się. - Po prostu mnie pocałuj.
Usłuchała.
- Wiesz co - powiedział przeciągle po chwili - pojedziemy w podróż poślubną, kochanie... Zawsze marzyłem o tym, żeby zobaczyć Włochy...
- Oj, Derek! - Śmiała się przez łzy i wpatrywała w niego z przechylną głową. Boże mój, jak dziadek by go kochał!
- Co ty na to...? - Zerknął na nią filuternie.
- Och, ty nieznośne stworzenie - mruknęła. - Pocałuj mnie jeszcze, proszę.
Usłuchał z uśmiechem.
- Derek... - Pociągnęła go za pasek od spodni. - Musimy coś zrobić z naszymi ubraniami.
Przytaknął z miną wygłodniałego wilka.

- Czas popływać!
- Też tak myślę.

Po gorących pocałunkach rozebrali się szybko. Obserwowali się przy tym nawzajem jak głodni ludzie, czekający, aż kucharz przestanie opisywać swoje znakomite dania i da im spróbować. Lilly uwolniła ręce z rękawów podartego stanika sukni. Palce jej drżały z niecierpliwości, kiedy rozpiniała guziki.

Derek miał nad nią przewagę, już był rozebrany z koszuli i długich butów. Ściągnął obcisłe bryczesy. Lilly spoglądała, jak zdejmował bieliznę. Rzucił jej nieprawdopodobnie uwodzicielski uśmiech, odwrócił się i pobiegł do wody.

Pospieszyła za nim, starając się jak najprędzej uwolnić od fiszbinów gorsetu. W końcu amazonka opadła na trawę.

Derek już wszedł do wody i sprawdzał, czy jest głęboko. Z pluskiem dał nurka. Po kilku sekundach wypłynął na powierzchnię z okrzykiem zachwytu.

- Ach!
- Jak jest?
- Rozkosznie.

Otrząsnął wodę z włosów i odrzucił je rękami do tyłu.

Podziwiała jego bicepsy.

Napił się trochę wody, by ugasić pragnienie, i znowu popłynął.

Śmiała się.

- Czekam! - zawołał z daleka.
- Idę!

Składała w stosik swoje rzeczy, kiedy usłyszała cichy, niemal bolesny okrzyk Dereka.

Spojrzała na niego. Stał po pas w wodzie w świetle księżyca i dosłownie pożerał Lilly wzrokiem. Miała na sobie tylko diamentowe kolczyki. Wstydliwie zatknęła za ucho niesforny lok włosów i powoli podeszła do Dereka. Nie mogła uwierzyć, że oto stoi na leśnej polanie zupełnie naga.

Skandaliczne!

Cudowne...

Nigdy dotąd nie czuła się tak wyzwolona; nie musiała nic ukrywać. Rosnące podniecenie wywołało ciarki na całym ciele. Nie czuła nawet delikatnego powiewu nocnego wiatru.

Podszedł bliżej: srebrzysta woda falowała wokół niego; podał Lilly rękę, a ona ostrożnie, ale z uśmiechem szła po błocie i śliskich kamieniach.

Woda była zimna, ale gdy niemal roztopili się w ogniu, wydawała się wspaniała.

Lilly się śmiała.

Dała nurka. Zaraz wypłynęła, z trudem łapała oddech, ale była rozradowana. Jakby zmyła z siebie przeszłość, z jej całym bólem i wstydem. Teraz czuła się świeża, czysta i - nowa.

Derek pryskał na nią wodą, a Lilly nie pozostała dłużna.

- Przepraszam cię bardzo! Uratowałam ci życie, a ty mi się tak odwdzięczasz? - zażartowała.

Roześmiał się.

- Chodź, przewiozę cię.

Objęła go za szyję, tak jak jej polecił, a on popłynął, trzymając ją na plecach.

- Mój koń morski - szepnęła mu na ucho.

- A teraz na dół!

Wstrzymała oddech i silnie przyłgnęła do niego; zanurzył się pod wodę i potężnymi ruchami rąk i nóg posuwał się naprzód przez cichy wodny świat, ciągnąc za sobą deszcz kropel. Kiedy wypłynęli, by zaczerpnąć powietrza, puściła go i tkwiła nieruchomo w wodzie naprzeciw niego.

- Sięgasz tu dna? - zapytała.

- Tak. - Mocno stanął na dnie. Woda sięgała mu do połowy piersi. - Chodź tu. Podtrzymam cię.

Podpłynęła do niego z uśmiechem. Objął ją i wziął w ramiona. Leżała teraz na wznak, wyprostowana, a jej włosy unosiły się na wodzie - wyglądały jak jasne wodorosty.

Oczy mu płonęły, kiedy patrzył na nią z czułym rozbawieniem.

- Moja lilia wodna...

Kropelki wody lśniły na jego skórze, kiedy pochylił się nad nią i ucałował.

Woda była zimna, ale pocałunek gorący; objęła go ramionami, miał śliską skórę. Spijając pocałunki, sięgnęła dłonią do gładkich i twardych łuków jego piersi i ramion. Jęknęła cicho. Trzymając Lilly mocno za pośladki, przycisnął do siebie; gorąca skóra... chłodna woda. Czuła się rozkosznie oszołomiona, pełna radości, pełna życia.

Derek wpatrywał się w nią. Mokre włosy, odrzucone do tyłu z czoła wydawały się czarniejsze od nocy. Wargi miał nabrzmiale od pocałunków. Patrzyła mu w oczy błagalnie, a on się uśmiechał.

Pochylił się i całował jej twarz, brwi, powieki... Skubał ustami policzek i podbródek, leciutko przygryzał jej wargi, potem je rozchylił, dotknął języka. Lilly wbiła palce w jego szerokie ramiona.

Derek całował jej szyję. Sutki Lilly stwardniały, a kiedy wygięła się w łuk nad wodą, dotknął ich językiem. Zlizywał i spijał wodę z jej skóry, wędrując ustami po całym ciele.

- Zawsze powinnaś chodzić nago - mruzczał. -Jak Lady Godiva.
- Pod warunkiem że ty też.
- Z przyjemnością.

Delektował się pieszczotami, gdy dłonie Lilly błądziły po jego gładkiej, opalonej skórze; badała żyłaste ramiona i mięśnie brzucha. Patrzył jej w oczy; jego były teraz ciemne, zamglone pożądaniem. Obrysowywała kontury jego ciała, zanurzyła rękę pod wodę i wzięła w dłoń jego pobudzoną męskość.

Całowała go jak najgłębiej, ssła język. Zadrzała, czując, jak reaguje, i pieściła go dalej, aż powstrzymał ją jękiem i przyciągnął do siebie.

- Pragnę cię.
- Potarła policzek o jego własny.
- Kochaj się ze mną.

Miał jej twarz w dłoni i całował... całował... całował. Wziął Lilly na rękę, wyniósł na brzeg i złożył na miękkim łożu z aksamitnych traw.

Pochylił się nad nią, oparty na rękach. Objęła go udami i aż jęknęła z pragnienia, kiedy go przyjmowała w siebie. Potężna męskość wypełniła ją całą. Gorąca dłoń Dereka pieściła jej pierś. Pragnęła mieć go w sobie; uniosła wyżej jeszcze biodra, obejmując go nogami w pasie, i wygięła się w łuk.

- Niegrzeczna dziewczynka... - zamruczał z zachwytem.
- Chcę ci dać jak najwięcej przyjemności.
- Ależ dajesz, kochana Lilly, dajesz. Wiedziałem, że jesteś namiętna, ale nie przypuszczałem, że aż tak...

Kiedy znów ją pocałował, prężyła się, wyginała, przyciągając go do siebie.

- Chcesz, żebym to zrobił mocniej, kochana? - spytał w napięciu.

- Tak - szepnęła.
- Mogę to zrobić.

Zrozumiała, że dotychczas hamował się, szlachetny jak zawsze, nie chcąc jej urazić. Ale ona po prostu oszalała dla niego. Czując jej pożądanie, wziął Lilly mocno i bezlitośnie.

To była nirwana!

Lekko trzymając palec na najczulszym miejscu jej ciała, sprawił, że palce nóg Lilly kurczyły się i prostowały na przemian z rozkoszy. To była miłość gwałtowna, dzika i wzniosła.

Lilly zarzuciła ręce za głowę i pozwoliła robić ze sobą, co chciał; jej ciało poddawało się jego zachciankom. Dłoni objął jej nagie pośladki tak, by znaleźć się w niej jak najgłębiej. Drżał z podniecenia. Piersi Lilly kołysały się w rytm jego ruchów; ścigał je wargami.

Dyszał tak, że nie słyszała nic poza tym.

Nie okazywała niezadowolenia, kiedy zmieniał pozycje, chcąc zrealizować każdy pomysł, jaki mu przychodził do głowy. Kiedy ją brał od tyłu, uznawała, że odtąd nie ma prawa nazywać się damą.

Ale nic jej to nie obchodziło. Byli teraz rozpaleni, samiec i samica na polu, nadzy i nieświadomi, zajęci wyłącznie sobą, straceni dla świata.

Sięgnęła ręką w tył i pogładziła Dereka po policzku. Ucałował jej ramię i znów pchnął na kolana, nie opuszczając jej ciała. Wygięła się jeszcze bardziej. Objął ją w pasie, dotykał wszędzie. Dyszeli oboje.

Był teraz w niej tak głęboko, że gdyby się przesunął jeszcze o cal, krzyczałaby z bólu.

- Jeszcze nigdy dotąd tak nie było - szeptał do ucha Lilly.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Nie wiem. Przy tobie tracę świadomość. Kocham cię.
- Derek... - Wplotła palce w jego włosy. - Jesteś aniołem.
- Chcę dojść wewnątrz ciebie.
- Dobrze - wydyszała.
- Doprowadzisz do tego, że eksploduję, kiedy tak się poruszysz.

Uśmiechnęła się na myśl, że daje mu rozkosz.

- Odwróć się do mnie twarzą. Chcę cię całować w chwili największej rozkoszy.

Powoli odwróciła się tak, że znalazła się pod nim.

Zanurzył się w niej; jego wspaniała męskość budziła jej zachwyty.

- Mm... Derek, jesteś bardzo dobrze... zbudowany- powiedziała cichutko pełna podziwu, co go rozbawiło.

Pożądał Lilly w zdrowy, męski, cielesny sposób, a to pragnienie było bardzo silne. Musiał ugasić ten płomień.

Pozycja, jaką teraz wybrał, była cudownie intymna. Siedzieli naprzeciw siebie, ona oparta na jego biodrach, on obejmował ją w tali.

Świat wokół nich przestał istnieć. Byli tylko oni dwoje. Wspólnie przeciwstawili się śmierci i złemu losowi, a teraz musieli potwierdzić to, że przetrwali - każde z nich i ich związek - i to, że w ogóle odnaleźli siebie.

- Kocham cię - szeptała Lilly.

- Kocham cię, Lilly... Nie mogę uwierzyć, że mi uratowałaś życie. Jak to możliwe, by taka krucha i słodka istota miała tyle odwagi? - Ucałował jej dłoń. - Połóż się na plecach, kochanie. Niech twój mężczyzna cię zaspokoi.

Te cudowne słowa sprawiły, że już niemal odczuwała rozkosz. Miał rację. Pragnęła, żeby ją kochał i uwolnił od tego cudownego szału. Pragnął dawać. A ona chciała otrzymywać... i tylko on mógł zaspokoić jej potrzeby.

Ułożył ją na ziemi w tej samej pozycji, w jakiej zaczęli się kochać. Każdy jego ruch zwiększał jej satysfakcję. Czuły i dokładny, zwracał uwagę na każde jej życzenie, okazał się kochankiem przerastającym jej najśmielsze marzenia. Kilka tygodni temu go całowała... ona, dumna i piękna nieznajoma w ogrodowej altanie. Teraz oddawała mu się całkowicie, umysłem i ciałem, sercem i duszą. Nigdy nie myślała, że kiedykolwiek jeszcze komuś zaufa, tymczasem w jej życiu pojawił się Derek Knight.

- Chodź do mnie, Lilly, chodź do mnie. - Jego nagły głos i aksamiadne spojrzenie błagało, by mu się oddała.

- Och, Derek...

Zamknęła oczy i płonęła w ogniu, który przenikał całe jej ciało. Cała była pożądaniem. Derek doprowadził ją na skraj rozkoszy upajającym rytmem, doznała cudownego spełnienia. Obserwował to z miłością, co sprawiło, że sam zbliżał się do szczytu.

Kiedy dochodził, Lilly uchyliła lekko powieki i dostrzegła, jak się wyprężył z głową odrzuconą w tył i wyrazem uniesienia na twarzy. Jego nasienie spłynęło w nią ogromną strugą.

- Och, tak!

Oboje zalała potężna fala rozkoszy; wreszcie nadeszło rozprężenie, ciała przestały drżeć, a gwałtowne wzburzenie ustąpiło miejsca łagodnemu ciepłu.

Lilly roześmiała się cicho z radości i zdziwienia. Derek przyłączył się do jej śmiechu; zrozumiał ją bez słów.

Jacy jesteśmy szczęśliwi, myślała, kiedy Derek przesunął ustami po jej czole; ciągle jeszcze zdumiewała się, że Derek Knight należy do niej i że dopiero przed chwilą kochała się z nim pod gwiazdami.

Bez majątku. Bez złota. Nawet bez ubrań, które by im przeszkadzały. Bez żadnej własności na widoku; niemniej udało im się zachować życie. Teraz mieli siebie nawzajem i to było jedyne, czego potrzebowali.

W tej chwili mieli wszystko.

- Chciałeś powiedzieć, że ich zgubiliście? - Ed Lundy miazdzył Batesa wściekłym spojrzeniem.

Sługus jąkał się, coś tłumaczył, ale Lundy ledwie go słuchał; kręcił głową z niedowierzaniem. Czy żaden z tych durniów nie rozumie, że jego świat się wali?

Stajnia była kupką popiołów, konie poginęły, więźniowie ulotnili się jak kamfora, a on czuł już na ramieniu zimne dotknięcie śmierci, szepczącej mu do ucha, że jest skończony.

Strach nie opuszczał go przez całą noc. Matka mogła nie zdążyć na czas z pieniędzmi ze sprzedaży plantacji; a jeżeli on nie odda pieniędzy, pożyczonych z ukrytego skarbu komisji, powieszą go.

Do diabła! Tak czy owak, powieszą go, bo nawet, gdyby matka w jakiś czarodziejski sposób nagle wróciła, miał jeszcze inne kłopoty; przestępstwa, które teraz popełnił, groziły poważnymi konsekwencjami. Porwał dwie osoby, z których jednej będzie bronić pół pułku. Jeśli nawet nie dosięgnie go prawo, zrobią to ci wszyscy straszni bracia Knightowie. Do diabła, powinien był zabić majora! Chociaż, prawdę mówiąc, nie miał do tego serca; wyglądało, że to nie taki zły człowiek.

Po prostu ambitny; tyle że sobie wybrał za wysoki cel w życiu i nie trafił.

Edwarda zdumiało, że ta mała, krucha Lilly Balfour ocaliła swojego amanta. Cóż, krzyżyk na drogę! Mówiąc prawdę, w towarzystwie Bess czuł się o niebo lepiej, swobodniej.

Gdyby jednak nawet jutro ożenił się z Bess, nic by to nie pomogło; narastające od dawna problemy wybuchają teraz wokół niego jak wulkany. Myślał, że uda mu się je opanować, ale teraz nie miał pojęcia, który wystrzeli pierwszy. Wszystko diabli wzięli!

Wściekłość, panika i niepewność sprawiły, że trudno mu było zaplanować dalsze działania. Kolejny długi łyk whisky z płaskiej butelki nie zdołał mu rozjaśnić myśli. Boże, jak pragnął, by matka była przy nim, kiedy potrzebował pomocy. Miała nieprawdopodobny zmysł praktyczny. Święta kobieta, taka silna w krytycznych sytuacjach. Potrafiłaby sobie z tym poradzić; ale teraz właśnie robiła, co mogła, żeby go ratować.

Myślał o tym, żeby udać się do lorda Fallowa, bliższego mu niż ojciec, którego nigdy nie znał. Nie mógłby jednak znieść wściekłości swojego mentora i jego rozczarowania; bał się powiedzieć lordowi, jak bardzo go zawiódł. Niemniej Lundy wiedział, że ugrzązł po szyję i nie ma innego wyboru, tylko szukać pomocy.

Zamiast się zgłaszać do lorda Fallowa, postanowił zrobić jedyną rozsądną rzecz, jaka mu przyszła do głowy: wysłał Jonesa po lorda Sinclaira.

Był dopiero świt, ale trudno. Pismo, jakie zawiózł Jones, powinno sprawić, że starszy pan zrozumie jego krytyczną sytuację.

Boże, myślał, spacerując tam i z powrotem, nic dobrego z tego nie wyjdzie.

Wykręcał się od żmudnego dochodzenia prezesa i równocześnie od śledztwa Knighta jak ktoś próbujący przejść po ruchomych piaskach. Nic dziwnego, że pił! Miał zupełnie zszarpane nerwy. Przełknął kolejny łyk whisky.

- Cóż, zwodziłem ich tak długo, jak mogłem.

Teraz jednak jego jedyną nadzieją było wszystko wyznać.

Chociaż przyparty do muru, Ed Lundy nie wyczerpał jeszcze wszystkich sposobów. Nie po to zaszedł w życiu tak daleko, żeby teraz po prostu rezygnować. Doskonale wiedział, że lord nie ma innego wyjścia; musi mu pomóc, gdyż reputacja Sinclaira zależy od wiarygodności komisji. Tak to funkcjonowało w Londynie, w tym klubie dżentelmenów, do którego wprowadził go kiedyś lord Fallow.

Sinclairowi oczywiście to się nie spodoba, ale będzie musiał mu pomóc w zatuszowaniu całej sprawy. Tego Lundy był pewien.

Doznał prawdziwej ulgi na widok nadjeżdżającego prezesa. Korpu-
lentny starszy pan zdumiał się na widok ognia i biegających we wszyst-
kie strony koni, ale Lundy czym prędzej zaprosił go do środka i wyjaśnił
sytuację.

Mimo że aż kulił się na myśl o haniebnym wyznaniu, które musiał
uczynić, Lundy poczuł się lepiej, wiedział, że wreszcie zjawiał się tu ktoś,
kto mu powie, co ma, u diabła, robić.

Pocąc się obficie, wprowadził lorda Sinclaira do gabinetu, posadził go
i wyznał całą swoją brudną, plugawą historię.

Mówił o tym, jak Phillip Kane w słodkich słówkach namówił go do
inwestowania w nieistniejące kanały, obiecywał ogromne zyski dzięki „fa-
scynującej” nowej firmie z takimi możliwościami profitów, o jakich do-
tychczas jeszcze nikt nie słyszał.

Kiedy świece już się częściowo wypaliły, Ed ujawnił każdy szczegół
tego, jak ów złotousty wąż kusiciel namówił go do uczestnictwa w pro-
jekcie w nadziei na potrojenie inwestycji w ciągu zaledwie kilku lat. Kane
mówił o tym, jak o czymś tak pewnym, że Lundy zdecydował się przystą-
pić do interesu. Ufał temu człowiekowi.

- Miałem zamiar wszystko oddać, kiedy tylko zdołam. Chciałem użyć
tych pieniędzy, żeby zarobić więcej, i wtedy odłożyć je na miejsce,
zanim ktokolwiek się zorientuje - ciągnął.

Co miesiąc płacił olbrzymie rachunki, ale nie chciał pozbyć się żad-
nej ze swoich posiadłości, dzięki którym przyjęto go do towarzystwa:
ogromnego domu, stajni, koni, które jadały lepiej niż on sam jako chłó-
piec; ba, nawet kosztownej porcelanowej laleczki, przyszłej narzeczonej,
lady Lilly.

Wkrótce jednak odkrył, że stał się ofiarą swojej dumy. Chciwość go
zgubiła.

Nie było żadnych kanałów.

Firma również nie istniała.

A Phillip Kane po wyłudzeniu od Eda krociowych sum umknął na
kontynent, by tam wygodnie żyć.

Lundy natychmiast wynajął detektywa, by śledzić Kane'a, kiedy jed-
nak jego człowiek z Bow Street znalazł tego łajdaka, tamten już nie żył.
Lundy nie miał zamiaru wszczynać zamętu wokół tej sprawy ze strachu,
że go oskarżą o zamordowanie Kane'a.

- Wiem, że to okropne, sir - mówił, podczas gdy siedzący naprzeciw niego lord Sinclair, z dłońmi opartymi na srebrnej lasce, kręcił głową zdenerwowany. Wreszcie wykrztusił:

- O Boże... Boże...

- Nigdy nie zamierzałem nic złego. Sam pan powiedział, że nie ma nic niewłaściwego w pożyczaniu sobie pieniędzy z funduszu, byle tylko je oddać, zanim ktokolwiek się zorientuje. Próbowałem! Nadal próbuję i oddam tę sumę, którą wzięłem, ale przecież chyba pan widzi, że to nie była moja wina! Po prostu fatalny zbieg okoliczności! Skąd miałem wiedzieć, że tam w Indiach znów jest wojna?

- Zaraz, zaraz... uspokój się.

Lundy podniósł butelkę, żeby się napić, ale okazała się pusta. Odrzucił ją z gniewnym przekleństwem.

- No, no, napij się, mój chłopcze. - Lord Sinclair z ojcowską dobrocią sięgnął do kamizelki. Wyciągnął z kieszeni butelkę i podał Edowi. - To ci pomoże uspokoić nerwy.

Lundy był naprawdę zaskoczony i wzruszony tym gestem. Spuścił głowę.

- Dziękuję, milordzie - wymamrotał, biorąc butelkę. - Jest pan dla mnie bardzo dobry.

- Bynajmniej. A teraz musimy znaleźć sposób, żeby to wszystko wyprostować. - W oczach Sinclaira błysnęło coś dziwnego, kiedy patrzył, jak Lundy pije jego whisky. - Nie wolno ci się tak denerwować. Jesteś jeszcze młody! Skąd mogłeś wiedzieć? Mówiąc szczerze, nieźle narozrabiałeś, ale teraz, kiedy już mam rozeznanie sytuacji, wiem, jak pomóc.

- Naprawdę? Możemy to załatwić?

- O tak, drogi chłopcze. Uspokój się. Można sprawić, żebyś wyszedł z kłopotów.

Lundy czuł się odprężony po swoim wyznaniu i wzruszyło go duchowe wsparcie starego lorda.

- Dziękuję, milordzie. Dziękuję. - Zmusił się do potulnego uśmiechu i dodał: - Dobra whisky.

Lord Sinclair uśmiechnął się wyrozumiale.

- Wypij do dna.

Co teraz zrobimy? - spytała Lilly, kiedy się pospiesznie ubierali.

Derek odwrócił się do niej z nieprzytomnym uśmiechem, zapinając spodnie, ciągle jeszcze pogrążony w swoich myślach.

Patrzył na niebo, na jezioro i chłodne, owiane wiatrem łąki, jakby chciał ten widok zatrzymać w pamięci. Zdobył tę umiejętność smakowania chwili, gdy każdy dzień mógł być ostatnim w jego życiu. Tę noc zaś zapisywał sobie w pamięci, jako największe zwycięstwo. Noc, w czasie której zdobył najwyższą nagrodę.

Patrzył na skórę Lilly, rozświetloną po nocy miłości, na włosy wilgotne i rozsypane w nieładzie jak zwiewny, blady cień złocącego się księżyca.

Nie mógł porównać szturmowi żadnej cytadeli, pokonania wroga czy rozbicia armii do tego triumfu miłości.

Dawniej, kiedy tylko jakaś kobieta starała się zanadto do niego zbliżyć albo była gotowa przemknąć przez jego linię obrony, zawsze ją odsuwał jakimś prostym pytaniem, ciągle marząc o kochance, która udowodniłaby swoje oddanie przyrzeczeniem, że pójdzie za nim wszędzie.

Dziś jednak Lilly zrobiła o wiele więcej, coś, co przeszło jego najskrytsze oczekiwania. Wołała umrzeć z nim w płonącej stajni, niż go tam zostawić. Wyznała swoją największą tajemnicę i oddała mu się całkowicie. Może oświadczył się zbyt spontanicznie, ale miał absolutną pewność, że właśnie tę kobietę powinien poślubić.

A co najmilej, wiedział, że jest zakochany.

Ten stan, jak teraz zrozumiał, był równie niebezpieczny, jak niejedna szarża kawaleryjska, chociaż w zupełnie inny sposób. Ale się nie obawiał. Nigdy dotąd nie czuł w sobie tyle siły.

I pomyśleć, że matka stale go ostrzegała, by nie liczył w życiu na czyjąkolwiek miłość, bo jest tylko młodszym synem, chyba że zdobędzie wielki majątek i sławę na wojnie. Dziś Lilly Balfour rozwiązała ten ponury mit. Jej zaufanie do niego było większym skarbem niż całe złoto Indii, a jej miłość - sławą, jakiej każdy mężczyzna mógłby pragnąć.

Wszystko to uświadomiło Derekowi, że teraz jego głównym życiowym zadaniem jest zapewnienie Lilly opieki i ochrony.

Rozrachunki z Lundym jeszcze się nie skończyły.

Lilly będzie całkowicie bezpieczna, dopiero kiedy Derek doprowadzi sprawę do końca.

- Bez przerwy patrzysz na mnie.

Ten bezceremonialny komentarz wyrwał go z zamyślenia.

- Lepiej, jeżeli się do tego przyzwyczaisz.

Położyła dłoń na wargach i uśmiechnęła się do niego czarująco, ale tak, jakby go łajała.

- Słyszałeś chociaż, co powiedziałam przed chwilą?

- Oczywiście, najdroższa.

Uniosła brwi.

- I co?

- Jeżeli powtórzysz jeszcze raz, zapamiętam jeszcze lepiej.

Parsknęła.

- Och, mówiłam tylko, iż to okropne, że Edward tak się wściekł i chciał nas zabić.

- Ach, nie przejmuj się - odparł Derek żywo. - Ty i ja przeciw niemu. Teraz to on powinien się bać.

Idąc po konia, zatrzymał się, żeby pomóc Lilly wśliznąć się w amazo-
nkę.

Kiedy wkładała ręce w rękawy, skrzywiła się, spojrzawszy na podarty stanik sukni, i przypomniała sobie Lundy'ego, który o mały włos...

- Jesteś smutny. - Dotknęła jego policzka. - Nic mi nie dolega, kochanie. Naprawdę.

- Może i tak, ale nie mam ochoty pozwolić połowie Londynu na oglądanie alabastrowego biustu mojej ukochanej - powiedział przeciągle. Rozwiązał czarną tasiemkę, którą przytrzymywał z tyłu włosy, kiwnął palcem na Lilly, żeby podeszła bliżej, po czym ściągnął tasiemką rozdarty stanik.

Pogłaskała go po piersi z rozmarzonym uśmiechem zaspokojonej kochanki.

- Myślisz o wszystkim.

- Do twoich usług, madame.

- Hm, naprawdę?

Złożył jej przesadny ukłon i zajął się oporządzaniem Mary Niezrównanej, która zadowolona skubała trawę.

Lilly szła za nim, zapinając guziczki sukni.

- Co teraz robimy? Pani Clearwell pewnie szaleje z niepokoju.
- Cóż, boję się, że jeszcze w tej chwili nie możemy się z nią skontaktować. Lundy prawdopodobnie postawił swoich ludzi na straży zarówno przed twoim, jak i przed moim domem, żeby czekali, aż wrócimy.
- Och! Masz rację. Lepiej tam nie wracać. A może powinniśmy pójść do władz i opowiedzieć, co się wydarzyło?

Derek pokręcił głową.

- Nie. Lundy jest teraz przyparty do muru. Myślę, że powinniśmy postępować bardzo ostrożnie. Gdybyśmy poszli na policję, chcieliby go aresztować, a znając jego najemników, byłyby to krwawe porachunki. Gdyby Lundy został zabity, nigdy nie zdołałbym odnaleźć tej reszty pieniędzy dla wojska. Poza tym nie wolno mu umrzeć, zanim nie zapłacę mu za to, co ci zrobił.
- Uważaj, żebyś to ty nie zginął - ostrzegła go. - Nie mogłabym istnieć bez ciebie, wiesz o tym.

- Cudownie...

Pochylił się i ukradł jej całusa.

Lilly westchnęła, lekko chwiejąc się na nogach ze zmęczenia, ale Derek ją podtrzymał. Uśmiechnął się rozbawiony, kiedy ta mała osóbką otrząsnęła się i z werwą wróciła do tematu:

- Może poprosilibyśmy lorda Fallowa, żeby spróbował przekonać Edwarda, uspokoić go. Poza matką jest on jedyną osobą, którą Edward naprawdę szanuje.

- To naprawdę dobry pomysł. Lundy oczywiście nie zechce z nami rozmawiać, ale lordowi może uda się namówić tego kretyna, żeby odkrył swoje tajemnice.

- Ale czy lord nam uwierzy? Gdybyśmy mieli jakiś dowód! Szkoda, że nie udało mi się zabrać dokumentów o projekcie kanałów. I pomyśleć, że już je prawie miałam!

- A może zapamiętałaś coś szczególnego?

Kiedy oporządzał konia, Lilly starała sobie przypomnieć, co było w papierach.

- Firma nazywała się Warwickshire Canals & Company. Edward stracił chyba trzysta tysięcy funtów. Płatności ustały bez wyjaśnienia trochę ponad rok temu. Aha! I cała korespondencja była prowadzona przez rze komego prezesa firmy, Phillipa Kane'a.

- Phillip Kane? - wykrzyknął Derek.

- Znasz to nazwisko?

Zmarszczył brwi.

- Niestety, tak. - Przerwał. - Kiedy Charles przeglądał dokumenty finansowe lorda Sinclaira, znalazł tam znaczną wypłatę dla Phillipa Kane'a.

Lilly zrobiła wielkie oczy.

- Czemu... Czyżby lord Sinclair chciał spłacić Phillipa Kane'a?

Derek milczał dłuższą chwilę.

- Nie wiem... Ale miałaś rację - powiedział ponuro. - Musimy po rozmawiać z lordem Fallowem, i to szybko. On może być naszą jedyną nadzieją wydobycia odpowiedzi od tego łajdaka. Jesteś gotowa?

Przytaknęła. Podsadził Lilly i wskoczył na siodło za nią, chwytając lejce.

- Jedziemy!

- Kim jesteście, młodzi państwo, i dlaczego u diabła zawracacie mi głowę o takiej porze? - pytał gniewnie lord Fallow, którego wyrwali ze snu. Miał szlafmycę na głowie i był w szlafroku. - Środek nocy! Lepiej, żebyście mieli jakieś przyzwoite wytłumaczenie. I ty także! - ostrzegł groźnie kamerdynera, który rzucił mu przeproszające spojrzenie.

- Bardzo nam przykro, że panu przeszkadziliśmy, sir- przeprosił Derek i od razu przystąpił do sprawy. Najpierw odświeżył pamięć lorda, mówiąc, kim są, i przypomniał, że byli przez niego niedawno zaproszeni na koncert w ogrodzie. Wyjaśnił, o co chodzi.

- Obawiam się, że *to* sprawa bardzo pilna, sir. Dotyczy pańskiego protegowanego, pana Lundy'ego.

- Edwarda?

- Milordzie, z Edwardem dzieje się coś bardzo złego - wtrąciła się do rozmowy Lilly. - Zaatakował mnie w zupełnie niewiarygodny sposób, porwał i uprowadził majora Knighta. Udało się nam uciec, ale teraz Edward dybie na nasze życie!

- Ależ Edward z pewnością nie mógłby... - przerwał, zastanawiając się nad czymś. - Ale dlaczego? Co mu takiego zrobiliście?

- Odkryliśmy jego poważne przestępstwo dotyczące funduszu wojskowego, powierzonego podkomisji do spraw wyznaczonych środków - wyjaśnił Derek. - Żeby nas uciszyć, uwięził pannę Balfour. Ja miałem

zostać wrzucony na pierwszy statek płynący do Indii, gdzie już nie mógłbym Lundy'emu przeszkadzać.

- Och, Boże... - Poorana zmarszczkami twarz lorda zbladła.

- Uciekliśmy, ale ludzie Edwarda nas ścigają - rzekła Lilly. - Dlatego przyszedliśmy tu. Wiemy, jak bardzo Edward pana kocha. Mamy nadzieję, że panu uda się przekonać go, żeby się przyznał. Teraz, kiedy pani Lundy przebywa w Indiach Zachodnich, jest pan jedyną osobą, z którą on się liczy.

- Rzeczywiście - powiedział Derek. - Niepotrzebna nam eskalacja tego, co się stało. Czy pojedzie pan z nami?

- Tak, tak, pozwólcie, że się ubiorę. Rozgośćcie się tymczasem. Zaraz wrócę. Fenley, przynieś państwu coś do zjedzenia.

- Do usług, sir.

- I obudź kilku służących mężczyzn, którzy mogą nosić broń - dodał lord.

- Sir, radziłbym nie zabierać z sobą więcej niż trzech, najwyżej czterech ludzi - mówił Derek. - Co prawda Edward będzie miał przewagę liczebną, ale większa liczba przeciwników może go zdenerwować.

Lord skinął głową, ale Derek miał jeszcze jedno pytanie.

- Lordzie Fallow?

- Tak, majorze?

- Lundy mi opowiadał, że kiedyś lord Sinclair wziął go na bok i wyjaśnił, że członkowie komisji mają pewne przywileje, jeśli idzie o dysponowanie powierzonymi im kontrolami pieniędzmi: mogą pożyczać sobie dyskretnie pewne sumy z funduszu, pod warunkiem że nikt o tym nie będzie wiedzieć, a pieniądze w jak najkrótszym czasie zwrócą.

- Co takiego?

- Więc to nie jest prawda?

- Absolutnie nie! To jest nawet wyraźnie zabronione w naszych lokalnych przepisach!

- Jest pan pewien, że takie są przepisy?

- Oczywiście! Przecież ja jestem ich autorem!

- A może nieoficjalna polityka jest inna...

- Niemożliwe. W każdym razie dopóki ja jestem członkiem prezydium - dodał ostrożnie. - Gwarantuję, że lord Sinclair też uznałby takie praktyki za wysoce nieetyczne.

- Ale dlaczego Sinclair miałby kłamać Edwardowi? - spytała cicho Lilly. - Przecież, jako szef komisji, to on odpowiada za pieniądze w funduszu.

- Chyba że znajdzie sobie kozła ofiarnego - mruknął Derek ponuro. Wszystko zaczynało układać mu się w głowie. - Kogoś spoza towarzystwa. Kogoś, kto nie jest akceptowany. Kogoś, kogo wszyscy z przyjemnością odesłaliby tam, skąd przyszedł.

- Och... Edward... - szepnęła Lilly.

- Wpakowałem go w pułapkę! - wykrzyknął lord Fallow z bólem.

- Musimy się spieszyć - rzekł Derek spokojnie. - Potwierdziły się moje podejrzenia i obawiam się, że życie Lundy'ego może być w niebezpieczeństwie.

Nie chciał ich przestraszyć, ale teraz już wiedział, kto zabił Phillipa Kane'a. Co prezes mógł zrobić ze swoim nieobliczalnym współkonspiratorem, kiedy ten przestał być potrzebny? Skoro już raz zabił, drugi raz przyjdzie mu to łatwiej.

- Musimy do niego dotrzeć, zanim Sinclair to zrobi - powiedział ogólnie. Naturalnie, nie miał ochoty ratować tego gbura, ale jeżeli im się uda namówić Lundy'ego, żeby przedstawił sprawę ze swojej strony, lord Sinclair zorientuje się, że został schwytany, i w końcu będzie musiał przyznać się, gdzie ukrył brakującą sumę z funduszu.

Lord Fallow był zszokowany podejrzeniami Dereka.

- Majorze! Znam Sinclaira całe życie, od czasów szkolnych! Przyznaję, że nigdy nie był zbyt sympatyczny i, prawdę mówiąc, zawsze mi się wydawało, że mnie nie lubi; nie wiem zresztą dlaczego, bo nigdy mu nic złego nie zrobiłem. Osłupiałem na wiadomość, że mógł mieć coś wspólnego z kradzieżą, a już absolutnie nie uwierzę, że byłby zdolny do morderstwa.

Derek już chciał powiedzieć hrabiemu o wypłatach dla Phillipa Kane'a, które Charles wykrył w dokumentach finansowych Sinclaira. Nagle przypomniał sobie plotkę, że lord Fallow mógł być ojcem Phillipa Kane'a i to go powstrzymało.

Fallow powinien mieć teraz jasny umysł, żeby skutecznie rozmawiać z Lundyem. Informacja, że Sinclair mógł być mordercą jego nieślubnego syna, w ogóle nie była teraz hrabiemu potrzebna.

W tym momencie Derek już miał pewność, że Lundy mógł nie być jedynym celem tej operacji.

Jeśli Sinclair żywił do dawnego szkolnego kolegi jakąś długo skrywaną urazę, to intryga mogła być po prostu okrutnym, pełnym nienawiści i tchórzliwym sposobem uderzenia właśnie w niewinnego lorda Fallowa!

Ograniczył się do powiedzenia:

- Lepiej najpierw być ostrożnym, niż później tego żałować, sir.
- Tak, rzeczywiście, chyba ma pan rację.
- Sir, jeżeli można, chciałbym od pana pożyczyć parę sztuk broni.

Tak na wszelki wypadek.

Lord Fallow zmarszczył brwi, jednak po chwili skinął głową i gestem przekazał zgodę kamerdynerowi.

- Zaprowadź majora, niech się uzbroi.
- Do usług, sir.,

Hrabia jeszcze raz kiwnął głową i pospieszył na górę szykować się do drogi.

Kamerdyner posłał nocnego portiera do kuchni z poleceniem przygotowania posiłku dla Dereka i Lilly, a sam wskazał majorowi drogę do zbrojowni, gdzie znajdowało się mnóstwo szpad, strzelb i muszkietów.

Kiedy otwarto przed Derekiem skrzynię z kolekcją lśniących strzelb, twarz majora rozjaśnił uśmiech. Mały Matthew mógł mieć swoje królestwo u Guntera. Tu było królestwo Dereka.

- Amunicję trzymamy w innym miejscu, majorze. Zaraz przyniosę.
- Tylko proszę, nie bądźcie sknerami - zażartował.

Kamerdyner skinął głową i pospieszył obudzić kilku służących mężczyzn.

Po wybraniu broni Derek odprowadził Lilly do wysokiego, ozdobionego posągami holu z greckimi popiersiami i posadzką w czarno-białe kwadraty.

Kiedy czekali na jedzenie, przyciągnął ją do siebie i mocno objął. Ze smutkiem myślał o tym, jaki to musiał być cios dla lorda Fallowa, jeżeli Phillip Kane był jego synem. Cóż za żmija z tego Sinclaira!

Lundy'ego też można nazwać żmiją - dowiódł tego.

Spojrzał na Lilly; i ona stała się ofiarą tego oszusta.

W ziemskim ogrodzie pełno jest żmij...

Ale są w nim też kwiaty.

- Moja słodka Lilly - wyszeptał; uniósł jej twarz i patrzył głęboko w oczy.

- Co z tobą? Wszystko w porządku? Wciąż jesteś zamyślony. Zdobył się na uśmiech.

- Głodny. Uśmiechnęła się łobuzersko.

- Może dadzą nam tu trochę szynki.

Roześmiał się; uwielbiał Lilly. Pociągnął ją lekko za noskę jak niegrzeczną dziewczynkę.

Po paru minutach portier przyniósł im trochę chleba i piwa, pokrojone w plastry zimne mięso i ser.

- Mam nadzieję, że na razie wystarczy, sir. To najlepsze, co mogłem znaleźć o tej porze.

- Dziękujemy - odpowiedzieli równocześnie. Od czasu popisów pływackich (i innych zajęć) strasznie zgłodnieli.

Siedli na nieskazitelnych schodach z marmuru i dosłownie pożerali wszystko, co im podano. Niebawem nadszedł lord Fallow. Czas jechać.

Ludzie lorda byli uzbrojeni, a przed rezydencją czekały dwa powozy, żeby ich zawieźć do Lundy'ego.

Lilly odwróciła się do Dereka.

- Czy dostanę broń? - spytała takim tonem, że aż go to rozbawiło.

- Nie szalej, kochanie. Nie po to ci pozwalam tam wracać.

- Derek! - Rozejrzała się z zakłopotaniem. - Chciałam powiedzieć: panie majorze!

- Nie, Lilly. Dla Lundy'ego jesteś celem.

- Moi drodzy - przerwał im hrabia, zapinając mankiety koszuli. - Edward z pewnością nie zrobi wam żadnej krzywdy, w każdym razie nie w mojej obecności.

- Widzisz? Nawet jego lordowska mość to wie - zaprotestowała. - Wobec lorda Fallowa Edward zawsze zachowuje się nienagannie. - Chwyciła Dereka za rękę i rzuciła mu błagalne spojrzenie. - Nie zostawiajcie mnie. Muszę być z wami.

No dobrze, pomyślał, będzie bardziej bezpieczna ze mną niż pozostawiona tu, gdzie zbiry Lundy'ego mogą ją znaleźć.

- Dobrze - zgodził się, odwodząc kurek strzelby ze złowróżbnym szcęknięciem. - Ale będziesz cały czas przy mnie.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Skoro muszę...

Kiedy mijali grupę ludzi Lundy'ego, pędzących drogą w przeciwnym kierunku, Derek się domyślił, że coś się musiało wydarzyć w rezydencji Edwarda. Maguire i Jones nawet się nie zatrzymali na jego widok.

Derek i jego ludzie na razie nie mieli zamiaru ich ścigać, ale chcieli dowiedzieć się, w czym rzecz.

Kiedy dotarli do rezydencji Lundy'ego, czerni nocy przechodziła już w szarość, a na wschodzie zaczynało świtać.

Bramy były otwarte, a całą posiadłość zalegała upiorna, grobowa cisza. Miejsce wydawało się opustoszałe, pozostały tylko konie i pies.

Brutus był uwiązany na łańcuchu przy drzewie i aż zachrypł od ciągłego szczekania. Na ich widok narobił hałasu, ale wkrótce dał spokój i usiadł, przypatrując się tylko, gdy wysiadali z powozów.

Konie Lundy'ego biegały przed stajnią. Ogień już zgasł, ale ze zgliszczy jeszcze unosiły się pióropusze dymu i mieszały z poranną mgłą.

- Spójrz - wskazał Derek - Przedtem tego nie było.

Przed domem stał obcy powóz.

- Ktoś przyjechał - szepnęła Lilly. Derek osłaniał ją sobą. - Myślisz, że to lord Sinclair?

Nagle usłyszeli jakiś hałas dochodzący z wnętrza domu i zduszony krzyk bólu.

- Edward!

Lord Fallow ruszył przodem, rozpoznając jego głos. Odwrócił się do Dereka.

- Wy dwoje lepiej zostańcie tu. Pójdę i porozmawiam z nim.

- Proszę mnie zawołać, gdyby sprawił panu jakiś kłopot.

Hrabia kiwnął głową i otoczony przez czterech ludzi ruszył przed siebie. Walił w drzwi i wołał Lundy'ego po imieniu. Chwycił za klamkę i otworzył; drzwi nie były zamknięte na klucz.

Hrabia i jego ludzie weszli do środka.

Gdy czekali na zewnątrz, Derek badał wzrokiem dom zamek, neogotyckie szkaradzieństwo; w żadnym oknie nie paliło się światło. Dom wydawał się zupełnie pusty. Wyglądało na to, że nawet nie ma służby.

Co tam się stało? - zastanawiał się. Z domu znów dochodził hałas; człowiek hrabiego wysunął głowę przez drzwi.

- Majorze!

- Chodźmy, Lilly.

Chciał ją zostawić na zewnątrz ze służącym, ale kiedy na niego spoj-
rzał, mężczyzna bezmyślnie dębał w ucho. Derek zmarszczył brwi.

- Trzymaj się blisko mnie - mruknął, łapiąc Lilly za rękę.

Zostawił służącego, żeby pilnował powozów. Razem z Lilly wpadli
do środka.

Lord Fallow czekał na nich pod gabinetem Lundy'ego.

- Zamknął się tam - szepnęła hrabia. - Nie odpowiada. Nie mogę się
do niego dostać.

- Czy jest sam?

- Nie wiem, ale przed chwilą krzyknął tak okropnie, że dostałem gę-
siej skórki.

- Widział pan jeszcze kogoś? Sinclaira?

- Nie. Myślałem już, żeby kazać wyważyć drzwi, ale Bóg jeden wie,
co tam możemy znaleźć.

- Ja to zrobię - powiedział Derek z zawziętością w głosie. Odwrócił
się do Lilly i zdecydowanym gestem wskazał jej drzwi do saloniku, w
którym byli razem w czasie przyjęcia; miała się tam schować.

Nie protestowała.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, podszedł do gabinetu. Broń miał w
pogotowiu.

Dał znak lordowi, żeby się odsunął, i kopnął drzwi tak, że się otwo-
rzyły, wpadł do środka i wziął na cel Lundy'ego.

Wtedy zobaczył, że nie musi sobie tym zaprzętać głowy.

Lundy zatkał rękami uszy i coś bełkotał.

- Mój Boże! - Derek westchnął. Uzbrojeni ludzie wpadli za nim do
pokoju.

Lundy zataczał się za biurkiem. Powoli odjął od uszu trzęsące się
ręce.

- Cicho, cicho... - błagał.

- Edwardzie. - Lord Fallow z przerażeniem patrzył na bałagan w ga-
biniecie.

Derek rozejrzał się po pokoju oświetlonym słabym blaskiem świecy,
na którą Lundy nie mógł patrzeć, jakby to światełko go męczyło. Gabinet
został splądrowany. Papiery, teczki, dokumenty walały się po podłodze.

- Jest pijany jak bela - szepnął służący Fallowa, widząc, jak Lundy za tacza się, idąc przez pokój.

Hrabia pokiwał głową.

- Edwardzie, nie pora na dogadzanie sobie w taki sposób!

- Idź do diabła - warknął Lundy, niemal plując tymi słowami w swojego dobroczyńcę.

- Edwardzie! - wykrzyknął oszołomiony lord.

- Trzeba mnie było zostawić w rynsztoku, tam, gdzie moje miejsce. Ocaliłem ci życie i tak mi dziękujesz?

- On nie jest pijany, milordzie - powiedział ze stoickim spokojem Derek. - Jest otruty.

- Otruty? - Fallow wytrzeszczył oczy.

- Gdzie Sinclair? - zapytał Derek, powoli opuszczając broń.

- Nie żyje! - Lundy gestem wskazał kominek, przy którym Derek dopiero teraz dostrzegł leżącą na ziemi postać, niemal zasypaną teczkami dokumentów. - No, ja to zrobiłem. Możecie nie wołać policji. Niebawem dołączę do niego.

- Co mu zrobiłeś?

- Cisnąłem nim przez cały pokój! Już po tym nie wstał; uderzył się w głowę. To za dobra śmierć dla tej żmii.

Ledwie to powiedział, krzyknął, a twarz wykrzywiła mu się grymasem bólu. Padł na kolana obok biurka, z głową odrzuconą do tyłu.

- Edwardzie! - Lord Fallow podbiegł do niego, chcąc pomóc, ale Lundy go odepchnął.

- Nie dotykaj mnie, to boli! - krzyczał i gwałtownie chwycił ustami powietrze. Jego ciałem wstrząsały konwulsje.

- Belladonna... wilcza jagoda - mruknął Derek.

- Czy jest coś, co mogłabym zrobić? - rozległ się cichy głosik przy wejściu.

Derek zdrętwiał, po czym zamknął oczy. Lilly wyszła z saloniku. Boże... Nie chciał, żeby oglądała agonię dawnego konkurenta.

- Nie powinnaś tu wchodzić.

- Czy nie możesz mu pomóc, Derek?

- Chciałbym.

- Lilly? - spytał słabym głosem Lundy. - Nie widzę cię. Jesteś tutaj?

- Edwardzie...

Derek wyciągnął rękę i zatrzymał Lilly, która chciała podejść do Lundy'ego.

- Nie rób tego.

- Derek, on umiera. Nikt nie zasługuje na to, żeby umierać w samotności. Nie jest już groźny. Wszystko będzie dobrze. - Odsunęła rękę Dereka, podeszła i uklękła obok Lundy'ego, chcąc mu chociaż trochę pomóc. - Och, Edwardzie...

- Żałuję tego, co zrobiłem. - Edward jęknął. - Byłaś dla mnie aż za dobra.

- Ja też żałuję... tego, że polowałam na twój majątek.

- No, już go nie ma. Powiedz mojej mamie - do widzenia...

Gdy znów wstrząsnęły nim konwulsje, Lilly łązy stanęły w oczach. Derek odciągnął ją. Lundy znów krzyknął z bólu, a Lilly ukryła twarz na piersiach Dereka.

Po paru chwilach Lundy umarł na ich oczach.

Jego udręczona dusza chyba ich opuściła, bo z pokoju jakby zniknęła atmosfera cierpienia.

Patrzyli w milczeniu na zmarłego. Oczy miał szeroko otwarte, twarz zastygła w bólu.

Derek spojrział na lorda Fallowa. W ciągu tych dziesięciu minut hrabia postarzał się o dziesięć lat. Major już był pewien, że jego lordowska mość nareszcie pojmuje całość problemu.

Ucałowawszy Lilly w czoło, Derek odsunął ją na bok i podszedł do mężczyzny, który leżał nieruchomo przy kominku.

Zrzucił okrywające lorda Sinclaira teczki z papierami i dostrzegł plamę krwi pod jego głową. Sprawdził puls. Kiedy dotknął szyi, Sinclair się poruszył.

- Żyje.

- Ale już niedługo! - Lord Fallow zbliżył się, by obudzić Sinclaira uderzeniem w twarz, po czym go złapał za ramiona i posadził. Spojrział mu w oczy.

- Otwieraj oczy, do diabła! Chcę, żebyś widział, jak cię przebija moja kula.

Derek próbował go powstrzymać.

- Milordzie...

- Niech się pan odsunie, majorze! - Z poszarzałą jak popiół twarzą, trzęsąc się, przystawił Sinclairowi pistolet do czoła. - Ty morderco! Zdrajco! Zabiłeś ich obu, tak? Najpierw Phillipa, teraz Edwarda! Zabiłeś ich obu... Mojego syna... i tego, który był dla mnie jak syn. Dlaczego! Dlaczego? - zawył.

Zapadła cisza, jakby lord Fallow czekał na odpowiedź; Derek słyszał tylko cichy płacz Lilly.

Spojrzał na nią, jakby prosił, żeby wyszła.

Jednak została.

- No dalej, zastrzel mnie, nadęty sukinsynu -wymamrotał Sinclair. - Udowodnij wszystkim, że nie jesteś święty, chociaż takiego udajesz.

- Co?

- Och, niedobrze mi się robi na twój widok, Fallow. Mam dość tych wszystkich, co się do ciebie łąszą, dosyć tej czci, z jaką wymawiają twoje nazwisko: „Ach! Lord Fallow. Ach! Cóż to za szlachetny człowiek!”

- O czym ty mówisz? - wykrzyknął hrabia.

- Do diabła z tobą! Jesteś za głupi, by zrozumieć, że po prostu tobą gardzę. Patrzeć na ciebie nie mogę. No, miejmy to już za sobą. Pociągnij za ten cholerny spust!

Lord Fallow był przerażony i zdezorientowany.

- Czy ja ci kiedykolwiek zrobiłem coś złego?

Sinclair nie odpowiedział.

Fallow, oszołomiony, patrzył na Dereka.

Ten wzruszył ramionami.

- Może to zazdrość? Są ludzie, którzy nienawidzą bez powodu. To leży w ich naturze. Milordzie, proszę odłożyć broń. On nie zasługuje na pańską kulkę - powiedział Derek spokojnie, gotów uciec się do ostrzejszych środków, gdyby Fallow go nie posłuchał. - Nie wątpię, że wolałby to niż rozprawę przed Izbą Lordów i stryczek, który go po niej czeka. Niech pan nie spełnia jego marzeń!

- Ma pan rację. - Fallow cały dygotał, ale słowa Dereka odniosły skutek. Powoli wsunął pistolet do kabury. - Zupełną rację, majorze. Dla takich jak on szybka i godna śmierć jest zbyt łagodną karą.

- No proszę... Szlachetny pan Fallow nigdy nie zawodzi - syknął z górką jak trucizna kpina Sinclair.

- Szlachetny człowiek? Nie nazywaj mnie szlachetnym! - wrzasnął Fallow, szarpiąc Sinclaira za kołnierz. - Porzuciłem syna, którego ty zabiłeś. Zniszczyłem go przez swoje zaniedbanie. I widzisz, do czego to doprowadziło. - Puścił go gwałtownie. - Szlachetny człowiek? Jestem ofiarą, jestem winien okrucieństwa, którego tylko ojciec się może dopuścić. Teraz Bóg mnie za to karze.

- Sir... - szepnął Derek, kiedy Fallow padł na podłogę, szlochając.
- Phillip... Edward...

Derek dał znak służącym Fallowa. Ostrożnie podnieśli starszego pana i wyprowadzili go na powietrze. Derek gestem próbował namówić Lilly, żeby też wyszła, ale tylko pokręciła głową i nie ruszyła się z miejsca.

Jej lojalność go wzruszyła. Spojrzał na nią czule, po czym rozkazał ludziom Fallowa sprowadzić konstablów.

Następnie zwrócił się do prezesa.

- Jesteś skończony, Sinclair. Twoją ostatnią nadzieją na pobłażliwość sądu będzie wyznanie, co się stało z pieniędzmi, które ukradłeś.

- Ja ukradłem? - Spojrzał ironicznie, sadowiąc się przy kominku.

- Tak, ty. Nie muszę ci chyba przypominać, że zdrada, to przestępstwo, które twoją rodzinę na zawsze pozbawi tytułu. Lordzie! Czy mógłbyś znieść widok swojego pierworodnego syna, zdegradowanego z pozycji utytułowanego panicza do prostego, zwykłego człowieka?

Oczy Sinclaira lekko błysnęły.

- Fatalna perspektywa, co? - mówił Derek kpiąco. - Zakładam, że dotychczas nie pomyślałeś o tym. A może po prostu uznałeś, że nikt nie odkryje twojej intrygi.

- Intrygi? - Parsknął, kręcąc głową.

- Tak, planu wzięcia swojej części z pieniędzy dla wojska. Dokładnie trzystu tysięcy funtów.

- Nic takiego nie zrobiłem.

- Oczywiście, że zrobiłeś. Nawet wiem, jak. Lundy i Phillip Kane byli tylko twoimi narzędziami. Ale teraz wszystko wyjdzie na jaw.

- Czyżby?

- Mam ci wyjaśniać? Prosta sprawa. To ty, ze swoją świetną głową do interesów, stworzyłeś fałszywą firmę i wynająłeś Phillipa Kane'a, znając jego talenty aktorskie, do roli dyrektora przedsiębiorstwa. Myślał pewnie, że dostanie za to ładny grosz, tymczasem dostał... to. - Wskazał na ciało

Edwarda. - Nie jestem hazardzistą, ale gdybym był, założyłbym się, że planowałeś wyeliminowanie Kane'a, kiedy tylko wykona swoje zadanie.

- Pana oskarżenia są niedorzeczne, majorze.

- Bynajmniej. Widzi pan, milordzie, odnaleźliśmy w pańskich dokumentach finansowych kwit wpłaty na rzecz Phillipa Kane'a... a Bóg wie, że ten człowiek miał powody, żeby nienawidzić protegowanego swojego ojca. Obu was zżerała zazdrość i nienawiść. - Derek przerwał i podszedł bliżej. - Żeby Edward łatwiej złapał przynętę, wbijałeś mu do głowy, że pożyczanie pieniędzy z funduszu jest normalną praktyką wśród dżentelmenów z podkomisji, byle to robić dyskretnie.

- Naprawdę, musiał pan chyba, majorze, wypalić wieczorem za dużo hinduskich nargili.

Derek się uśmiechnął.

- Z zasady unikam nargili, milordzie. Boże mój, to dopiero musi być tortura! Siedzieć na takiej gorze złota i nie móc go nawet dotknąć. A tu Fallow ma czelność wprowadzić kogoś takiego jak Lundy do waszego eliarnego kółeczka. Co za tupet!

Sinclair patrzył ponuro przed siebie, a Derek mówił:

- Już i tak życie w cieniu Fallowa było dla pana wystarczająco okropne, jestem pewien. Jednak, kiedy Fallow uznał, że pan i cała komisja zaakceptuje tego parweniusza spod ciemnej gwiazdy, przebrał miarę w obrażaniu pana. Edward Lundy nigdy do was nie należał, nie był jedynym z was, prawda? Nie był dżentelmenem, a wy nie pozwoliliście mu nim się stać. Tym razem, jak sądzę, Fallow posunął się za daleko.

Sinclair milczał, ale jego spojrzenie zdawało się potwierdzać to, co mówił Derek.

Major postanowił doprowadzić do tego, żeby lord sam się zdradził.

- Ale panu przecież nie brakuje sprytu! Urządził pan wszystko tak, że gdyby nawet ktoś wysledził kradzież, całą winą obarczyłby pan tego pupilka Fallowa, a sam pozostawałby poza podejrzeniem. Nalegał pan nawet na przeprowadzenie „śledztwa”! A kiedy już wszystko zostało załatwione, wysłał pan Kane'a do Francji; gdy już wykonał zadanie, przechytrzył go pan. Oczywiście, nie mógł mu pan pozwolić dalej żyć. Nieprzewidywalny, zbyt nieostrożny, zagrażał panu. Poza tym nieuczciwy. Nie był dżentelmenem jak pan. Pewnego dnia mógłby pana zacząć szantażować! Mógłby coś wygadać, coś komuś powiedzieć... Więc otrul

go pan, zanim stał się niewygodny. Prawda, prezesie? Belladonna, wilczą jagodą?

Derek przerwał na chwilę.

- Nikt nie zasługuje na tak okropną śmierć. Kulka byłaby dla nich obu czymś o wiele bardziej humanitarnym. Ale jest pan zbyt wielkim tchórzem, żeby stanąć z każdym z nich twarzą w twarz. Nie z silnymi młodymi ludźmi! Mogliby pana obezwładnić. Dlatego wybrał pan truciznę.

- Pańska teoria jest bardzo zabawna, majorze. Ale pan się myli. Nigdy nikogo nie otrujęm. Lundy sam wypił truciznę, zrozpaczony z powodu ruiny swojego majątku i tego, że był winien kradzieży. Kiedy już postanowił umrzeć, wezwał mnie tu, chcąc wszystko wyznać. Próbowałem go powstrzymać od samobójstwa, a wtedy rzucił mną przez cały pokój. Rozbiłem sobie głowę, jak pan widzi, i straciłem przytomność.

Derek zmrużył oczy. Sinclair uważał go chyba naprawdę za durnego żołdaka, skoro się spodziewał, że uwierzy w tę bajeczkę. Największy szaleniec nie wybrałby tak potwornie bolesnego samobójstwa.

Postanowił jednak dać lordowi Sinclairowi bardziej chytrą odpowiedź niż zwykle zaprzeczenie.

- A więc - mruknął - zrzuca pan całą winę na Lundy'ego, tak?

Prezes parsknął pogardliwie, jakby nie ulegało kwestii, w co powinien uwierzyć światowy człowiek.

- Cóż, może pan i mówi prawdę - spokojnie przyznał Derek. - Sprawdźmy to.

Rozejrzał się i dostrzegł na podłodze porzuconą płaską butelkę.

- Co pan robi? - Sinclair z niepokojem patrzył, jak Derek podchodzi do butelki, cały czas trzymając Sinclaira na muszce pistoletu na wypadek, gdyby cokolwiek próbował.

- Mam zamiar zaproponować panu drinka, milordzie. - Wyciągnął z kieszeni surduta chusteczkę, przykrył nią rękę i ostrożnie podniósł flaszkę. - Jest prawie pusta, ale myślę, że zostało jeszcze kilka kropel.

Schował pistolet do kabury i podszedł do prezesa, który skulił się ze strachu.

- To nie moja.

- Ależ pańska! Jest na niej pański monogram, proszę spojrzeć: „S”. Niewątpliwie lepiej jest oszukać swoją ofiarę. Lundy nic nie podejrzewał,

prawda? Aż do momentu, kiedy już było za późno. Wiedział pan, że prędzej czy później będzie zmuszony pana wezwać. Pan tylko czekał. Żmija!

Siedząc przy kominku, Sinclair zaczął się powoli cofać.

- Z daleka ode mnie!

- Dlaczego? Skoro Edward nie otruł się pańską whisky, to proszę łyknąć i udowodnić to. Wygląda pan na spragnionego.

Derek złapał pyzată twarz Sinclaira w dłonie, odchylił mu głowę i zaczął otwierać usta.

- Na zdrowie, Sinclair! Proszę się napić!

Lilly krzyknęła, kiedy ten zaczął się bronić, ale Derek dobrze wiedział, co robi.

- Dobrze, dobrze! Powiem wszystko! Na miłość boską, zabierz to świństwo!

- Gdzie są pieniądze? Mów zaraz! - ryknął Derek. Nie miał zamiaru pozwolić Sinclairowi na odwołanie wyznania, kiedy tylko nacisk zelżeje. Właściwe zlokalizowanie pieniędzy będzie twardym dowodem jego winy.

- Gdzie je schowałeś?

- W banku, w Szkocji - wykrztusił, wrywając się z uścisku Dereka.

- W którym? Odpowiadaj, cholerny złodzieju!

- W Royal Glasgow.

- Na twoje nazwisko?

- Nie - wydyszał. - Na... Fallowa.

Derek puścił go.

- Pięknie! Widzisz? Nie tak trudno mówić prawdę.

- Idź i umyj ręce - odezwała się Lilly drżącym głosem.

Derek wziął głęboki oddech, kiwnął głową i wstał. Mijając Lilly, podał jej pistolet.

- Potrzymaj. Idę po ludzi Fallowa.

Sinclaira trzeba było związać, ale Lilly miała rację. Gdyby nawet małeńka kropla belladonny kapnęła na skórę, mogła spowodować śmiertelną chorobę. Większa dawka sprawiłaby, że Derek by umarł jak Lundy.

Wezwał ludzi Fallowa do pokoju, po czym poszedł poszukać wody i mydła.

- Konstable są już w drodze, sir - zaraportował lokaj, wbiegając do pokoju.

- Dobrze. Dopilnujcie aresztowania tego gada. Przyznał się - powiedział Derek. Spojrzał na Lilly. - Zaraz wracam.

Skinęła głową, cały czas trzymając na muszce Sinclaira.

- Lepiej się nie ruszaj, staruszkule - ostrzegła. - Jestem damą, ale strzele na pewno!

Hm, pomyślał Derek, trochę rozbawiony jej zajadłością. Chyba mam na nią zły wpływ...

Kiedy już miał wyjść z pokoju, spojrzał na zwłoki Lundy'ego. Skrzywił się, chociaż śmierć nie była dla niego nowością. Nie uniknąłby jej zresztą, pomyślał, i jeszcze raz twardo sobie powiedział: koniec z żółnierką.

Owies i jęczmień?

Jeden Bóg tylko wie, co przyniesie przyszłość.

Wyszedł zmyć z rąk cały ten obrzydliwy brud. Zastanawiał się, jak mu się powiedzie w cywilu.

19

Wspominając dzień, w którym spotkał Lilly w magazynie, gdzie oglądała modele sukien ślubnych i propozycje weselnych tortów, Derek wiedział, jak wiele dla niej znaczyło prawdziwie huczne wesele. Nalegał więc, żeby miała dosyć czasu na właściwe przygotowanie tego dnia, tak aby kiedy już będą starzy i siwi, mogli go wspominać z uśmiechem.

Co do nocy poślubnej... Cóż, ta już była na jego odpowiedzialność.

Mimo wątpliwości Dereka Lilly przysięgała, że z pomocą pani Clearwell przygotowania zajmą nie więcej niż parę tygodni. Poleciał jej zrobić wszystko według własnego gustu. On miał tylko za to zapłacić.

Powiedział jej o skromnym mająteczku, który uzbierał przez lata pobytu w Indiach, a także o bardzo przyzwoitym spadku, jaki miał odziedziczyć po ojcu. W gruncie rzeczy mógł poprosić o wypłacenie tej sumy w każdej chwili.

Przyznał, że nie jest milionerem, jakim był Lundy, zanim wszystko stracił; chciał jednak, by miała pewność, że będą mogli wieść wygodne życie.

Kiedy już zakończyła wszystkie przygotowania, Derek nie miał nic przeciwko czekaniu na ten wielki dzień. Po zaręczynach mógł się widywać z Lilly, ile tylko chciał, bez konieczności szukania okazji czy wynajdywania niemądrych tłumaczeń, żeby być blisko niej. Z tego przywileju korzystał w pełni. Widywali się i spotykali bardzo często.

Tymczasem życie biegło swoim torem.

Mimo ciężkich zarzutów lord Sinclair dostał zgodę na przebywanie w areszcie domowym w oczekiwaniu na rozprawę sądową w Izbie Lordów. Kiedy jednak znaleziono pieniądze tam, gdzie powiedział, czyli w Royal Glasgow Bank, prędeż by się powiesił, niż pokazał publicznie.

To skłoniło księcia regenta do wyrażenia zgody synowi lorda Sinclaira na zachowanie przez niego tytułu, nie zaś odebranie go całej rodzinie na zawsze. W końcu syn nie miał z kradzieżą nic wspólnego.

Zwłoki Lundy'ego pochowano po inspekcji koronera, a jego dobra osobiste wystawiono na licytację. Lilly, jak należy, wysłała smutny list do jego matki. Derek wątpił, czy stara dama w ogóle wróci kiedykolwiek do Anglii.

Po śmierci Edwarda z towarzystwa zniknęła również Bess Kingsley. Derek dowiedział się, że jej papa, handlarz artykułami żelaznymi, zatrudnił nową guwernantkę i wysłał je obie w podróż po Europie w celu poprawienia manier panienki.

Co do jego wiernego audytora, mówiono, że Charles Beecham, szlachcic, powinien otrzymać tytuł za zasługi dla Korony. Władze były nawet gotowe przymknąć oko na nieco szczególne sposoby, jakich użył do sprawdzenia dokumentacji finansowej Sinclaira, biorąc pod uwagę ogromną wysokość odzyskanej dzięki temu skradzionej sumy. Jednym słowem, przy pomocy popierającej go z całego serca rodziny Knightów miał duże szanse, żeby w krótkim czasie stać się „sir Charlesem”.

Policja w dalszym ciągu szukała Batesa, Jonesa i Maguire'a, ale Derek przypuszczał, że uciekli z kraju.

Lord Fallow postawił piękny marmurowy pomnik na dotychczas nieoznakowanym grobie Phillipa Kane'a, którego pośmiertnie uznał za swojego naturalnego syna. Objął też opiekę nad miejscowym sierocińcem. W towarzystwie huczało. Współczucie mieszało się z zaskoczeniem, że ten stary, gołębiego serca hrabia dwa, trzy razy w tygodniu chodzi czytać bajki osieroconym dzieciom.

Tymczasem, kiedy już odzyskano skradzione pieniądze należne armii na prowadzenie wojny, Dereka wezwano do Admiralicji i powierzono mu zadanie, kiedy i jak marynarka brytyjska powinna przetransportować złoto do Indii. Żeby uniknąć kłopotów, tej informacji nie podano do publicznej wiadomości. Dereka zaproszono do odbycia podróży na jednym ze statków, gdyby chciał wrócić na dawne stanowisko, teraz, kiedy jego misja dobiegła końca.

Nadal nie miał wiadomości od pułkownika Montrose'a.

Porzucił już plany kupienia dowództwa, jednak, kiedy wracał z wizyty w Whitehall do domu przy Althorpe, czuł się trochę odsunięty na bok.

Wiadomości z Indii do Anglii szły bardzo długo, wysłane listy często w ogóle nie opuszczały miejsc, gdzie toczyła się wojna. Derek wciąż się zastanawiał, czy regiment nie wyruszył bez niego dalej. Może już nie jest dla nich tak ważny, jak mu się wydawało?

Mimo rzekomej sławy wojennej czuł się nic nieznaczącym trybikiem w ogromnej maszynie imperium. Drażniło to jego dumę.

Teraz jednak miał nowy cel w życiu, ważny powód, żeby żyć; ten powód miał na imię Lilly.

Zamknął za sobą drzwi i zerknął na srebrną tacę, gdzie odkładano pocztę. Skrzywił się.

Na wizytę w Admiralicji ubrał się w mundur i teraz ujrzał swoje odbicie w lustrze nad konsolą; cóż, niebawem trzeba go będzie zdjąć i na zawsze odwieść do szafy.

Szedł do swojego pokoju zdziwiony, że mieszkanie jest puste. Aadi się nie pojawił, by go powitać, nie było też Gabriela.

Zastanawiał się, gdzie też wszyscy się podziali.

Wtedy usłyszał muzykę.

Skądś słyhać było srebrzysty świergot hinduskiego instrumentu *sitar*, a po chwili dołączyły do niego bębunki *tabla*.

Wyjrzał przez otwarte okno korytarza i zobaczył na podwórzu zajętych muzykowaniem hinduskich służących. Na dźwięk dobrze sobie znanych pieśni poczuł prawdziwą przyjemność, ale też zabołało go serce z tęsknoty za miejscem, które tak pochopnie porzucił.

Kiedy jednak chciał wychylić się z okna, żeby słuchać dalej, ujrzał rozsypane na podłodze płatki kwiatów.

Uniósł brwi zdziwiony.

No, no... co to takiego?

Kiedy odszedł od okna, odkrył, że płatki tworzą coś w rodzaju kwietnej ścieżki, prowadzącej przez korytarz, aż pod drzwi jego sypialni.

Krew w nim zawrzała; był zdziwiony i ciekawy. Podeszedł do swoich drzwi: puls bił mu w tym samym rytmie co bębni za oknem. Poczł silny zapach kadzideł. Powoli uchylił drzwi i zobaczył mnóstwo świec, rozstawionych w rozmaitych miejscach. Płomyki rzucały długie cienie.

Kiedy wszedł do pokoju, ujrzał Lilly, leżącą na jego łóżku w zmysłowej pozie. Oczy grubo podkreśliła kohlem, jak to robią tancerki w świątyniach. Jej ręce i stopy pokrywały malowane henną desenie; jedynym strojem był złoty łańcuch naokoło bioder, a na czole lśnił jak klejnot znak *bindi*.

Derek osłupiał.

Gorący, kuszący półuśmiech igrał na jej wargach, pomalowanych czerwoną szminką, koloru jej - również pomalowanych - piersi.

- *Namaste**, majorze.

Zatkało go.

Zachował jeszcze na tyle rozsądku, że zamknął za sobą drzwi.

Natychmiast poczuł, że jego ciało reaguje. Półprzytomny jeszcze raz sprawdził, czy drzwi są zamknięte, po czym spojrzał na nią znów, oszłomiony pożądaniem.

Była w tej chwili żywym ucieleśnieniem jego najgłębiej skrywanej fantazji: cudowną dziewczyną z haremu o złotych włosach i skórze koloru mleka.

Nie mógł oderwać od niej oczu.

- Czy to moje urodziny? - spytał chrapliwym głosem, ledwie odważając się mrugnąć, by nie spłoszyć cudownego zjawiska.

- Chciałam, żebyśmy spędzili we dwoje bardzo szczególne chwile, zanim... zanim wszyscy zaczną się zjeżdżać do Londynu.

Mówiąc „wszyscy”, jak zrozumiał, miała na myśli swoją matkę. Teraz nadszedł moment największego buntu małej córeczki. Derek był oczarowany.

- A poza tym - dodała z kuszącym uśmiechem zjawiskowa bogini - skoro pan major nie jedzie do Indii, kawałeczek Indii przybył do niego.

* *Namaste* - gest powitania w Indiach. Dosłownie oznacza „Pokłon tobie”.

Miękko padła na kolana i wyciągnęła ramiona do Dereka. Podszedł do niej, szarpnięciem zdarł z siebie czarny marynarski kołnierz, owinięty wokół szyi, pas i szpadę odrzucił daleko za siebie. Serce biło mu w piersi jak szalone.

- Boże. Jak ty niesamowicie wyglądasz. - Dotknął jej i poczuł śliiskość skóry wysmarowanej jaśminowym olejkim. Zadrżał. - Jesteś po prostu kopalnią niespodzianek, Lilly Balfour.

Patrzyła na niego spoza rzęs z gorącym zaproszeniem.

Ujął w dłonie jej szyję, wpatrując się w Lilly błyszczącymi oczami. Pochylił się i ucałował jej usta. Odrzuciła głowę do tyłu i rozchyliła wargi, przyjmowała gorące pocałunki i oddawała je z tym samym ogniem.

Już twardy jak skała, Derek przerwał pocałunki, dyszał z pragnienia, by dotrzeć do jej głębi. Z niecierpliwym westchnieniem zamknęła oczy, kiedy błędzące po jej ciele dłonie dotknęły sterczących, twardych sutków.

Kiedy rozpięła mu koszulę i ucałowała pierś, z trudem się opanował.

Unióś jej twarz i znów namiętnie całował. Potem ona całowała jego, jakby zatracając się w tych pocałunkach, drżała. Wsunął palec pod obejmujący jej biodra złoty łańcuch i przyciągnął Lilly do siebie.

Wciąż całkowicie ubrany, ale już w pełni gotowy, rozpiął bryczesy i zsunął je na biodra. Pomagała mu, po czym pomalowaną henną dłonią sięgnęła w dół. Jęknął głośno, kiedy ta angielska perła haremu zaczęła go pieścić.

Tyle jej chciał pokazać! Wschodnie sztuki miłości. Techniki, pozycje.

Później...

Musiał ją mieć już, teraz.

Objął jej nagą talię i ułożył ją na wznak w poprzek łóżka. Wyczekująco oblizawał uróżowane wargi i patrzyła na niego spod ciężkich powiek. Pochylił się i położył na niej. Uniosła biodra, przyjmując go w siebie.

- Ach... - szepnęła, kiedy dotknął jej najczulszego miejsca.

Był napięty i pobudzony i, o Boże, to było właśnie to, czego potrzebował. Trzymał ją wpół, pragnąc przylgnąć do niej jak najciaśniej, ale też nie chciał jej sprawić bólu swoją imponującą męskością. Nigdy przedtem nie czuł się tak podniecony.

Wpatrywał się w nią z bolesnym pragnieniem, a wtedy Lilly przymknęła oczy i uśmiechnęła się, przyjmując go w siebie.

Zagłębiał się w niej, dając jej wielką przyjemność. On sam po prostu tracił przytomność. Posiadł ją gwałtownie. Odsłoniła zęby w uśmiechu, wydawała okrzyki, widać było, że jest zachwycona.

Derek kochał ją. Zmysłami kierowała wyłącznie barbarzyńska namiętność. Dyszał ciężko. Krew się w nim gotowała; był cały wilgotny od potu pod mundurem. Wziął ją za przeguby rąk i przycisnął do łóżka.

- O Boże, Derek! - Błogi okrzyk był muzyką dla jego uszu, kiedy ją brał powolnym, nieustannym rytmem.

Pochylił głowę i ustami chwycił jej oddech, który towarzyszył momentowi najwyższego uniesienia; wdychał go w tantryczny sposób, jednocząc swój oddech z jej oddechem.

Szamotała się i niemal szlochała z rozkoszy. Jej gwałtowne ruchy sprawiły, że był już na skraju szczytowania. Wbiła mu paznokcie w pierś, a z jej ust wydarł się okrzyk, przypominający zawołanie wojenne. W tym momencie i on doszedł do szczytu; jego rozkosz zdawała się trwać wiecznie.

Opadł bez tchu na Lilly.

A to wcale jeszcze nie był koniec.

Później, kiedy leżeli obok siebie nadzy, Lilly z głową opartą na jego piersi pieściła go leniwie. Derek wrócił myślami do swojej wizyty w Admiralicji, po czym przyznał, że choć on mógłby mieć problemy z rozstaniem się z mundurem, ona zdarła mu go z łatwością. Wspomniał jej o propozycji władz marynarki, że go odwiozą z powrotem do Indii.

Uniosła się na łokciu i spojrzała na niego nieufnie.

- I co im odpowiedziałeś?

- A jak myślisz? - odparł z leniwym półuśmiechem. - Powiedziałem: „Nie, dziękuję”.

Spojrzała poważnie.

- Co ci jest? - mruknął, gładząc ją po policzku.

- Więc naprawdę masz zamiar zostać ze mną? Nie wracasz do Indii?

- Oczywiście, że zostaję z tobą. Przepędź ten lęk ze swoich pięknych, błękitnych oczu. Nigdzie się nie wybieram, moja słodka. - Uśmiechnął się do niej. - Jestem teraz twój.

- Dlatego że ci ocaliłam życie? - spytała ze stoickim spokojem. - Dlatego że uważasz, że jestem twoją własnością?

- Nie, dlatego że cię kocham, ty mały głuptasku. I dlatego że jestem ci potrzebny. A ja potrzebuję ciebie. Naprawdę cię potrzebuję. - Przysunął się do niej i ucałował, kusząc do trzeciej rundy miłosnej.

Powstrzymała go jednak.

- Derek, proszę cię, bądź poważny.

Przerwał na widok jej zafrasowanej twarzy.

- Wiem przecież, ile dla ciebie znaczy wojsko. Tyle razy o tym rozmawialiśmy. Twoja decyzja, tam nad jeziorem, żeby je porzucić i ożenić się ze mną, wydała mi się zbyt nagła, po prostu chciałabym być pewna, że wszystko przemyślałeś i nie będziesz żałować.

- Żałować? Oszalałeś? Nie, kochana moja. Już dość czasu poświęciłem królowi i ojczyźnie - rzekł łagodnie. - Moja decyzja wtedy, tamtej nocy mogła ci się wydawać pochopna, ale ona już... już jak gdyby bulgotała pod powierzchnią, chociaż nie chciałem się do tego przyznać. - Pokręcił głową. - Gabriel i ja rozmawialiśmy o tym od jakiegoś czasu i teraz widzę, że to on miał rację. Jestem gotów zacząć zupełnie nowe życie. Jako stary, żonaty mężczyzna - dodał, łaskocząc ją.

Odkoczyła i w rewanżu uszczypnęła go.

Derek się zaśmiał.

- Gabriel wytknął mi kiedyś, że żołnierka to jedno, na czym się znam, jedyne, czego spróbowałem. Kto wie? Może jestem dobry i w innych rzeczach?

- Och, tak! We wszystkim, czego się tkniesz - powiedziała z przekonaniem. - Wiesz, bardzo się cieszę, że zajmiesz się czymś bezpieczniejszym. Gdyby ci się coś stało, chyba bym tego nie przeżyła.

- No, tego się nie musisz obawiać - szepnął i ująwszy w palce jej podbródek, delikatnie pocałował w usta.

- A nie zmienisz zdania? - mruknęła, otwierając rozmarzone oczy. - Zostaniesz tu? Bo gdybym miała na ciebie liczyć, a potem cię stracić...

- Och, Lilly! Twoja niepewność łamie mi serce. Oczywiście, że zostanę. Masz moje słowo. - Oparł się plecami o zagłówek łóżka i przyciągnął ją do siebie, biorąc w ramiona. - A gdyby moje słowo ci nie wystarczało do spokoju sumienia, wiedz, że mam własne powody, żeby zmienić plany.

- Masz powody... ?

Westchnął.

- Teraz już wiem, że powrót do wojska nie byłby dla mnie dobry. - Nie miał wielkiej ochoty o tym rozmawiać, ale Lilly, przyszła żona, zasługiwała, by poznać jego prywatne piekło. - Pamiętasz ten dzień, gdy przyszedłeś do stajni zobaczyć się ze mną?

- Wtedy, kiedy uratowałeś Mary Niezrównaną? Tak, naturalnie. Poprosiłeś mnie, żebym cię zastrzeliła.

- Pamiętam. A ty spytałaś, jak mogę żyć po tym wszystkim, co zrobiłem. Pamiętasz, co ci odpowiedziałem?

- Tak. Powiedziałeś, że po prostu o tym nie myślisz.

- Tak. Ale widzisz... to nie zawsze jest wyjście. Nie zawsze się udaje. Czasami... - Zawahał się. - Czasem myślę, że mnie to łapie za gardło.

Słuchała go w milczeniu. Pogładził ją po włosach. Ich miękkość go uspokoiła.

- Wiesz, kiedy siedziałem w tej klatce, coś sobie uświadomiłem. Właściwie dwie rzeczy. Po pierwsze, że przyczyną, dla której tak uparcie chcę wrócić na wojnę, jest to, że nie potrafię myśleć o żadnym innym zażęciu poza walką. Nie było czasu rozważać innych możliwości. Takie myśli mogły doprowadzić człowieka do śmierci. Żeby przetrwać, trzeba być głuchym na wszystko. Całą uwagę skupić na zwycięstwie i robić tylko to, co się musi. A kiedy człowiek znajdzie się w jakimś spokojniejszym miejscu, te myśli znów wracają.

Milczał długo.

- Myślałem, że kiedy wrócę jak najszybciej do tego piekła, zagłębię się w nie tak, jak zwykle, wtedy moje... trudności równie prędko się skończą. Ale w rzeczywistości to by tylko pogorszyło sytuację. Maskuje się problem zewnętrznymi działaniami i gromadzi w sobie coraz bardziej makabryczne wspomnienia, z którymi w końcu trzeba się rozprawić. Gabriel miał chyba rację... Zwykle ją ma. Może wyszedłem z wojska w trochę gorszej sytuacji, niż mi się zdawało, i powinienem je rzucić teraz, kiedy jeszcze mam coś przed sobą. - Spojrzał na Lilly. - To właśnie, co mi cały czas próbujesz powiedzieć.

- Tak.

- No, więc chyba nareszcie to zrozumiałem. Wcześniej czy później musiałbym się z tym pogodzić. A teraz, kiedy ty weszłaś w moje życie, chciałbym je przejść z tobą.

- Jestem tu... dla ciebie - wyszeptwała.

- Wiem. To mi pomaga bardziej, niż sobie możesz wyobrazić. - Ucałował jej brew.

- Koniecznie mi powiedz, w czym mogłabym ci być pomocna - rozkazała z czułością.

- Po prostu bądź sobą, bądź moją kochaną Lilly. I nie przestawaj mnie kochać.

- Najdroższy...

Przysunęła się bliżej, objęła go ramionami i przytuliła, jakby nie chciała mu pozwolić nigdy odejść.

Derek przytknął oczy zadziwiony, że tak prędko zdołał przejść ze swojego prywatnego piekła do raju.

- A ta druga rzecz, którą sobie uświadomiłeś, siedząc w klatce? - spytała, przytulając się. - Powiedziłeś, że były dwie rzeczy.

- Tak... - Patrzył na nią dłuższą chwilę. - Kiedy ogień był coraz bliżej, a ty się jeszcze nie pokazałaś, pomyślałem, że nie zniósłbym śmierci, nie mając nawet szansy na poznanie prawdziwej miłości.

- Ale teraz już ją poznałeś, prawda? - Poglądziła go po policzku. - Oboje ją poznaliśmy.

Pocałował ją. Po chwili znów się kochali.

Dwa dni po ich „szczególnej randce” Derek poznał swoją przyszłą teściową. Był kompletnie zaskoczony zmianą, jaka zaszła w Lilly wraz z przyjazdem jej matki.

Panie Balfour zawitały do Londynu.

Początkowo Lilly chciała wziąć ślub w ich małym wiejskim kościółku. Nadzieję tę zniweczyła natychmiast lady Clarissa przerażona na myśl, że rodzina Knightów - książąt i markizów - mogłaby zobaczyć rozpadający się Balfour Manor.

Siostra Dereka, Georgiana (miała wiele wspólnego z pierwszą rozkoszną wyprawą Lilly w świat hinduskiej kultury), była gospodynią przyjęcia, na którym rodziny Knightów i Balfourów miały się lepiej poznać.

Derekowi nie trzeba było wiele czasu, by zorientować się, że lady Clarissa jest potęgą, z którą trzeba się liczyć.

Boże drogi! Walczył w bitwach, które były łatwiejsze niż to przyjęcie. Lady Clarissa czuła się jak w domu w bogatych wnętrzach rezydencji Griffithów; co do samego Dereka, chyba nie zrobił dobrego wrażenia.

Ciocia Daisy była uroczą, ale wiecznie wystraszoną osóbką, która od pierwszego spojrzenia na małego Matthew zakochała się w chłopczyku. Natomiast kuzynka Pamela wręcz zafascynowała Dereka. Poprosił Griffitha, żeby przygotował dla niej listę wszystkich muzeów, galerii sztuki i towarzystw intelektualnych w Londynie, które każda dobrze się zapowiadająca pisarka powinna poznać podczas wizyty w tym mieście. Pamela wpatrywała się w nich obu, jakby nie mogła uwierzyć, że ktoś naprawdę chciałby rozmawiać z taką brzydką starą panną, nie mówiąc już o interesowaniu się jej powieściami.

Kiedy Derek zaprzyjaźniał się z obiema paniami, Lilly robiła wszystko, żeby dać sobie radę z matką. Po kilku godzinach obserwowania matki i córki opiekuńczy instynkt Dereka został postawiony w stan najwyższej gotowości.

Kiedy wieczór zbliżał się ku końcowi, oboje, on i Lilly, byli dziwnie zmęczeni tą wizytą. Poszli na spacer do Hyde Parku, żeby się trochę rozluźnić, powiadomiwszy, że muszą jeszcze omówić kilka szczegółów wesela.

Szli w milczeniu jakiś czas, zbyt wyczerpani, by zamienić chociaż słowo. Na szczęście to, że są we dwójkę, odprężyło ich.

- A więc...- zaczął Derek ostrożnym, ale miłym tonem, kiedy w końcu odzyskali zdolność mówienia - twoja... hm... twoja matka ma zamiar mieszkać z nami?

Lilly przygryzła wargę i zerknęła na niego z ukosa.

- No cóż... Ona mieszka w Balfour Manor, a my też mamy zamiar mieszkać w Balfour Manor, więc... ? - Wzruszyła ramionami.

- To prawda. - Wydął usta, po czym wcisnął ręce w kieszenie i siedł z wzrokiem wbitym w ziemię.

- Czy uważasz, że to będzie kłopotliwe? - spytała z niepokojem.

Derek nie chciał stwarzać problemów, krytykując jej matkę. W końcu jeszcze nie poznał dobrze tej kobiety.

- Nie, nie. Czy możemy ją ulokować w skrzydle, gdzie są nietoperze?

- Derek... - Lilly rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Przepraszam - przeciągnął. - Chyba mnie nie lubi.

- Ale ja cię lubię. - Wzięła go za rękę i przytuliła się do niego, kiedy tak szli w coraz gęstszym mroku. - Kochanie, wiem, że matka może ro-

bić wrażenie... przede wszystkim wyniosłej. Po prostu musi mieć trochę czasu, żeby się do ciebie przyzwyczaić, i tyle.

- Skoro tak mówisz...
- Nie przejmuj się. Będę cię chronić przed nią - zażartowała.

Uniósł brwi.

- To o ciebie się boję. Chodzisz koło niej na paluszkach. Ja nie potrafię być aż taki taktowny.

- Nie potrafisz czy nie chcesz?

- Grrr...

- A czy nie mógłbyś spróbować... dla mnie? Chociaż troszeczkę? Daj spokój, kochanie. To przecież moja matka.

- Dobrze - mruknął, posyłając jej pełen oddania uśmiech. - Dała ci życie, więc mam wobec niej dług wdzięczności. Będę uważnym i uprzejmym zięciem. Tak długo, jak wytrzymam - dodał drwiąco.

Pamiętał, co Lilly mu mówiła, jak matka obarczała ją winą, gdy została skrzywdzona. Nie czuł najmniejszej sympatii do kobiety o tak twardej sercu.

A teraz celem jego życia było chronić Lilly.

Następnego dnia, kiedy Lilly z matką, ciotką i przyzwoitką zajmowały się ostatnimi drobiazgami w związku ze ślubem, a kuzynka Pamela samotnie poszła zgłębiać kulturalne atrakcje Londynu, Derek spędzał czas w domu przy Althorpe; pił herbatę, czytając ostatni rękopis rodzinnej autorki.

Jakiś czas temu, zanim panie z Balfour opuściły dom, Lilly napisała do kuzynki, powiadomiła o zainteresowaniu Dereka jej opowiadaniem i poprosiła, żeby przywiozła do Londynu swoje ostatnie dzieło.

Skończył czytać po trzech godzinach. Uśmiechał się od ucha do ucha. Teraz, kiedy już poznał pisarkę i dostrzegł w jej oczach tęsknotę, gdy powiedział, że to powinno być wydane, kiedy zobaczył, jak smutnie pokiwała głową i przypomniawszy mu, że to nie wypada - wiedział już, co ma zrobić.

Może powinienem zacząć karierę jako agent literacki, pomyślał, zabawiony tym nowym pomysłem, wkładając rękopis do skórzanej teczki. Już po chwili maszerował w stronę wspaniałego biura wydawnictwa John Murray Publisher.

Nie chciał odejść, zanim pan Murray nie przyjął go osobiście. Użył całego swojego czaru i wspominał mimochodem o wszystkich powiązaniach z ważnymi osobami w rodzinie; w końcu namówił renomowanego wydawcę do przeczytania książki Pameli.

To było o wiele zabawniejsze, niż gdyby leżała w szufladzie.

Za swój prawdziwy ślub Lilly uznała noc, kiedy oddała się Derekowi. Niedzielną uroczystość musiała się odbyć ze względu na rodzinę. Dopilnowała, żeby wszystko było bezpretensjonalne, ale eleganckie. Będąc z natury praktyczną kobietą, przyzwyczała się do osiągania dobrych efektów nawet przy skromnym budżecie. Większą trudność sprawiało pohamowanie pretensjonalnych gustów matki.

W pewnych sprawach jednak nie miała wyjścia i musiała ustąpić. Negocjowała z matką, godząc się, żeby ceremonia odbyła się w najmodniejszym kościele przy St. George's Hanower Square. W zamian za to lady Clarissa musiała się zgodzić na zaproszenie na ślub Lilly ich krewnych: nowego wicehrabiego Balfour z żoną, mimo że nie utrzymywała z nimi stosunków.

To był pomysł Dereka. Lilly wyjaśniła matce, że tak wypada się zachować.

Ponieważ w uroczystości miała wziąć udział cała wspiana rodzina Knightów, ślub z pewnością zostanie opisany na stronach towarzyskich w gazetach. W tej sytuacji pominięcie lorda i lady Balfour uznano by za afront.

Chociaż tytuł wicehrabiego powinien być przejść na ojca Lilly, nowy lord i lady Balfour nigdy nic w tej sprawie nie zrobili - ani dla niej, ani dla matki. Niesnaski w rodzinie sięgały zresztą jeszcze dawniejszych czasów. Nikt już nawet nie pamiętał, o co poszło.

Lilly stwierdziła zdecydowanie, że podczas ich pierwszego spotkania nowy lord Balfour wydał jej się dość sympatyczny; wygłosił wtedy na pogrzebie dziadka piękną mowę pochwalną. Matka w końcu ustąpiła i Lilly wysłała zaproszenie. Po paru dniach krewni odpowiedzieli, potwierdzając przybycie na uroczystość.

Wkrótce nadszedł ów pamiętny dzień.

Lilly szła do ślubu w bardzo pogodnym nastroju. Niech sobie redaktorzy rubryk towarzyskich krytykują, co chcą; ona była zadowolona.

na z wyboru: róże z białym przybraniem, kwartet smyczkowy grający Bacha, prosta suknia z bładoniebieskiego jedwabiu, śnieżnobiały welon i rękawiczki. Włożyła kolczyki z szafirami - prezent zaręczynowy od Dereka.

Ofiarowując je Lilly, powiedział, że wraz z nowym życiem powinni też rozpocząć nową tradycję: być może pewnego dnia ich praprawnuczka włoży te klejnoty na bal maskowy i - Lilly dokończyła za niego - pocałuje jakiegoś nieznajomego w ogrodowej altanie.

Kuzynka Pamela, jej drużna, świetnie wyglądała w ciemnoniebieskich atłasach. Życie w Londynie służyło jej.

Derek i Gabriel, jego drużba, byli w ciemnogramatowych mundurach kawalerskich. Stali przy ołtarzu, patrząc, jak Pamela, a potem Lilly, wchodzi do kościoła.

Ponieważ Lilly nie miała już własnego, towarzyszył jej ich ojciec. Lord Arthur poprowadził ją wzdłuż ławek i przekazał synowi. Patrzył to na Dereka, to na Lilly trochę wilgotnymi oczami. Wziął się jednak w garść i usiadł obok pani Clearwell, która po prostu szlochała.

W uroczystej ciszy narzeczeni wypowiedzieli słowa przysięgi. Kiedy Derek wsunął Lilly na palec prostą złotą obrączkę, miała łzy w oczach, a gdy z czcią uniósł welon okrywający jej twarz i pocałował, przypomniała sobie noc w ogrodowej altanie i to, jak nie zgodziła się zdjąć maski i ujawnić, kim naprawdę jest. Teraz już wiedział. Znał ją aż do zakamarków jej duszy. I kochał ją. Lilly wiedziała, że zawsze będzie go kochać.

Prawie nie słyszała słów pastora, który ogłosił ich mężem i żoną. Kiedy Derek pochylił się do jej ust, wyglądał na oszołomionego siłą swojego uczucia.

Raczej wypląnęła, niż wyszła z kościoła na zewnątrz - i tam właśnie goście obejrzeni niezwykle widowisko, jakiego Lilly nie potrafiła sobie odmówić. Kiedy zaczęło się wesele, otwarto trzy skrzynki z białymi gołębiami.

Wszystkie pofrunęły prosto w niebo jak ich piękne nadzieje... Wybrała gołębice, jako symbol pokoju - teraz, kiedy wojownik znalazł swój nowy dom.

Stamtąd goście udali się na wystawne śniadanie do Knight House. Co prawda Lilly nie знаła dobrze kuzynów Dereka, ale skoro księżę

i księżna zaproponowali, że chcą urządzić dla nich przyjęcie weselne w swoim wspólnym londyńskim pałacu, żaden rozsądny człowiek nie potrafiłby temu zaproszeniu odmówić. W końcu to nie tylko gest uprzejmości; dla londyńskiego najwyższego towarzystwa było to sygnałem, że nowożeńcy zostali członkami klanu.

Podczas przyjęcia szampan lał się strumieniami. Pośrodku stołu czekał tort weselny, cudo złożone z trzech białych pięt, lśniące srebrzystą pianą i bogato ozdobione różyczkami w kolorach różowym i bordo. Lilly nie mogła od niego oderwać oczu.

- Myślę, że tort jest za ładny, żeby go zjeść - szepnęła do pani Clearwell.

- Gdzie jest twój mąż? Och, jak to brzmi! Twój mąż! Nie masz pojęcia, jakim ten dzień jest zwycięstwem dla mnie, moja kochana, po prostu nie masz pojęcia. - Tu pani Clearwell wypila kolejny duży łyk szampana.

Lilly zastanowiła się, ile kieliszków miała już za sobą jej opiekunka. Przyglądała się, jak Derek czaruje towarzystwo; zawsze to robił. Rozmawiał z lordem i lady Balfour jako gospodarz, zadając sobie szczególnie dużo trudu, by ci czuli się dobrze.

Kochany jest, pomyślała i skinęła na niego.

- O co chodzi? - Pocałował ją w policzek.

Lilly wskazała gestem swoją opiekunkę.

- Pani Clearwell chciała nam coś powiedzieć.

- Muszę wam udzielić ostatnich rad, moja droga młoda paro! - rzekła pani Clearwell głośnym szeptem.

- Tak? - Lilly zamarła.

- Zrobi nam pani tym prawdziwą przyjemność - odparł Derek trochę sceptycznie, kładąc rękę na ramieniu pani Clearwell, by ją nieco uspokoić. - Dobrze się pani czuje, moja droga?

- No, może jestem trochę wstawiona - przyznała - ale mam powód do świętowania. Poza tym moje zajęcie się skończyło, prawda? Już nie jestem przyzwoitką. - Zaszlochała głośno w chusteczkę. - Och, jestem taka szczęśliwa!

- Była pani cudowną przyzwoitką - powiedziała Lilly, klepiąc ją po ramieniu.

- A ty byłaś cudowną podopieczną. - Wydmuchała nos i spróbowała wziąć się w garść. - A teraz słuchajcie dobrze, bo naprawdę chcę wam coś poradzić. - Przysunęła się bliżej. - Idźcie za głosem serca... Zaufajcie mu, moje dzieci! Ono wie o wiele więcej, niż kiedykolwiek dowie się wasza głowa. To ono doprowadziło was do siebie nawzajem. Zaufajcie sobie wzajemnie. To jedyna droga - ufać sobie samym. Nadejdą i złe czasy, to pewne, zawsze tak jest. Ale nigdy się nie poddawajcie. I cokolwiek się wydarzy, nie pozwólcie temu drugiemu odejść.

- Nie pozwolimy - zapewnił ją łagodnie Derek, a Lilly po prostu ją uściskała, zbyt wzruszona, by powiedzieć choć słowo.

Gabriel poprosił Dereka na słowo.

- Wygłosiłeś bardzo piękny toast - powiedziała Lilly swojemu świeżo upieczonemu szwagrowi, który w odpowiedzi uśmiechnął się nie śmiało.

- Za chwileczkę zwrócę pani męża, pani Knight.

Przyjemnie jej było, gdy usłyszała swoje nowe nazwisko.

Derek poszedł za bratem w stronę balkonu.

- O co chodzi? - Zmarszczył brwi. - Chyba nie masz zamiaru dawać mi rad małżeńskich, co? Cały dzień je słyszę...

- Nie. - Gabriel roześmiał się. - Właściwie chciałem cię prosić o przysługę.

- Dobry jesteś! - wykrzyknął Derek. - Prosić mnie o przysługę w dniu ślubu? Myślę, iż to znaczy, że nie wolno mi odmówić.

- Właśnie to.

- Więc co mogę dla ciebie zrobić? Gabriel chwilę milczał, wpatrując się w brata.

- Chcę cię poprosić o przejęcie roli głównego spadkobiercy ojca.

- Co takiego?

- Nie chcę nim być - mówił brat. - Nie chcę brać na siebie tego obowiązku.

Derek patrzył na niego zdumiony. Przez całe życie nigdy nie słyszał, żeby jego niezwykle odpowiedzialny starszy brat wykręcał się od jakiegoś obowiązku.

- Ależ, Gabrielu... jesteś pierworodnym synem.

- No to co? To nie jest akurat takie ważne. Ojciec może zostawić majątek któremukolwiek z nas. Rozmawiałem już zresztą z nim i zgadza się na moje plany. Do przeprowadzenia wszystkich papierkowych formalności mamy Charlesa Beechama. Ty musisz tylko podpisać - a potem - wszystkiego dobrego! Ze się tak wyrażę, i ty możesz być „pierworodnym”. Mam nadzieję, że sprawimy tym przyjemność Lilly. I jej matce - dodał smętnie.

- Ale Gabrielu... dlaczego to robisz? - Derek był coraz bardziej zaniepokojony. - To przecież twoje prawo od urodzenia. Chyba nie mogę ci go odebrać. Straciłeś rozum?

- Nie, oczywiście że nie. Nigdy w życiu nie byłem zdrowszy. Zrobisz, o co cię proszę, czy nie?

- Ależ tak, zrobię wszystko, o co mnie prosisz, ale...

Głos mu się załamał; nie był w stanie nic powiedzieć.

Naturalnie to kompletnie zmieniało jego sytuację i plany na przyszłość. Teraz miał otrzymywać wyższą pensję z majątku rodzinnego, taką, dzięki której będzie mógł utrzymać żonę i dzieci na o wiele wyższym poziomie. Jako prawowity spadkobierca takiego bogacza, jakim był lord Arthur Knight, będzie mógł otrzymać praktycznie nieograniczony kredyt od każdego kupca w Anglii. Będzie żyć tak, jak chce; zresztą podobnie jak Gabriel wiedział, jak się obchodzić z finansami.

Zmarszczył brwi.

- Czy to twój sposób na uratowanie własnego brata po raz drugi?

- Nie. No, może trochę.

- Gabrielu...

- Słuchaj Derek, chcę, żebyś to dla mnie zrobił. Nie rozumiesz. Muszę się zająć ważniejszymi sprawami. Nie mogę sobie zawracać głowy sprawami materialnymi.

- O co chodzi?

Zaczekał, aż kilku weselnych gości odejdzie dalej, by nie być słyszalnym, po czym przysunął się bliżej i zniżył głos.

- Pamiętasz, jak przebiła mnie strzała. Widziałeś, co się wtedy ze mną stało.

Gabriel wpatrywał się w brata.

- Tak, pamiętam.

- Śmierć już do mnie przyszła - mówił Gabriel niemal niedostłyszalnie - ale się jej wyślizgnałem z rąk. Musiał być jakiś powód, dlaczego tak się stało. Jest coś, co powinienem zrobić. Czuję to. Ale jeszcze nie wiem, co to takiego. Czeka mnie jakiś nowy los, a gdy nadejdzie czas, kiedy to się okaże, muszę być gotów... odejść. Nie mogę się obciążać światowymi przeszkodami.

- Odejść? Dokąd? Nie rozumiem.

Wzrok Gabriela stał się jeszcze bardziej intensywny.

- Do światła.

- O Boże...

- Derek, moja śmierć została tylko odsunięta w czasie.

- Nie mów tak! Możesz żyć jeszcze drugie czterdzieści lat!

- Może tak, a może nie. Wiem tylko, że następnym razem postaram się być gotowy.

- Co masz na myśli? - spytał Derek z niepokojem.

- Derek, nie chciałem ci tego mówić, gdy jeszcze za wszelką cenę chciałeś pozostać żołnierzem. Kiedy umarłem...

- Gabrielu!

- Kiedy umarłem - powtórzył z uporem - zobaczyłem miejsce, do którego szedłem. Muszę po prostu powiedzieć: ładne to ono nie było.

Oczy Dereka otworzyły się szeroko.

Gabriel przysunął się bliżej.

- Zobaczyłem wszystkie śmierci, które spowodowałem we wszystkich bitwach, wszystkie agonie, które przeze mnie przeszli moi ludzie, całą krew, jaką przelałem. Wyrzekłem się tego. Wszystkiego.

Derek gwałtownie przełknął ślinę, zastanawiając się, czy wizja Gabriela mogła być rzeczywista.

- Już postanowiłem. Odkładam szpadę. Nigdy więcej nie będę już walczyć ani korzystać ze światowych dóbr. Ty się ożeniłeś. Ja tego nie zrobię.

- Nie będziesz się interesować kobietami?!

- Moje przeznaczenie już nadchodzi, Derek. - Objął go mocno za ramiona i patrzył przenikliwie w oczy. - Jeżeli ty tego nie rozumiesz, nikt nie zrozumie. Muszę w jakiś sposób oczyścić tablicę swojego życia. Otrzymałem drugą szansę zadośćuczynienia za całą przelaną przeze mnie

krw, a kiedy przeznaczenie mnie wezwie, nie wolno mi będzie się wahać. Ty musisz się zająć ojcem, Georgie i resztą. Przrzeknij mi to. Derek patrzył na niego nieufnie.

- Możesz na pewno na mnie liczyć, tylko czy jesteś o tym przekonany?

- Śmiertelnie przekonany.

- Więc dobrze. Zrobię, o co prosisz.

Gabriel uśmiechnął się powściągliwie i kiwnął głową, dziękując. W jego ciemnoniebieskich oczach widać było ulgę. Szybko oddalił się, a kiedy Derek patrzył, jak brat znika w tłumie gości, mógł tylko się zastanowić, czyjego uwielbiany brat po ciężkiej chorobie trochę oszalał, czy też jest aż zanadto zdrowy.

Lilly miała nadzieję, że piękna pogoda w dniu, w którym przywiozła męża do domu, pozwoli jej pokazać Balfour Manor w nieco bardziej korzystnym świetle. Kiedy jednak wysiedli z powozu, silne słońce dało wręcz przeciwny efekt, bo dokładnie oświetliło każdą usterkę i wydobyło na światło dzienne rozsypującą się w gruzy prawdę.

Serce ją zabolowało na widok domu po tak długiej nieobecności; patrzyła na niego teraz jakby nowymi oczyma.

Był ponury i smutny.

Spojrzała spod oka na Dereka, kuląc się w sobie na myśl o jego reakcji. Widziała niepokój w jego oczach, gdy oglądał dom. Ona też się niepokoiła, jakby za niego. Teraz na barki nowego pana domu miały spaść wszystkie rodzinne kłopoty.

- Właściwie najlepiej to wygląda we mgle - rzekła.

- Hm.

- Co o tym myślisz?

Odwrócił się do niej i uśmiechnął z pewnym wysiłkiem, pozorując entuzjazm.

- Malownicze.

- No tak, Pulteney Hotel to to nie jest.

Drgnął.

- Boże, nie wspominaj nawet o tym hotelu... Bo znowu zacznę - zagrożił.

Roześmiała się, a on objął ją ramieniem. Kiedy schylił głowę, żeby jej coś cicho szepnąć do ucha, Lilly niewątpliwie zarumieniłaby się, gdyby nie to, że w czasie miodowego miesiąca właściwie zatraciła tę umiejętność.

O tak, ciągle pamiętała każdy szczegół wspaniałego apartamentu tego ekskluzywnego hotelu, który Derek dla nich zarezerwował na trzy noce w Londynie.

Gdyby nie posiłki, sprawnie podawane do pokoju, prawdopodobnie umarliby z głodu, bo prawie nie wychodzili z łóżka.

Czwartego ranka wyszła z pokoju jako o wiele bardziej doświadczona kochanka; Derek wprowadził ją w tajniki tantrycznych praktyk miłosnych. Oddechy i energia, czakry i skomplikowane pozycje zainspirowane jogą. Krótko mówiąc, erotyczne tajemnice Wschodu nie okazały się bynajmniej tak tajemnicze...

Chociaż Lilly rozkoszowała się mistrzostwem męża w tej sztuce, była świadoma, że zdobywał te wspaniałe doświadczenia po to, by -jak kiedyś uważał - zdobyć majątek i sławę w celu zyskania miłości swojej wybranki. Ale ta wybranka pokochała go na długo przedtem, nim w ogóle usłyszała o *Kamasutrze*, zatem całe jego studia właściwie mogłyby się na nic nie przydać; no, ale był to wyjątkowo miły sposób spędzenia nocy.

Stojąc obok niej, Derek wziął głęboki oddech i zebrał siły, patrząc na dom, jakby to była hinduska forteca, którą musi zdobyć i zniszczyć.

Lekko ścisnął Lilly za ramiona.

- Chodźmy.

Derek nawet nie drgnął, kiedy obejrzał dom.

Powiedział sobie, że wcale nie jest w bardzo złym stanie.

Był w o wiele gorszym, niż myślał.

Poznał służbę, która wyszła go powitać: nieszczęśliwie zakochanego lokaja, cichego wielbiciela lady Clarissy; starego dozorcę, który wyglądał, jakby miał lada chwila paść trupem; pulchną i rzeczową gospodynię oraz pokojówkę sprawiającą wrażenie wiecznie zmęczonej. Dal każdemu po dwadzieścia suwerenów; ta kwota mieściła w sobie ich zaległe pensje i duży dodatek za lojalność. Nieomal się popłakali.

Starając się dodać żonie otuchy, zaproponował Lilly, żeby po długiej podróży powozem wybrali się na spacer po ich gruntach i do wsi. Zgodziła się od razu, pewnie dlatego, że chciała jak najdłużej odwlec pokazanie mu wnętrza domu.

Bał się tego także, ale przynajmniej mógł dokładnie obejrzeć miejsce. Wkrótce już wiedział z czym ma do czynienia. Nie było to zbyt pokrzepiające. Chociażby stajnia. Rozpadający się budynek z trudem pomieściłby kozę; jednak zarówno Mary Niezrównana, jak i kary ogier zaakceptowali tę zniewagę bez skargi.

Lilly, ciocia Daisy i kuzynka Pamela - nic nie wiedziała o wizycie Dereka w wydawnictwie Johna Murraya - poszły razem z nimi dwiema wąskimi uliczkami, które stanowiły ich niewielką wioskę. Weszli do kościółka, gdzie złożyli uszanowanie prochom dziadka Lilly; pokazała też Derekowi pomnik, poświęcony pamięci jej ojca, chociaż, jak powiedziała, pochowano go w Indiach.

Tymczasem ciocia Daisy zatrzymała przy trzecim grobie Balfourów. Derek podszedł do niej, zdziwiony łzami w jej oczach. Spojrzał na napis i przeczytał: *Davy Balfour, 1196-1816. Ukochany syn.*

Zmarszczył brwi. Chłopiec umarł, mając zaledwie dwadzieścia lat.

Derek objął ramieniem pulchne plecy cioci Daisy i pocałował ją w głowę.

- Tak mi przykro - powiedział cicho. Teraz się nie dziwił, że zawsze była taka dziwnie rozkojarzona.

Pomyślał, że wszystkim paniom Balfour potrzeba ratunku.

- Mój chłopcze. - Ciocia Daisy oparła mu głowę na ramieniu i po ciągnęła nosem. - Ty i Lilly z pewnością będziecie mieć mnóstwo dzieci, z którymi mogłabym się bawić do woli, prawda?

- Zapewniam panią, moja droga, że już nad tym pracujemy.

Ciocia Daisy zachichotała, kiedy to wygłosił poważnym tonem, i dała mu klapsa, bo na to zasłużył. Kiedy się rozpogodziła, Derek poprowadził panie na obchód gospodarstwa.

Lilly popatrzyła na niego czule i z wdzięcznością.

Cały czas zachowywał spokój i pewność siebie, chociaż wewnątrz domu okazało się tak ciemne i ponure, jak się spodziewał.

Przez następne dwa tygodnie usiłował przygotować projekt renowacji, oglądając dom od zawilgoconej piwnicy do okupowanego przez

nietoperze strychu, od osuniętych fundamentów do dziurawego dachu i na pół przegniłych belek. Z dwudziestu kominków wszystkie wymagały wymiany polepy. W kilku z nich cegły się pozawały. Woda poplamiła i wypaczyła tynk na piętrze, gdzie mieściły się wszystkie sypialnie. Nic dziwnego, że z powodu wszechobecnej pleśni biedna Pamela kichała bez przerwy.

Żeby doprowadzić dom do stanu używalności, należało porobić nowoczesne toalety i całkowicie zmienić instalacje kuchenne. Poza tym potrzebne były nowa stajnia i inne budynki gospodarcze.

Wszystkie grunty wymagały zastosowania rolniczych ulepszeń, żeby ziemia mogła z powrotem stać się wydajna. W tej chwili nie nadawała się nawet pod owies i jęczmień.

Kilku dzierżawców, od dawna pozostawionych samym sobie, przyszło do niego ze skargą, że ich chaty także wymagają naprawy.

Kiedy Derek zorientował się w ogromie problemów w Balfour Manor, musiał wziąć głęboki oddech, by zachować spokój.

Czego u diabła od niego wymagają?

Tak, jego możliwości wzrosły z chwilą, kiedy lord Arthur zrobił go swoim następcą, ale musiał przecież postępować odpowiedzialnie. Nie miał zamiaru zmarnować całego majątku ojca, a doprowadzenie Balfour Manor do porządku właśnie tego by wymagało.

Jeszcze bardziej niepokoiły go zmiany, które obserwował w Lilly. Nieszczęsny wpływ, jaki to miejsce wywierało na jego młodą żonę, uwi-docznił się już w dniu ich przyjazdu. Martwiło to Dereka. Jego obowiązkiem jest chronić Lilly: nie tylko jej ciało, ale także emocje. Nie wiedział, jak to powinien robić, mieszkając tutaj.

Nie wiedział, jak zwalczyć duchy, a ten sypiący się gmach był ich pełny.

Na przykład za każdym razem, kiedy Lilly jechała na spacer, mijając drzewo, przy którym po raz pierwszy zbliżył się do niej lord Owen Masters. Derek spytał kiedyś, gdzie to się stało, i gdy mu pokazała, chciał je ściąć; Lilly jednak tłumaczyła, że przecież stare, wielkie drzewo nikomu nic nie zawiniło.

- Naprawdę nie zasłużyło na karę śmierci, Derek.

Jasne. To przecież tylko drzewo.

Może i tak, ale kiedy patrzył na jego guzowaty stary pień, widział twarze upiórów polujących na małe dziewczynki.

Wtedy właśnie po raz pierwszy pojął do głębi swojego odważnego serca, że musi Lilly stąd wydostać. To upiorne miejsce ją zauroczyło, a on musiał ją uratować.

Poza tym stała jeszcze ta smutna, patetyczna ruina niedokończonej altany dla córeczki; kolejne bolesne miejsca wspomnień, które codziennie oglądała. Gdyby Langdon Balfour żył, Derek z przyjemnością rozkwasiłby mu jego arystokratyczny nos. Ta altana była jeszcze jedną rzeczą, którą Derek pragnął naprawić dla Lilly, by jej pomóc odbudować i uleczyć własne serce. Ze swojej strony chciałby, żeby tym razem budowę skończyć i zrobić to dobrze.

Zastanawiał się cały czas, co zrobić.

Z pewnością Lilly nie pomagało codzienne oglądanie miejsc, stale przypominających nieszczęścia i zdrady, jakie wycierpiała.

Jednak najgorszy był wpływ matki. Na Boga, myślał Derek, Lilly nie powinna w ogóle przebywać blisko tej harpii - najwyżej ją odwiedzać i to możliwie jak najrzadziej.

Ta kobieta była jak trucizna.

Przez cały dzień lady Clarissa, pracując nad haftem w saloniku, wbiła szpilki córce, krytykowała ją i obrażała; zastraszała Lilly, obwiniła ją i dręczyła. Na miły Bóg, czemu ta dziewczyna się nie broni?

Chociaż lady Clarissa nie odważyła się próbować swoich sztuczek na nim, Derek uważał bardzo, by się nie wtrącać. Wiedział aż nadto dobrze, że obrażenie takiej doświadczonej manipulatorki jak ona skończyłoby się tak, że to on wyszedłby na łajdaka. Nie był jednak pewien, czy długo jeszcze będzie w stanie trzymać język za zębami, widząc, jak to wszystko wpływa na jego żonę.

Słuchając codziennie okrutnych uwag matki i ulegając wpływowi tego miejsca, a także wiszącemu nad Balfour Manor ciężarowi przeszłości, Lilly robiła się coraz cichsza, bardziej przygaszona, zamknięta w sobie. Z każdym dniem stawała się mniej podobna do nieustraszonej bogini, która go uratowała z pożaru w stajni. Przypominała teraz szarą myszkę.

Nie mógł na to patrzeć. Jego śliczna żona stawała się obcą, smutną kobietą z podkrążonymi oczami.

Derekowi łatwiej byłoby ją leczyć z grypy. Nie wiedział, jak uzdrowić z choroby duszy.

Jedynie, co na pewno wiedział, to że ją musi stąd zabrać, zanim po prostu zwiędnie i ulotni się jak duch. Musiał ją ratować, wyrwać z tej klatki i uwolnić - tak, jak ona to zrobiła.

Ale kuracja, o jakiej myślał, cóż, chyba jej nie zachwyci.

Będzie jej nienawidzić. Może nawet skończy się tym, że znienawidzi jego. Ale tak musi być. Zrobi wszystko, co potrzebne, żeby ją chronić. To była jego najświętsza przysięga.

Powziąwszy postanowienie, Derek napisał do Charlesa Beechama, prosząc o rozkręcenie sprawy sprzedaży Balfour Manor.

Jeszcze nie wiedział, jak i kiedy powie Lilly, że się wkrótce wyprowadzą - tam, dokąd sobie zamarzy. Ale wiedział, że musi ratować swoją żonę.

20

Tej nocy Lilly patrzyła, jak jej mąż, zmordowany, wchodzi do sypialni. Był zeszywniały, ledwie się ruszał po kolejnych szesnastu godzinach katorżniczej pracy. Duch winy, tak dobrze znanej winy, szeptał Lilly do ucha swoje milczące przekleństwa.

Kiedy czekała na męża w łóżku, ubrana w białą koszulkę bez rękawów, czuła się nieswojo, że go naraziła na takie trudy.

Choć Derek nigdy się nie skarżył - właściwie przyjmował to ze spokojem - musiał chyba myśleć, że małżeństwo z nią jest podobne do niewolnictwa albo ciężkich robót w karnych koloniach w Australii.

Ściągnął z siebie brudny przyodziewek i bez słowa zaczął się myć.

Jak na wojnie.

Lilly czuła, że łyzy ją pieką pod powiekami; zamrugła, żeby powstrzymać się od płaczu. Och, co też ona z nim robi?

Kiedy siadł na brzegu łóżka, uklękła za nim i zaczęła mu masować barki, całując w szyję, jakby prosiła bez słów o wybaczenie. Westchnął i rozwiązał włosy.

Nie musiał nic mówić. Wiedziała, że nienawidził tego miejsca, a niebawem zacznie i jej nienawidzić.

Wiedziała, że nie jest szczęśliwy.

A czy mógł być? Pracował jak wół, w dodatku cały czas w napięciu, z powodu lady Clarissy. Pewnie teraz zastanawia się, dlaczego się z Lilly ożenił. Kiedy wróciła do Balfour Manor, dobrze pamiętając, jaką tu zawsze była żalostną istotą, zaczynała się nad tym zastanawiać. Jak jej, która ma tyle wad, udało się złapać na męża kogoś tak wspaniałego?

Derek obiecał, że nie wróci do Indii, ale teraz pewnie chciałby to zrobić. To przerażało Lilly; myślała, być może nieracjonalnie, że ją w końcu opuści i nie wróci jak ojciec.

- Dobrze się czujesz? - zamruczał, biorąc ją za rękę.

Milczała przez chwilę.

- Dobrze - odparła w końcu niepewnie. Płacz jeszcze pogorszył jej wygląd. - A ty?

- Bywało lepiej - przyznał z uśmiechem.

- Och, Derek - jęknęła, obejmując go. Oparł głowę o jej policzek.

- Tak?

Było jej przykro, nie wiedziała, co powiedzieć. Gładziła jego długie włosy, próbując uporządkować myśli. Odetchnęła głęboko.

- Co planujesz jutro? Pamela i ja ci pomożemy.

- O Boże... - Jęknął, kiedy mu o tym przypomniała. - Przede wszystkim trzeba się zająć kuchniami. Grożą w każdej chwili pożarem. Ale najważniejsze, że jutro w nocy będę musiał załatać te dziury w dachu, przez które dostają się nietoperze.

- W nocy?

- Trzeba to zrobić w nocy, kiedy latają na zewnątrz. Wracają do domu nad ranem. W ten sposób nie będą mogły dostać się do środka.

- Bardzo sprytnie.

Uśmiechnął się.

Patrzyła na niego długą chwilę, czując, że serce chce jej wyskoczyć z piersi.

- Kochanie, tak mi przykro z powodu tego wszystkiego - wyrzuciła wreszcie. - I z powodu matki. Wiem, że cię doprowadza do pasji. Po prostu przyzwyczała się tu rządzić, rozumiesz? A teraz ty tu jesteś panem; matka nie może tobą pomiatać i dlatego nie wie, co ma robić.

- Nie mogę dłużej patrzeć, jak próbuje cię zastraszyć. - Derek położył rękę na kolanie Lilly. - Wiem, jak bardzo cię rani, kochanie. Od lat

cię gnębi, krytykuje wszystko, co robisz. Czy tak nie jest? - spytał z czułością.

- Nauczyłam się już nie zawsze na to zwracać uwagę.

- Ale tak żyć nie można - zaprotestował łagodnie, patrząc jej głęboko w oczy. - Nie zrobiłaś nic, co by zasługiwało na niezyczliwe słowa. Lilly, kocham cię. Kiedy się z tobą żeniłem, przysiągłem, że będę cię ochraniać - nie tylko twoje ciało, ale i duszę. Jeżeli matka wciąż będzie cię krzywdzić, dojdzie do tego, że powiem: „Dosyć!”

- Kochany jesteś.

- Dlaczego nigdy się nie bronisz? Wreszcie ktoś powinien pokazać, gdzie jest jej miejsce, a myślę, że tym kimś powinnaś być ty. Zrobiłbym to z przyjemnością, gdybyś chciała, naprawdę uważam, że to byłoby najlepsze dla ciebie, a może i najlepsze dla niej.

- Co proponujesz? - spytała rozweselona. - Żebym głośno wyklócała się z własną matką?

- No pewnie, daj jej taką szansę, dziewczyno. Tylko w ten sposób nauczysz się, że nie wolno jej po tobie deptać.

- Och, Derek, chyba nie potrafiłabym zrobić czegoś takiego. To by nie było... hm... eleganckie.

Nie mogła się powstrzymać, by się do niego nie uśmiechnąć z zażenowaniem.

- Nigdy nie miałaś problemu przeciwstawienia się mnie - przypomniał jej, po czym podstawił jej pod nos muskularne ramię. - A ja chyba jestem trochę groźniejszy niż ona?

Lilly obsypała pieszczotami potężny biceps, przesuwając palcami po gładkich, twardych jak kamień mięśniach. Uśmiechnęła się, kiedy poczuła miłe mrowienie w dole brzucha.

- To jest argument.

Dotknął jej policzka.

- Już nie jesteś małą dziewczynką. Pamiętaj o tym. Jesteś dorosłą kobietą. Piękną, ponętą, w pełni dojrzałą... kobietą - zakończył chrapliwie, przesuwając palcami po jej szyi, odgarniał długie, rozpuszczone włosy tak, żeby móc łatwiej dosięgnąć piersi.

Lilly zadrżała, kiedy lekko przesunął po nich palcami, i jęknęła, gdy zsunął jej koszulkę z ramienia. Odkrył jej pierś i przesunął się niżej, chwytając ją ustami.

Po chwili zaczął smakować jej wargi. Objęła go rękami za szyję, położyła się na wznak i owinęła nogi wokół jego torsu, on zaś pieścił jej usta językiem.

- Nie jesteś zmęczony...?

- Nigdy. - Uśmiechnął się łobuzersko.

Sięgnął niżej i zwinnymi palcami doprowadził jej pożądanie na wyżyny, a potem pieścił ją dalej ustami. Oszczędziła mu wysiłku, pozwoliła leżeć na plecach, podczas gdy ona ułożyła się na nim.

- Zdejmij to. - Poddarł jej koszulkę. Siedząc na nim, ściągnęła bielezinę przez głowę. Patrzył z podziwem na jej ciało, a po chwili za wzrokiem poszły jego ręce.

- Boże, ale ze mnie szczęściarz.

Wzruszyła się, że ciągle jeszcze tak czuje.

Leżąc na nim, oddała mu się w pełni; kochała się z nim, aż doznała rozkoszy, która wypełniła jego całe ciało i duszę.

- Chodź do mnie, Lilly, kochanie - jęknął.

- Kocham cię - szepnęła, kiedy po paru sekundach i ona odczuła za spokojenie.

Potem leżeli razem, złączeni; odpoczywała na jego piersiach z zamkniętymi oczami, spokojna i zadowolona. Wszystko znów nabrało sensu. Wiedziała, że miłość Dereka to dla niej najlepsze lekarstwo na lęki.

Kiedy leżała w jego ramionach, czuła się tak, jakby nic im nigdy nie mogło zagrozić.

Niestety, była to cisza przed burzą.

Następnej nocy Lilly i Pamela wdrapały się razem z Derekiem na okupowany przez nietoperze strych i podczas gdy skrzydlaci lokatorzy fruwali na zewnątrz, polując na ćmy, pomagały Derekowi łątać dach. Cała trójka, jak gang bandytów, miała trójkątne chusteczki zakrywające usta i nos, by nie wdychać kurzu, resztek odchodów nietoperzy ani niezdrowej czarnej pleśni, zzerającej belki dachu.

Nie było to zajęcie dla dam ani dla dżentelmena, to prawda. Jednak po paru okrzykach, jakie to „obrzydliwe”, a nawet „makabryczne”, zabrali się do roboty. Lilly z latarnią w ręku oświetlała Derekowi miejsce, gdzie pracował. Przyniósł drabinę i wdrapał się na dach, żeby z bliska

ocenić zniszczenia. Teraz sprawdzał brakujące dachówki jak dentysta sprawdzający stan uzębienia pacjenta.

Podczas gdy Lilly układała zniszczone stare dachówki w stosik, kuzynka Pamela przez największą dziurę w dachu podawała Derekowi nowe.

On tymczasem walił co sił młotkiem.

Trochę po północy zabawiali się, układając dla Pameli scenariusz kolejnej powieści grozy.

Derek zaproponował historię młodzieńca, który odwiedza dziwny zamek, dowiaduje się, że jest w nim pełno duchów, i w jakiś sposób musi je pokonać. Lilly proponowała egzorcyzmy, ale Pamela stwierdziła, że to działa tylko na demony.

- Może powinien mieć jakieś specjalne narzędzie do walki z duchami - zasugerowała Lilly.

- Na przykład co? Zaczarowany młotek? - Derek, śmiejąc się, wychylił się przez dziurę i pokazał młotek, który trzymał w ręku.

- Mógłbyś być ostrożniejszy? Jeżeli spadniesz, zabiję cię.

- Właśnie to mógłby zrobić! Mógłby umrzeć! -wykrzyknął Derek. - Umarły mógłby walczyć z duchami, bo sam już byłby duchem.

- Ale wtedy trzeba by znaleźć sposób przywrócenia go potem do życia - zastanawiała się Lilly. - Jak to można zrobić?

- Nie wiem. Musicie o tym porozmawiać z Gabrielem - mruknął Derek, nie udzielając im bliższych wyjaśnień.

- Podoba mi się ten pomysł - oceniła głośno Pamela. - To będzie pierwsza rzecz, jaką jutro zacznę!

- Już jest jutro - odparł Derek ze szczytu dachu.

- O tak. Widzisz może nietoperze? Latają tam?

- Nie, ale gdybym je zobaczył, powiem im jako właściciel, że koniec z wynajmowaniem strychu!

Do rana Derek zagroził nietoperzom drogę na strych. Fruwały dookoła domu w panice. Służba już wstała do codziennych obowiązków; lokaj i pokojówka pomogli całej trójce znieść na dół narzędzia, gwoździe i stosy odpadów po pracy.

- Faj, to było takie obrzydliwe...

- W każdym razie umyćcie się dobrze. Nietoperze mogą przenosić choroby, dlatego nie chciałem, żebyście mi pomagały, ale trudno. Cieszę się, że to zrobiłyście. Dziękuję, moje panie.

- To my powinniśmy ci podziękować - odparła Pamela, a Lilly ograniczyła się do pełnego uwielbienia uśmiechu.

- Och, tu jesteście! - Ciocia Daisy dosłownie wpadła na nich, kiedy schodzili po schodach w dół.

Derek i lokaj nieśli drabinę, Lilly parę zgaszonych lamp, a Pamela ostatnią, już niepotrzebną drewnianą łąkę. Ciocia Daisy miotła się przejęta.

- Spiesz się, córeczko, szybciej!

- Co się stało, mamó? - Pamela ostrożnie postawiła łąkę u dołu schodów i oparła ją o słupek balustrady.

- Coś przyszło do ciebie, list! Tu! Och, szybciej!

- Pewnie od tego poety, którego poznałaś w towarzystwie literackim, co? - zażartowała Lilly, rzucając kuzynce znaczące spojrzenie.

- Nie! - wołała ciocia Daisy; machała listem, jakby to był wygrany los na loterii. - O nieba! To od wydawcy!

Pamela aż krzyknęła.

- Co takiego? - Rzuciła się do matki i chwyciła list. - Murray! John Murray, wydawca. O Boże, przecież on wydaje lorda Byrona i sir Waltera Scotta! Ale jakim cudem dowiedział się o mnie?

Derek odchrząknął i spuścił głowę.

- Nie! Ty tego nie zrobiłaś...?

Pamela była zdumiona.

- Dlaczego nie? Opowiadanie było zupełnie dobre. Moja droga, nigdy nie osiągniesz sukcesu, jeżeli choć raz nie spróbujesz swoich sił.

Pamela z pobladłą twarzą zwróciła się do Lilly:

- Nie mogę. Nie mogę tego otworzyć. Lilly, ty przeczytaj. Sama nie dam rady.

Lilly odstawiła latarnię, wzięła list i posłała mężowi pełne wątpliwości spojrzenie, jako że dopiero w tej chwili dowiedziała się o jego małej intrydze.

Kiwnął głową z miną pełną kawaleryjskiej dumy i ufności.

Lilly złamała pieczęć, a kiedy przeczytała list, szeroko otworzyła oczy.

- Co tam piszą? - zapiszczała Pamela.

Lilly spojrzała na nią oszołomiona.

- Pan Murray chce wydać twoją książkę.

Pamela krzyknęła.

- Czekaj! Tu jest coś jeszcze. - Lilly złapała ją za ramię i zajrzała do listu. - Chce wiedzieć, czy masz jeszcze inne powieści, które chciałabyś mu sprzedać!

Pamela znów krzyknęła i wybuchnęła płaczem.

Wszyscy ją obejmowali i uspokajali. Ciocia Daisy też płakała, paplając coś, jaka jest dumna z córki. Lilly podskakiwała radośnie, a Derek klepał lokaja po plecach i rósł z dumy.

Nagle w ten radosny zgiełk wdarł się chłodny głos, jak powiew lodowatego północnego wiatru.

- Co to wszystko ma znaczyć?

Stanęli.

- Och, Clarisso - zaczęła odważnie, chociaż szeptem, ciocia Daisy. - Pan Murray z Londynu chce wydać książki naszej Pameli.

- Rzeczywiście? - prychnęła matka, kierując ostry jak szpilka wzrok na autorkę. - Wstydzę się za ciebie, Pamelu! Jak mogłaś w taki sposób szargać reputację naszej rodziny?

- Będę pisać pod pseudonimem, ciociu Clarisso, przysięgam.

- Nie! To nie wchodzi w rachubę. Poza tym jestem zdumiona, że odważyłaś mi się sprzeciwić w taki sposób.

- To nie ona - powiedział Derek ostro, występując naprzód. - To ja.

- Ach... powinienam była się domyślić- wycodziła matka z sarkazmem.

- Matko... - ostrzegła Lilly.

- Nie mów do mnie „matko”!

- Och, proszę, przestańcie! - zawodziła ciocia Daisy. - Czuję, że dostanę palpacji!

Lady Clarissa nie zwróciła na nią uwagi i wyładowała gniew na Lilly. Błękitne oczy matki groźnie błyszczały.

- To twoja wina, samolubna dziewczyno! To ty nas w to wszystko wpakowałaś, kiedy wyszłaś za tego ślicznego kawalera, zamiast dotrzymać słowa i poważnie potraktować obowiązki rodzinne. No, ale znając cię, podejrzewam, że nie miałaś innego wyjścia!

Lilly, zraniona, patrzyła na matkę z oburzeniem.

Derek ściągnął z rąk robocze rękawice.

- Zdaje się, że pani przed chwilą obraziła moją żonę.

Lady Clarissa odwróciła wzrok z lekceważącym wzruszeniem ramion.

- Uderz w stół, nożyce się odezwą!

- Madame - zwrócił się do niej Derek - proszę iść na górę i spakować się. Wyprowadza się pani.

- Och, rzeczywiście! - zakpiła. - Wyrzuca mnie pan z mojego własnego domu?

- To nie jest pani dom, lady Clarisso - przypomniał. - Dom jest mój. I żądam, żeby się pani... stąd... wyniosła!

Lady Clarissa aż podskoczyła, bo ostatnie słowo Derek wykrzyczał, jak sierżant podczas musztry. Popatrzyła na niego, chwiejąc się tak, że przewróciłby ją nawet lekki wietrzyk.

- Dobrze! - Spojrzała na Lilly, która stała obok zmartwiła i oszłamiona. - Jeżeli wszyscy tak uważacie - zakończyła z królewskim gestem. Zamknęła usta, zakreśliła się i z wysoko uniesioną głową poszła na górę.

Wszystkie patrzyły ze zdumieniem na Dereka; nie był skruszony ani nawet zażenowany.

Lilly pobiegła na górę do matki. Ta kobieta prawdopodobnie nawet nie wiedziała, jak ją zraniła.

Kiedy weszła do wielkiej, chociaż zniszczonej i pełnej kurzu sypialni, matka w gniewie pakowała rzeczy.

W każdym razie udawała, że je pakuje.

- Matko?

- Nie odzywaj się do mnie, ty mała zdrajczyni! - krzyknęła, wrzucając stertę zniszczonych ubrań do dużej walizy na łożu z baldachimem.

- Matko, proszę. Derek po prostu chce, żebyśmy wszyscy normalnie żyli. Z pewnością nie musisz się wyprowadzać...

- Tak, jakby ci zależało na tym, co się ze mną stanie!

- Nie bądź taka... Proszę, uspokój się. Przynieść ci herbaty? Wszystko będzie dobrze...

- Nie, nie będzie! - wrzasnęła matka, obrzucając Lilly wściekłym spojrzeniem. - To ty wszystko zniszczyłaś! To wszystko twoja wina i nawet sobie nie zadawaj trudu wmawiać mi, że ci zależy! Co ty sobie myślałaś, sprowadzając do domu kogoś takiego jak on? To nie miejsce dla niego! Oficerek z połową pensji! Nie na to się umawialiśmy! Masz w ogóle

pojęcie, jak kompletnie nas zdegradowałaś, a wszystko to dlatego, że znowu, jak podejrzewam, nie potrafiłaś trzymać razem nóg?!

Na te okrutne słowa Lilly zapłonęła ze wstydu. Stała ze spuszczoną głową i sercem ściśniętym po tym ciosie. Nie zauważyła, że przy drzwiach stoi Derek. Po chwili jednak usłyszała jego głęboki, spokojny głos, który jej przypomniał, kim jest naprawdę.

- Lilly Knight - powiedział łagodnie, ale tak, że go było słycać w całym pokoju -jesteś najdzielniejszą kobietą, jaką znam. Zamierzasz stać tu i znosić to?

Miał rację.

Jak przez mgłę przypomniała sobie ogień w stajni i to, jak dzielnie walczyła, żeby go ocalić. Czyżby nie miała dość sił, żeby się obronić?

- Mam rację, prawda, majorze? - rzekła z pogardą matka, przerywając myśli Lilly. - Ożenił się pan z nią tylko dlatego, że pan musiał, ze względu na honor.

Derek pokręcił tylko głową w kamiennym milczeniu, nie dając się sprowokować.

Lilly wiedziała, że Derek milczy też dlatego, że chce, by ona zaczęła mówić. Serce jej waliło. Właściwie nie wiedziała, od czego zacząć, tyle gniewu się w niej gotowało.

- Nie możesz znieść tego, że jestem szczęśliwa, tak? - wykrzyknęła tak gwałtownie, że nawet ją samą zdziwił ten ton.

Uniosła powoli głowę i spojrzała matce w oczy. Lady Clarissa patrzyła na nią z wyniosłym rozbawieniem. Uniosła brew.

- Co to jest? Myszka pokazuje różki?

Lilly drgnęła.

- Mam już dosyć krzywdzenia mnie. Matka powinna kochać dziecko, ale ty zawsze potrafiłaś się tylko natrzęsać i szukać we mnie winy. A tak bardzo chciałam zyskać twoją aprobatę! Tyle lat próbowałam, ale wiesz co, matko? Teraz już zrezygnowałam. - Oczy miała pełne łez. - Cokolwiek zrobię, krytykujesz, więc po co się starać? Wstydziłaś się mnie od chwili, kiedy lord Owen Masters zrujnował mi życie.

Matka tylko przewróciła oczami; Lilly straciła panowanie nad sobą.

- A gdzie ty byłaś, kiedy mi nie dawał spokoju? - krzyknęła do matki. - Zajęta tylko sobą! Miałam piętnaście lat, matko! Byłam dzieckiem!

Nie wiedziałam o niczym, nie rozumiałam! Ten bydlak po prostu mnie zgwałcił, ale ty nawet się nie zainteresowałaś, jak to na mnie wpłynęło. Zamiast mi pomóc czy pocieszyć, wrzeszczałaś na mnie i martwiłaś się, jak ukryć to przed ludźmi! To właśnie ty zasługujesz na potępienie - rzuciła lodowatym tonem. - Będąc moją matką, powinnaś była mnie chronić. Mój ojciec nie żył, przede wszystkim dlatego że go wygnałaś z domu.

Te ostatnie słowa zaskoczyły samą Lilly, kiedy je wypowiedziała.

Słowa prawdy, których nikt nie odważył się wypowiedzieć przez tyle lat.

- Tak, ty i dziadek. Oboje naciskaliście na niego, żeby wyjechał... dla pieniędzy... A on tam umarł.

Oczy lady Clarissy były pełne łez, ale milczała.

- No, ale mojego męża nie uda ci się wyrzucić - kończyła Lilly, drżąc ze zdenerwowania; nerwy miała napięte jak struny. - Jeżeli chcesz, mo żesz sobie tkwić w swoim dumnym nieszczęściu. Tak, nieszczęścia cho dzą parami, ale ja nie mam zamiaru więcej ich z tobą dzielić.

Spojrzała na Dereka. Spokojnie skinął jej głową. Znów z bijącym sercem popatrzyła na matkę.

- Chcę być szczęśliwa - powiedziała twardo. - A jeżeli ty nie potra fisz z tym żyć, Derek ma rację. Powinnaś się wyprowadzić.

Lady Clarissa wzięła głęboki oddech. Unikała teraz spojrzenia Lilly. Odwróciła się i zamknęła walizę.

- Masz rację - rzekła w końcu, ze wzrokiem utkwionym w przeciw ległą ścianę; nie patrzyła na Lilly, jakby twarz córki była lustrem, w któ rym nie chciała się przejrzeć. - Masz zupełną rację - ucięła. - Zawiod łam cię. Zawiodłam też twojego ojca, a teraz muszę żyć świadoma swoich win.

Lilly zadrżała; myślała, aż matka na nią spojrzy, ale lady Clarissa podniosła walizkę i wyszła z pokoju, godząc się na wygnanie.

Derek zatrzymał ją przy drzwiach, łagodnie kładąc damie rękę na ramieniu.

- Moja siostra Georgiana już urządziła gościnny pokój dla pani i in nych gości. Niech lokaj tam panią zawiezie. Moja siostra oczekuje pani.

- Rozumiem. Zaplanował pan to już wcześniej.

Derek nie odpowiedział.

Lilly przymknęła oczy; całą siłą woli powstrzymywała szlochanie, kiedy matka wychodziła.

Usłyszała kroki Dereka na schodach. Jego potężne ramiona objęły ją. Przytuliła się do niego.

- Dobrze! - powiedział cicho. - Kocham cię.

Lilly zapłakała.

- Musiałas to zrobić.

- Tak.

- Nie czujesz się teraz lepiej?

- Nie. Jeszcze nie.

- Zobaczysz. Niedługo. Obiecuję ci to - szepnął, całując ją w głowę.

- Ona... nie zareagowała dobrze.

- Powiedziałaś, co miałaś do powiedzenia. To najważniejsze.

- Pewnie tak.

- Jestem z ciebie dumny. Wiem, jakie to musiało być dla ciebie trudne.

- Nie jestem taka odważna jak ty.

- Jesteś. Spojrzała mu

w oczy.

- Naprawdę tak myślisz?

- Jestem tego żyjącym dowodem, moja droga. Coś ci powiem. Wysłuchała cię. Myślę, że niebawem zaczniemy w niej obserwować zmianę.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Nie wiem, dlaczego ona zawsze musi być taka zimna. Nie sądzę, żeby wiedziała, co to jest miłość.

- Ale ty wiesz.

- Tak. Ja wiem. - Nagle roześmiała się i pokiwała głową, czując się coraz lepiej. - Nie mogę uwierzyć, że ją wyrzuciłeś.

- Ciocia Daisy i Pamela pojedą z nią do Londynu. Georgiana z radością zaoferuje im na jakiś czas kilka pokoi w swoim pałacu.

- Tak, to cudownie. - Pociągnęła noskiem. - Pam będzie mogła spotkać się z wydawcą, a ciocia Daisy będzie szczęśliwa, kiedy znów zobaczy Matthew. A może pani Clearwell znajdzie dla matki jakiegoś miłego dżentelmena...

Derek wybuchnął śmiechem.

- Kochanie, pani Clearwell nie jest cudotwórczynią!

- Och, jesteś wstrętny.

Ujął jej twarz w dłonie i pochylił głowę, całując ją delikatnie w usta.

- Lilly? - szepnął po chwili. - Wiesz, że cię kocham, prawda?
Spojrzała ufnie w jego srebrnobłękitne oczy.
- Tak.
- To dobrze. Bo widzisz, kochanie, jest coś, co ci naprawdę powinienem powiedzieć.

Derek wiedział, że teraz nadszedł moment prawdy.

Niech to szlag trafi.

Prawdziwe utrapienie z tymi momentami prawdy.

- Kocham cię - powtórzył. To była prawda, ale chyba po trosze grał teraz na zwłokę.

- O co chodzi, kochanie? - Szeroko otworzyła oczy. - O Boże! Jedziesz z powrotem do Indii!

- Nie! Naturalnie że nie. Chodź tu, siadaj, malutka. Przed chwilą przeżyłaś szok.

Chociaż trudno porównać go z szokiem, jaki właśnie nadchodził...

Wyprowadził ją z sypialni rodziców, bo w tym pokoju naprawdę czuł się fatalnie i delikatnie posadził na wytartym siedzeniu w wykuszu okiennym w końcu długiego, wyłożonego ciemną boazerią korytarza.

Siedli oboje; Lilly patrzyła na Dereka z powagą, złożywszy ręce na podłokiu z wdziękiem, który wyprawiał dziwne rzeczy z jego wnętrzem... Położył rękę na obu jej dłoniach.

- Czy dzieje się coś niedobrego, mężu?

- Nie. - Wziął głęboki oddech. Przypomniawszy sobie, że mógłby zrobić o wiele więcej niż to, żeby ją chronić. Miał tylko nadzieję, że mu nie wbije sztyletu w pierś, kiedy usłyszy nowinę. - Uch... Po pierwsze chcę ci powiedzieć, że nasze finanse są w najlepszym porządku.

- Och... - Zmarszczyła brwi, po czym kiwnęła głową. - Dobrze.

Przełknęła ślinę.

- Gabriel mnie poprosił, żebym został głównym spadkobiercą ojca.

- Co takiego?

- Powiedział, że sam nie chce dłużej dźwigać ciężaru odpowiedzialności.

Słuchała w milczeniu.

- To do niego niepodobne. Czy się dobrze czuje?

Derek wzruszył ramionami.

- Zwykle wie, co robi. Ale, jak sobie możesz wyobrazić, dla nas to wielka korzyść - dodał.

Rozważała tę rewelację z rosnącym zaskoczeniem.

- Więc mówisz, że ostatecznie udało mi się poślubić bogatego męża czyżnę? - wykrzyknęła.

Roześmiał się.

- Mniej więcej.

- Sprytnie z mojej strony! Do licha!

Ucieszył się, widząc, że się odprężyła po awanturze.

- Dlaczego mi przedtem tego nie powiedziałeś?

- Gabriel mógł jeszcze zmienić zdanie, chociaż, jak wiadomo, ma temperament skały. Tak czy owak, przed nami dużo pracy, więc na razie tym się nie zajmowałem.

- Bałeś się, że wydamy cały twój spadek?

- Nie. - Serdecznie dotknął jej policzka. - Bałem się, że zdradzisz wszystko matce, a ona na pewno by go wydała.

- Ach... tak...

Uśmiechnęli się do siebie czule.

- W każdym razie moja nowa sytuacja - rzekł sucho - nie jest jedyną okolicznością, która uległa zmianie.

Spoważniał.

- O czym mówisz?

Starął się przybrać jak najspokojniejszy ton głosu.

- Przeprowadzamy się.

- Przeprowadzamy?

Już miała się na baczności. Wyrastał mur.

- Tak- mruknął, lekko trzymając ją za rękę. - Chciałbym, żebyś za częta myśleć o tym, w jakim domu chciałabyś mieszkać, mam na myśli twój wymarzony dom.

Wydawała się zmieszana.

- Ale przecież ja mam już dom. Mieszkam w Balfour Manor.

- Nie, kochanie - powiedział łagodnie. - Już nie.

- Co? - Wyrwała mu rękę z uścisku.

- Nie stać nas na ten dom.

- Jak to, przed chwilą powiedziałeś, że jesteś bogaty! Wiem, że ten dom to ruina, Derek, ale teraz, kiedy będziesz mógł zatrudnić robotników...

- Nie.

Spojrzał śmiało w jej błękitne oczy, mimo że była przerażona jego zdradą.

- Zabieram cię stąd - mówił bardzo spokojnie. - To miejsce jest dla ciebie fatalne. Widzę, co ono z tobą robi, nawet jeżeli ty tego nie widzisz. Lilly, jestem twoim mężem i moim zadaniem jest cię chronić.

- Chronić mnie? - Podniosła się i patrzyła na niego zdumiona.

- Ten dom jest zmurszały; poza tym wszędzie tu masz złe wspomnienia.

- Ależ Balfour Manor należy do mnie! Jest mój! Nie możesz go sprzedać bez mojej zgody, nie możesz!

- Jest nasz.

Właściwie dom należał do niego, teraz, kiedy był jej mężem: mógł z nim zrobić, co chciał; nie uważał jednak za słuszne tego podkreślać. Ona też dobrze o tym wiedziała. Po prostu nie chciała się do tego przyznać. A teraz patrzyła na niego jak na Judasza.

- Nie wierzę ci. Przecież kiedyś właśnie ty mnie ostrzegałeś, że Edward mógłby zrobić coś takiego. Edward! A teraz postępujesz tak jak on! Jak mogłeś mi coś takiego zrobić? Balfour Manor jest moim domem, jedynym domem, jaki kiedykolwiek miałam! Od trzystu lat należy do mojej rodziny, a teraz chcesz go sprzedać komuś obcemu? Porąbać na kawałki i wyrzucić na śmietnik? Jak śmiesz?!

- Robię to, bo cię kocham. Wiem, że ci przykro, ale ten dom jest niebezpieczny, Lilly. Nie mam zamiaru wychowywać w nim swoich dzieci.

- Jak mogłeś mnie zdradzić w taki sposób?!

Wyglądało na to, że jego słowa nie docierały do niej.

- Nie zdradzam cię. Chcę cię zabrać tam, gdzie będziesz szczęśliwa. Nie mogę patrzeć na to, co się z tobą dzieje. Nie chcę, żebyś oddychała tym powietrzem.

Skrzyżowała ręce na piersi, chodząc tam i z powrotem po korytarzu.

- Nie mogę uwierzyć, że zaplanowałaś to wszystko za moimi plecami. To dlatego powiedziałeś, że Georgiana przygotowała gościnnie pokój dla matki, prawda?

- Tak.
- Czyli twoja siostra wiedziała, że sprzedajesz mój dom, zanim o tym mnie powiadomiłaś?

- Postaraj się wysłuchać, jaki mam plan...

- O, nawet plan? - parsknęła.

- Charles Beecham na koniec tego tygodnia zorganizował licytację. Stąd te reperacje, żeby uzyskać lepszą cenę.

Patrzyła na niego oskarżycielsko, gdy mówił:

- Próbowałem najpierw zainteresować twojego krewnego w nadziei, że uda się utrzymać wszystkie posiadłości Balfourów razem, ale nawet on nie chciał tego domu.

- To dlatego go zaprosiłaś na nasz ślub!

- Z chwilą kiedy znajdzie się kupiec, będziemy mieć czas na zabranie stąd osobistych rzeczy twojej rodziny. Dopilnuję, żeby twoje krewno zamieszkały w przyzwoitych warunkach, może w domu w pobliżu pani Clearwell. Chciałabyś tego?

Wydawała się go nie słyszeć. Zwróciła się do niego z ostrym zapytaniem.

- Czy zburzą ten dom?

Derek się wyprostował.

- To zależy od tego, kto go kupi.

Na tę odpowiedź Lilly ogarnęła wściekłość. Nie był tym zaskoczony. Przede wszystkim wiedział, że tej możliwości w ogóle nie chciała rozważać. Spiorunowała go wzrokiem w milczeniu.

- Dobrze, niech tylko spróbują mnie stąd wyrzucić - stwierdziła. - Będą musieli zburzyć ten dom ze mną w środku, bo ja stąd nie wyjdę. Balfour Manor jest moim domem i nie pozwolę go zniszczyć.

Odwróciła się na pięcie i odeszła gniewnie, zatrząskując za sobą drzwi ich sypialni.

Derek spojrzął w ziemię z ciężkim westchnieniem.

- Cholera jasna...

Dobrze. W każdym razie już wszystko powiedział. Czekał z tym do momentu, kiedy licytacja już była blisko, bo wiedział, że najlepiej mieć to jak najszybciej za sobą.

Jak amputację, natychmiast po bitwie.

Postanowił, że pozwoli jej przetrwać to przez jakiś czas, i zbiegł na dół zobaczyć, jak panie odjeżdżają.

Przyjęły tę wiadomość lepiej niż Lilly.

Pamela i ciocia Daisy sprawiały wrażenie niemal szczęśliwych z tego powodu. Były gotowe jak najszybciej wyfrunąć z klatki. Lady Clarissa wydawała się niewiele rozumieć z tego, co mówił; Derek zauważył, że matka jest w szoku.

Patrzył za odjeżdżającym podniszczonym powozem, który właśnie mijał to przekłete drzewo.

Nareszcie coś się ruszyło, pomyślał przekonany, że wszystko się ułoży, kiedy tylko opadną emocje.

Od tygodni nie przestawały mówić o wizycie w Londynie; wspominały poznanych tam ludzi i miejsca, które zwiedziły, marzyły o życiu pełnym barw, w którym dużo się dzieje. Pewnie w Londynie nie będą nareszcie nawiedzane przez zmarłych mężczyzn z rodu Balfourów, leżących na cmentarzu przy kościele.

Kiedy już odjechały, postanowił wrócić do sypialni, ale okazało się, że żona zabarykadowała się wewnątrz. Oczywiście nie miałby trudności z wybiciem dziury w zżartych przez robactwo drzwiach, czy w starym tynku, ale nie chciał tego robić.

Zastukał do drzwi jak prawdziwy dżentelmen.

- Lilly?

- Idź sobie! Nie rozmawiam z tobą!

- Doskonale. Ja będę mówił, ty tylko słuchaj. -Jakoś łatwiej mu przychodziło wypowiedzieć to, co miał w sercu, tym starym, brzydkim drzwiom. - Nie mogę patrzeć na to, co się z tobą dzieje tu, w tym domu. Kocham cię tak bardzo i czuję, że cię tracę - dla tego miejsca! Ono cię zmienia; zmienia w sposób, którego nie rozumiem. Chcę ci pomóc.

Nie odpowiedziała.

- Lilly, twój powrót tu jest tak samo niedobry, jak byłby mój powrót na pole bitwy. Oboje mamy swoje złe duchy... Ty nie chciałaś mnie stracić dla mojego; ja jestem ci winien taką samą lojalność.

- Lojalność? - krzyknęła z furią przez dzielące ich drzwi.

- Oczywiście! Zrobiłbym dla ciebie wszystko. Każdą rzecz - szepnął. - Ostatnią rzeczą, jakiej bym chciał, to skrzywdzić ciebie... w jaki-

kolwiek sposób. Wiem, że jesteś teraz rozgniewana. Rozumiem to. Ale, cokolwiek teraz myślisz, robię to z miłości do ciebie. Pewnego dnia mi podziękujesz. Cisza.

- Możesz coś powiedzieć?
- Nienawidzę cię!
- Nie, to nieprawda - odpowiedział trochę kpiąco. - Kochasz mnie.

Wiesz, że mnie kochasz.

- Wynoś się!
- Doskonale. Pójdę po jakieś jedzenie. Chcesz coś zjeść?

Odpowiedzią był ryk wściekłości bez słów.

O Boże...

Chyba nie bał się jej furii, jak należy.

- Lilly, to jasne jak dzień, że nie jesteś tu szczęśliwa. Więc dlaczego nie chcesz sprzedać tego domu? To nie ma sensu! Dlaczego chciałaś zadać sobie tyle trudu, żeby go ocalić? Odpowiedz. Dlaczego chciałaś w tym celu poślubić kogoś takiego jak Ed Lundy? Dla tych spróchniałych belek i zapadających się kominków? Dlaczego tak ci na tym zależy?

- Po prostu zależy! - odpaliła.

Ta odpowiedź zabrzmiała jak argument małego dziecka. W tym momencie zaczął podejrzewać, na czym polega to wszystko, co się dzieje w jej głowie, świadomie lub nie.

- Dobrze - powiedział spokojnie przez drzwi - możesz mnie nienawidzić, ale nie pozwolę ci odejść. Z rozkazu pani Clearwell.

- Och, zamknij się.

Mimo woli się uśmiechnął. Przypomnienie rady jej opiekunki podczas wesela musi Lilly chociaż odrobinę zmiękczyć.

- Kochanie, kupię ci najpiękniejszy dom, jaki w życiu widziałaś - obiecał. - Z czym ma być? Z ogrodem? Z salą balową?

- Ja chcę mieć ten dom! - zawodziła tak, że serce mu się krajało, kiedy słyszał tę dziecięcą rozpacz.

Do cholery!

Teraz na dobre zaczęły się łzy. Słyszał, jak żałośnie płakała.

- Lilly, wpuść mnie. Pozwól, że cię przytulę.
- Nie. Idź sobie! Zdrajco, nie mogę uwierzyć, że zrobiłeś coś takiego...

Mimo iż był pewien, że postąpił słusznie, kiedy usłyszał jej płacz, w dodatku wiedząc, że on jest tego powodem, Derek poczuł się okropnie.

Do diabła, niektórym ludziom nie da się pomóc!

Pokręcił głową, wzburzony, i zostawił ją we łzach w samotności. Znał Lilly i chociaż z przyjemnością wywaliłby drzwi, wiedział, że trzeba jej dać czas i nie tracić wiary. Wojskową dyscyplinę miał we krwi, zmusił się do odczekania pół godziny i nie wracał pod jej drzwi, zanim nie zmył z siebie brudu po pracy na strychu, nie przebrał się w czyste ubranie i nie przygotował tacy z jedzeniem dla nich dwojga.

Wniósł tacę na górę i zastukał.

- Wróciłem.

Nie odpowiedziała.

Zmarszczył brwi.

- Lilly?

Tym razem gałka w drzwiach obróciła się. Pokój już nie był zamknięty. Otworzył drzwi i ostrożnie zajrzał do środka. Była tam jego żona.

Siedziała skulona na podłodze pod oknem i płakała; objęła rękami kolana i patrzyła wielkimi oczyma jak mała, załamana dziewczynka.

O Boże...

Derek zamknął drzwi za sobą.

- Chcesz herbaty?

- Przemyślałam wszystko - powiedziała drżącym głosem.

- Co takiego? - Odstawił tacę i podszedł do Lilly. - Co sobie przemyślałaś, najdroższa?

- To, dlaczego to miejsce tak wiele dla mnie znaczyło. - Zęby jej szczękały jak w febrze.

- Dlaczego? - wyszeptał i przykucnął przed nią na podłodze.

- Ja, ja myślę, że jakoś stale mi się wydawało, że papa mógłby jeszcze wrócić do domu. Ze powinniśmy tu być i czekać, aż... wróci, inaczej nie będzie wiedział, gdzieśmy się podziały. Mógłby nas wtedy nie odnaleźć. - Z jej oczu kapnęły dwie łzy. - Ale on przecież nie wróci. Wiem to doskonale. Myślę, że zawsze to wiedziałam. Ale to tak boli...

- Rozumiem, kochanie. - Derek wziął ją w ramiona. Z płaczem przytuliła się do niego.

- Uspokój się, już dobrze... - szepnął i wziął ją na kolana. - Jestem przy tobie.

Jeszcze długo płakała, jakby chciała wypłakać wszystkie łzy. Derek pocieszał ją i koił, aż wyczerpana zamilkła.

Nie wiedział, ile czasu upłynęło, ale zapadł już zmierzch. -

Przepraszam za to, co powiedziałam. Ucałował ją w czoło.

- Wszystko w porządku.

- Przebaczasz mi?

- Zawsze. A ty... czy mi przebaczasz? - Spojrzał jej w oczy.

- Miałaś rację - rzekła niemal niedosłyszalnie. Kiwnęła głową i spuściła oczy. - Co do tego miejsca. Muszę być wolna.

- Już jesteś. - Splótł palce z jej palcami.

- Derek?

Spojrzał na nią pytająco.

- Zabierzesz mnie stąd? - szepnęła. - Możemy wyjechać? Już teraz, zanim do reszty stracę nerwy?

Kiwnął głową, wstał i pomógł jej się podnieść.

- Chodźmy.

Wyszli na zewnątrz, do stajni, osiodłali konie i tej nocy pojechali konno do Londynu. Derek wioził Lilly przed sobą na karym ogierze, podczas gdy kasztanka Mary Niezrównana spokojnie truchtała za nimi.

Galopowali przez ciemności nocy w stronę Londynu - bez konkretnego celu. Razem... I tym samym mieli to, czego im było trzeba.

Mieli wszystko.

Epilog

Idealny dom Lilly był ucieleśnieniem miejsca, w którym z przyjemnością pije się herbatę w uroczym letnim ogrodzie. Gorące, złociste barwy ścian rzucały ciepłe światło do obszernych wnętrz wypełnionych miękkimi, wygodnymi meblami, wyściełanymi kwiecistym materiałem. Kwiaty doniczkowe świetnie się tu czuły dzięki światłu, obficie wpadającemu przez wysokie, zwieńczone łukami okna.

Ten biały dom, który znaleźli, idealnie nadawał się dla nich: niezbyt duży, ale i nie za mały. W odpowiedniej odległości od Londynu, żeby było spokojnie - z okna sypialni widzieli krowy pasące się na łące - ale też, żeby mogli korzystać z uroków życia w stolicy.

Dom był nowy. Wszystko w nim wykonano tak, jak należy, włącznie ze skrzypiącymi podłogami z jasnego drewna. Miał instalację z dobrej miedzi, nowoczesną toaletę i szczelny dach. Od dnia, kiedy Derek kupił ten dom dla Lilly, to miejsce stało się skrawkiem nieba na ziemi.

Prawdziwy dom.

Bezpieczne miejsce. Radosne miejsce. A przede wszystkim miejsce miłości.

Balfour Manor przestał istnieć. Kupił go jakiś architekt, który zburzył stare gmaszysko, a najlepsze części wziął do nowych projektów.

Panie Balfour podzieliły zyski ze sprzedaży między siebie: zaskakująco szybko zmiana ich sytuacji materialnej odmieniła także ich życie.

Matka przeprowadziła się do eleganckiego małego domku na tej samej ulicy, przy której stał dom pani Clearwell. Z chwilą ponownego wejścia w najlepsze towarzystwo, jako ciągle jeszcze piękna i niezależna wdowa a la Fanny Coates, lady Clarissa miała mnóstwo wielbicieli. W tych warunkach

szybko zapomniała o surowych zasadach i sztywnym sposobie bycia. Stale wśród pełnych wigoru, żyjących na wysokiej stopie, kochliwych młodzieńców nie znajdowała już czasu na krytykowanie ani Lilly, ani nikogo innego. Była zbyt zajęta korzystaniem z życia.

Kuzynka Pamela też miała admiratorów. Porzuciła już poetę, dostarczając mu w ten sposób inspiracji do żałośnie smutnych wierszy - i w tym tygodniu pojawił się ktoś nowy, tym razem, jak się zdawało Lilly, początkujący kompozytor. Po przybyciu do Londynu Pamela pozbyła się okularów, ostrzygła krótko włosy i zaczęła nosić czerwone suknie. John Murray, wydawca, miał opublikować jej sześć powieści w ciągu dwóch lat.

Co do ciotki Daisy, ta bardzo często zajmowała się dziećmi Knightów. Uwielbiała córeczkę księcia, malutką Baby Kate.

Panie Balfour były tak zajęte i tak zadowolone ze swojego nowego życia, że Derek i Lilly właściwie przestali dla nich istnieć, co im zresztą zupełnie odpowiadało.

Derek w końcu otrzymał długo oczekiwany list od swojego dawnego dowódcy z wiadomościami o losach jego żołnierzy. Jak na ironię, pułkownik Montrose informował, że imperium Marathów zostało pobite zaledwie w ciągu czterech miesięcy! Było po wszystkim jeszcze przed nadejściem statków z pieniędzmi, a żołnierze Dereka nie brali udziału w żadnej potyczce. Jego dawny regiment stacjonował teraz w innym rejonie Indii, gdzie wystrzelono pierwsze strzały i „cała ta zabawa” skończyła się, kiedy dotarli na front. Okrutny Baji Rao zginął i w koloniach brytyjskich znów zapanował spokój.

Derek uśmieł się, czytając list, potem dał go Gabrielowi, który mieszkał teraz samotnie w wiejskiej pustelni, żeby brat też mógł przeczytać nowe wiadomości - niezależnie od tego, że pierworodny Knight nie wydawał się zainteresowany wspominaniem swojego dawnego życia ani w ogóle sprawami tego świata. Gabriel nie ruszał się z miejsca, czekając, jak twierdził Derek, na „boski znak”, który odkryje mu jego przeznaczenie.

Derek i Lilly, naturalnie, nie zastanawiali się nad swoim przeznaczeniem. Odnaleźli je wiele miesięcy temu - w nocy na balu maskowym.

- Lilly! - Usłyszała, że mąż ją woła i podeszła do okna, ale kiedy zobaczyła Dereka w ogrodzie, stanęła zdumiona. Otworzyła okno zaciekawiona.

- Spójrz! Zrobiłem! Już gotowa!

Promieniejąc z dumy, Derek wskazał dziwną altanę, którą właśnie skończył malować.

- Co o tym sądzisz?

Lilly milczała chwilę, zanim odchrząknęła zmienionym przez wzruszenie głosem:

- Wspaniała! Jesteś cudowny, Derek! Jest piękna!

Roześmiał się i przywołał ją gestem dłoni.

- Chodź, obejrzyj z bliska!

- Już biegnę!

Zatrzasnęła okno w obawie przed jesiennym chłodem i wybiegła pędem z pokoju. Minęła hol. Uniosła suknię, zbiegając po schodach do męża. Jej twarz jaśniała.

Może moje pragnienia wciąż mają sprawczą moc, myślała. Nigdy nie wiadomo. Po prostu nigdy nie wiadomo.